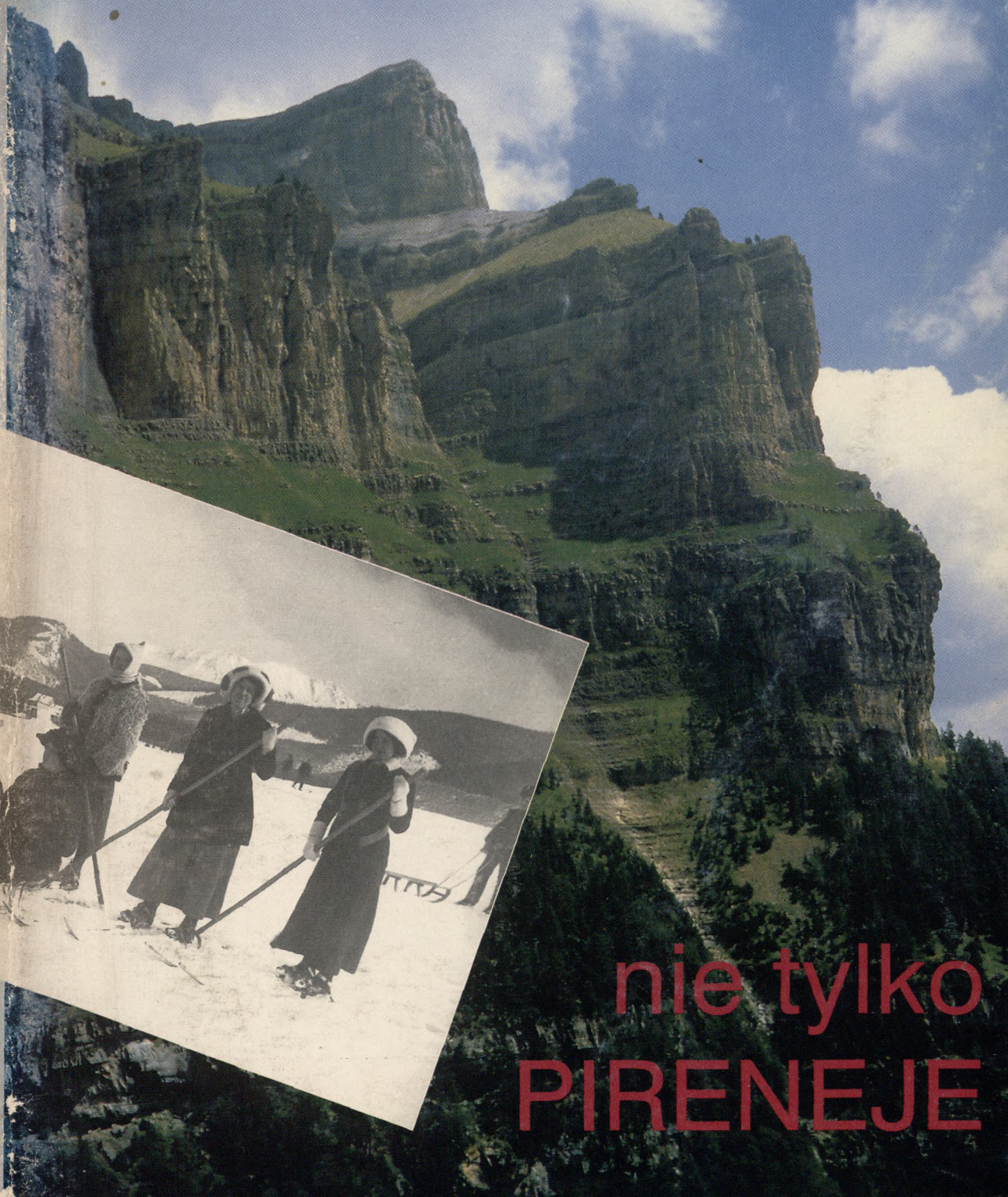


Pamiętnik PTT

Pamiętnik PTT



Tom
4
1995

nie tylko
PIRENEJE

DLACZEGO PIRENEJE ?

... „Są one zarówno oddalone od Francji jak i bliskie tego kraju. Jeżeli tak się rzeczy mają z Francją, do której połowa (...) łańcucha ich należy, której stanowią naturalną podstawę i granicę od południa, odległą od centrum kraju Paryża o 20 zaledwie godzin drogi, to coś dopiero powiedzieć o nas, zimnej północy dzieciach, mających o tych górach słabe bardzo wyobrażenie.

Wędrując po Europy dalekich stronach nawiedzamy, Bogu dzięki, częściej niż dawniej urocze Tatry, dalej góry Salcburga, Tyrolu i Szwajcarii, ale o Pireneje zahaczamy, nieliczni tylko i to zrzadka, i zahaczywszy o jeden z onych zazwyczaj punkt, całość pozostawiamy w spokoju.

A szkoda, bo oryginalne te góry posiadają w swoim wnętrzu taką moc najprzeróżniejszych krajobrazów, że zadowolić mogą najwybredniejszego nawet w swych zmaganiach artystę, a obsiadłe ludem odrębnym od tych, o które na północy i południu się ociera, odrębnym od nich pod względem kultury, obyczajów i języka, są niewyczerpaną skarbnicą dla etnografa i folklorysty, badacza gwar ludzkich ...”

Stanisław Bełza
„W Pirenejach
– odczyt publiczny”
Wyd. Gebethner i Wolff,
Warszawa 1900.



Tom 4

*Pamiętnik
Polskiego
Towarzystwa
Tatrzańskiego*

Kraków 1995

Pamiętnik Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego

Tom 4



Kraków 1995

Wydawca: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Zarząd Główny, 30-049 Kraków
ul. Konarskiego 21/5
Tatrzański Park Narodowy

Redakcja: Adam Liberak, Barbara Morawska-Nowak

Projekt obwoluty: Zofia Nowak

Wydano z pomocą finansową Narodowego Banku Polskiego
i Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie

ISSN 1230-2880

Skład komputerowy: Jacek Zaremba
Łamanie i druk: ALT Nowy Sącz
Druk zakończono w marcu 1996

To już IV tom naszego wspólnego Pamiętnika, który jest rejestrem naszych przeżyć z przeszłości i teraźniejszości. Tym razem nasi współtowarzysze wędrówek pokazują prócz Tatr Pireneje. Warto na nie spojrzeć, bo to mniej znany u nas łańcuch gór europejskich, a bardzo ciekawy. Pireneje mają dla nas jeszcze jedną wielką zaletę, są tańsze dla turystów niż osławione Alpy.

Drugi bardzo ciekawy temat to krótkie wspomnienie o Stanisławie Zdybie napisane przez jego córkę. Ten życiorys godny epopei ma jeszcze jedną zaletę, jest ilustrowany jednymi z pierwszych zdjęć jakie robiono w Zakopanem. Stanisław Zdyb uczył się fotografować w Szkole Snyckarskiej w Zakopanem nosząc za swoim nauczycielem aparat fotograficzny, do którego tylko obiektyw sprowadzano, a resztę wykonano z drewna w szkole. Zdjęcia robił wszędzie, swój aparat zabrał gdy jako ochotnik jechał do Legionów. Dlatego poprosiliśmy córkę, by zezwoliła na reprodukcję tych unikalnych (nie unikatowych) zdjęć zachowując do nich prawa autorskie. Jest to więc jednorazowa reprodukcja za pozwoleniem.

Nasz IV tom wychodzi 3 miesiące później. Początkowo miał się spóźnić trzy tygodnie, bo były kłopoty finansowe. Potem „dogonił nas” termin Zjazdu. Postanowiliśmy więc umieścić w tym tomie sprawozdanie, bo dla naszej organizacji spotkanie na Chochołowskiej miało wyjątkowe znaczenie.

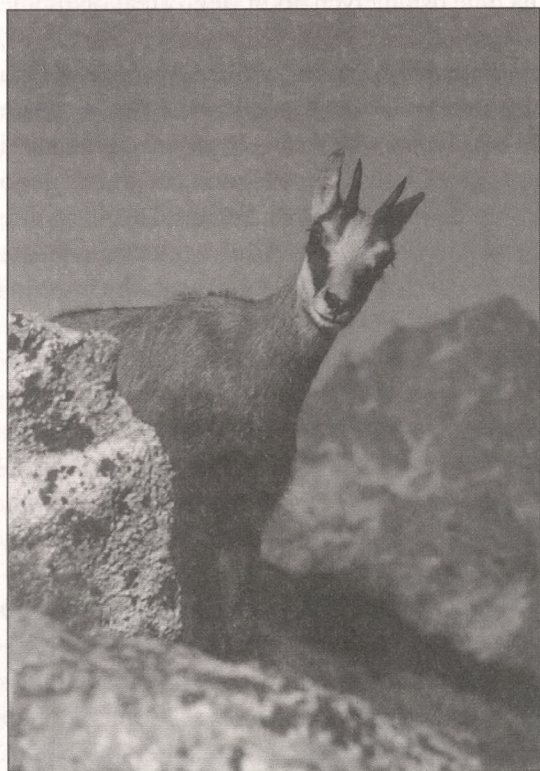
Wierzmy, że ten tom będzie dla Was interesujący.

Czekamy na materiały do V tomu. Jako zapowiedź tematu wiodącego w tomie V drukujemy pierwsze rumuńskie wrażenia naszego kolegi z Łodzi. Chcielibyśmy bowiem poświęcić więcej uwagi Siedmiogrodowi i otaczającym go górą – terenom u nas mało znanym. Równocześnie proponujemy wszystkim oddziałom by wprowadziły u siebie przedpłaty na fundusz wydawniczy.

Redakcja

ZWIERZĘTA KARPAT POLSKICH

Jacek Wasilewski i Andrzej Górecki



Kozica *Rupicapra rupicapra*, fot. G. Kreiner

Cały obszar Polski południowo-wschodniej zajmują Karpaty i ich Pogórze. Teren ten, w znacznej części pokryty lasami, szczęśliwie mało jeszcze zdewastowany działalnością człowieka, a w wyniku ostatnich kataklizmów dziejowych miejscami rzadko zaludniony, stwarza dogodne warunki do bytowania dla wielu gatunków zwierząt.

Zainteresowanie fauną Karpat, a szczególnie Tatr i Pienin, datuje się od lat 60-tych XIX wieku, kiedy to planowe badania przyrody tego terenu rozpoczęli współpracownicy Komisji Fizjograficznej. Wyniki tych prac zamieszczane były właśnie w wydawanych przez Komisję „Pamiętnikach Towarzystwa Tatrzańskiego”. Nie sposób wymienić wszystkich uczonych zajmujących się badaniami fauny Karpat, ale do

prekursorów należeli na pewno – Maksymilian Siła-Nowicki i Antoni Kocyán. Mimo, iż w ciągu minionego wieku cała rzesza badaczy działała na terenie Karpat to jednak nie mamy dotychczas monografii fauny tego obszaru. Duże zróżnicowanie karpaccich siedlisk jest źródłem bogactwa spotykanych tu gatunków zwierząt. Wspominając o nich trzeba z konieczności ograniczyć się do wybranych grup. Dlatego zamieszczone poniżej informacje dotyczą wyłącznie zwierząt kręgowych i to tylko niektórych gatunków, bardziej interesujących z faunistycznego lub ekologicznego punktu widzenia.

Rozpoczynając ich omawianie od ssaków trzeba podkreślić, iż **spośród 90 gatunków żyjących stale w naturalnych siedliskach naszego kraju, aż 70 występuje na terenie Karpat i ich pogórza**. Najliczniej są reprezentowane wśród nich gryzonie, nietoperze i drapieżniki. Znakomita większość z nich spotykana jest również na innych obszarach kraju. Jedynie trzy gatunki gryzoni występują wyłącznie w Karpatach, a dwa dalsze to ssaki żyjące w Karpatach i Sudetach. Są jednak i takie, które wprawdzie występują w innych regionach Polski, ale większość dziko żyjącej populacji zasiedla Karpaty.

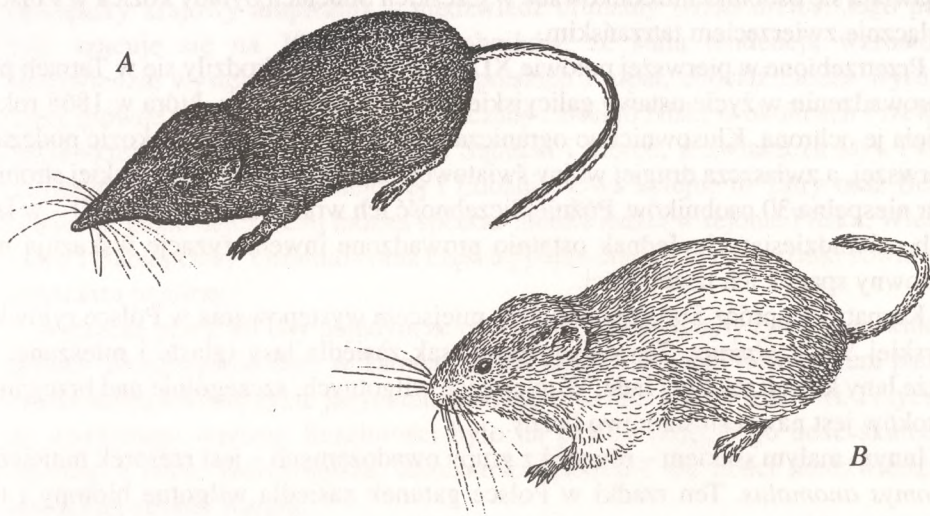
Do tatrzańskich wyłącznie zwierząt należy świstak *Marmota marmota* występujący powyżej górnej granicy lasu, głównie na dnie osłoniętych dolin. Jego areal obejmuje górną część Doliny Chochołowskiej i Kościeliskiej, rejon Czerwonych Wierchów, Doliny Stawów Gąsienicowych i Pięciu Stawów Polskich, okolice Morskiego Oka oraz Dolinę Waksmundzką. Szacuje się, że w polskich Tatrach żyje tylko niewiele ponad 100 osobników, a kłusownictwo i masowa turystyka są głównymi czynnikami

ograniczającymi jego liczebność.

Kłusownictwo właśnie doprowadziło w połowie XIX wieku do prawie całkowitego wytępienia świstaków tatrzańskich. Podobnie było podczas obu ostatnich wojen światowych. Utworzenie w 1954 r. Tatrzańskiego Parku Narodowego poprawiło częściowo sytuację. Również likwidacja pasterstwa i opuszczanie



Świstak *Marmota marmota*, fot. M. Kieres



A. Ryjówka górská B. Polnik Śnieżny,
rys. J. Weiner

tatrzańskich hal przez owce i ich opiekunów miały istotne znaczenie. Pobyt juhasów łączył się nieraz z likwidacją całych rodzin świstaczych, jak np. w Dolince pod Smreczyńskim Wierchem. Zagrożeniem dla świstaków jest także masowa turystyka i związane z nią inwestycje, które rozdzielają zamieszkujące w polskich Tatrach grupy świstaków utrudniając im kontakty. W strefach nasilenia ruchu turystycznego zmniejsza się także ostrożność świstaków, w wyniku czego łatwiej padają ofiarą drapieżników, np. lisów zachodzących latem w piętro kosodrzewiny i hal.

Również tylko w Tatrach występuje polnik śnieżny *Microtus nivalis*. Niewielkie kolonie tego gryzonia położone są na wysokościach od 1200 m npm do ponad 2200 m npm, albo ponad górną granicą lasu, albo w obrębie lasów na polanach i w miejscach skalistych. Endemitem zachodniokarpackim jest jeszcze jeden mały gryzoń – darniówka tatrzańska *Pitymys tatricus*. Spotykana jest nielicznie na wysokościach powyżej 1000 m w Dolinie Tomanowej, na Kominiarskim Wierchu i Polanie Ornak oraz w Tatrach Wysokich na halach w okolicy Morskiego Oka, Doliny Pięciu Stawów i Hali Gąsienicowej. Poza Tatrami spotykana jest tylko w Beskidzie Żywieckim na Pilsku.

Stałym mieszkańcem hal i turni tatrzańskich jest kozica *Rupicapra rupicapra*. Jedyne zimą część tych zwierząt opuszcza strefę alpejską schodząc do piętra lasów górnoreglowych. Najdogodniejsze warunki życiowe spotyka kozica w Tatrach Zachodnich i dlatego tam najłatwiej ją spotkać, ale całkowita jej liczebność nie jest

wielka i nie przekracza 200 osobników. Gdyby nie fakt, iż w Paśmie Śnieżnika pojawiają się osobniki introdukowane w Czeskich Sudetach byłaby kozica w Polsce wyłącznie zwierzęciem tatrzańskim.

Przetrzebione w pierwszej połowie XIX wieku kozice odrodziły się w Tatrach po wprowadzeniu w życie ustawy galicyjskiego Sejmu Krajowego, która w 1868 roku objęła je ochroną. Kłusownictwo ograniczało drastycznie liczebność kozic podczas pierwszej, a zwłaszcza drugiej wojny światowej, po której zostało po polskiej stronie Tatr niespełna 30 osobników. Później liczebność ich wrastała, do blisko 300 – w latach osiemdziesiątych. Jednak ostatnio prowadzone inwentaryzacje wskazują na ponowny spadek ich liczebności.

Karpaty są oprócz Sudetów jedynym miejscem występowania w Polsce ryjówki górskiej *Sorex alpinus*. Ten owadożerny ssak zasiedla lasy iglaste i mieszane, a także łąny kosodrzewiny i hale. W miejscach wilgotnych, szczególnie nad brzegami potoków jest nawet stosunkowo liczny.

Innym małym ssakiem – również z grupy owadożernych – jest rzęsorek mniejszy *Neomys anomalus*. Ten rzadki w Polsce gatunek zasiedla wilgotne biotopy i to głównie w Karpatach do wysokości ponad 2000 m npm.

Karpackie siedliska stwarzają dogodne warunki dużym ssakom drapieżnym. Wielka jest powierzchnia i zróżnicowanie terenów, na których mogą mieć swoje osto-



Niedźwiedź, fot. I. Mihal

je. Ważna jest także duża ilość zwierząt, które są ich bazą pokarmową. Tylko tu żyje największy krajowy drapieżnik – niedźwiedź brunatny *Ursus arctos*. Jego populację szacuje się na 70 do 100 osobników, ze stałą tendencją wzrostową. Niedźwiedzie występują w całym łuku polskich Karpat, chociaż można wyróżnić cztery główne arealy. Pierwszy, to Bieszczady i Beskid Niski w okolicach Przełęczy Dukielskiej. Drugi obejmuje Beskid Sądecki i Gorce, a zwłaszcza lasy Pasma Jaworzyny Krynickiej, Radziejowej i Lubania. Dwa kolejne to Tatry oraz Beskid Żywiecki, gdzie najczęściej można spotkać niedźwiedzia w rejonie Pilska, Wielkiej Raczy i Babiej Góry. Ostatnio coraz częściej pojawiają się te drapieżniki również na karpackim pogórzu.

A jeszcze przed 40 laty pojedyncze osobniki spotykane były tylko w niektórych partiach Bieszczadów oraz w Tatrach, gdzie wykładana pod Wołoszynem padlina końska miała ułatwić życie jednemu gawrującemu tam niedźwiedziowi. Przyczyną tak wyraźnego wzrostu liczebności było na pewno objęcie go dość skuteczną ochroną, a także wcześniejsze, znaczne zwiększenie się ilości niedźwiedzi po słowackiej stronie Karpat.

W tej chwili głównym zagrożeniem dla tego zwierzęcia może być jego nadmierne synantropizacja. Należy bowiem pamiętać, że przyzwyczajanie jakiegoś niedźwiedzia do podawanej mu żywności, czy do korzystania z resztek w nie zabezpieczonych śmietnikach oraz innych źródeł łatwego pokarmu musi w konsekwencji prowadzić do jego eliminacji ze środowiska. Jaskrawym tego przykładem była historia tatrzańskiej niedźwiedzicy „Magdy”.

Dalszymi zwierzętami drapieżnymi spotykanymi na omawianym obszarze są: wilk *Canis lupus* i ryś *Lynx lynx*. Wprawdzie spotykane są również w innych rejonach kraju, jednak największa ich koncentracja występuje właśnie w Karpatach, a zwłaszcza w Bieszczadach, Beskidzie Niskim i Sądeckim. Na tym terenie liczebność wilków szacuje się na około 400 osobników, a rysi na 200.

Powodem wzrostu liczebności wilków było – między innymi – zaprzestanie ich drastycznej eksterminacji. Wilcze rodziny osiedlające się na terenach, na których w ostatnich dziesięcioleciach nie były notowane mogą powodować znaczny spadek liczebności jeleni, saren i kozic. Z taką sytuacją spotykamy się aktualnie w Tatrach.

Drapieżnikiem żyjącym wyłącznie w Karpatach i to głównie w ich wschodniej części jest zbiek *Felis silvestris*. Ten protoplasta naszych kotów domowych należy w Polsce do zwierząt wymierających, a jego populacja składa się tylko z niespełna 100 osobników.

Omawiając faunę Karpat nie sposób nie wspomnieć o jeleniu szlachetnym *Cervus elaphus*. Wprawdzie gatunek ten jest pospolity w lasach całego kraju, jednak populacja zasiedlająca karpackie lasy wyróżnia się liczebnością – zbliżającą się do 25000

osobników. Jelenie z tego terenu mają większy ciężar ciała niż w innych rejonach kraju i charakteryzują się lepszą jakością poroża, które jest cennym trofeum dla myśliwych.

Pospolitym i najliczniejszym w Karpatach zwierzęciem z rodziny jeleniowatych jest sarna *Capreolus capreolus*. Jedyne w wysokich partiach Bieszczadów, a zwłaszcza w Tatrach zaznaczył się wyraźny spadek ich liczebności.

Spośród wszystkich zwierząt kręgowych najliczniejsze w faunie karpackiej są ptaki. **Na terenie całej Polski gnieździ się blisko 230 gatunków, a z tej liczby 148 – czyli ponad 65%, należy do lęgowej awifauny karpackiej.** Większość z nich to ptaki wróblowate – 83 gatunki, drapieżne – 13, dzięcioły – 9 i sowy – 7. Należy podkreślić, że w przypadku takich rzędów jak: kuraki, gołębie, kukułki, kozodojowate i jerzykowate, wszystkie gatunki gnieźdzące się w Polsce należą do lęgowej fauny Karpat. Olbrzymia większość krajowych gatunków dzięciołów, sów i ptaków drapieżnych gnieździ się na omawianym terenie.

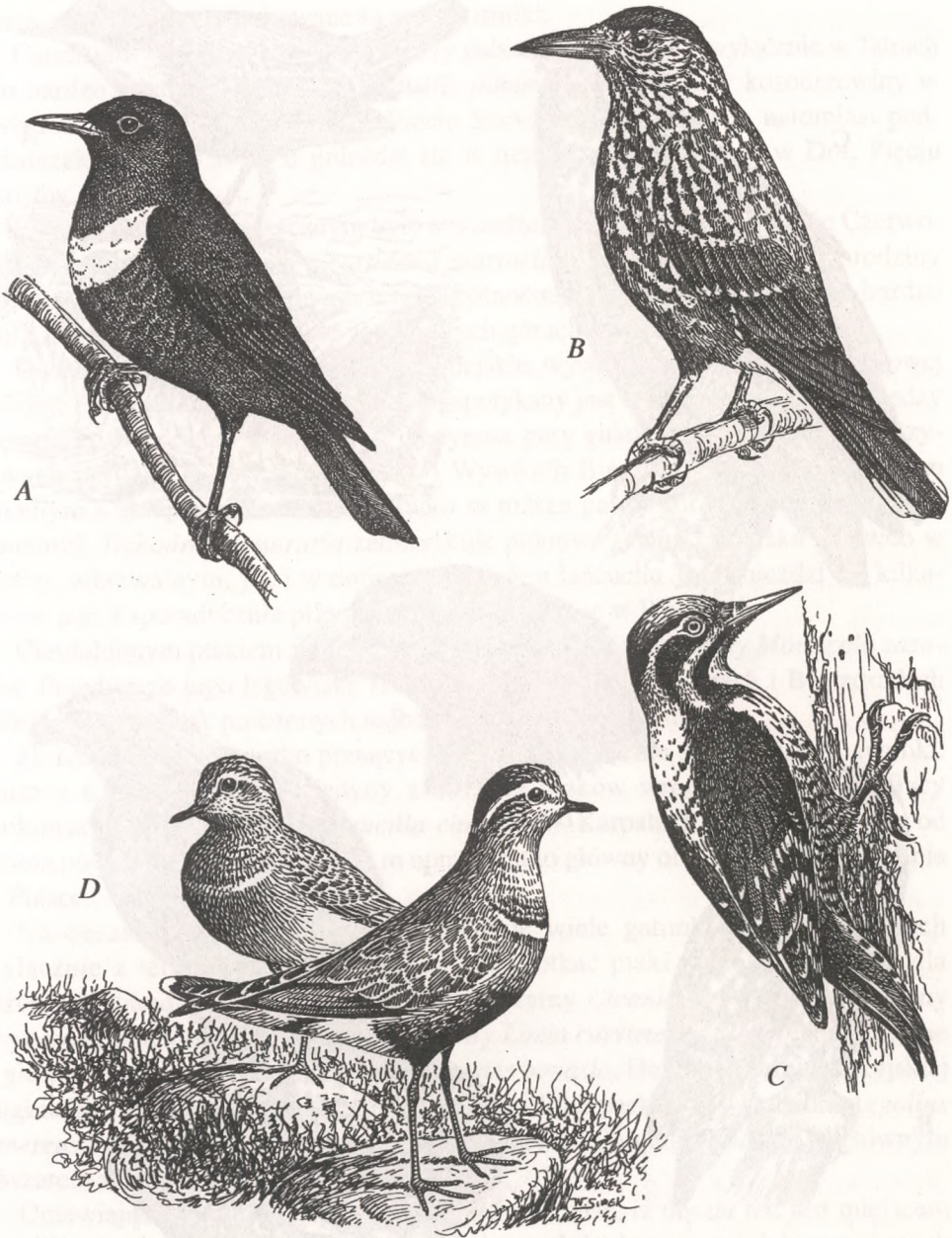
Prawie wszystkie ptaki zasiedlające Karpaty spotyka się również na niżowych obszarach, zarówno kraju jak i Europy. Występowanie tylko niewielu ograniczone jest do siedlisk górskich. Część z nich to elementy borealno-alpejskie, których głównym arealem są północne rejony palearktyki, natomiast w górach środkowej Europy zamieszkują reliktowe populacje, które znalazły się tam w epoce lodowcowej.

Jednym z nich jest drozd obrożny *Turdus torquatus* zasiedlający całe polskie Karpaty, od piętra pogórza po górną granicę lasu. Charakterystycznie ubarwioną sylwetkę tego ptaka – z białym półksiężycem na piersi odcinającym się od czerni pozostałego upierzenia – najłatwiej zaobserwować w porze lęgowej podczas żerowania na łąkach i śródleśnych polanach.

Od Beskidu Śląskiego po Bieszczady sięgają obszary lęgowe orzechówki krótkodziobej *Nucifraga caryocatactes*. Ptak ten – należący do rodziny krukowatych – zasiedla lasy dolnego i górnego regła. Dość często można go obserwować w Wysokich Tatrach, gdzie spełnia istotną rolę w rozsiewaniu limby. Żerując, rozbija on szyszki limbowe, a pozyskane nasiona chowa w skrytkach zimowych. O części z nich zapomina i przyczynia się w ten sposób do rozsiewania limby, a tym samym jej powrotu na siedliska utracone w wyniku działalności ludzkiej.

Charakterystycznym ptakiem terenów położonych ponad górną granicą lasu jest siwarnik inaczej nazywany świergotkiem górskim *Anthus spinoletta*. Najliczniej występuje w Tatrach, ale spotkać go można także na Babiej Górze i Pilsku oraz w Wysokich Bieszczadach. Wiosną, jego donośny głos i loty tokowe zwracają uwagę każdego obserwatora.

Mieszkańcem lasów karpackich jest także alpejski podgatunek dzięcioła trójpalczystego *Picoides tridactylus*. Nie należy on do ptaków licznych i jedynie w Tatrach



A. Drozd obrożny B. Orzechówka C. Dzięcioł trójpalcowy D. Mornele, rys. J. Weiner



A. Pluszczyk B. Włochatka C. Puchacz D. Głowa orlika E. Orzeł przedni, rys. J. Weiner

i Gorcach można go częściej obserwować, zwłaszcza w miejscach, gdzie powalone przez wiatr drzewa zaatakowane są przez korniki.

Gatunkami borealno-alpejskimi są trzy dalsze – występujące wyłącznie w Tatrach i to bardzo rzadko. Czeczotka *Carduelis flammea* zasiedla łąny kosodrzewiny w sąsiedztwie Morskiego Oka, Dol. Pięciu Stawów i Kondratowej, natomiast podróżniczek *Luscinia svecica* gnieździ się w liczbie tylko kilku par w Dol. Pięciu Stawów.

Ewenementem faunistycznym było stwierdzenie w Tatrach – w rejonie Czerwonych Wierchów – mornela *Charadrius morinellus*. Ptak ten należący do rodziny siewkowatych zasiedla głównie tereny północnej Skandynawii i jedynie bardzo nieliczne populacje spotyka się w niektórych górach środkowej Europy.

Dwa dalsze gatunki to ptaki typowo alpejskie, występujące w górach południowej Europy. Płochacz halny *Prunella collaris* spotykany jest nielicznie w Tatrach między piętrzem kosodrzewiny a turniami. Pojedyncze pary gnieźdzą się ponadto w szczytowych partiach Babiej Góry, Pilska i Wysokich Bieszczadów. Jest on ptakiem osiadłym i zimą przemieszcza się tylko w niższe partie gór. Barwnie upierzony pomurnik *Tichodroma muraria* zamieszkuje pionowe ściany i urwiska zarówno w piętrze subniwalnym, jak i w dolinach. W całym łańcuchu Tatr gnieździ się kilka-naście par, a sporadycznie przystępuje do lęgów także w Pieninach.

Ciepłolubnym ptakiem środowisk górskich jest nagórnik skalny *Monticola saxatilis*. Pojedyncze jego lęgowiska stwierdzone w Małych Pieninach i Bieszczadach należą do stanowisk położonych najbardziej na północ w Europie.

Ze środowiskiem wartko płynących strumieni związane są dwa dalsze gatunki: pluszcz *Cinclus cinclus* – jedyny z naszych ptaków wróblowatych potrafiący nurkować, i pliszka górska *Motacilla cinerea*. W Karpatach gnieźdzą się one od pasma pogórza po wysokość 1500 m n.p.m. i jest to główny obszar ich występowania w Polsce.

Na obszarze karpackich lasów występuje wiele gatunków nie związanych wyłącznie z terenami górskimi. Można tu spotkać ptaki charakterystyczne dla niżowych starodrzewi, takie jak np: bocian czarny *Ciconia nigra*, dzięcioł czarny *Dryocopus martius*, krzyżodziób świerkowy *Loxia curvirostra*, a także kuraki leśne – głuszec *Tetrao urogallus* i jarząbek *Tetrastes bonasia*. Do ornitofauny syberyjskiej tajgi należą dwa gatunki sów spotykane w lasach karpackich – włochatka *Aegolius funereus* i puszczyk uralski *Strix uralensis*. Dla tego drugiego Karpaty są głównym obszarem występowania w Polsce.

Omawiając awifaunę Karpat nie można zapominać, iż obszar ten jest miejscem gnieźdzenia się kilku gatunków, które w Polsce należą do ginących lub zagrożonych wyginięciem. Do grupy tej należą głównie duże drapieżniki. W Tatrach, Beskidzie

Niskim i Sądeckim oraz w Bieszczadach gnieźdzą się pojedyncze pary orła przedniego *Aquila chrysoëtos* – należącego do najwspanialszych, naszych ptaków drapieżnych. Najprawdopodobniej ponad połowa jego znanych w Polsce lęgówisk zlokalizowana jest właśnie w Karpatach. Jedna z ostatnich informacji o lęgach sokoła wędrownego *Falco peregrinus* pochodzi również z Karpat, a konkretnie z Tatr. Od Beskidu Żywieckiego po Bieszczady gnieździ się nielicznie puchacz *Bubo bubo* – największa spośród krajowych sów.

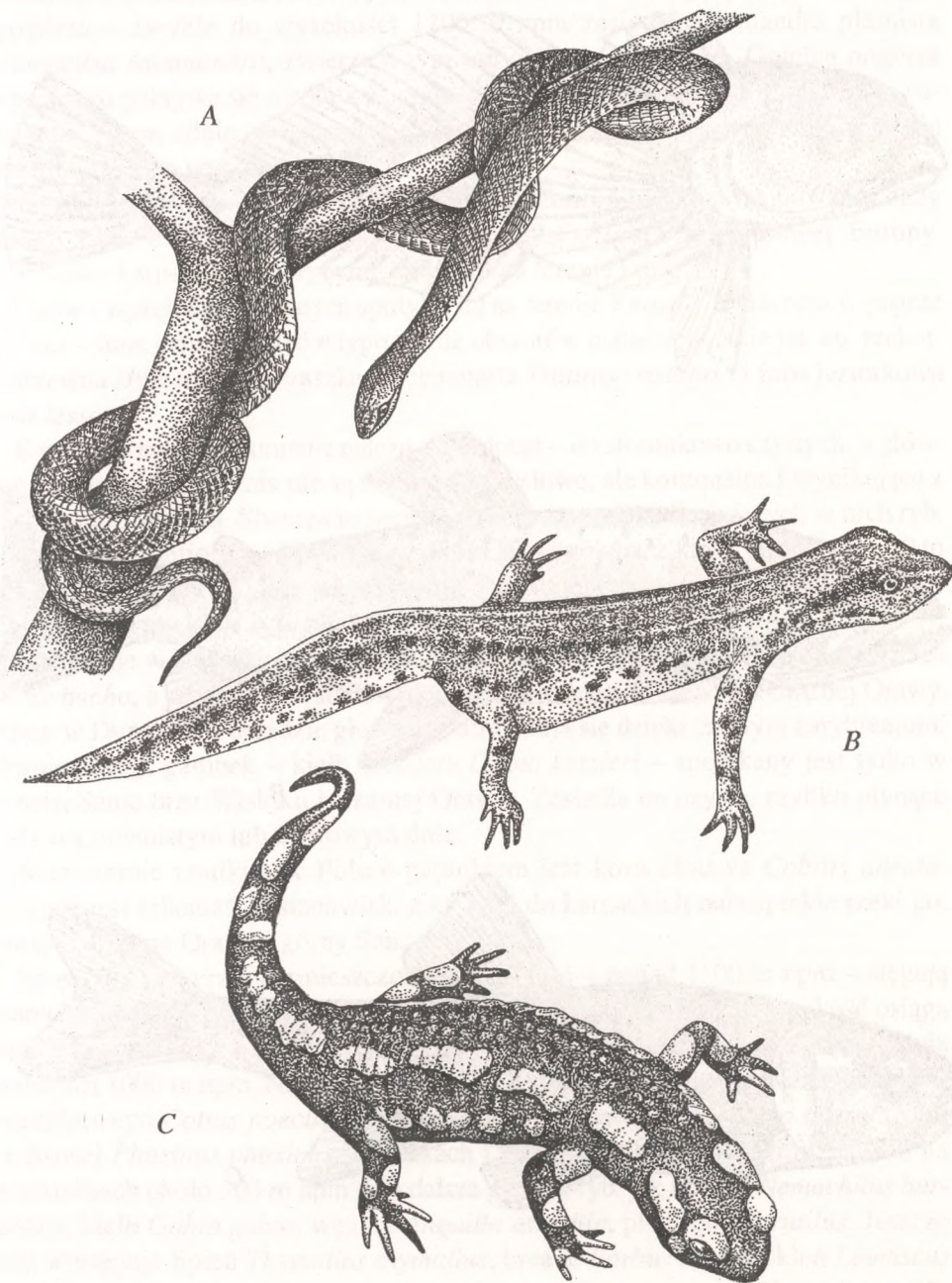
Wspominając ptaki drapieżne trzeba wymienić jeszcze orlika krzykliwego *Aquila pomarina*, zasiedlającego tereny, na których większe kompleksy leśne graniczą z rozległymi, wilgotnymi łąkami i polami. Ptak ten spotykany jest najczęściej w Beskidzie Niskim, Bieszczadach i na Pogórzu Przemyskim. Chociaż występuje on również w innych rejonach kraju, jednak jest tak bardzo typowym mieszkańcem tej części Karpat, iż jego sylwetka miała być godłem Magurskiego Parku Narodowego.

Bardzo ubogi jest natomiast świat polskich i zarazem karpackich gadów. Spośród 8 gatunków występujących w kraju, okazały wąż Eskulapa *Elaphe longissima* spotykany jest bardzo nielicznie tylko w Karpatach, głównie we wschodniej ich części – Bieszczadach. Rzadkość jego wynika nie tylko z braku odpowiednich siedlisk, ale również faktu, iż przez nasze wschodnie Karpaty przebiega północna granica jego zasięgu.

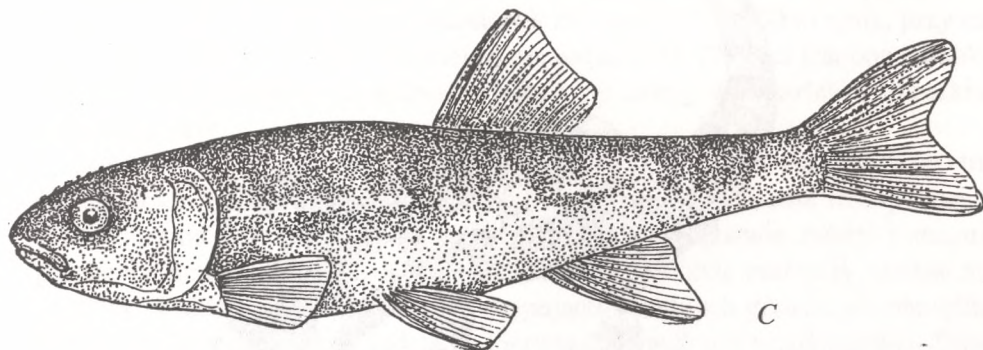
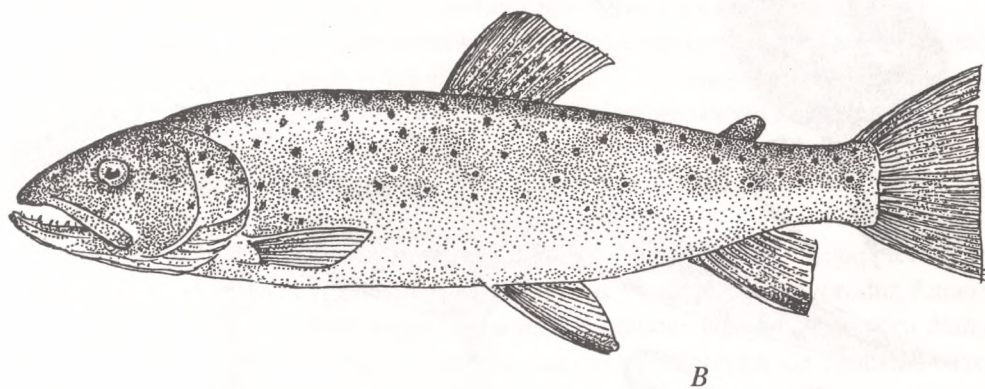
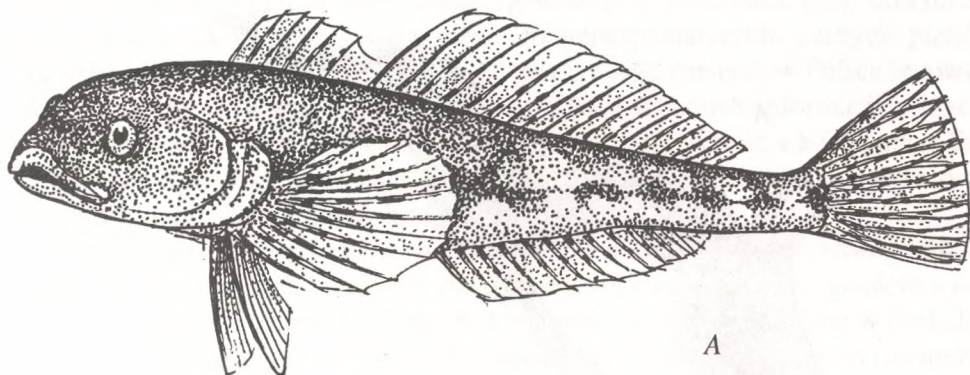
Stosunkowo wysoko, bo aż po górną granicę piętra alpejskiego sięgają tereny zamieszkałe przez żmiję zygzakowatą *Vipera berus* i jaszczurkę żyworodną *Lacerta vivipara*, pospolite w całym kraju. Dwa dalsze gatunki węży – zaskrońca *Natrix natrix* i gniewosza plamistego *Coronella austriaca* – spotyka się znacznie niżej, gdyż obszary ich występowania rzadko przekraczają wysokość 1000 m npm.

Nieliczna jest również fauna karpackich płazów. Spośród 11 krajowych gatunków tylko 6 spotykanych jest na wysokościach zbliżonych do 1000 m npm., przy czym najwyżej „sięga” areal żaby trawnej *Rana temporaria*. Chociaż jest ona gatunkiem występującym głównie na nizinach, jednak jej zasięg wysokościowy przekracza piętro alpejskie.

Jedynym gatunkiem endemicznym związanym wyłącznie z Karpatami jest traszka karpacka *Triturus montandoni* zasiedlająca bardzo nielicznie tereny leżące na wysokości od 300 do 1500 m npm. Jedynie w sąsiedztwie źródeł i strumieni płynących przez mszyste lasy gorczańskie i bieszczadzkie można ją spotkać nieco częściej. Dalsze gatunki to płazy występujące w naszych górach, ale nie tylko w Karpatach, lecz również w Sudetach. Pierwszym z nich jest traszka górska *Triturus alpestris*, której obecność stwierdzono najwyżej w Dol. Pięciu Stawów w Tatrach. Spośród wszystkich gatunków traszek odznacza się największą tolerancją, gdyż spotkać ją można w wodach stojących i rozlewiskach strumieni, w wodach czystych



A. Wąż Eskulapa B. Traszka karpacka C. Salamandra plamista, rys. J. Weiner



A. Głowacz białopłetwy B. Pstrąg potokowy C. Strzelba potokowa, rys. J. Weiner

i zimnych, a także zanieczyszczonych o małej ilości tlenu. Wilgotne lasy liściaste gór i pogórza – zwykle do wysokości 1200 m npm zasiedla salamandra płamista *Salamandra salamandra*, zwierzę o typowej aktywności nocnej. Granica pogórza karpackiego pokrywa się z północną granicą zasięgu kumaka górskiego *Bombina variegata*. Jest on silnie związany ze środowiskiem wodnym, a jednocześnie mało wybredny w jego wyborze.

Na pogórzach w okolicach Przemyśla stwierdzono ostatnio występowanie żaby zwinki *Rana dalmatina*. Gatunek ten zasiedla obszary południowej Europy. Stanowiska karpackie są jedynymi, znanymi na terenie Polski.

Oprócz wyżej wymienionych spotyka się na terenie Karpat – zwłaszcza w piętrze pogórza – inne gatunki płazów typowe dla obszarów nizinnych, takie jak np. rzekotka drzewna *Hyla arborea*, traszka grzebieniasta *Triturus cristatus* i żaba jeziorkowa *Rana lessonae*.

Karpackie rzeki i strumienie należą – jak dotąd – do stosunkowo czystych, a głównym źródłem ich skażenia nie są ścieki przemysłowe, ale komunalne i wynikające z działalności rolniczej. Stwarza to jeszcze dogodne warunki dla żyjących w nich ryb. Słodkowodna ichtiofauna Polski liczy około 60 gatunków, z których niespełna 20 to ryby wód górskich. Jednak, jak wskazują ostatnie opracowania, **w rzekach i strumieniach karpackich żyje blisko 40 gatunków ryb.**

Wyłącznie w Karpatach występuje – należąca do ryb łososiowatych – głowacica *Hucho hucho*, a jej naturalne stanowiska ograniczone są do zlewiska Czarnej Orawy. Żyjące w Dunajcu i Popradzie głowacice utrzymują się dzięki częstym zarybieniom. Również drugi gatunek – kiełb Kesslera *Gobio kessleri* – spotykany jest tylko w górnym Sanie oraz Wisłoku i Czarnej Orawie. Zasiedla on czyste, szybko płynące wody o kamienistym lub żwirowym dnie.

Niezmiernie rzadkim w Polsce gatunkiem jest koza złotawa *Cobitis aurata*. Znanych jest kilkanaście stanowisk, z których do karpackich należą takie rzeki jak Dunajec, Czarna Orawa i górny San.

Spośród ryb szerzej rozmieszczonych najwyżej – ponad 1100 m npm – sięgają stanowiska pstrąga potokowego *Salmo trutta m. fario*, a rekordową wysokość osiąga populacja zasiedlająca Morskie Oko. Zasięgi pionowe innych ryb nie przekraczają wysokości 1000 m npm. Najwyżej spośród nich stwierdzono występowanie głowacza przegopletwego *Cottus poecilopus* i głowacza białopłetwego *C. gobio* oraz strzebli potokowej *Phoxinus phoxinus*. W rzekach i strumieniach karpackich płynących na wysokościach około 500 m npm żyją dalsze gatunki ryb, jak np: śliz *Nemachilus barbatulus*, kiełb *Gobio gobio*, węgorz *Anquilla anquilla*, płoć *Rutilus rutilus*. Jeszcze niżej występuje lipień *Thymallus thymallus*, brzana *Barbus barbus*, kleń *Leuciscus cephalus*, świnka *Chondrostoma nasus* i jelec *Leuciscus leuciscus*. Natomiast wiele

niżowych gatunków spotykanych jest w karpackich jeziorach zaporowych.

Z niższych kręgowców – bezczaszkowców – do karpackiej fauny należą dwa gatunki minogów – strumieniowy *Lamperta planeri* i ukraiński *Eudontomyzon mariae*.

Jak można zauważyć, bogactwo zwierząt z gromady kręgowców zasiedlających Karpaty jest jeszcze bardzo duże. Co więcej, większość z nich jest w jakiś sposób chroniona, bądź to przez ustawę o ochronie gatunkowej zwierząt, bądź to przez prawo łowieckie, wreszcie kompleksowo na obszarach 6 karpackich parków narodowych, a także parków krajobrazowych i rezerwatów. Nie można jednak zapominać, że zagrożenia mogą mieć coraz częściej charakter globalny, jak przenoszące się na wielkie odległości transgraniczne zanieczyszczenia powietrza. Również skażenia komunalne, komunikacyjne oraz wynikające z działalności rolniczej mogą wpływać ujemnie na stan gleby, wód i flory a pośrednio także karpackiej fauny. Może drugorzędne, ale jednak dla niektórych gatunków duże znaczenie może mieć niekontrolowana turystyka masowa i kłusownictwo. Takiemu właśnie zagrożeniu podlegają tatrzańskie kozice i świstaki.

Przedstawiona charakterystyka karpackiej fauny kręgowców szkicuje tylko jej aktualny stan oparty na fragmentarycznych danych pochodzących z niektórych pasm górskich i parków narodowych. Czeka ona w dalszym ciągu na kompleksowe, monograficzne opracowanie.

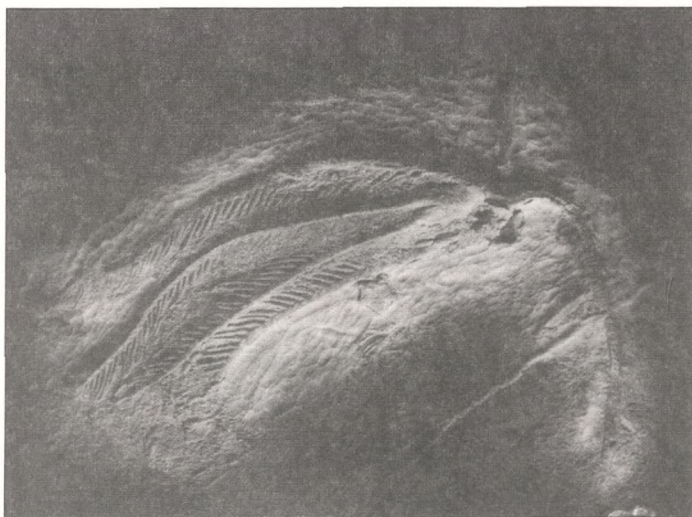
LILIEWCE W TATRACH

Jerzy Lefeld

Zarówno wśród tatrzańskich turystów jak i zbieraczy skamieniałości, utarło się mniemanie, że w Tatrach trudno liczyć na naprawdę ładne okazy skamieniałych dawnych zwierząt czy roślin. Bo też te z rzadka znajdowane i kiepsko zachowane jurajskie czy kredowe amonity z Miętusiej czy spod Giewontu, lub nędzne ślady liści z górnotriasowych łupków Twardego Upłazu – nie mogą konkurować z bogactwem skamieniałości w niedalekich skałkach pienińskich. A jednak... wyjątki podobno potwierdzają regułę.

W roku 1954 pracowałem pod ścianami Zawratu Kasprowego. Gdzieś koło południa usiadłem pod skałą i zacząłem się posilać. Wokół panowała cisza, przerywana jedynie szmerem wagoników kolejki linowej, przesuwających się ponad słupami po drugiej stronie doliny Kasprowej. Nad głową przesuwały się gęste, szare chmury, z których na szczęście nic nie padało. Ot, zwykły, tatrzański dzień.

Zupełnie odprężony, wodziłem wzrokiem po niebie, ścianach Zawratu, grzbiecie Uhrocia Kasprowego, a w końcu spojrzałem na będące tuż pod ręką wapienie triasu, które były przedmiotem moich badań geologicznych. Na spodzie cienkiej ławicy wapienia, zobaczyłem nagle cienką łodygę liliowca^{1/}. Nadzwyczajnie długą, jakiej nigdy, poza okazami w muzeach, nie widziałem. Było to już „coś“, bo w tych wapieniach triasowych czegoś takiego nigdy w Tatrach nie znajdowano. Znane były tak zwane trochity, czyli pojedyncze krążki łodyg liliowców. ale niewiele mówiły one o całości tych zwierząt morskich. Ten fragment ławiczki wapiennej, zawierający długą łodyżkę, dał się łatwo wyjąć ze skalnej szczeliny i wkrótce, starannie opakowany, znalazł się w plecaku. „Warstewka gliny pokrywającej łodyżkę liliowca, winna dać



Fot.1. Korona *Dadocrinus Grundeyi* z Zawratu Kasprowego. Okaz ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem.

korona liliowca. Korona, gdyż tak określa się kielich zachowany łącznie z ramionami (rys. 1), była okazem, jakiego nie powstydzilyby się muzea przyrodnicze wielu miast świata! Pięknie zachowany okaz (fot. 1) dał się łatwo oznaczyć gatunkowo jako *Dadocrinus Grundeyi*, znany z wapieni triasu na Śląsku od końca XIX wieku.

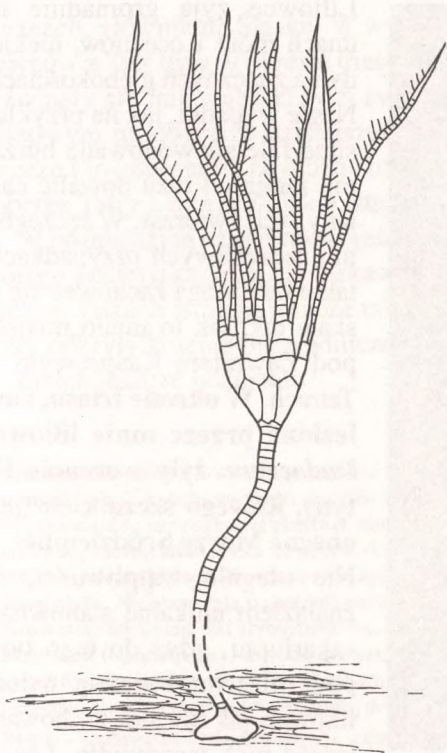
Moje podniecenie, wywołane tym wspaniałym odkryciem, udzieliło się kolegom z Zakładu Geologii Dynamicznej Uniwersytetu Warszawskiego. Byłem wówczas asystentem na Wydziale Geologii UW. Wszyscy mieliśmy nadzieję znalezienia pod ścianami Zawratu Kasprowego dalszych, równie pięknych okazów. Niecierpliwości nie można było jednak zaspokoić, gdyż była już późna jesień.

Następnego lata wyruszyłem znowu, wraz z moimi praktykantami – studentami geologii, pod ściany Zawratu Kasprowego. Pracowaliśmy tam kilka dni, przeszukując cienką warstewkę wapienną, na powierzchni której odsłaniały się coraz to nowe, piękne okazy liliowców. Niektóre z nich były nie gorsze niż ten, znaleziony uprzedniego lata (fot. 2). Niestety, po wybraniu kilkunastu okazów, warstewka zagłębiała się w twarde, grube ławice wapienia i dalsza eksploatacja okazała się niemożliwa. Reszta gubiła się w pionowych ścianach Zawratu Kasprowego.

Pomimo tego, zbiór był pokaźny. Teraz trzeba było wszystkie okazy posegregować i oczyścić. W Warszawie okazało się, że wśród fantastycznie powyginanych łodyżek i koron liliowców, znalazły się również niewielkie wężowidła^{2/}. Był to więc kompletnie zachowany pierwotny biotop^{3/}, który stanowił tak zwaną łąkę liliowców (rys. 2).

się łatwo usunąć po namoczeniu okazu” – myślałem.

Nie podejrzewając niczego niezwykłego, zająłem się dalej pracą na Zawracie Kasprowym. Do okazu wróciłem dopiero w laboratorium w Warszawie. Gdy zacząłem ten ułamek skały przemyczać wodą, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Na powierzchni skały odsłoniła się kompletna ko-

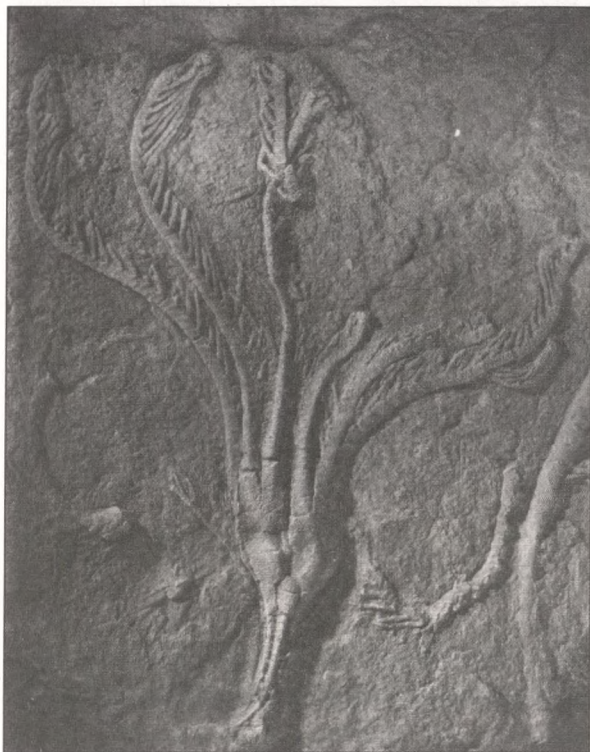


Rys. 1. Korona liliowca – widać kielich, na którym osadzone są ramiona z rzęskami służącymi do kierowania planktonu do jamy gębowej, położonej pośrodku kielicha.

Rys. 2. Łąka liliowców na dnie morza.

rys. Karol Sabath





Fot.2. Korona *Dadocrinus Grundeyi* z Zawratu Kasprowego. Okaz ze zbiorów Muzeum Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Liliowce żyją gromadnie na dnach mórz i oceanów, niekiedy na znacznych głębokościach. Nagle wypadki, jak na przykład silne fale spowodowane burzami, mogą od razu powalić całe łany tych zwierząt. W szczególnie szczęśliwych przypadkach, takie łąki mogą zachować się w skale tak, jak to miało miejsce pod Zawratem Kasprowym w Tatrach. **W okresie triasu, znalezione przeze mnie liliowce *Dadocrinus* żyły w oceanie Tetydy, którego szczątkiem jest obecne Morze Śródziemne.**

Nie ulegało wątpliwości, że znalazłem unikalne stanowisko szkarłupni, gdyż do tego typu podkrólestwa zwierząt należą liliowce, jak również zachowane wśród nich węzowidła. I to w Tatrach, gdzie podobno nie ma ładnych skamieniałości!

Liliowce *Dadocrinus* żyły przed ok. 240 milionami lat nie tylko na dnie oceanu Tetydy, ale również w płytszych nieco morzach, rozciągających się na północ, aż do dzisiejszego Śląska i południowych Niemiec. Znajdowane są w triasowych skałach we włoskich Alpach Południowych, Alpach szwajcarskich, jak też Karpatach słowackich. Zachowują się najczęściej jedynie ich pokruszone, pojedyncze człony łodyg, podczas gdy kielichy i ramiona zazwyczaj ulegają całkowitemu zniszczeniu. Tym bardziej znalezienie w Tatrach wielu dobrze zachowanych kielichów, a nawet kilku kompletnych koron, jest zdarzeniem zupełnie wyjątkowym. Dziś zdobią muzea Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem oraz California Institute of Technology.

Po etapie eksploatacji pod ścianami Zawratu Kasprowego, przyszedł czas na naukowe opracowanie znalezisk. Tu miałem wielkie szczęście, gdyż przeważająca większość liliowców należących do rodzaju *Dadocrinus*, znajduje się w polskich

muzeach, głównie na Śląsku. W wyniku badań doszedłem do wniosku, że okazy liliowców z Tatr były w okresie triasowym formami pierwotnymi, z których następnie rozwinęły się inne gatunki tych zwierząt. Zaawansowane ich formy żyły w morzu triasowym na obszarze dzisiejszego Śląska i Niemiec. Odkrycie w Tatrach miało jeszcze i to znaczenie, że można było niezbicie udowodnić łączność oceanu Tetydy poprzez Tatry z morzem, jakie istniało na terenach położonych bardziej na północ.

W późniejszym czasie wielu geologów i paleontologów interesowało się miejscem mojego znaleziska, lecz nic ciekawego nie udało im się już znaleźć. Czy gdziekolwiek w Tatrach istnieją jeszcze tak pięknie zachowane liliowce? Nie wykluczone. Tatry odkryły kolejną przyrodniczą tajemnicę.

Ile ich jeszcze pozostało?

- 1/ Liliowce (*Crinoidea*) – zwierzęta morskie należące do typu szkarłupni (*Echinodermata*), o pięcioramiennej symetrii ciała. Z kielicha wychodzi pięć (lub wielokrotność pięciu) ramion opatrzonych rzęskami, które poruszając się, zgarniają do jamy gębowej plankton, stanowiący ich podstawowy pokarm. Kielich wraz z ramionami tworzą tak zwaną koronę, która opiera się na dość długiej łodydze, składającej się z niewielkich krążków (lub gwiazdek), tak zwanych trochitów. Liliowce są zwierzętami osiadłymi. Przytwierdzają się do dna morza przy pomocy zgrubiałej płytki. Nieliczne żyją w morzach wolno, jako formy planktoniczne. Osiedle żyją w zespołach, tworząc na dnach mórz tak zwane łąki krynoidowe (rys. 2).
- 2/ Wężowidła (*Ophiuroidea*) – zwierzęta morskie, należące do typu szkarłupni (*Echinodermata*), o pięcioramiennej symetrii ciała, zbliżone w swych kształtach do rozgwieżdż, od których różnią się małym dyskiem centralnym i długimi, cienkimi ramionami. Prowadzą denny tryb życia.
- 3/ Biotop – środowisko życia organizmów zwierzęcych lub roślinnych.



Dzwonek wąskolistny Campanula polymorpha. Fot. M. Ronikier

I

Pireneje



Rys. Ewa Wnęk

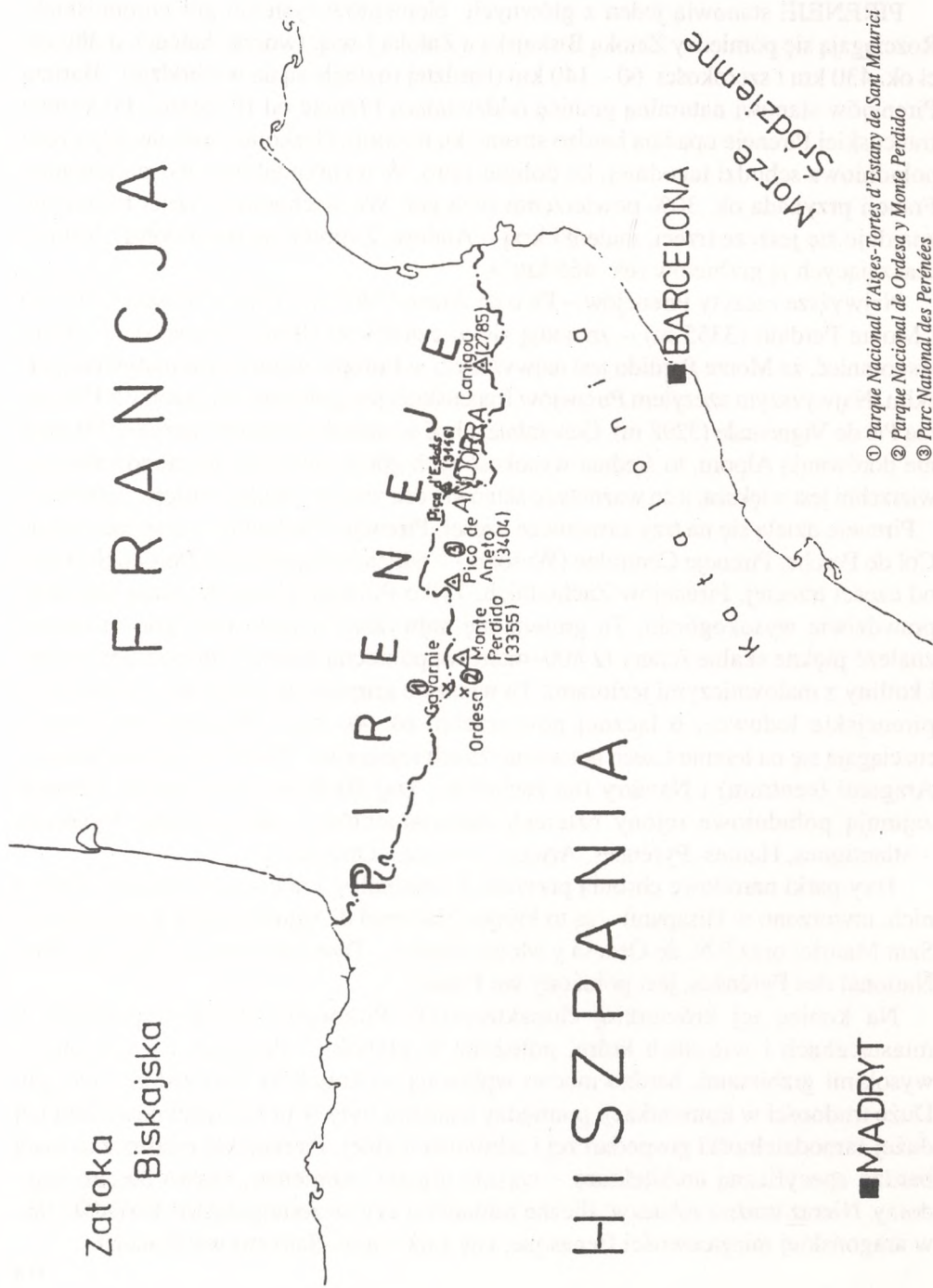
PIRENEJE stanowią jeden z głównych elementów systemu gór europejskich. Rozciągają się pomiędzy Zatoką Biskajską a Zatoką Lwią, tworząc łańcuch o długości ok. 430 km i szerokości 60 – 140 km (bardziej rozległe są na wschodzie). Bariera Pirenejów stanowi naturalną granicę oddzielającą Francję od Hiszpanii. Po stronie francuskiej Pireneje opadają bardzo stromo ku nizinom Gaskonii, podczas gdy część południowa schodzi łagodniej, ku dolinie Ebro. W wyniku takiego ukształtowania, Francji przypada ok. 30% powierzchni tych gór. We wschodniej części Pirenejów znajduje się jeszcze trzeci, mały kraj – Andora. Zajmuje on teren doliny Vàlira i otaczających ją grzbietów (ok. 465 km²).

Najwyższe szczyty Pirenejów – Pico de Aneto (3404 m), Pico de Posets (3367 m) i Monte Perdido (3355 m) – znajdują się w całości po stronie hiszpańskiej. Warto wspomnieć, że Monte Perdido jest najwyższym w Europie wapiennym masywem górskim. Najwyższym szczytem Pirenejów francuskich jest położony na granicy z Hiszpanią Pic de Vignemale (3298 m). Generalnie, choć wysokością swoich szczytów Pireneje nie dorównują Alpom, to średnia wysokość tych gór w stosunku do zajmowanej powierzchni jest większa, a co ważniejsze stanowią one zwarty i trudno dostępny górotwór.

Pireneje dzielą się na trzy zasadnicze części: Pireneje Wschodnie – ciągnące się po Col de Perche, Pireneje Centralne (Wysokie) – oddzielone przełęczą Port de Somport od części trzeciej, Pirenejów Zachodnich. Tylko Pireneje Centralne mają charakter prawdziwie wysokogórski. Tu grupują się najwyższe szczyty tych gór, tu można znaleźć piękne skalne ściany (z 800-metrową północną ścianą Vignemale na czele) i kotliny z malowniczymi jeziorami. Tu wreszcie grupują się wszystkie – skromne – pirenejskie lodowce, o łącznej powierzchni ok. 40 km². Hiszpańskie Pireneje rozciągają się na terenie trzech autonomicznych regionów – Katalonii (na wschodzie), Aragonii (centrum) i Nawarry (na zachodzie, kraj Basków). We Francji, Pireneje zajmują południowe rejony czterech departamentów – od zachodu: Pyrénées–Atlantiques, Hautes–Pyrénées, Ariège, Pyrénées–Orientales.

Trzy parki narodowe chronią przyrodę i oryginalny krajobraz Pirenejów. Dwa z nich, utworzono w Hiszpanii – są to Parque Nacional d'Aigues–Tortes y d'Estany de Sant Maurici oraz P.N. de Ordesa y Monte Perdido. Trzeci natomiast, obszerny Parc National des Pyrénées, jest położony we Francji.

Na koniec tej króciutkiej charakterystyki Pirenejów trzeba wspomnieć o miasteczkach i wioskach które, położone w głębokich dolinach rozdzielonych wysokimi grzbietami, bardzo mocno wpływają na krajobraz i atmosferę tych gór. Duże trudności w komunikacji pomiędzy osadami były w przeszłości powodem ich dużej samodzielności gospodarczej i administracyjnej. Pirenejskie miasteczka mają bardzo specyficzną architekturę – wąskie uliczki, kamienne, często bardzo stare domy. Nieraz można zobaczyć śliczne romańskie czy wczesnogotyckie kościołki (np. w aragońskiej miejscowości Benasque, czy Luz–Saint–Sauveur we Francji).



Zatoka

Biskajska

FRANCJA

PYRENE

HISPANIA

■ MADRYT

■ BARCELONA

Katalonia
Mortze
Gródziemne

- ① Parque Nacional d'Aigues-Tortes d'Estany de Sant Maurici
- ② Parque Nacional de Ordesa y Monte Perdido
- ③ Parc National des Perénnées

PIRENEJSKIE LATO

Michał Ronikier

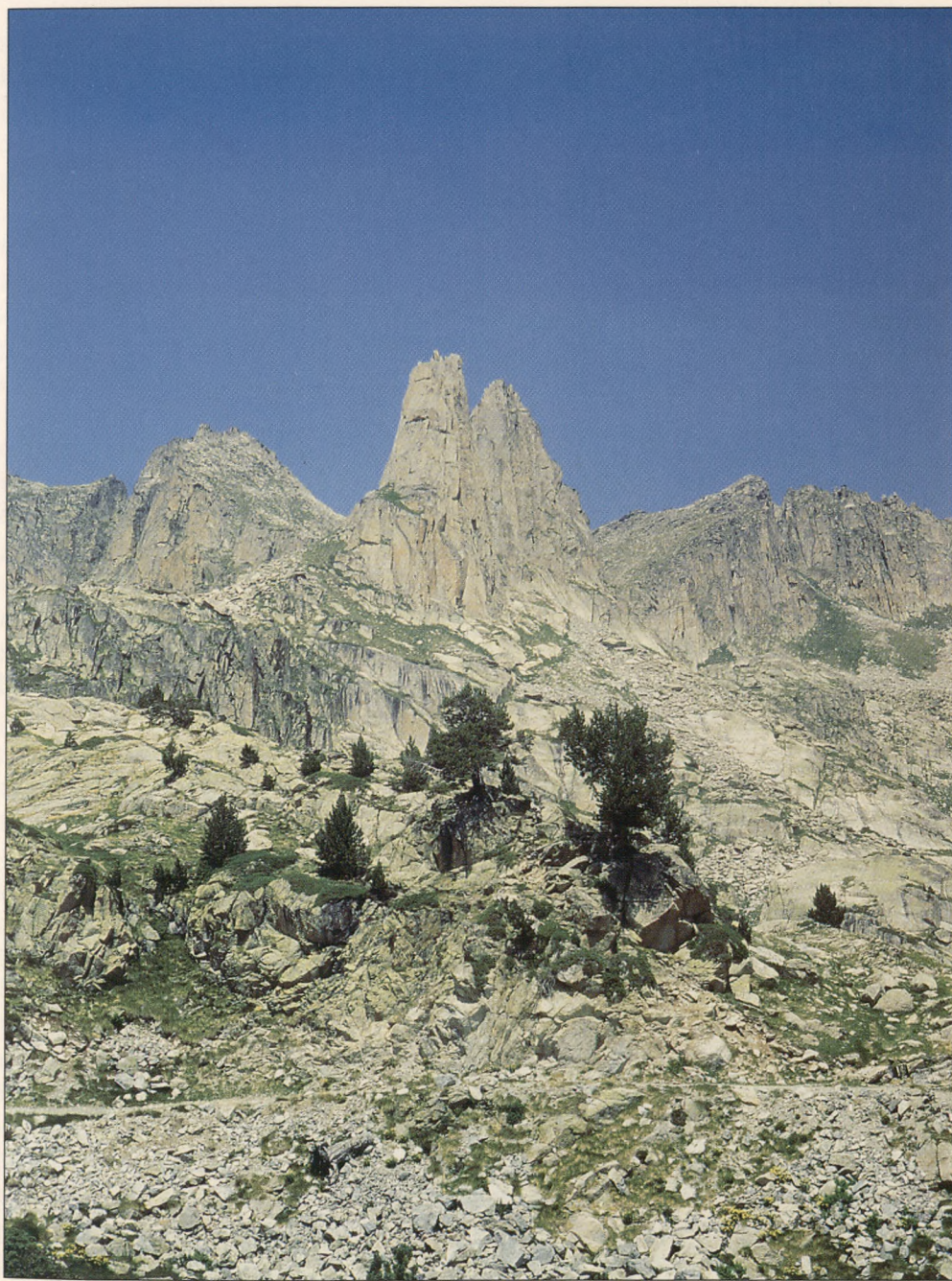
„Słońce chyliło się ku zachodowi. Zachodziło w tej okolicy, by sprawiedliwie obdarować światłem i ciepłem stworzenia w innej części świata. Rzuciło jednak jeszcze ostatnie krzepiące, pomarańczowe promienie – jakby z obietnicą, że za kilka godzin będzie z powrotem. Góry wystawiały swoje zachodnie ściany, poddając się ostatnim pieszczotom dnia. Słońce gładziło szorstkie skały, cienie grały w żlebach i załomach. Wszystkie szczyty – od najmniejszych po największe i najdosjowniejsze, pogrążyły się w czerni i nieruchomiały. Ostatni ludzie schodzili w doliny. Zapadała jedyna w swoim rodzaju cisza – nocna cisza gór.”

Fragment opowiadania, które kiedyś napisałem, bardzo wyraziście pojawił mi się w pamięci gdy podchodziliśmy zboczem doliny Vall de Conangles – rozpoczynając pierwszą „pirenejską eskapadę”. Do przeszłości należał już dzień podróży, który przeniósł mnie i mojego przyjaciela z Paryża aż do tego zakątka Pirenejów na granicy Katalonii z Aragonią. Jeszcze kilkanaście godzin wcześniej, siedząc w kącie paryskiej księgarni turystycznej „Au vieux campeur“, przeglądaliśmy albumy pirenejskie wybierając okolicę, której mieliśmy poświęcić trzy najbliższe tygodnie. Wybór padł na rejon Parku Narodowego d’Aigüestortes w katalońskiej prowincji Lerida (Hiszpania) i fragment francuskiego, pirenejskiego regionu Haute-Ariège. Podróż pociągami do Tuluzy upłynęła nam na studiowaniu map (kupionych za sporą dla nas sumę: 60 FF czyli ok. 250 tys. zł. za jedną). Potem – parę godzin autostopu z Tuluzy i stanęliśmy w zaplanowanym punkcie wymarszu, u wylotu Túnel de Viella w dolinie Barrabès w Pirenejach Centralnych. W promieniach zachodzącego słońca, rozpoczęliśmy podejście do kotła Estany Redó (estany – po katalońsku staw), gdzie

postanowiliśmy nocować. Dotarliśmy tam już po ciemku. Przy całkiem bezchmurnym niebie zrezygnowaliśmy z rozbijania namiotu, układając się pod gołym niebem by chłonać uroki sierpniowej nocy. Rano ukazał się – po raz pierwszy w pełnym świetle – wspaniały, pirenejski pejzaż. Był to wystarczający doping do szybkiego wygramolenia się ze śpiworów: przez dłuższą chwilę biegaliśmy po okolicy ciekawi każdego załomu, głązu, kwiatka. Dopiero po wstępnym nasyceniu ciekawości zjedliśmy śniadanie i po spakowaniu plecaków, prawie biegiem ruszyliśmy na grzbiet, który zakrywał naszą najbliższą przyszłość. Kotlina stawów Tort de Rius, która ukazała się naszym oczom, przedstawiała krajobraz jaki – w swoim ogólnym schemacie – charakteryzował całą poznaną przez nas część Pirenejów. Rozległa kotlina, zasłana gruzowiskiem głazów, z licznymi wydartymi przez lodowiec rynnami i progami. Szarość skał była dobrym tłem dla kilku, większych i mniejszych stawów, o barwie zależnej od intensywności światła słonecznego. Wszystko to otoczone skalnymi murami, litymi na niewielkim odcinku w partii graniowej (ściany zwykle dość niskie). Reszta stoków, to rozległe piarżyska, poprzetykane krzewami rododendronów i jałowca halnego, gdzieś tam wzbożone niewielkimi ale śmiałyymi formami skalnymi.

Szybko zbiegliśmy w dół kotliny. Tu, zeszliśmy ze szlaku znakowanego farbą, aby za kopczykami podążyć w stronę dość niskiej przełęczy Coll de Estany de Mar (coll – katal. – przełęcz). Oddzielała ona kotlinę stawów Tort de Rius od pięknego, wielkiego Estany de Mar. Nasza dalsza wędrówka wiodła jego brzegiem, wzdłuż grzbietu Punta Harle (2893 m n.p.m.) i Tumeneja Norte (2780 m), który jest przedłużeniem najwyższego w okolicy masywu Besiberri (3017 m). Widok tego postrzępionego grzbietu, z odchodzącymi od niego bocznymi grańkami spiętrzającymi się w ostre turniczki, okazał się jednym z najciekawszych wysokogórskich pejzaży na naszej trasie. Szliśmy więc tą wspaniałą okolicą, naprzeciwko mając jeszcze szczyt Montardo (2826 m), piękną piramidą górujący nad doliną.

W tym miejscu, warto poświęcić kilka słów wspomnianym już szlakom turystycznym. System znakowania ścieżek w Pirenejach Katalońskich jest dość odmienny od panującego u nas. Biało-czerwonymi znaczkami malowanymi farbą, jest oznakowany jeden szlak, tworzący jakby oś biegnącą ważniejszymi dolinami i dzielącymi je przełęczami. Jest to tzw. Sendero de Gran Recorrido (w wolnym tłumaczeniu – Szlak Wielkiej Wędrówki), w skrócie GR. Pirenejski szlak nosi symbol GR 11. W niektórych miejscach posiada warianty (GR 11 – variante), które są alternatywą drogi na pewnym odcinku, po czym łączą się ze szlakiem głównym. Wszystkie pozostałe szlaki są znakowane nie farbą, ale kopczykami z kamieni (jak trudniejsze ścieżki w Tatrach). Wymagają więc nieco więcej samodzielności w orientowaniu się w terenie. Dodatkowo, należy wspomnieć o międzynarodowym



Widok na Agulles d'Amitges (Parque Nacional d'Aigües-Tortes). Fot. M.Ronikier



Widok z Coll de Estany de Mar na szczyt Montardó (2826 m) i kotłinę Estany de Mar. Fot. M.Ronikier.



Grañ Besiberri Norte (3017 m) i Tumeneja Norte (2780 m) – widok z Coll de Estany de Mar. Fot. M.Ronikier.

szlaku, prowadzącym przez całe Pireneje i noszącym we Francji nazwę Haute Randonnée Pyrénéenne (H.R.P.) a w Hiszpanii Alta Ruta Pirenaica (A.R.P.). H.R.P. nie jest znakowany osobno, lecz korzysta ze ścieżek GR i bocznych szlaków, prowadząc do najciekawszych zakątków gór. Jest opisany w osobnym przewodniku, który ma postać segregatora z opisami poszczególnych odcinków do wymiennego wpinania.

Wracając do naszej drogi – tego dnia dotarliśmy kopczykowanym szlakiem do małej kotlinki pod samym szczytem Montardó. Zostawiliśmy plecaki pod małym stawkiem i jeszcze przed kolacją weszliśmy na szczyt, krótką i nietrudną grańką. Zaspokoiwszy zdobywcze ambicje, wróciliśmy do miejsca biwaku. Spaliśmy znów pod gołym niebem. Noclegi „bajo las estrellas” (hiszp. – pod gwiazdami) przy świetnej pogodzie, jaka nam towarzyszyła prawie cały czas, stały się w zasadzie regułą.

Celem następnego dnia była grań niedalekiego Besiberri. Zerwaliśmy się o piątej rano, by wcześniej dotrzeć do Refugi Joan Ventosa (refugi – katal. – schronisko), od którego dzieliło nas kilka progów doliny Mangades. Dotarliśmy doń przed ósmą. Z ciekawością oglądałem pierwsze tutejsze schronisko, z jakim miałem okazję się zetknąć. Malowniczo położone, na płasni zbocza opadającego do dużego Estany Negre (Czarny Staw – nazwa jakby znajoma ...), kamienne z drewnianym dachem, bardzo harmonijnie wtapiało się w krajobraz. Wszystkie zresztą katalońskie schroniska, z jakimi się spotkałem, były bardzo udane architektonicznie. Tworzą one sieć, na której można bez problemu bazować podczas wędrówki. Trzeba jednak mieć odpowiednie zapasy pieniędzy – schroniska w Hiszpanii i Francji są zwykle drogie (ponad 300 tys. zł. za noc). Co jest jednak istotne, można w nich otrzymać zniżkę na legitymację organizacji zrzeszonych w UIAA (u nas PZA). Schroniska katalońskie są utrzymywane przez tutejszą organizację górską – Federaci6n Excursionista de Catalunya.

W refugi zostawiliśmy plecaki i na lekko zaczęliśmy schodzić w dolinę, dzielącą nas od upatrzonego masywu. Stąd czekało nas ok. 1200 m. wysokości względnej do zdobycia, najpierw dolinką potoku Riumalo, która w końcu wprowadziła nas w bardzo surowy świat skał, piargów, lodowatych jezior i płatów wiecznego śniegu. Besiberri posiada dwa wierzchołki, północny (3015 m.) i południowy (3017 m.). Pomiędzy nimi rozciąga się ok. półtorakilometrowa skalna grań, miejscami dość eksponowana, ale niezbyt trudna. Pod północnym wierzchołkiem, na przełęczce, znajduje się mały, niezagospodarowany schron. Takich schronów jest w Pirenejach sporo i stanowią drugi, obok schronisk, element zabezpieczenia noclegowego. Schowaliśmy się w tej blaszanej budce, żeby chwilę odpocząć i wyssać na obiad trochę mleka z tubki, po czym ruszyliśmy na Besiberri Norte i dalej granią ku południowemu wierzchołkowi. Droga i panoramy okazały się warte wylanego potu. Do schroniska wróciliśmy przed zmierzchem, aby zabrać plecaki i zacząć poszukiwania dobrego miejsca na nocleg.

Następnego dnia przed południem, padła kolejna piękna góra – Punta Alta (3014 m.), wznosząca się bezpośrednio nad doliną naszego noclegu. Wprawdzie mieliśmy tego dnia w planie tylko dojście do niedalekiego Parku Narodowego Aigüestortes, ale lita, skalna kopuła tego szczytu skusiła nas do odstępstwa. Po chwili lenistwa na wierzchołku zbiegliśmy w dół do plecaków, by ruszyć dalej – planowaną trasą. Posuwaliśmy się w górę dol. Culieto, skacząc po wielkich głazach, mijając kolejne niewielkie stawki. Naszą „bramą” do Parku była wysoka przełęcz Coll de Contraix (2745 m.). Wejście na nią było strasznie uciążliwe – bardzo stromy stok pokryty drobnym, obsuwającym się piargiem. Za to na drugą stronę przełęczy zjechaliśmy na butach aż do kotła Estany de Contraix. Potem, zejście dolinką Barranc de Contraix i widoki na pld–zach. część Parku, z dominującym szczytem Pic de Subenuix (2930 m.). Na nocleg rozłożyliśmy się w dolnej części doliny, w malowniczym skupisku kilku sosenek. Sosna jest w tych górach drzewem dominującym. Wyżej, występuje w postaci grupek poskręcanych, karłowatych osobników. Niżej, tworzy wraz ze świerkiem i jodłą zwarte, pachnące lasy. Dopiero strefę regla dolnego opanowują lasy bukowe i dębowe.

Tak dotarliśmy do najbardziej nas interesującego miejsca. Byliśmy na terenie Parque Nacional d’Aigüestortes y d’Estany de Sant Maurici. Ten niewielki obszaro-wo, ale piękny pirenejski Park obejmuje teren zlewni dwóch równoleżnikowych dolin : na zachodzie dol. Riu de Sant Nicolau i na wschodzie dol. Riu Escrita (riu – katal. – rzeka), rozdzielonych przełęczą Portarró d’Espot. Pierwsza część nazwy obszaru – aigüestortes (kręte wody) pochodzi od jednej z ciekawostek doliny Św. Mikołaja, labiryntu potoczków, jaki tworzy rzeczka na pewnym odcinku. Drugi człon nawiązuje do położonego w Vall Escrita pięknego, wielkiego Stawu Św. Maurycego. Poświęciliśmy kilka następnych dni na dokładną penetrację terenów Parku, przybierając nieco bezczelną taktykę zostawiania plecaków w schronisku, by wieczorem umknąć w las i nielegalnie biwakować.

Najciekawsza krajobrazowo jest wschodnia część Parku. Tu – na północ od Estany de Sant Maurici, pejzaż przybiera formy zminiaturyzowanej Patagonii. Jest to masyw Agulles d’Amitges (agulles – iglice) nazwany tak od dwóch najbardziej śmiałych turni, wznoszących się nad doliną stawów Amitges. Masyw ten tworzy niewielki, wygięty na północ łuk, otaczający z trzech stron głęboką dolinę. Prócz wspomnianych iglic, duże wrażenie robi stożkowaty Mont Saliente (2882 m.) i rozległy mur Tuc de Saboredó (2814 m.). Warto wspomnieć, że północne stoki tych szczytów opadają ku dolinie Vall d’Aran, gdzie swój początek bierze Garonna – jedna z ważniejszych rzek Francji. W dolinie Amitges znajduje się, najwyżej w Parku położone, schronisko Refugi d’Amitges. Jest to najpopularniejszy w okolicy ośrodek wspinaczki skalnej.

Nam – niestety – błąkanie się w tym bardzo oryginalnym krajobrazie, wśród dziwacznych, bladoróżowych skał, skróciła gwałtowna burza z silnym opadem gradu. Było to jedyne (w ciągu prawie trzech tygodni) potwierdzenie opinii, jakie słyszałem o wielkiej „narowistości” pirenejskiej pogody, związanej z położeniem tych gór między strefą klimatu oceanicznego i śródziemnomorskiego. Mieliśmy więc sporo szczęścia tym bardziej, że czasami wieczorem dobiegały nas dalekie echa grzmotów. Zabawa żywiołów, widziana z okien schroniska do którego udało nam się szybko zbiec, była bardzo emocjonującym widowiskiem. Gdy zwarta ściana deszczu trochę się przerzedziła, zaczęła się prawdziwa gra światła i cienia, której sceną były szczyty płd-wsch. części Parku. Promienie słońca, którym udało się niezbadanym sposobem przedrzeć przez zwarty wał burzowych chmur, oświetlało granitowe ściany spiętrzające się nad doliną Escrita. Chwilami bladły, zakrywane pionową zasłoną padającego deszczu, za chwilę znów intensywniały wyostrajając kolejny element krajobrazu. Po ponad dwóch godzinach deszcz zaczął ustawać, a zwarte, ołowiane chmury rozdzierać się i znikać. Szybko, krajobraz tracił resztki niedawnej grozy. Zapowiadała się kolejna piękna noc.

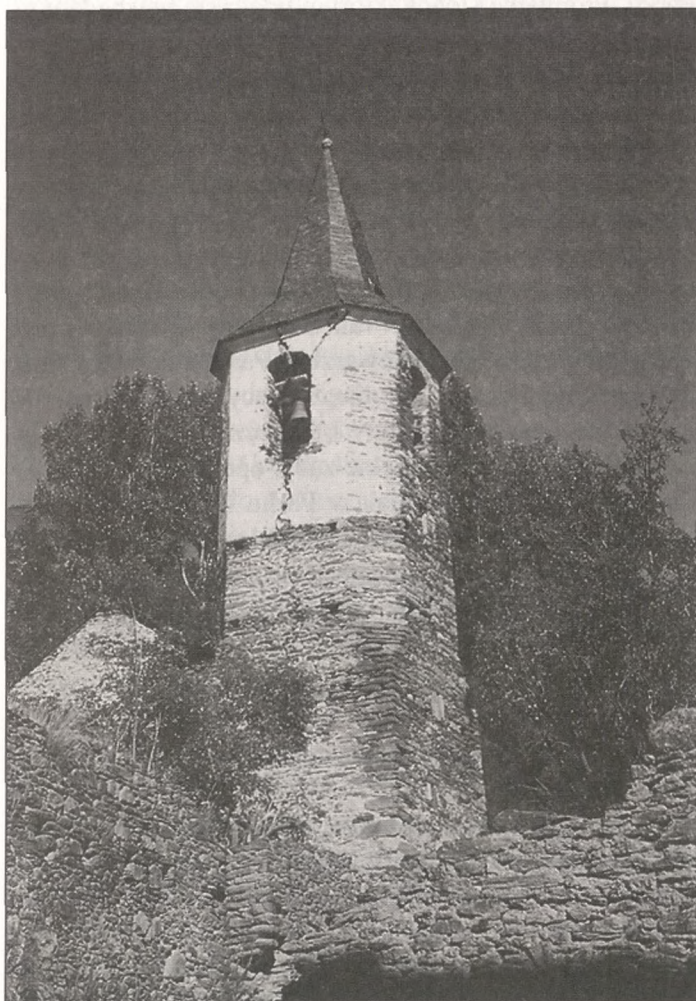
Przez kolejne dwa dni, poznawaliśmy płd-wsch. część Parku – zupełnie odmienią, choć równie atrakcyjną jak rejon Agulles d’Amitges. Obejmowała ona kilka bocznych dolinek (największe – Vall de Peguera i Vall de Monestero) i rozdzielających je skalistych grzbietów oraz główny, graniczny grzbiet Parku z imponującym szczytem Pic de Peguera (2942 m). Elementem krajobrazu zdecydowanie dominującym od południa nad stawem Św. Maurycego, były bliźniacze szczyty – Mały i Wielki Encantat (2738 m i 2747 m), dwa monstrualne zęby, opadające ku dolinie ponad 300-metrowymi ścianami. Nasz ostatni szlak w Parku (już z plecakami) prowadził doliną Monestero u stóp Encantatów, na Coll de Monestero (2710 m). Podchodzenie po osuwającym się piarżysku, przypominało trochę bieg po beczie, toczącej się w przeciwną stronę. W końcu jednak dotarliśmy na przełęcz, skąd krótkie podejście wyprowadziło nas na niedaleki Pic de Peguera. Z Coll de Monestero schodziliśmy do rozległej, pełnej różnej wielkości stawów, doliny Riu de Peguera. Minęliśmy znajdujące się tu – jedno z czterech w Parku – schronisko, Refugi Josep Maria Blanc. Następnie, wijącą się zygzakami ścieżką opuściliśmy teren Parque Nacional i zeszliśmy do miasteczka Espot.

Czekało nas teraz przejście niższymi górami, o charakterze zupełnie odmiennym od dotychczas poznanych. Tu, nie byliśmy narażeni na błędzenie, ponieważ korzystaliśmy ze znakowanego szlaku GR 11. Wędrowaliśmy przez grzbiety o dźwięcznie brzmiących nazwach, jak np. Montcaubo Norte (2290 m), Pic de Miravall (1865 m), Serra de Costuix (2243 m). Były to góry typowo południowe – suche, w większości pokryte ciepłolubnymi łąkami, z dużą ilością „elementów kłujących” i aromaty-

cznych ziół. Często, stoki porośnięte były krzakami żarnowca, wydzielającymi podczas upału charakterystyczną, duszącą woń. Lasów było tam stosunkowo niewiele – głównie bukowych i (powyżej ok. 1600 m) sosnowo-świerkowych. Najbardziej rzucające się w oczy zwierzęta, to nieprzebrane ilości różnych gatunków szarańczaków, oraz wygrzewających się na ścieżce *lagartas* – czyli jaszczurek, przy każdym kroku pierzchających na wszystkie strony.

Bardzo charakterystycznym elementem nowego krajobrazu były ludzkie osady – małe, bardzo malownicze, przytulone do zboczy wioski. Do ich budowy, od wieków

Kościółek w opuszczonej wiosce Dorvé, fot. M. Ronikier



wykorzystywano najpowszechniejszy w okolicy surowiec – kamień. Mury budowano z ciosanych, niedużych, płaskich kamieni spajanych zaprawą z dużą ilością piasku. Dachy, o drewnianych krokwiach, były pokrywane cienkimi dachówkami z łupków. Dawało im to specyficzny, stalowo-szary odcień. Dodatkowo, stałym elementem prawie każdej wioski był charakterystyczny kościółek o wysmukłej wieży. Niezwykle wrażenie robiło na mnie zawsze schodzenie do tych wiosek. Podczas zejścia zboczem, widoczne były jedynie ciasno przylegające do siebie, szare dachy domów. W miarę wchodzenia w głąb wsi, miało się wrażenie jakby

mistycznego ożywiania tych kamiennych murów. Zaczynały rozbrzmiewać okrzyki dzieci, rozmowy, balkony i okna wychodzące na wąziutkie ulice były pełne kwiatów. U mieszkańców tych wiosek zauważyłem duże przywiązanie do tradycyjnej architektury. Pielęgnują oni prastary obraz wsi, a budując nowe domy – z cegły, zwykle otaczają je drugim, cienkim murem z kamienia. Dzięki temu, osiągają pełny komfort termoizolacyjny bez niszczenia tradycyjnego wizerunku osady. Nie wszędzie jednak ludzie wytrzymywali życie w osadach przodków. Trafiliśmy podczas wędrówki na kilka trudniej dostępnych wsi, opuszczonych od 20–30 lat. Wąskie uliczki, zarastane były przez pokrzywy i krzaki dzikiej róży. Domy, choć z kamienia, powoli kruszały nie reperowane. Wejść z tętniącej upałem łąki w chłodny cień zapadających się, opuszczonych murów; przejść uliczkami które jeszcze nie tak dawno nosiły żyjących tu ludzi, a teraz, wypaczone przez czas były podłożem dla gęstwy pokrzyw. Stanąc pod wieżą kościołka, która kiedyś dzwonkiem nawoływała do modlitwy, a dziś pęknięta wzdłuż, była tylko dowodem toczącego się koła historii. Były to jedne z najbardziej refleksyjnych momentów, jakie przeżyłem.

Minęło kilka upalnych dni. Dotarliśmy do ostatniego grzbietu, dzielącego nas od doliny Ferrera i masywu Pica d'Estats (3143 m), najwyższego szczytu naszej wyprawy. Przełęcz Coll de Tudela (2243 m) otworzyła nam wspaniałą panoramę, znów odmienną od dotychczasowych widoków. Przed nami rozciągały się góry o oryginalnych kształtach i czerwono-zielonej barwie. Jak się potem okazało, czerwień pochodziła od skał, przesyconych żelazem. Zieleń – należała do rosnących na nich porostów i traw. Widoczne były Pica d'Estats, piramidy Pic de Baborte (2938 m) i Pic de Soucarrane (2992 m), leżące na granicy hiszpańsko-francuskiej. Naszą uwagę przykuł jednak przede wszystkim, wyrastający vis-à-vis potężny, samotny Pic de Monteixo (2897 m), mierzący od podnóża ponad 1600 metrów wysokości względnej. Dodatkowo, urzekła nas jego barwa – rodem jakby z obrazów Cézanne'a. Czerwień szczytowych piargów ząbebiała się z zielenią traw i ciemnożółtymi smugami glin. To wszystko, oświetlone przedwieczornym słońcem, tworzyło niezwykłą całość.

Następnego dnia, dotarliśmy do leżącego po drugiej stronie szczytu jeziora Aixeus. Wykopaliliśmy się i – prosto na zachód słońca – wyszliśmy na Monteixo. Mgły, powoli podnoszące się z dolin i krwistoczerwone w ostatnich promieniach słońca szczyty, stworzyły kolejną, niezapomnianą impresję. Już po ciemku zjechałszy na butach żłebem, schodzącym do kotła Aixeus.

Kolejny zaś dzień, zaprowadził nas piękną, wyrzeźbioną w czerwonych skałach, doliną Vall de Sottlo pod same południowe ściany trójwierzchołkowej Pica d'Estats. Tu, nad Estany d'Estats spędziliśmy nocleg, by następnego ranka ruszyć na ten najwyższy szczyt Katalonii i zarazem francuskiego regionu Haute-Ariège. Wyszliśmy stromym, piarzystym stokiem na zachodnią przełęcz, po czym łatwą granią (jeśli nie

liczyć trzech uskoków ok. II) zdobyliśmy najpierw zachodni, potem główny wierzchołek. Na szczycie było sporo ludzi gdyż, jak się okazało, od strony francuskiej wiodła tu bardzo łatwa ścieżka. Usiedliśmy na kamieniach i patrzyliśmy na rozległą panoramę. Żegnaliśmy się z całą naszą dotychczasową drogą – od podnóża najwyższego w Pirenejach zaśnieżonego masywu Pico de Aneto (3404 m.), przez Besiberri, tereny Parque Nacional d'Aigüestortes, wreszcie pozostałe góry, które przywiodły nas aż tutaj. Jak zwykle, nie mogłem się oprzeć uczuciu, że oto przybyła kolejna kraina, której widok na globusie będzie wywoływał nostalgiczny skurcz serca.

Ze szczytu, głęboko wciętą pomiędzy trzy tutejsze „trzytysięczniki” (Pica d'Estats, Pic de Montcalm i Pic de Port de Sullo) doliną zeszliśmy do francuskiej wioski Montcalm. Jak zauważyłem, francuscy znakarze uznają wyższość farby nad kopczykami i znaczą ścieżki malowanymi paskami lub punktami. Są też opracowane nieznakowane, ale ujęte w specjalnych przewodnikach szlaki konne, oraz dla górskich rowerzystów i narciarzy. Nawiązaniem zaś do hiszpańskiego Sendero de Gran Recorrido jest francuski Sentier de Grande Randonnée, o identycznym skrócie i sposobie znakowania. My, korzystając z przebiegającego przez ten teren GR 10, przez dwa dni poznawaliśmy jeszcze okolicę. Aż nadszedł dzień, który kazał nam zejść ścieżką sprowadzającą rozległymi hałami, a potem pięknym bukowym lasem, do miasteczka Aulus-les-Bains – skąd czekał nas powrót do codzienności. Schodziliśmy z utrwalonym na zawsze obrazem Pirenejów – gór tysiąca stawów, wspaniałych, oryginalnych krajobrazów, ciekawej przyrody i uroczych osad. Gór, które nas oczarowały i w które na pewno jeszcze powrócimy.



*Pica d'Estats (3143 m)
– najwyższy szczyt Katalonii.
Fot. M. Ronikier*

ŁÓDZKA WYPRAWA W PIRENEJE

Po raz kolejny przyjdzie spotkać się z nieznanym. Były i będą organizowane różne wyprawy, a przecież każda z nich ma własną tajemnicę i tę krótką, niepowtarzalną chwilę przygody, za którą tak tęsknimy, uwikłani w splot codziennych spraw.

Niech zatem spełnią się Wasze marzenia. PRZYGODA czeka na Was. Uśmiechnij się, chwyć plecak i ruszaj na jej spotkanie!

Dziś dla wielu „Pireneje“ to słowo bez treści. Ale jutro?

Zbigniew Łuczak

Dowódca Nierozważnego Taboru

WYPRAWA W UJĘCIU STATYSTYCZNYM

Wyprawa „Pireneje ‘94“ była trzecim wyjazdem w wysokie góry Europy, zorganizowanym przez Oddział Łódzki PTT. Każdy z uczestników przywiózł swój bagaż wrażeń, do których będzie wracać. Na początek – garść statystycznych danych, dokumentujących nasze osiągnięcia:

Wycieczka trwała 25 dni (4.08–28.08.1994 r.). W tym czasie przejechaliśmy 6.975 km (najdłuższy „przelot dzienny“, z Cheb do Montbarrey – 825 km). Dziennie przejeżdżaliśmy średnio 279 km, a odliczając „dni górskie“, kiedy nie korzystaliśmy z autokaru – 581 km.

Połowę czasu (13 dni) spędziliśmy na postojach: 4 dni byliśmy w Gavarnie, 3 dni w Parku Ordesa, 3 dni w Benasque i po 1 dniu w Canigou, Barcelonie i Avignon.

W czasie całego pobytu odwiedziliśmy 7 państw (Czechy, Niemcy, Francję, Hiszpanię, Andorrę, Szwajcarię i Austrię) i 12 razy przekraczaliśmy granice (autokarem,

bo wliczając piesze przejścia w górach – znacznie częściej). Dwukrotnie (w Gavarnie i Parku Ordesa) zorganizowaliśmy dwu- i trzydniowe wyjścia w góry, połączone z noclegami w namiotach, „z dala od cywilizacji“).

Zdobyliśmy: najwyższy szczyt Pirenejów – Pico de Aneto o wys. 3.404 m (na szczycie stanęło 15 osób), trzeci co do wysokości Monte Perdido – 3.355 m (20 osób), Taillon – 3.144 m (9 osób) i Canigou – 2.784 m (21 osób). Byliśmy na wielu wysokich przełęczach, z których najważniejsze to: Brèche de Roland (2.807 m), Col del Cilindro (3.050 m), Portillon Inferior (2.745 m), Portillon Superior (2.880 m) i Collado de Coronas (3.198 m).

Zażywaliśmy morskich kąpeli (Morze Śródziemne), pływalismy również ...na wysokości Gerlacha, w jeziorach Lago Creguena (2.660 m) i Lago Helado (2.980 m) oraz w potoku w dolinie Estos (gdyby nie to, że woda była w stanie ciekłym, można by przypuszczać, że miała temperaturę ujemną!).

Realizując program krajoznawczy zwiedziliśmy m.in. Carcassonne, Cheb, Barcelonę, Avignon, Zürich, Seo de Urgell, Andorrę, Nîmes, Pont du Gard, Neuschwanstein. Odwiedziliśmy sanktuaria maryjne w Lourdes, Saragossie i na Montserrat. Poznawaliśmy folklor i historię Kraju Basków, Katalonii, Nawarry i Aragonii.

W wycieczce uczestniczyły 43 osoby (razem z kierowcą), z czego większość (23) stanowiły panie. Średni wiek uczestników – 44 lata. Najmłodszy był Przemek (14 lat), najstarszego nie było, bo wszyscy czuli się młodo. Trzy razy obchodziliśmy „uroczystości rodzinne“ (urodziny Kazia, wigilię urodzin Kierownika, imieniny Pilota), wiele razy odbywały się „zajęcia w podgrupach“, z których najsympatyczniejsze były chyba wieczory spędzane w górach.

Nikt poważnie się nie rozchorował, a jeśli zdarzały się przypadki niedyspozycji, to dzięki sprawnej pomocy medycznej delikwenci szybko wracali do formy. W czasie wyprawy nakręcono 2 filmy (Włodek i Zbyszek) oraz wykonano niezliczoną ilość zdjęć i przeżroczy (wszyscy uczestnicy). Pozwalają nam one wracać wspomnieniami do przeżytych razem dni i pomagają planować następne wspólne eskapady.

I. CANIGOU

czyli jak trudne są powroty

Założyliśmy, że musimy szybko dojechać w PIRENEJE, bo ONE są naszym celem i dlatego nie będzie po drodze żadnego zwiedzania. Więc trzy dni jazdy od rana do wieczora i... krzyczymy: – Widać Pireneje! (pewno pierwszy zawołał zawsze „wszystkowidzący“ Jacek).

To było widać masyw Canigou.

Przewidzieliśmy tylko jeden dzień na pobyt w tym rejonie i ewentualne wejście na

wierzchołek Canigou o wysokości 2.784 m. Przed nami były jeszcze trzy bardzo atrakcyjne rejony Pirenejów.

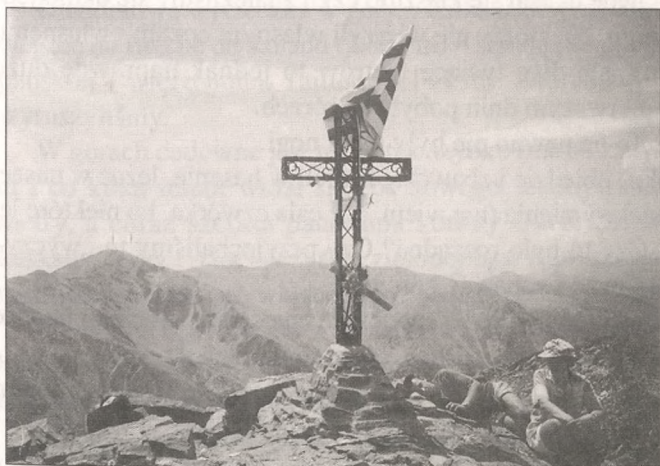
Canigou, położony w Pirenejach Katalońskich, to narodowy szczyt Katalończyków. Jest tłumnie odwiedzany. Z wierzchołka przy dobrej pogodzie widać nie tylko morze gór, ale i ...Morze Śródziemne. Corocznie 23 czerwca zbierają się tam tłumy ludzi. W nocy rozpalają ogniska, a ogień z nich przenoszą do wiosek, gdzie z kolei rozpalane są tzw. „Ognie św. Jana“.

Przed wyjazdem nie byłam całkiem pewna, czy ja muszę wyjść na Canigou. Wiadomo było, że od campingu trzeba będzie pokonać dwa tysiące metrów w górę i w dół, wszystko po tej długiej podróży, że czekają nas później w Pirenejach jeszcze bardziej atrakcyjne szczyty i rejony. A tu jeszcze bliższa okolica, też ciekawa: warto np. zwiedzić klasztor Saint – Martin du Canigou. Ale wiedziałam też, jak każdy, kto już trochę gór „przechodził“, że góry ciągną zawsze, czasem wbrew rozsądkowi, metryce, pogodzie i zdrowiu.

Zaczęło się źle. Do campingu w Casteil jechaliśmy długo, przyjechaliśmy późno, zmęczeni – i nie całkiem do campingu. Okazało się, że położony jest wysoko na zboczu. Droga jest za wąska dla naszego autokaru, nasze bagaże musi kawałek dowieźć partiami campingowy jeep a następnie musimy je wnieść sami spory kawałek pod górkę. Potem dowiedzieliśmy się, że zwykle można załatwić jeepy celem dowiezienia chętnych do schroniska Marialles (1.713 m), co znakomicie ułatwia zdobycie Canigou w ciągu jednego dnia. Ale nie jutro, bo jutro niedziela...

A jednak, wprawdzie po ciemku, ale namioty stanęły. Zjedliśmy pyszne, spóźnione, samodzielnie ugotowane obiady. Kto chciał, mógł do woli kąpać się w świetnym, campingowym basenie. Udało się też namówić właściciela campingu by rano, w dwóch ratach, dowiózł chętnych swym jeepem do schroniska Marialles. Niestety zawiódł nas, dowoząc tylko połowę chętnych i to znacznie poniżej schro-

niska. Tylko ta kilkunastoosobowa grupa miała więc praktyczne szanse wejścia na wierzchołek. I tę szansę wykorzystała. Drogę mieliśmy piękną. No i ta świadomość, że jesteśmy w Pirenejach...



Na szczycie Canigou.
Fot. A. Wyszogrodzki.

Krajobraz może najbardziej ze wszystkich, tak bardzo różnych pirenejskich krajobrazów, przypominał tatrzański. Wszystko w słońcu. No i te momenty...

Pierwsze ukazanie się wierzchołka, który długo był niewidoczny, wreszcie wejście na szczyt, gdzie powiewa umocowana na dużym, metalowym krzyżu flaga Katalonii. Oczywiście radość że jesteśmy tu razem, mnóstwo zdjęć na wszystkie osiem stron świata i zawód, że nie widać Morza Śródziemnego, które schowało się pod białymi „barankami“.

A potem trzeba było schodzić. Dwa tysiące metrów. Dłuższy czas schodziliśmy naszą drogą wejściową, aż do Col Vert, tj. na wysokość 1.861 m. Po drodze spotkałiśmy kilkoro naszych najdzielniejszych, to jest tych, którzy – mimo że zawiódł właściciel jeepa – zdecydowali się wchodzić od campingu pieszo. To już było zadanie nie do wykonania. Prawie. Bo najdzielniejsza z najdzielniejszych, Magda Rogulska, jednak weszła. I zeszła. I choć mówiła, że „na rzęsach“, to widziałam, że to były nogi.

Nasza schodząca grupa trochę się „rozczłonkowała“. Część kontynuowała schodzenie znaną drogą, obok schroniska Marialles, którą wjeżdżaliśmy rano. Większość, stanąwszy przed dylematem: czy schodzić znaną drogą, czy też nową, nieznaną, wyczytaną mniej więcej z przewodnika – wybrała to drugie.

No i zaczęło się.

Z początku było jeszcze wesoło, nawet dość długo. Byliśmy szczęśliwi że się udało, podnieceni radością, rozgadani i roześmiani. Potem zaczęło robić się coraz ciszej. Schodziliśmy i schodziliśmy prawie pionowo w dół, a pod nami ciągle widać było tylko głęboką, pustą dziurę. Chwilę pokapało, w dziurze ukazała się biała mgła, potem znowu nic. Kiedy Andrzej zawołał że widzi już klasztor Saint – Martin, na chwilę uwierzyliśmy mu. Ale to była nieprawda. Klasztoru jeszcze bardzo długo nie było widać, tylko ciągle tę dziurę.

W końcu w jej dnie naprawdę ukazał się klasztor, czyli znaleźliśmy się około jednej godziny drogi do campingu. Niektórzy nie wierzyli własnym oczom i własnemu szczęściu. Nie zblądziliśmy, ale dwa tysiące metrów to jednak naprawdę dużo schodzenia, szczególnie w pierwszym dniu pobytu w górach.

Wróciłam „na rzęsach“. To na pewno nie były moje nogi.

Po zjedzonym (po ciemku) obiedzie i zbawczej kąpieli w basenie, leżąc w naszej „czwórce“, robiliśmy rachunek sumienia (nie wiem, czy cała czwórka, bo niektóre jej składniki może już spały). Czy to było rozsądne? Czy przyjechaliśmy tu „wyczytnąć“, czy cieszyć się, delektować i napawać górami?

Rano byliśmy już wypoczęci i szczęśliwi. A podobnie zmęczona wróciłam jeszcze w czasie w tej wyprawy dwa razy: znad jeziora Creguena i z Pico de Aneto.

Małgorzata Wyszogrodzka

II. KOTLINA GAVARNIE

czyli metafizyka, irysy i ... „Pieśń o Rolandzie“

Następnym po Canigou rejonem jaki odwiedziliśmy we francuskiej części Pirenejów, była przepiękna kotlina Gavarnie. Jej główną atrakcją jest imponujący cyrk polodowcowy, z którego amfiteatralnych ścian spływa potężny wodospad – 400 metrowa Grande Cascade. Victor Hugo nazwał to miejsce „Colosseum stworzonym przez naturę“. Trzy skalne piętra, tworzące monumentalne ściany tego amfiteatru, osiągają wysokość 1.700 m. Stojąc u ich podnóża, w chmurze pyłu wodnego unoszącej się znad Grande Cascade, czuje się bliskość Pani Natury – i ma się ochotę



Kotlina Gavarnie i Grande Cascade. Fot. M. Wyszogrodzka

krzyczeć z radości.

Dla mnie Gavarnie – to skondensowana dawka różnorodnych wrażeń, nie tylko górskich.

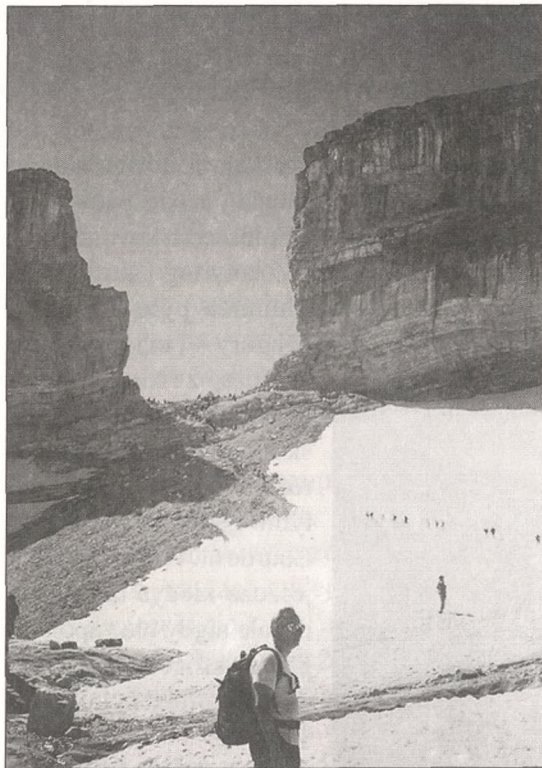
Lourdes... Nie wiem, czy jeszcze kiedyś tam pojedę, ale nigdy nie zapomnę naszej króciutkiej, wieczornej pielgrzymki do słynnego w Europie i świecie sanktuarium maryjnego. Tych kilka godzin każdy przeżył i zapamięta na swój sposób.

Dwudniowa wycieczka w góry... Kilka osób (wśród nich i ja), zaplanowało sobie wejście na Brèche de Roland (2.807 m) – słynną przełęcz na granicy francusko – hiszpańskiej i wierzchołek Taillon (3.144 m). Zabraliśmy namioty, nieduże plecaki i wyruszyliśmy.

W górach cudowne jest to, że tak szybko (mimo zadyszki!), nabiera się wysokości i co kilka minut widzi się coś nowego. Zdobywaliśmy więc mozolnie kolejne metry, a coraz szersza panorama kotliny Gavarnie, coraz lepiej widoczny próg kaskady, irysy (!) na soczyście zielonej łące zapraszające do odpoczynku – to nam rekompensowało spływające z czoła krople potu.

Potem był biwak pod gwiazdami (z lekka zachmurzonymi) i słoneczny poranek, kiedy to wychylając nosy z namiotów, mogliśmy cieszyć się widokiem Brèche de Roland, odcinającej się wyraźnie na tle lazurowego nieba.

Przełęcz jest niezwykła. Jej kształt potwierdza legendę o rycerzu Rolandzie, który jednym uderzeniem swego miecza – Durandala – wyrąbał przejście w górkim



Przełęcz Breche de Roland. Fot. M. Wyszogrodzka

masywie. Idealnie pionowe ściany „brechy“ wznoszą się na wysokość 100 metrów, a samo „przecięcie“ ma szerokość około 60 metrów.

To był naprawdę „podarowany dzień“. Po śniegu i wąskiej, piarzystej perci, uskrzydleni, wchodziliśmy „gęsiego“ na przełęcz, gdzie w nagrodę czekał nas panoramiczny zawrót głowy – widok na hiszpański kanion Ordesa, o charakterystycznej, piętrowej budowie zboczy. Mieliśmy tam być za kilka dni, więc tym większe były nasze emocje. Ciąg dalszy – to żmudne, ale bardzo efektowne podejście na wierzchołek Taillon, leżący w głównej grani Pirenejów, na granicy francusko – hiszpańskiej. Nasz pierwszy, pirenejski trzytysięcznik! Na szczycie zimny wiatr, obowiązująca seria pamiątkowych zdjęć, kamyk do kolekcji, wielka radość... Góry wzruszają mnie niezmiennie – i nic na to nie da się poradzić.

Ten dzień był udany do samego końca. Wracaliśmy, nie spiesząc się, podziwiając krajobraz zmieniający się jak w kalejdoskopie.

Na ziemię sprowadziła nas dopiero... rozbita głowa Przemka, którego wraz z innymi spotkaliśmy po drodze. Kazik – jego ojciec – wyjaśnił, że na szczęście rana nie jest groźna, ale za to jak „zdobyta“! Otóż kamień, strącony przez nieuwważnego turystę na stromym podejściu pod przełęczą Brèche de Roland, uderzył idącego niżej Przemka. Wyglądało to nieciekawie, ale nasz „tatrzański towarzysz“ trzymał się dzielnie (w opatunku – zawoju z ręcznika) i wszystko to skończyło się klasycznym „happy endem“.

Do obozu wróciliśmy wieczorem, „syci chwały“, głodni i zmęczeni. Niebo było pogodne, zachodzące słońce oświetlało już tylko najwyższe partie gór. Zapowiadał się kolejny piękny dzień.

Magda Rogulska

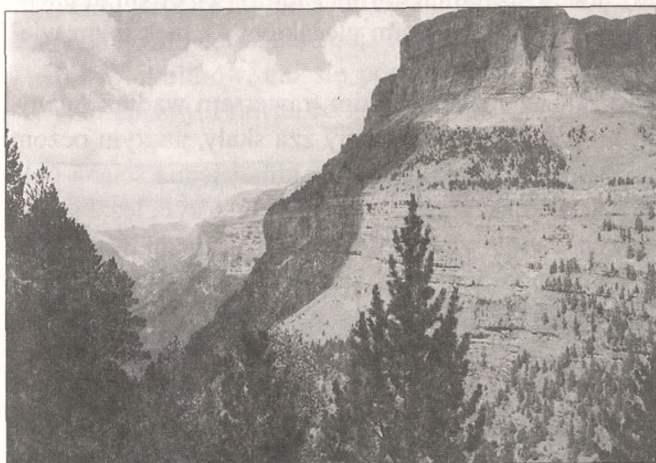
III. MONTE PERDIDO

czyli trzy dni w Parku Ordesa

– Jak sobie pomyślę – powiedział Kazik zapinając plecak – o kolegach którzy zostali w pracy, to śmiać mi się chce!

Był właśnie pierwszy dzień wyprawy na Monte Perdido (3.355 m) – trzeci pod względem wysokości szczyt w Pirenejach. Nasza wesoła kompania wychodziła z autokaru.

Początkowo szlak prowadził przez las. Można było spotkać piękne okazy olbrzymich brzoź, dębów i buków. Po godzinie marszu wyszliśmy nad nieduży, ale bardzo ładny wodospad. Dalej droga prowadziła przez dolinę Ordesa. Po obu jej



Kanion Ordesa. Fot. K. Cichor.

stronach, ponad lasem piętrzyły się groźne skały. Środkiem wąwozu płynął strumień.

Po posiłku ruszyliśmy w dalszą drogę. Krajobraz zaczął się zmieniać. Strumień się zwęził, na dnie doliny nie było już drzew. Koniec wąwozu stanowiła pionowa ściana z której spływał wodospad. Gdy już tam doszliśmy, trzeba było się zastanowić, co dalej. Na lewo – wodo-

spad, naprzeciwko – ściana, ale trochę na prawo wspinali się jacyś ludzie. Po chwili byliśmy już pod ścianą ubezpieczoną łańcuchami.

Poczułem się jakoś dziwnie, zwisając na łańcuchu z ciężkim plecakiem. Ściana miała swoje dwieście metrów. Na szczęście nie odczuwałem żadnych innych oznak lęku wysokości. Po chwili byliśmy już na górze.

Przed nami rozciągało się rozległe plateau. Ruszyliśmy dalej drogą lekko pnącą się pomiędzy skałkami. Miejscami trudno było przez nie przechodzić. Podejście dodatkowo utrudniała mżawka. Przez jakiś czas szliśmy we mgle. Nagle ktoś uderzył głową o tablicę z napisem „Refugio Góriz. 2160 m”. To był pierwszy etap naszej wycieczki.

Gdy tylko rozbiliśmy namioty, deszcz zaczął padać na dobre. Na szczęście nie trwał długo. Kiedy wyszedłem z namiotu, ujrzałem już w miarę roz pogodzone niebo. Krajobraz wyglądał trochę jak księżycowy: w dole długi wąwóz, z którego wyrastało

kopulaste wzgórze. Wokół wąwozu rozciągały się zielone hale. Za mną – schronisko położone na trawiastym stoku. Nad schroniskiem – niski, przysadzisty masyw skalny, zasłaniający dalszy widok.

Następnego dnia zwinęliśmy namioty oraz inne zbędne rzeczy i ułożyliśmy na jednym miejscu. Dla bezpieczeństwa przykryliśmy je kamieniami i wyruszyliśmy w drogę. Tego dnia mieliśmy zdobyć Monte Perdido. Do szczytu było jeszcze 1.200 metrów różnicy poziomów i jakieś kilkanaście kilometrów w linii prostej.

Ścieżka wiła się wśród skał. Drogę zaczęły zagraadzać pionowe ścianki. Pół godziny strome go podejścia i weszliśmy na małe plateau. Przed nami następne piętro skalne. Po chwili odpoczynku poszliśmy dalej. Droga stawiała się coraz bardziej kamienista, czasem musieliśmy lawirować pomiędzy głazami. W pewnym momencie myślałem, że Magda zaklinuje się z tym swoim plecakiem – „błękitnym wieżowcem“.

Weszliśmy na kolejne piętro skalne i dalej, krótkim trawersem wzdłuż ściany. Zobaczyliśmy skaczącą w dół kozicę. Kiedy wyszliśmy zza skały, naszym oczom ukazał się Monte Perdido. Góra przypominała piramidę, której jedna ściana była bardziej łagodna i wydłużona. Ściana kończyła się garbem, pod którym leżał śnieg.

Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy na szczyt. Musieliśmy przeskakiwać przez głazy, kluczyć między skałkami. Potem jeszcze małe, śnieżne pole i krótki piarg. Na garbie osłepiło nas słońce odbijające się od śniegu i lodu. Zatrzymaliśmy się jeszcze, by popatrzeć na jeziorko Helado i przełęcz Cilindro.

Dalej szliśmy gęsiego. Garb wznosił się miejscami bardzo stromo i trzeba było używać rąk. W pewnym miejscu droga się wyprostowała. Wykorzystaliśmy to by się ubrać, bo zrobiło się zimniej i wiatr zaczął się wzmagać. Szedłem dalej, nie patrząc w dół, gdy nagle wpadłem na „błękitny wieżowiec“. Okazało się, że na początku pochodu Jacek zatrzymał się, aby wyjąć z plecaka kijki. Przed nami był długi, stromy piarg. Jeden krok w górę, pół kroku w dół. Jeden w górę...

Po mozolnym przejściu piargu, znaleźliśmy się na małej przełęczce. Stąd już tylko krótkie podejście – i szczyt!

Przed nami – jak okiem sięgnąć – „las szczytów“. Jedne ośnieżone, inne nie. Za jednym pasmem gór widać było następne, aż po horyzont. A daleko w dole – dwa duże wąwozy: Ordesa i Anisclo.

Wzajemne gratulacje, zdjęcia, godzina podziwiania widoków, odpoczynku... Ale trzeba wracać. Zsunęliśmy się po piargu, przeszliśmy czym prędzej przez wąski garb. Większość z nas poszła jeszcze na przełęcz Cilindro.

Schodząc dalej, spotkaliśmy następną grupę „naszych“, którzy zdobywali szczyt w dwa dni. I znów schodzenie po głazach i skałach. Kiedy doszliśmy do schroniska, byliśmy już bardzo zmęczeni. Zaledwie zdążyliśmy się posilić, usłyszeliśmy lamentowanie i przekleństwa. To Małgosia dźwigała śpiwór i rozprutą torbę. Zaraz

potem dołączyli Jurek, Andrzej i Piotrek. Ich „dobytek“, tzn. śpiwory, namioty i żywność, był niezbyt mocno przyciśnięty kamieniami i dobrał się do niego pasący się obok koń. Chleb był zjedzony, rzeczy pozrzucone, a tropik Jurka – rozdarty...

Wieczorem, po kolacji, wspólnie śmialiśmy się ze wszystkich wytworów cywilizacji, które zostały daleko w dole...

Rano obudziła mnie głośnie krzątanie – przygotowania do drogi powrotnej.

– Śnił mi się Jurek na białym koniu – usłyszałem głos Jacka. A więc pora wstać! Dziś długa droga.

Mieliśmy wracać przez polodowcowy cyrk Cotatuero, ale wyszedł z tego niezły cyrk. Kiedy już tam doszliśmy okazało się, że nie ma stamtąd zejścia...

Gdy wróciliśmy do schroniska, było południe. Naśmarowałem się kremem, bo słońce grzało coraz mocniej. To samo radziłem zrobić Kazikowi, ale nie chciał ani włożyć okularów, ani się posmarować. Zeszliśmy prawie tą samą drogą, którą wchodziliśmy. Prawie, bo zamiast łańcuchów wybraliśmy długi trawers.



Widok na Monte Perdido. Fot. M. Wyszogrodzka.

Dolina Ordesa po południu wyglądała pięknie. Las rzucił cień na drogę, a strumień mienił się na zielono i niebiesko. Mimo to byliśmy zadowoleni wsiadając do czekającego na nas autokaru.

Gdy dotarliśmy na camping, rozmowom nie było końca. Z opowiadań członków wyprawy można było domyślać się różnych rzeczy. Niektórzy mówili, że zdobycie Monte Perdido

odpowiadało trudnością ...wejściu na K-2. Inni – że to był zwykły spacer. Co do jednego wszyscy byliśmy zgodni: byliśmy bardzo zadowoleni z wyprawy. No, może z małym wyjątkiem...

– Jak sobie pomyślę – powiedział Kazik, polewając wodą spieczony słońcem kark – o kolegach, którzy zostali w pracy...

Ale mówiąc to, już się nie śmiał.

Przemek Baszczyński
najmłodszy uczestnik wyprawy

IV. PICO DE ANETO czyli amor omnia vincit

Pico de Aneto. 3.404 m npm – najwyższy szczyt Pirenejów. Jak wygląda masyw, który dla Pirenejów jest tym, czym Tatry dla Karpat? Zdobyty został w 1848 roku przez Alfreda de Franqueville i Platona de Tchihatcheff. Położony w masywie Maladeta na wschód od doliny Benasque, wrzynającej się pomiędzy najpotężniejsze szczyty pirenejskie. To właściwie wszystkie informacje, jakie mamy o tym rejonie. Zostawiliśmy go sobie „na deser“, na zakończenie naszej pirenejskiej przygody. Ale czy po wrażeniach, jakich dostarczyły nam Canigou, Gavarnie i Ordesa potrafimy zachwycić się czymś jeszcze?

17 sierpnia. Moje imieniny! Dwa lata temu spędzałem je w schronisku na Aiguille du Goûter, u stóp (chyba raczej „pod nosem“) Mont Blanc. Dziś jedziemy do Benasque, pod Pico de Aneto.

Zatrzymujemy się w Saragossie. Zwiedzamy Basilica del Pilar. Wzniesiona w XVII – XVIII wieku, na miejscu najstarszego w Hiszpanii sanktuarium zbudowanego przez Jakuba Starszego Apostoła, chroni swój największy skarb – posążek Najświętszej Marii Panny, ustawiony na dwumetrowej, marmurowej kolumnie. Sama postać Madonny, przystrojona w przepiękne szaty, jest maleńka. Trudno nawet dostrzec rysy twarzy Tej, która króluje nad iberyjskimi Pirenejami, Aragonią i chyba całą Hiszpanią. O znaczeniu Madonny del Pilar świadczą tłumy pielgrzymów, którzy przynoszą tu swe troski i problemy, prośby o wstawiennictwo i dziękczynienia za doznane łaski. Niech i nas wiedzie bezpiecznie po górskich szlakach, niech sprawi, że ten ostatni, pirenejski akord będzie tak udany jak poprzednie.

Zanim znajdziemy się u stóp Pico de Aneto, musimy przejechać przez wypalone słońcem równinne tereny tej części Aragonii. Ceglasta gleba, mało zieleni, od czasu do czasu jakaś wioska złożona z kilku glinianych domków pokrytych czerwoną dachówką. Upał.

Mijamy położoną na skalistym wzgórzu Leridę z widocznymi murami zamku oraz wieżami starej katedry i skręcamy na północ. Krajobraz powoli zmienia się – coraz więcej zieleni, monotonna równina ustępuje miejsca pagórkom.

Piereneje wylaniają się nagle. Za Castejon de Sos wjeżdżamy w wąwóz Rio Esera, który sam w sobie jest dużą atrakcją. Wąska szosa prowadzi tarasem nad potokiem, który płynie kilkadziesiąt metrów w dół. Ponad nim wznoszą się pionowe, wysokie ściany kanionu. Trudno tu przecisnąć się naszym mercedesem, zwłaszcza, że ruch spory. W pewnym momencie wąwóz kończy się. Wjeżdżamy w szeroką nieckę doliny, ponad którą wzbijają się w niebo pirenejskie kolosy. Jesteśmy w Benasque.

Pierwsza przyjemna niespodzianka – autokar wjeżdża na camping. Nie musimy więc organizować transportu bagażu, jak to miało miejsce poprzednio. Jest czas na

rozbicie namiotów, wspólny „wieczorek“ (moje imieniny!) i ustalenie planów na najbliższe trzy dni. „Szturm“ na Aneto planujemy pojutrze – jutro dzień wypoczynku.

Postanawiamy pójść do jeziora Creguena. To przecież tylko kilka kilometrów. Owszem, kilka, ale różnica wysokości między campingiem a jeziorem wynosi... 1.300 m! Więcej niż z Morskiego Oka na Rysy! Z łatwej, „relaksowej“ wycieczki robi się więc całodzienna „wyrępa“.

Chyba jednak nikt nie żałuje trudu. To zupełnie inne Pireneje niż te, z którymi spotykaliśmy się do tej pory. Zbudowane z granitów, stroją się w nieco inną roślinność. Dużo świerków i kosodrzewiny, powyżej ukwiecone łąki (dużo dzwonków alpejskich, których zarówno w Ordesie, jak i w Gavarnie nie spotykaliśmy), a nad nimi „ciosane siekierami“ turnie. Liczne kaskady, wodospady i strumienie oraz szmaragdowe „oczka“ stawów połyskują wśród kamienno – roślinnej scenerii. Potężne szczyty oddzielone są głębokimi dolinami. Krajobraz cieszący oko i ...dziwnie znajomy. Wprawdzie szczyty są wyższe, odległości większe, panoramy rozleglejsze, ale wszystko to bardzo przypomina Tatry. Może dlatego tak świetnie się tu czujemy?

Jedna tylko różnica: na ścieżce do jeziora Creguena nikogo nie spotykamy. To znaczy – prawie nikogo, bo mijamy się z grupą, którą pozdrawiamy w hiszpańsko – francusko – angielskim narzeczu. Wreszcie ktoś mówi: „dzień dobry“ w odpowiedzi słyszymy: „ahoj!“. To Słowacy wracają z kilkudniowej wycieczki. Tatrzańskie skojarzenia ulegają utrwaleniu...

Droga do jeziora wiedzie przez ogromne „głazowisko“. Mijamy wanty, poruszając się wzdłuż nielicznych kopczyków. Gdzieś pod głazami szumi strumyk...

Wreszcie po kilku godzinach wędrówki stajemy osłupiali. Położone na wysokości 2.660 m jezioro, to nie jakiś mały stawek. To „fiord“ wyniesiony półtora kilometra ponad dno doliny i zamknięty ze wszystkich stron ogromnymi szczytami. Woda jest tak przeźroczysta, że doskonale widać dno, które jest kilka (kilkanaście?

kilkadziesiąt?) metrów pod taflą. Na niebie ani jednej chmurki, jest bardzo ciepło.



„Fiord“ – Jezioro Creguena.
Fot. P. Wyszogrodzki.

*„Jeziora tafla lustrzana
Zielona, bez ruchu leży,
Ujęta w wieniec granitów,
W krąg pawio-barwnych obrzeży“.*

(Jan Kasprzowicz: „Księga ubogich”)

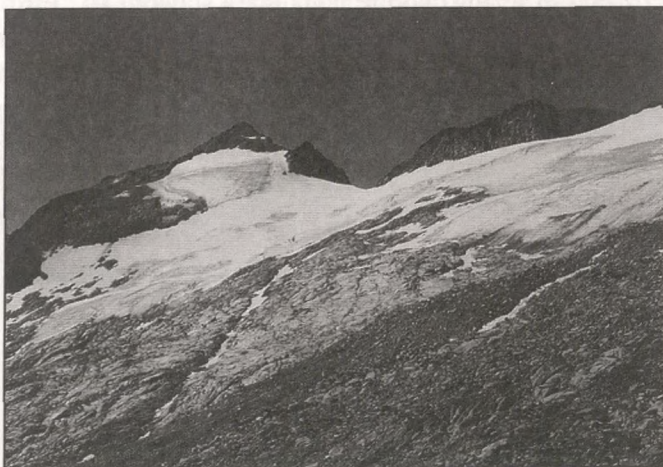
Oprócz naszej gromadki nie ma nikogo. Mamy wrażenie, że przeniesiono nas w zupełnie nierealną i fantastyczną scenerię. Urządzamy sobie godzinną „plażę“ i ...kąpiel. Woda w jeziorze ma ok. 5°C, pływanie ogranicza się więc do wykonania kilku szybkich ruchów i wyskoczenia z krzykiem na brzeg. Ale nie możemy sobie odmówić przyjemności wykąpania się w stawie położonym na wysokości Gerlacha.

Na camping wracamy wieczorem. Po zmroku przygotowujemy się do jutrzejszego spotkania z Aneto...

19 sierpnia, szósta rano. Zupełnie ciemno (słońce tutaj wschodzi dużo później niż u nas). Pakujemy plecaki (pierwszy i ostatni raz na tej wycieczce będą nam potrzebne raki i czekany), jemy śniadanie i wyruszamy. Z opisu trasy wiemy, że bazą wypadową na Aneto jest schronisko Rencusa położone 45 minut drogi od parkingu, na który można dojechać samochodem. Owszem – samochodem osobowym się dojedzie, ale autobusem nie. Wsiadamy więc koło Hospital Benasque (duży budynek, pełniący rolę ni to sanatorium, ni to domu wczasowego), schodzimy w dół doliny i pokonujemy siedmiokilometrowy odcinek szosy, niedostępny dla naszego mercedesa.

Na parkingu jesteśmy dopiero o 9,30. Wielość samochodów świadczy o popularności tego miejsca. Rzeczywiście, do schroniska Rencusa wędruje dużo, (jak na Pireneje), turystów. Samo schronisko jest małe, przytulne i pełne łaszących się kotów.

Po krótkim „popasie“ idziemy dalej, w kierunku grzbietu Cesta de los Portillones, który oddziela lodowiec Maladeta od lodowca Aneto. Ścieżka jest „niby wykopczykowana“, więc idąc według zasady „gdzie wola tam droga“, od czasu do czasu rzeczywiście trafiamy na kopczyki. Widoki coraz piękniejsze i rozleglejsze. Po dwóch godzinach mar-



W drodze na Pico de Aneto. Fot. M. Wyszogrodzka.

szu docieramy do przełęczy Portillon Inferior (2.680 m), skąd pierwszy raz ukazuje się nam najwyższy szczyt Pirenejów.

Sam wierzchołek jest skalistą czapką na białym płaszczu lodowca. Przez śnieg biegną „ścieżki“, na których przez lornetkę dostrzegamy wędrujące grupy turystów. Do skraju lodowca jeszcze daleko. Najpierw czeka nas bardzo ładna, miejscami „powietrzna“ wspinaczka granią Cesta de los Portillones na przełęcz Portillon Superior (2.745 m). Z przełęczy schodzimy stromo w dół na stronę lodowca Aneto. Od tej pory widok Pico de Aneto towarzyszy nam przez cały czas.

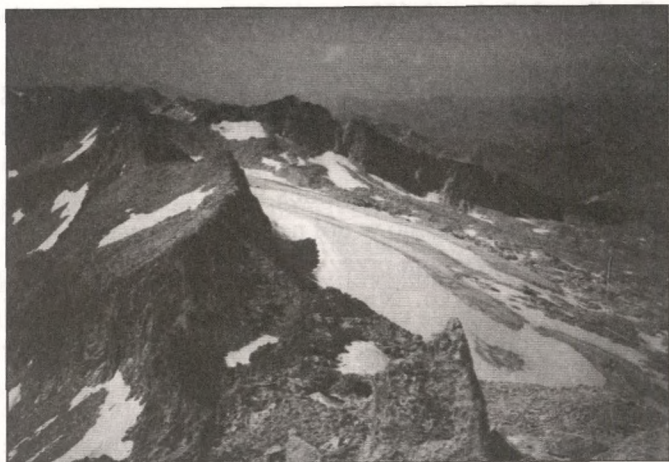
Znów pniemy się po kamiennym osuwisku. Miejscami głązy są tak duże, że tworzą się między nimi wąskie „ulice“. Metodą skakania z kamienia na kamień, zdobywamy wysokość. Wreszcie docieramy do lodowca.

Lodowiec – to właściwie ogromne pole firnowe od czasu do czasu poprzecinane wąskimi na szerokość stopy szczelinami. Nieraz śnieg układa się w fantastyczne formy, tworząc – zwłaszcza na styku ze skałami – przedziwne „grajdoły“ i „tory saneczkowe“. Po długim, trwającym ponad godzinę trawersie, docieramy do przełęczy Collado de Coronas (3.198 m), skąd otwiera się widok na lodowiec Coronas i przełęcz Collado de Creguena (2.930 m). Za tą przełęczą leży „nasze“ jezioro, w którym wczoraj kąpaliśmy się.

Podziwianie widoków nie trwa jednak długo. Teraz dopiero „zaczynają się schody“. Teren spiętrza się. Trzeba uważać, żeby nie zafundować sobie ostrego zjazdu po lodowcu. W dodatku w tym „wąskim gardle“ robi się tłoczno. Sporo osób schodzi już ze szczytu. Nie wszyscy zachowują ostrożność, część turystów nie ma nawet raków. Aż strach pomyśleć co by się stało, gdyby ktoś poślizgnął się i wpadł na innych. Oddychamy z ulgą gdy wydostajemy się ze śniegu i wkraczamy na piarzysty, łatwy odcinek podszczytowy. Po chwili stajemy na wierzchołku i ...okazuje się, że to wcale jeszcze nie szczyt! Góra broni się ostatnim bastionem – to słynny „Skok Mahometa“, powietrzny trawers po granitowych płytach. Trochę to przypomina odcinek grani Gerlacha od strony Przełęczy Tetmajera. Wreszcie o godz. 16, po ośmiogodzinnej wędrówce, stajemy na wierzchołku Pico de Aneto...

Już wyżej w Pirenejach wejść się nie da! Wokół nas, przy bezchmurnej i bezwietrznej pogodzie – „morze gór“. W kotlinach lśnią „pawiookie“ stawy, gdzieś głęboko w dole zielenią się łąki i lasy. Wzrok gubi się wśród nieznanych turni, upłazów i ścian. Lodowce nie mają tu groźnego, alpejskiego charakteru. Wydaje się, że istnieją tylko po to, by jeszcze bardziej uatrakcyjnić piękno krajobrazu. Na szczycie metalowy krzyż (jak na Giewoncie, choć kilkanaście razy mniejszy), drewniana figura Chrystusa („tatrzańska“ wyobraźnia każe nam dostrzec w niej ...cechy zakopiańskie) i kopia figury Madonny z Saragossy. Nie na marmurowym, lecz stalowym słupie spogląda ze szczytu na swe królestwo...

Chyba wielu z nas udziela się niezwyklej nastroj. Pielgrzymowaliśmy do tej góry



Widok z Pico de Aneto na grań Cesta de los Portillones.
Fot. M. Wyszogrodzka.

wiamy widoki, robimy zdjęcia, gotujemy na kartuszach „obiad szczytowy“. Wreszcie ruszamy w dół. Robi się późno. Rozkrzyczane grupy hiszpańskich turystów zbiegły szybko do pozostawionych na parkingu aut. Zostajemy sami w górskiej scenerii, ogrzewani ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. To nic, że przyjdzie nam schodzić do schroniska po zmierzchu, to nic, że czeka nas jeszcze długi, nocny marsz do autokaru, to nic nawet, że w natłoku wrażeń ofiarowałem Górze mój aparat fotograficzny, który zostawiłem na skalnej półce... Wrażenia i przeżycia których tu doznaliśmy, pozostaną i towarzyszyć nam będą w ciągu wielu dni, tygodni, a myślę, że i lat. Pozwolą też wracać do tych pięknych gór, które były tak łaskawe i tak hojne. I wiele jeszcze razy wędrować będziemy we wspomnieniach:

*„Między siklawy, nad zdroje,
Na turni strome urwiska,
Gdzie w otchłań omglonych żlebów
Ścieżka się wije śliska...“.*

(Jan Kasprzowicz – „Księga ubogich“)

długo, przygotowując się prawie dwa lata na jej spotkanie. Niesliśmy tu potężny bagaż naszych marzeń i pragnień. Teraz, gdy marzenia te się spełniają, dziękujemy Madonnie del Pilar za wszystkie wspaniałe wrażenia, których mogliśmy w Pirenejach doświadczyć, a których ukoronowaniem jest wejście na Aneto...

Długo zwlekamy z zejściem ze szczytu. Podzi-

Jacek Karczewski

V. GAUDI

czyli nie samymi górami człowiek żyje

Niekończące się wspominki, nieustanne „wrywanie“ sobie albumów ze zdjęciami i wciąż ten sam nad nimi zachwyt – o czymże to może świadczyć?

Wyprawa była świetna. Niepowtarzalne krajobrazy tak urozmaicone kolorami skał, przepięknymi wodospadami i tereny z nieznaną nam roślinnością, penetrowane

w czasie kilkudniowych wypadów. Udała się nam ucieczka od cywilizacji. I choć po długich wycieczkach z przyjemnością myślało się o campingu i ciepłej wodzie pod prysznicem, to błogosławieństwem była przecież możliwość ruszenia z namiocikiem w góry, zapomnienia o tym, co poniżej 2.000 metrów. I to dodało uroku wyprawie. Z dużą ciekawością czekałam jednak na możliwość zobaczenia choć skrawka tego, co zowią sztuką południa. Naturalnie, zabytki trudno zwiedzać w tempie zwykłym dla górskich wycieczek, dlatego największe wrażenia i najprzyjemniejsze wspomnienia wiąże z pobytami nieco dłuższymi niż dwugodzinne. Tak było w Montserrat, w Barcelonie i Avignon.

Tuż po największych emocjach górskich trzeba było powoli przyzwyczajać się do widoku nizin i – co gorsze – klimatu, a przepiękne, pirenejskie pejzaże, choć na chwilę rekompensować sztuką. Świetnie udało się to właśnie w Montserrat.

Po koszmarnej nocy na campingu nadmorskim w Barcelonie, pobyt tam wrócił mi siły i chęć podróżowania. Sam podjazd pod sterczące na rozległej równinie zadziwiające paluchy skalne, przypominał serpentyny w Pirenejach. Potem otworzył się przed nami nieco zaludniony obecnie świat benedyktyńskich mnichów. XIX – wieczna bazylika ze wspaniałą fasadą z dwunastoma Apostołami to główny budynek olbrzymiego klasztornego założenia. To efektowne, nie przez byle kogo wybrane miejsce, w tej chwili jest jednym z kilku sanktuariów maryjnych Hiszpanii.

Czarna Madonna króluje w niezwykle okazałej budowli o nieskazitelnym, jednolitym stylowo wystroju. W neogotyckie wnętrza świetnie wpasowano przedrafaelowskie witraże. Freski wypełniają każde miejsce: ornamenty geometryczne, roślinne, postaci anielskie. Wzdłuż obojścia dla pielgrzymów ciągnie się szereg kaplic i tam dopiero można oczy wypatrzyć. Każdy ołtarz jest inny: tu art deco, tu znów czysta secesja – a każdy następny jeszcze piękniejszy. W absydzie umieszczono przepiękną rzeźbę tronujskiej Madonny z Dzieciątkiem z IX w.. Przyniesiona przez pasterzy, od wieków dobrotliwie spogląda swoimi migdałowymi oczyma na przesuwających się u Jej stóp wzruszonych pielgrzymów. Wyjątkowy nastrój niebiańskości tego miejsca podkreśla bizantynizujący styl wystroju – złote mozaiki Chrystusa Zbawiciela i aniołów, wyśpiewujących hymny pochwalne. Trudno oprzeć się wrażeniu przeniesienia w inny wymiar.

W salach muzealnych braciszkwowie kryją piękne skarby. Są tam średniowieczne, katalońskie płótna, jest święta Magdalena malowana przez El Greca, Starzec Hieronim – dzieło Caravaggia, przedmioty liturgiczne, wota i zupełnie ciekawa kolekcja rzemiosła egipskiego. Wszystko tu – sztuka i natura – zdają się ze zdwojoną siłą świadczyć o Pierwotnej Przyczynie swojego istnienia. Bo czymże są te wypalone niedawnym pożarem zbocza Montserrat?

To emocjonalne „spotkanie“ kończyło przepiękny rozdział wyprawy – górski. U stóp Pirenejów rozciąga się Barcelona. To gwarne miasto pozostawiło w moich

wspomnieniach dwa głębokie ślady – wybujałego gotyku i stylu Gaudiego. Przeogromna, przytłaczająca ilością XIV- i XV-wiecznych ołtarzy katedra króluje wśród wąskich uliczek, kamienic z dziedzińcami porośniętymi winem, a nawet mostkiem łączącym budynki o ażurowych, ostrołukowych oknach. Ciasnota, zaduch, a mimo wszystko – urokliwie.

Jednak przyznam, że z największą niecierpliwością i ciekawością „pędziłam“, ciągnąc biedną matkę, do słynnych domów Gaudiego przy reprezentacyjnej Avenida Gracia: Casa Milo i Casa Batlo. Głównie po to, żeby przekonać się, czy rzeczywiście daje się tam mieszkać. Już od samego przyglądania się fasadzie można dostać oczopląsu. Bez jednego prostego kąta, cała pokryta mozaikową okładziną, mieni się przepięknie kolorami. Na dachu kominy – jak przedziwne stwory – z mozaikowo-porcelanowej masy, tworzą dodatkowy nastrój bajkowości. A co najciekawsze – mieszkają tam ludzie i to, jak przypuszczam, przy zupełnie zdrowych zmysłach: doktorzy, adwokaci. Do ich przepięknych, rzeźbionych drzwi, podwozi stara, zamykana kratą winda. Okazuje się więc, że wybujała wyobraźnia Gaudiego to nie tylko pusta ekstrawagancja. Świetnie widać to na fasadzie katedry Świętej Rodziny, gdzie niezliczona masa drobnych detali tworzy ciekawą ikonograficznie opowieść.

Prace Gaudiego, tak wyraźnie odwołujące się od form naturalnych, nieraz kopiujące sploty roślin i korę drzew sprawiły, że poczułam pokrewieństwo z człowiekiem,

który jakoś nie umiał udawać że cokolwiek tworzymy – bierze się to wyłącznie z naszej imaginacji. Na pożegnanie z nim jeszcze ogrody Guel, wypełnione niepokornymi formami znów mozaikowych stworów i ...Ola, Hiszpanio! Kraju nadal nieznany!

Czekały nas jeszcze atrakcje nie lada – płąsy na moście w Avignon. Cała Prowansja to kraj ukochany przez malarzy. I nic dziwnego, bo słońce świeci tu wyjątkowo, zauroczając krajobrazami i niewielkimi, kamiennymi miasteczkami, w których wszystko dzieje się leniwie i tajemniczo...



*Katedra Świętej Rodziny Sagrada Familia, Barcelona.
Fot. M. Wyszogrodzka.*

Nad miastem króluje olbrzymie, papieskie zamczysko, otoczone murem. Jest to jakby wymarzone miejsce do „ulicznych szaleństw“. Tu niepodzielnie panuje beztroska, która udzieliła się (i dopełniła na wirującej karuzeli) nawet naszym najstateczniejszym, jubileuszowym parom. Nie można nie poddać się nastrojowi szaleństwa tego wciąż buchającego życiem miasta.

Bardzo dziękuję wszystkim za „Pireneje“. Bo przecież gdyby nie gwarny autobus pełen wyśmienitych Kompanów, niewiele by z tego było.

Agnieszka Lorenc



Uczestnicy wyprawy „Pireneje ‘94”.

SKŁAD WYPRAWY

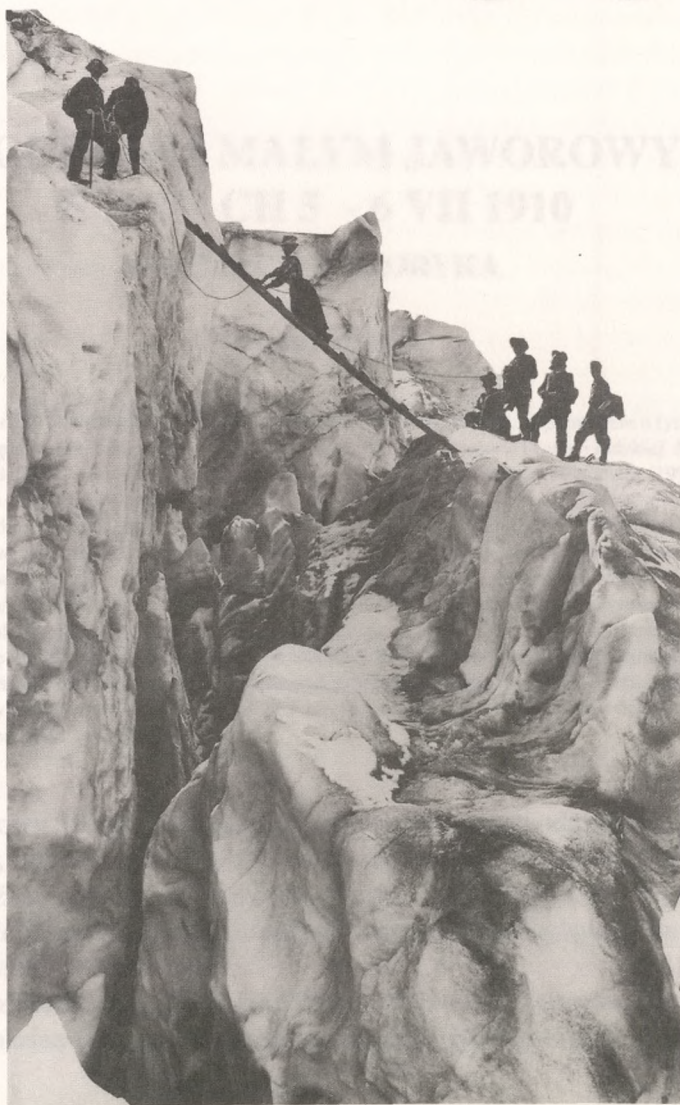
1. Bancewicz Edmund (Mistrz Kierownicy), 2. Baszczyński Kazimierz, 3. Baszczyński Przemysław, 4. Biełkowska Joanna, 5. Biełkowski Janusz, 6. Borowska-Lorenc Anna (Zastępca Kierownika), 7. Cichor Krystyna (Sekretarz Stanu w Ministerstwie Finansów), 8. Chyżewski Adam, 9. Dąbrowska Katarzyna, 10. Gołota Izabela, 11. Howańska Henryka, 12. Howański Jerzy (Kwatermistrz), 13. Janusik Jadwiga, 14. Janusik Włodzimierz, 15. Karczewski Jacek, 16. Korczak Elżbieta, 17. Kośka Jadwiga, 18. Kośka Wiesław, 19. Kuczyńska Teresa, 20. Lesiński Andrzej, 21. Liberadzka Agnieszka, 22. Lorenc Agnieszka, 23. Łuczak Urszula, 24. Łuczak Zbigniew (Kierownik), 25. Marciniak Ewa, 26. Motylińska Anna, 27. Papszun-Ciach Teresa (Tłumacz), 28. Przemirska Lucyna, 29. Raczyńska Małgorzata, 30. Raczyński Jerzy, 31. Rembowski Zbigniew, 32. Rogulska Magdalena (Kronikarz), 33. Roliński Zbigniew, 34. Siedlecki Marek, 35. Szadkowski Czesław (Kwatermistrz), 36. Wodziński Andrzej, 37. Wolff Elżbieta, 38. Wyszogrodzka Małgorzata (Minister Finansów), 39. Wyszogrodzki Andrzej (Kwatermistrz), 40. Wyszogrodzki Piotr, 41. Ziemecka Anna, 42. Ziemecka Barbara, 43. Ziemecki Mirosław.



Luz-St-Sauveur – fortyfikowany kościółek z XIV w., fot. M. Ronikier

II

Człowiek i góry



Fot. Georges Tairraz

TRAGEDIA NA MAŁYM JAWOROWYM W DNIACH 5 - 6 VII 1910

W OCZACH HISTORYKA

Marian Plezia

Po upływie z górą 80 lat od tragedii na Małym Jaworowym w sierpniu 1910, wspomnienie o tym wydarzeniu, które ongiś wstrząsnęło opinią Zakopanego i kół taternickich, przybladło nieco w pamięci ludzkiej. Nowe tragedie zwracały myśli ku dalszym ofiarom, odsuwając dawniejsze w cień zapomnienia. Niedawna (1992) katastrofa śmigłowca w Dolinie Olczyskiej przysłoniła poprzednie nawet liczbą ofiar (zginęło w niej 2 pilotów i 2 ratowników).

Żadna chyba jednak nie osiągnęła wymiaru moralnego wypadków z sierpnia 1910. Wspominano je niejednokrotnie w literaturze, przypominano zwłaszcza w okresie jubileuszu TOPR w latach pięćdziesiątych, kiedy, zgodnie z duchem czasu, wykreowano – najsluszniej zresztą – Klimka Bachledę na „chłopskiego bohatera“. Upamiętniała ją tablice: jedna położona na górnym piętrze Doliny Jaworowej, niebawem przeniesiona na symboliczny cmentarz u stóp Osterwy w Dolinie Mięguszwieckiej i druga, umieszczona na ścianie Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem. Brano ją za podstawę i punkt wyjścia rozważań nad granicami celowości i uprawnieniem podejmowania ryzyka w niesieniu pomocy ofiarom gór. Nikt jednak nie próbował przedstawić systematycznie w szczegółach przebiegu wydarzeń na podstawie wszystkich dostępnych źródeł w całej ich odmienności od warunków dzisiejszych. Dlatego niniejszy szkic nosi podtytuł „w oczach historyka“.

MIEJSCE

Mały Jaworowy Szczyt (2386 m n.p.m.) wznosi się we wschodniej części łańcucha Tatr Wysokich, dokładnie tam, gdzie odgałęzia się ośń w kierunku północno – zachodnim, później północnym grani boczna, zakończona kopą Szerokiej Jaworzynskiej, dobrze widocznej od północy i stąd powszechnie znaną oglądającym panoramę Tatr od północy, np. z Głodówki.

Jako szczyt zwornikowy wznosi się Mały Jaworowy nad dolinami: Jaworową (od północy), Staroleśną (od południowego wschodu) i Rówienek (od zachodu). Jak

większość szczytów tatrzańskich, jest względnie łatwo dostępny kilku drogami i zdobyty został już w roku 1902 przez Karolinę Englischową, jej syna Karola i przewodnika spiskiego Jana Hundsdorfera sen. Z taternickiego punktu widzenia, najciekawsza jest jego północna ściana, przy której zdobywaniu rozegrały się opisane niżej wypadki, ma około 450 m wysokości, eksponowana, o kruchej skale. Dodatkowym zagrożeniem są występujące nieraz na całej grani Jaworowej obrywy skalne. Taki obryw w północnej ścianie Wielkiego Jaworowego Szczytu spowodował w 1940 r. lawinę kamienną, która zasypała znaczną część powierzchni Żabiego Stawu Jaworowego. Inna taka, choć mniejsza, pociągnęła za sobą w 1910 r. śmierć Klimka Bachledy. Wspomnieć też trzeba płyty zmarłego śniegu, utrzymujące się niekiedy u stóp Jaworowych Szczytów do późnego lata. Ich szczeliny brzeżne mogą stanowić w określonych przypadkach dodatkową przeszkodę w dotarciu do ściany lub zejściu z niej. Nie można też pominąć stosunkowo dużej, jak na warunki tatrzańskie, odległości od siedzib ludzkich. W Dolinie Jaworowej nigdy nie było schroniska i ewentualnej pomocy w razie wypadku na ścianie północnej szukać można było dopiero w odległości 8 – 10 km w Spiskiej Jaworzynie, a i tam znaleźć jej można było niewiele. Te wszystkie czynniki sprawiły, że północna ściana Małego Jaworowego nie była do roku 1910 atakowana. Ostatecznie przeszli ją dopiero 13 sierpnia 1911 dwaj wybitni taternicy węgierscy, bracia R. i G. Komarniccy. Ich drogę kwalifikuje się dziś w przewodnikach taternickich jako trudną (górną granicą), a nawet bardzo trudną. Z czasem poprowadzono na tej ścianie kilka dalszych dróg, ocenianych partiami jako skrajnie i nadzwyczaj trudne.

CZAS

Drogi o skali trudności równej późniejszej drodze Komarnickich na północnej ścianie Małego Jaworowego zdobywano już w Tatrach od r. 1905 (drogi S.Häberleina na południowej ścianie Żabiego Konia i na zachodniej ścianie Ostrego Szczytu). Co więcej, kilkanaście dni przed pierwszą próbą przejścia północnej ściany Małego Jaworowego, o której będzie tu mowa, tzn. 16 lipca 1910, „podniesiono poprzeczkę” o stopień wyżej (pierwsze przejście południowej ściany Zamarłej Turni: H.Bednarski, J.Lesiecki, L.Loria i S.Zdyb). Północna ściana Małego Jaworowego należała więc w 1910 r. do nielicznych ścian tatrzańskich, dostępnych ówczesnym wspinaczom, które nie zostały jeszcze zdobyte. Kto chciał być pierwszym zdobywcą, musiał się jednak spieszyć.

O próbach jej pokonania mówiło się w ówczesnym środowisku taternickim. Wymianiano nazwiska K.Aleksandrowicza, H.Bednarskiego, L.Lorii i St.Zdyba – samej śmietanki zakopiańskich wspinaczy. Poszli inni – młodzi taternicy, studenci ze Lwowa, 5 sierpnia 1910. Po kilku dość pogodnych dniach na początku tego miesiąca,

6 sierpnia nastąpiło gwałtowne załamanie pogody. Opad deszczu mierzony tego dnia w Zazadni wyniósł 80 mm, na południowej stronie Tatr odpowiednio mniej: 31 mm w Szczyrbskim Jeziorze, a 21 mm w Łomnicy Tatrzańskiej, co i tak znacznie przekracza normę. U stóp gór był to opad deszczu, ale w turniach – śniegu i gradu, zwłaszcza że równocześnie gwałtownie spadła temperatura. Mierzona w Nowym Targu wynosiła ona 5 sierpnia 15°C rano, a 21°C w południe, natomiast 6 tego miesiąca 13°C rano, tyle samo w południe, ale tylko 11° C wieczorem. Nowy Targ leży na wysokości około 600 m npm, czyli że na wysokości około 2300 m w górach musiało to odpowiadać ciepłocie powietrza około 0°C. Tym zmianom pogody towarzyszyły wyładowania elektryczne, grzmoty i pioruny. Te zmiany atmosferyczne stały się główną przyczyną tragedii 6 sierpnia, jak zresztą niejednokrotnie w dziejach taternictwa (śmierć W.Birkenmajera na Ganku w kwietniu 1933, K.Lipczyńskiej i H.Horaka na Galerii Gankowej 9 sierpnia 1964, czy w r. 1992 tragedia na północnej ścianie Wielkiego Mięguszowieckiego).

W kategoriach czasu należy rozpatrywać stan ówczesnego ratownictwa górskiego w Tatrach. Znajdowało się ono zaledwie w powijkach. Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe działało w Zakopanem od roku 1909. Po południowej stronie Tatr (wtedy węgierskiej, dziś słowackiej), żadnej analogicznej organizacji wówczas nie było. Gdyby omawiany wypadek zdarzył się dziś, ratownicy zostaliby powiadomieni telefonicznie i dotarliby na Jaworową Grań od Doliny Staroleśnej, terenem znacznie łatwiejszym, a więc szybciej. Trudności zaczęłyby się dopiero przy wydobywaniu ze skał uszkodzonego, leżącego w 2/3 ściany licząc od jej podnóża. Może udałoby się wtedy uprzedzić załamanie pogody i przenieść w porę rannego w bezpieczne miejsce, choć nie wiadomo, czy uratować mu życie ze względu na obrażenia odniesione podczas upadku.

UCZESTNICY WYDARZEŃ

Dzielili się oni, zgodnie z chronologiczną kolejnością, na dwie grupy. Pierwszą stanowili trzej słuchacze Politechniki we Lwowie: J.Bizoń, J.Jarzyna i St.Szulakiewicz, którzy zaplanowali na 5 sierpnia 1910 r. pierwsze przejście północnej ściany Małego Jaworowego. Byli to ludzie młodzi, liczący około 20 lat, ale mieli przygotowanie taternicze. Bizoń i Szulakiewicz przeszli poprzedniego roku wschodnią ścianę Wysokiej, Szulakiewicz miał za sobą inne trudne wspinaczki, a Jarzyna wykazał w ciągu wszystkich wydarzeń 5 i 6 sierpnia wielką wytrzymałość, sprawność techniczną i determinację, najwyraźniej więc nie był w Tatrach nowicjuszem. Zamiar przejścia ściany Małego Jaworowego rozważali już od pewnego czasu: Szulakiewicz zapytywał (nie wiemy dokładnie, kiedy) wybitnego wspinacza węgierskiego – Komarnickiego o jego zdanie co do możliwości przejścia i otrzymał odpowiedź

twierdzącą. Pierwsza próba zakończyła się jednak katastrofą.

Drugą grupę uczestników stanowili członkowie tak zwanej wówczas Straży Ratunkowej TOPR (nazwa później zarzucona) pod kierunkiem Mariusza Zaruskiego, sama elita ówczesnych przewodników i taterników – amatorów, razem 12 osób, wedle zapisu w Księdze Wypraw Pogotowia (według relacji Zaruskiego z 1922 r. było ich 15). W toku wydarzeń dołączyli do nich liczni ochotnicy – dalszych 13 osób. W sumie w poszukiwaniach zaginionych brało udział około 30 osób.

ŹRÓDŁA

O tragicznych wydarzeniach na północnej ścianie Małego Jaworowego w dniach 5 – 10 sierpnia pisano niejednokrotnie, także wybitni znawcy alpinizmu i ratownictwa. Te wszystkie opisy mają jednak jedną zasadniczą wadę: ich autorzy czerpali swe wiadomości z drugiej ręki, uzupełniając je ewentualnie własną znajomością terenu, problemów wspinaczki, ratownictwa itd. Dla nas jednak źródłami mogą być tylko relacje bezpośrednich świadków wydarzeń. Są one następujące:

1) Relacja Mariusza Zaruskiego, wówczas kierownika Pogotowia (z tytułem Naczelnika Straży Ratunkowej). Zachowała się ona w trzech ujęciach:

a) wpis do Księgi Wypraw Pogotowia dokonany własnoręcznie przez Zaruskiego bezpośrednio po wypadkach, opatrzony pieczęcią Pogotowia, mający charakter oficjalnego dokumentu (Księga Wypraw, str. 6)¹⁾,

b) artykuł pt. „Sprawozdanie z wyprawy ratunkowej po Stanisława Szulakiewicza i Klimka Bachledę“, drukowany w trzech częściach w czasopiśmie „Zakopane“ 1910 nr 21 s 4 n., nr 24 s 4 n. i nr 25 s 4 n.

c) rozdział pt. „Wyprawa po S. Szulakiewicza i Klimka Bachledę“ w książce pt. „Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe“, Warszawa 1922, str. 38 – 59 (relacja późna i nieco zbeletryzowana, ale zgodna z poprzednimi),

2) relacja Jana Jarzyny, uczestnika wyprawy na Mały Jaworowy 5 sierpnia 1910, spisana z jego opowiadania przez Ewę Kossak, dziennikarkę „Przekroju“ krakowskiego, w pół wieku po wypadkach, wydrukowana w „Przekroju“ nr 815 (z 20 listopada 1960) str. 10 n). Choć późna, bezcenna jako źródło do wydarzeń 5 sierpnia,

3) Relacja Jerzego Żuławskiego (znanego pisarza, członka TOPR), zawarta w artykule pt. „Za zwłokami Klimka Bachledy“ („Zakopane“ 1910 nr 20 str. 2 – 5). Żuławski, który w krytycznych dniach 5 – 6 sierpnia był gdzie indziej w górach, do akcji ratowniczej włączył się dopiero w czwartek 11 sierpnia, tak że bezpośredni udział brał tylko w poszukiwaniach zwłok Klimka Bachledy do chwili złożenia ich w Jaworzynie. Jest więc świadkiem naocznym i kompetentnym, choć tylko częściowym.

PRZEBIEG WYDARZEŃ

W czwartek 4 sierpnia 1910 r., trzech studentów Politechniki Lwowskiej: Józef Bizoń, Jan Jarzyna i Stanisław Szulakiewicz wyruszyło furką góralską z Zakopanego do Jaworzyny Spiskiej z zamiarem podjęcia następnego dnia próby pierwszego przejścia północnej ściany Małego Jaworowego Szczytu. Nie wiemy niestety, czy poprzednio zabawili jakiś czas pod Tatrani i czy odbyli jakieś wspinaczki treningowe, czy też po przyjeździe do Zakopanego bezpośrednio wyruszyli w góry, co samo przez się byłoby błędem, gdyż nawet wytrawni wspinacze potrzebują pewnego czasu na aklimatyzację. Podobne błędy jednak zdarzały się i później taternickim znakomitościom (W. Birkenmajer). Jakkolwiek było, 4 sierpnia pojechali do Jaworzyny, przewędrowali pieszo przez całą długość Doliny Jaworowej i wieczorem stanęli na jej górnym tarasie. Założyli biwak w kosówce i zanocowali pod gołym niebem przy mżącym deszczu, który nie odbierał im nadziei, że nazajutrz się rozpogodzi. Nadzieje zdawały się potwierdzać, bo ranek 5 sierpnia był piękny i zachęcający do wyprawy. Kiedy zwiłali nocleg, doszło do sprzeczki pomiędzy Bizoniem a Szulakiewiczem. Relacjonujący te fakty Jarzyna poskąpił nam wyjaśnienia jej przyczyny. Opowiada tylko że poszło „o drobiazg“. W świetle następnych i poprzednich wydarzeń można jednak podejrzewać, że poszło o samopoczucie Szulakiewicza, który już poprzedniego dnia, podczas podróży furką, bywał chwilami jakiś dziwny, przybladły i nieobecny myślami. Te same objawy wystąpiły nieco później tego ranka, a i potem, w czasie wspinaczki, szło mu niedobrze. W każdym razie Bizoń nagle zrezygnował z wycieczki, zabrał swoje rzeczy i ruszył w dół doliną. Nie zrażeni tym dwaj pozostali, tj. Jarzyna i Szulakiewicz, podeszli na przeciwległy stok (Sobkowej Grani?) i korzystając z doskonałego, bocznego oświetlenia (a dzień był, jak się rzekło, bardzo pogodny), zrobili szkic ściany którą zamierzali pokonać i wytyczyli planowaną drogę. Następnie zeszli z powrotem do swego biwaku, wybrali rzeczy najpotrzebniejsze, a więc trzewiczki, zwane wtedy kleterkami, buty (kute, turystyczne, bo wibramów długo jeszcze nie było), liny i nieco żywności. Resztę zostawili w maliniakach i ruszyli w skałę.

Nie posiadamy opisu ich drogi. Kompetentny znawca, autor przewodnika taternickiego pt. „Tatry Wysokie“, W. Paryski domyśla się (w części XV swego dzieła, wydanej w 1972 r.), że poszli drogą obraną w rok później (13 lipca 1911) przez braci Komarnickich. Można by przypuszczać, że Komarniccy korzystali początkowo ze szlaku wytyczonego przez swych poprzedników, którzy w miarę posuwania się naprzód, kopczykowali drogę, co poświadcza Jarzyna. Weszli więc prawdopodobnie w skały lewą, piarzystą zatoką, kierując się następnie ku środkowi ściany. Jarzyna wspomina w tej partii tylko „bardzo stromy komin“, który dzisiejsze przewodniki wolą nazywać rysą. Szulakiewicz był ciągle w złej formie. Szedł prawie cały czas

jako drugi, pozwalając prowadzić towarzyszowi, co w rezultacie przyczyniło się do katastrofy. Jarzyna, widząc to, próbował namówić go na zmianę trasy, do obrania jakiejś łatwiejszej drogi niż północna ściana Małego Jaworowego, ale Szulakiewicz odmówił. I znów nasuwa się analogia z zachowaniem W.Birkenmajera na wspomnianym już wschodnim filarze Ganku, który sugestią St.Grońskiego, aby pójść na jakąś łatwiejszą wyprawę, nazwał nawet „szerzeniem defetyzmu“.

Jarzyna i Szulakiewicz przeszli już jakieś 2/3 zdobywanej ściany, czyli 300 metrów, kiedy dotarli do dość obszernej platformy, pokrytej drobnym piaskiem i wielkimi blokami. Zatrzymali się tam na krótki odpoczynek. Było około południa, szli jakieś cztery godziny, czyli musieli wyjść stosunkowo późno, około ósmej.

Przed sobą mieli litą ścianę szczytowej turni, zbyt trudną, aby atakować ją wprost. Zdobyli ją dopiero trzydzieści lat później (16 lipca 1951) dwaj wspinacze słowaccy: Z.Mużak i J.Slama. W roku 1910 była nie do pokonania, cofnęli się przed nią także bracia Komarniccy.

„Mały wypoczynek“ trwał jednak około godziny (jeśli brać dosłownie czasy podawane po latach przez Jarzynę). Pogoda psuła się, z góry zsuwała się na wspinaczy mgła, która utrudniała ocenę odległości i sprawiała, że Jarzyna liczył, że do szczytu mają około 250 metrów, choć w istocie było ich tylko 150.

Zaczęli się wspinać nieco w prawo, kierując się do grani, aby nią dopiero osiągnąć wierzchołek. Tu jednak nastąpiła katastrofa. Jarzyna, który szedł jako pierwszy, poczuł skurcz w przegubie i sztywność w palcach prawej dłoni. Skutkiem tego odpadł od ściany, zrywając Szulakiewicza ze stanowiska asekuracyjnego. Zaczęli spadać obaj. Uratowała ich lina, którą byli związani: zaczepiła się o jakiś występ skalny i wytrzymała siłę upadku, choć skała przecięła ją do 3/4 grubości (była to lina z manili grubości zapewne 13 mm²). Dwaj wspinacze zawisli na dwu jej końcach jak wahadła.

Pierwszy ocknął się z szoku Jarzyna. Po chwili usłyszał jęki Szulakiewicza. Sam leżał głową i rękami w dół. Powoli przyjął normalną pozycję, idąc za kierunkiem liny wydostał się na płasienkę i wciągnął na nią swego towarzysza. Ten jednak doznał poważniejszych obrażeń, jęczał i skarżył się na ból w krzyżach i w łokciu. Późniejsza obdukcja jego zwłok, dokonana w Jaworzynie, stwierdziła uszkodzenie kręgosłupa, nic dziwnego zatem, że nie mógł chodzić. Jarzyna usiłował wzywać pomoc świstawką alarmową, prawdopodobnie kodem ustalonym przez Zaruskiego: sześć sygnałów (wzrokowych lub słuchowych) na minutę w odstępach dziesięciu sekund. Jednak prawdopodobieństwo, że ktoś usłyszał sygnał, było żadne. Tym bardziej, że gęste mgły i deszczowe chmury tłumiły dźwięki.

Kiedy ponad godzinny odpoczynek nie przywrócił Szulakiewiczowi zdolności wspinania się (czemu my się nie dziwimy, ale obaj towarzysze nie znali jeszcze

powagi jego obrażeń), Jarzyna stanął wobec najtrudniejszej dla taternika decyzji, to znaczy wobec konieczności opuszczenia rannego towarzysza w górach, celem sprowadzenia mu pomocy. Przywiązał więc Szulakiewicza do bloku skalnego, aby nie zsunął się w przepaść, z której dopiero się wydobyli, nogi włożył mu w plecak, zostawił całą żywność jaką posiadali, dwie tabliczki czekolady i pięć jabłek, nałapał do kubka wody spływającej ze skał. Następnie na chustce do nosa zawiązał na rogach węzły i umieścił ją na występie skalnym, aby oznaczyć miejsce wypadku. Chustka spełniła swą rolę, gdyż ratownicy zauważyli ją i kierowali się w jej stronę. Po tym wszystkim nie pozostało Jarzynie nic innego, jak ruszać w dół.

Nie było to zadanie łatwe, schodzić niedawno dopiero pierwszy raz przebytą do góry drogą samotnie, w burzy gradowej, która właśnie się rozpętała. Woda spadająca kaskadami wlewała mu się za kołnierz, całkowicie go przemaczając. Dwukrotnie zjeżdżał na linie przewleczonej przez karabinek haka byle jak w białego w skałę, dwukrotnie odpadał od ściany, ale udawało mu się zatrzymać. Niebawym szczęściem dotarł wreszcie do podnóża skał, zatrzymując się na cyplu nad płatem zlodowaciałego śniegu, od którego dzieliła go jeszcze szczelina brzeżna. Pokonał ją podobno zeskokiem. Niemożliwe udało się: na stromym śniegu, na który spadł, wyhamował (bez czekana?) i już względnie bezpiecznie ruszył w dół, w dolinę. Jeśli nawet pewne szczegóły tej odysei, opowiedziane po latach i zapisane przez dziennikarkę mogą budzić wątpliwości, to i tak Jarzyna musiał być w nieprawdopodobnej kondycji fizycznej, nie mówiąc już o wytrzymałości psychicznej i niebawym szczęściu.

Odszukał miejsce ich biwaku poprzedniej nocy. Z pozostawionych tam rzeczy zabrał pelerynę i popędził w dół, przez całą długość Doliny Jaworowej do Jaworzyny. Zmęczenie po przebyciu w czasie upadku szoku i po trudnym zejściu dawało znać o sobie. Miał jakieś halucynacje, widział przed sobą nieistniejące zamki, ale nie zemdlał. Dotarł do Jaworzyny, nie mającej wówczas połączenia telefonicznego z Zakopanem (państwowa granica węgiersko – galicyjska), więc musiał iść dalej, do Łysej Polany i drogą do Morskiego Oka (razem około 30 km), gdzie w schronisku był telefon. Na dole, nad Jaworzyną i Łysą Polaną rozpogodziło się. Widział z drogi ściany Młynarza w zachodzącym słońcu „jak rozpalone żelazo“.

Dotarł wreszcie do Morskiego Oka – i tu postąpił w sposób niezupełnie dla nas zrozumiały. Zamiast osobiście porozumieć się z Pogotowiem, tzn. konkretnie z Zaruskim i zorientować go w sytuacji, zlecił to komuś innemu (nie wiemy, komu) – i popędził z powrotem do Jaworzyny, choć była już noc, chyba po to, aby jak najszybciej zorganizować pomoc dla rannego towarzysza.

Zaruski odebrał telefon z Morskiego Oka od niejakiego p. Jamrugiewicza^{3/}, członka TT, o godz. 22.15. Jarzyna zatem musiał przybyć do schroniska około 10 wieczór. Dowiedziawszy się, że przy Morskim Oku znajduje się przewodnik

Wawrytko, Zaruski polecił mu, aby wzięwszy kogoś do pomocy, z noszami i apteczką udał się na miejsce wypadku, sam zaś zaalarmował Pogotowie i o godz. 23.15 wyruszył z pięcioma doświadczonymi ratownikami i sprzętem dwiema furmankami góralskimi, podobnie jak poprzedniego dnia wspinacze lwowscy, do Jaworzyny, dokąd przybyli „szarym świtem“ w sobotę 6 sierpnia. W Jaworzynie dołączyło do nich w charakterze ochotników czworo doświadczonych taterników – amatorów. Już w drodze zaczynał padać deszcz.

Tymczasem Jarzyna dobiegł do Jaworzyny chyba jeszcze przed północą. Nie mogąc o tej porze nic zdziałać, położył się spać w miejscowej szkole. Po tylogodzinym wysiłku było to konieczne. Około 4 nad ranem obudzili go gajowi (tzw. jagrzy) ks. Hohenloego, do którego dóbr tatrzańskich należała wtedy Dolina Jaworowa. Musieli już słyszeć o wypadku i zaproponowali przyjscie z pomocą.

W ten sposób, 6 sierpnia wczesnym rankiem (było lato, mimo niesprzyjającej pogody świt był wczesny), wyruszyły – nie wiedząc o sobie – dwie ekipy ratownicze: grupa jagrów z Jarzyną na czele oraz Zaruski z pięcioma ratownikami Pogotowia i kilku taternikami – ochotnikami. Pierwszy przybył pod ścianę Jarzyna. Jednak jagrzy, zobaczywszy teren w którym mieliby działać, odstąpili od przedsięwzięcia. Brakowało im chyba odpowiedniego przygotowania alpinistycznego, a zapewne i sprzętu. Jarzynie pozostawało więc tylko oczekiwanie na przybycie Pogotowia. Stało się to około 7 rano. Jarzyna wręczył Zaruskiemu wykonany przed 24 godzinami szkic ściany i udzielił stosownych wyjaśnień. Chciał wziąć udział w dalszym ciągu akcji, idąc na linie „na trzeciego“. Zaruski jednak odmówił, chyba słusznie. Znużony do ostateczności Jarzyna mógł łatwo stać się kolejną ofiarą. Lwowianin udał się więc, jak poprzedniego dnia, na przeciwległe zbocze i stamtąd obserwował posuwanie się ekipy ratowników.

Ci weszli tymczasem w ścianę i po kilku próbach znaleźli szlak opisany przez Jarzynę, orientując się według pozostawionych przez wspinaczy kopczyków. Szły dwie grupy, osobno związane linami. W pierwszej znajdował się Klimek Bachleda, Mariusz Zaruski i Stanisław Zdyb, a w drugiej Roman Kordys i Aleksander Znamięcki. Pogoda była fatalna. „Na dole“, czyli tam, gdzie stał Jarzyna, mżyło, a około południa zaszła taka mgła, że nie mógł już obserwować ratowników. W górze, wśród skał, padał deszcz zmieszany z gradem i śniegiem, biły pioruny.

Posuwano się naprzód bardzo powoli. Około 12.30 ratownicy byli – według Zaruskiego – o jakieś 80 do 100 metrów od Szulakiewicza. Zdawało się im nawet, że słyszą jego wołania. Niebawem zaklinowała się w skałach przemoknięta lina, łącząca Zaruskiego z Bachledą, który odwiązał się i dalej szedł bez asekuracji. Nieco cieplej ubrany od towarzyszy (w serdak i góralskie, sukienne spodnie), czuł się trochę lepiej, podczas gdy pozostali byli u kresu sił.

Kiedy Zaruski spostrzegł, że nie wyczuwa już chwytu, choć widział na nim swoją dłoń (skutki niedotlenienia), wiedziony instynktem dowódcy odpowiedzialnego za swoich podkomendnych, zarządził odwrót. Wołał do Klimka, aby wracał, jednak ten, usłyszawszy widocznie głos, odwrócił się i machnął ręką w kierunku grani, przez którą można było przejść do Doliny Rówienek, gdzie teren jest znacznie łatwiejszy i nie posłuchał wezwania. Odwrót oznaczał porzucenie na pastwę losu Szulakiewicza, który nie mógł przeżyć nadchodzącej nocy, przemoknięty do nitki i w temperaturze poniżej 0°. Posuwanie się naprzód groziło jednak odpadnięciem i pewną śmiercią samych ratowników. Kordys i Znamięcki zeszli już wcześniej. Zaruski ze Zdybem czekali jeszcze na Bachledę około 45 minut, następnie zaczęli schodzić. W drodze zasypiali ze zmęczenia na stanowiskach asekuracyjnych i spadali na siebie. Przed rozpoczęciem schodzenia usłyszeli łoskot kamiennej lawiny, która – jak się potem okazało – porwała Klimka i rzuciła około 200 m w dół, masakrując jego ciało i zabijając go na miejscu. Musiało to być około godz. 13.00. O tym jednak Zaruski i Zdyb wtedy nie wiedzieli. Wreszcie o godz. 18 znaleźli się u stóp skał, gdzie oczekiwał ich członek Pogotowia, Paweł Kittay i razem z nim, w deszczu i ciemnościach, dobrnęli do Jaworzyny o godz. 23.00.

Tak zakończyła się właściwa tragedia na Małym Jaworowym, która pochłonęła życie dwóch ofiar: dobrze zapowiadającego się taternika – Stanisława Szulakiewicza i „króla przewodników tatrzańskich”, członka Pogotowia Ratunkowego – Klemensa Bachledy. Obaj zginęli prawie równocześnie. Klimek, jak wspomniano, 6 sierpnia 1910 około godz. 13.00, a Szulakiewicz zapewne niewiele później (około godz. 13.00 żył jeszcze, skoro wzywał pomocy). Okropnej nocy z 6 na 7 sierpnia nie przeżył na pewno, lecz zmarł z powodu wyziębienia i obrażeń odniesionych poprzedniego dnia podczas upadku.

Następne dni: niedziela – środa (7 – 10 sierpnia) wypełnione było wydarzeniami już nie tak tragicznymi, ale bolesnymi i pełnymi trudu. Trzeba było znieść ze skał i pogrzebać obydwie ofiary. Najpierw szło o Szulakiewicza, dopiero później o Bachledę, bo myśl o jego śmierci niełatwo dotarła do świadomości ratowników, którzy początkowo nie mogli sobie wyobrazić, aby wspinacz i znawca gór tej miary jak on, mógł paść ich ofiarą. Oczekiwano, że przez grań Jaworowych Turni przedostał się do Doliny Rówienek, a stamtąd do Doliny Białej Wody, by przez Roztokę lub Łysą Polanę dotrzeć do Zakopanego. Poszukiwanie Bachledy, a później jego zwłok, szczegółowo przedstawili Zaruski i Żuławski. My wspomnimy o nich w skrócie, bowiem stanowiły tylko konsekwencję i epilog wypadków z 5 i 6 sierpnia.

Rzecz charakterystyczna, że Zaruski w swoich relacjach nie wspomina o wysiłkach dotarcia do ciała Szulakiewicza przedsięwziętych samodzielnie przez Jarzynę. Znajduje to usprawiedliwienie w fakcie, że pozostały one bezskuteczne, a

Zaruski relacjonował tylko działania pozostające pod jego komendą. Historyk jednak nie może pominąć i tej, choć mniej ważnej grupy wypadków. Jarzyna mianowicie, straciwszy kontakt wzrokowy z grupami Zaruskiego i Kordysa w ścianie, czekał na rezultat ich wysiłków „do zmroku“, czyli do jakiejś godz. 17.00, bo słyszał głosy wycofujących się, a około godz. 18.00 byli oni już pod skałami. Wówczas oddalił się do Zakopanego, aby zorganizować nową wyprawę, zapewne złożoną ze znajomych taterników, choć nie wątpił, że Szulakiewicz już nie żył. Nazajutrz, czyli w poniedziałek 8 sierpnia, był ze swoimi towarzyszami u stóp Małego Jaworowego. Ustalono, że ratownicy wejdą w ścianę, a Jarzyna będzie przy pomocy alfabetu optycznego („wedle alfabetu Morse’a“, notuje niedokładnie Ewa Kossak, bo w istocie szło prawdopodobnie o system sygnalizacyjny, wprowadzony w Pogotowiu przez Zaruskiego, opisany przezeń w książce pt. „Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe“, Warszawa 1922, str. 141 – 144) z przeciwległego stoku, jak 6 sierpnia, kierował ich ruchami.

Ta próba jednak zawiodła. Ostatecznie zwłoki Szulakiewicza odnalazła w poniedziałek 8 sierpnia o godz. 11.30 dowodzona przez Zaruskiego grupa 9 ratowników. Tego dnia spuszczone je na linach, wśród wielkich trudności technicznych, aż do niższej partii skał, skąd dalszy transport był już łatwiejszy. Nie udało się jednak tego dokonać w ciągu dnia i ratownikom wypadło w jakimś zabezpieczonym od spadających kamieni miejscu zanocować przy ciele. Dopiero następnego dnia, we wtorek 9 sierpnia, ciało wraz z ratownikami znalazło się w dolinie ok. 6 rano.

Tam Zaruski otrzymał wiadomość, że Bachledy w Zakopanem nie ma. Trzeba było zorganizować nowe poszukiwania, co sprawiło, że ciało Szulakiewicza dopiero następnego dnia, w środę 10 sierpnia o godz. 18.30 zniesiono na Polanę Jaworzyńską, gdzie przy pochodniach komisja sądowo – lekarska z Kieżmarku dokonała oględzin, stwierdziła przyczynę zgonu i zezwoliła na odtransportowanie zwłok w zalutowanej trumnie do Zakopanego. Z ciałem wrócił do Zakopanego również J.Jarzyna, aby już do końca życia więcej nie wspinać się, choć nadal uprawiał narciarstwo. To także przypadek nie odosobniony w dziejach taternictwa: tak J.Krókowski poniechał sportu wspinaczkowego po śmierci siostry Zofii, znanej taterniczki, która zginęła z J.Honowską na Oстрыm Szczycie w 1928 r.

Tymczasem wypadło zająć się losem Klimka, którego w pięć dni po zaginięciu 6 sierpnia nie spodziewano już znaleźć żywym. Wiadomość o tym fakcie rozeszła się błyskawicznie w środowisku taternickim polskim i węgierskim, gdyż Bachleda był tu od dawna bardzo ceniony i popularny. U nas nazywano go „królem przewodników tatrzańskich“ i „orłem skalnym“, a niemiecki klient – alpinista zapisał o nim w jego książce przewodnickiej: „der beste Kletterer den ich kenne“. Do Jaworzyny zaczęli więc napływać ochotnicy, ofiarując swą pomoc. Z ludźmi Zaruski kłopotu więc nie

miał. Gorzej było z ustaleniem faktycznego stanu rzeczy, czyli ze stwierdzeniem, czy Klimka faktycznie w Zakopanem nie ma. Trudność polegała na tym, że Jaworzyna nie miała telefonicznego połączenia z Zakopanem. Można było tylko łączyć się telegraficznie przez Jaskinie Bielskie (dziś Tatrzańska Kotlina) w odległości 20 km od Jaworzyny, wysyłać gońca i czekać na wiadomość od niego, albo posyłać kogoś do schroniska w Morskim Oku.

Zaruski próbował wszystkich sposobów: telegrafował, wysłał gońca do Zakopanego, a jednego z ratowników do telefonu w Morskim Oku. Goniec pobałamucił: gdyby Klimka zastał w Zakopanem, miał (chyba dla uniknięcia kosztów) żadnej informacji do Jaworzyny nie przysyłać. W rzeczy samej nie przesłał, co spowodowało nieporozumienie. Dopiero następnego dnia, w czwartek 11 sierpnia, kiedy okazało się, że Klimka w Zakopanem nie ma, wyprawa ruszyła na górne piętro Doliny Jaworowej, ale mgły i deszcze uczyniły poszukiwania w skałach bezcelowymi. Wobec tego wrócono wieczorem do Jaworzyny i następnie do Zakopanego wozami dyrekcji dóbr jaworzyńskich hr. Hohenloego, która na polecenie właściciela okazywała ratownikom wszelką pomoc.

W piątek 12 sierpnia o godz. 3.15 pojechało do Jaworzyny 18 ludzi (12 członków Pogotowia i 6 ochotników). Następnego dnia, w sobotę 13 sierpnia, wyruszono o 3.15 czterema oddziałami w głąb doliny. Każdy oddział miał osobnego kierownika i zadanie. O godz. 11.00 oddział prowadzony przez Zdyba wypatrzył z góry zwłoki Klimka w żlebie, wprost pod turnią, pod którą ostatni raz go widziano. Potwierdzało to domysł, że spadł z kamienną lawiną, której łoskot wówczas słyszano.

Pierwsza część zadania została wykonana – zwłoki zlokalizowano. Ale potrwało jeszcze kilka dni, zanim można było do nich dotrzeć i znieść je w dolinę. Na przeszkodzie stały wciąż niekorzystne warunki atmosferyczne: ciągle ulewy, zamarzająca nocą na ścianach woda. Trzeba było czekać do południa, aż słońce rozpuściło oblodzenia, albo sprawiło, że odpadały płatami. Wyprawy szły jedna za drugą i wracały, nie osiągnąwszy celu. Dopiero w poniedziałek 15 sierpnia trzech przewodników: Marusarz, Tylka i Wawrytko, dotarło o godz. 14.15 do zwłok, zaszyło je w siennik i na linach spuściło na piargi. O 18 czy 19 grupa wraz z Zaruskim i Jerzym Żuławskim zniosła je na Polanę Jaworzyńską, gdzie poddano je oględzinom sądowo – lekarskim, a raczej chyba tylko oficjalnemu rozpoznaniu, gdyż przyczyna śmierci była jasna nawet dla laika, tak dalece zwłoki były zmiażdżone i połamane w czasie upadku. Po tych czynnościach złożono ciało do trumny i po jej zalutowaniu przeniesiono do samej Jaworzyny. We wtorek 16 sierpnia o godz. 9.00 złożono trumnę na wozie przy dźwiękach dzwonu miejscowego kościółka i przewieziono do Zakopanego, gdzie około południa złożono je w starym kościele przy ul. Kościeliskiej.

Pogrzeb Klimka Bachledy, który odbył się w Zakopanem w środę na nowym cmen-



Po wyprawie po Klimka Bachledę. Fot. S. Zdyb.

tarzu przy ul. Nowotarskiej z udziałem Pogotowia Ratunkowego w pełnym rynsztunku, ludności góralskiej w paradnych strojach i tysięcznej rzeszy „gości“, był spontanicznym aktem hołdu złożonym bohaterskiemu przewodnikowi i ratownikowi, który starał się swoje powołanie wypełnić do końca, nawet z narażeniem życia. Potem na grobie stanął wielki blok z granitu.

Wydarzenia z pierwszej połowy sierpnia 1910 r. na północnej ścianie Małego Jaworowego weszły rychło – z racji wyjątkowego natężenia dobrej woli uczestników, posuniętego aż do granic poświęcenia – do „złotej legendy“ Tatr i Zakopanego, no i oczywiście TOPR – u. Opracowywane były wielokrotnie jako motyw literacki, czemu początek dał sam Zaruski. Wypadało więc w 85 rocznicę przypomnieć możliwie dokładnie odtworzony przebieg, a zamkniemy jego opis piękną legendą góralską, współczesną opisywanym wydarzeniom i związaną z nimi, lecz zapisaną dopiero po latach przez Adama Uziembłą w książce pt. „Ludzie i Tatry“ (Kraków 1987, str. 123–127). Autor obracał się około r. 1910 w środowisku taternickim i brał udział w niektórych wyprawach Pogotowia, np. po Aldonę Szystowską w r. 1912. W wydarzeniach na Małym Jaworowym nie uczestniczył, a opowieść, jaką o nich z zasłyszanych wieści przytoczył, zawiera nieco bałamuctw (str. 120–123). Tym cenniejsze jest jednak opowiadanie z pierwszej ręki, które powtórzył za swym gospodarzem Józefem Gąsienicą Ciulańczem, u którego mieszkał w tych latach, przy ul. Kościeliskiej w Zakopanem.

W wyobraźni zakopiańskich górali znane w różnych górach świata zjawisko tzw. „widmo (mamidło) Brockenu“ skojarzyło się z sylwetką Mnicha nad Morskim Okiem, który miał niekiedy ukazywać się górskim wędrowcom. Jego pierwsze pojawienie się stanowiło ostrzeżenie dla tego, któremu się ukazał, że w górach grozi mu niebezpieczeństwo życia; drugie zapowiadało niebezpieczeństwo bliskie, po którym lepiej się było z gór wycofać – trzecie poprzedzało bezpośrednio samą śmierć ostrzeganego. Wiara ta była wedle Ciulacza rozpowszechniona wśród przewodników tatrzańskich. Otóż Mnich miał się już dwukrotnie ukazać Klimkowi, który wobec tego zamierzał kariery przewodnickiej zaniechać, pomimo sławy, jaką był w kołach turystycznych otoczony (skończył zresztą 60 lat życia). – „Ale” – zwierzał się ponoć Klimek swemu przyjacielowi, Ciulaczowi – „*jest Pogotowie pana Zaruskiego. Trza ratować ludzi. To jak mnie, pierwszego przewodnika, na ratunek wołają, to mus iść. To nie można wtedy zaprzec się. To myśmy przyrzeczenie składali*”. I niebawem przyszło wezwanie na wyprawę po Szulakiewicza. Wtedy – nie czekając na jej wynik – Ciulacz poszedł na plebanię i zamówił mszę za Klimka, bo to „*trudno mu będzie, oj, trudno*”. [...] – No i wiadomo, co było. „*I tak myślę, że tam, na tej ścia nie, to Klimek ujrzał onego Mnicha po raz trzeci [...] i pacierz ostatni zmówił.*”

- 1/ Jej odpisu dostarczył mi zamieszkały w Zakopanem przyjaciel, mgr Mieczysław Kłapa, któremu na tym miejscu składam serdeczne podziękowanie.
- 2/ W zapisie Ewy Kossak z relacji Jarzyny pojawia się tu fantastyczna liczba 28 mm, polegająca niewątpliwie na jakimś nieporozumieniu. W pierwszej połowie naszego wieku liny asekuracyjne miały – w Tatrach i w Alpach – od 11 do 13 mm grubości, a tzw. zjazdówki było jeszcze cieńsze – 8 mm).
- 3/ To nazwisko tylko u Zaruskiego w relacji a); w relacji b) twierdzi, że nazwiska w telefonie nie dosłyszał.



Tablica Klimka Bachledy
z symbolicznego cmentarza
pod Osterwą.
Fot. M. Zaremba.

DROGA WYKŁĘTYCH

Marek Stefański

„Pokolenie powojenne dowiodło swej całkowitej samodzielności, jednak jego wielkie dni przyjsć miały dopiero w latach 1955-1957. Pojawia się w Tatrach Jan Długosz - młody taternik o wybitnej indywidualności, którego inicjatywa i konsekwentnie realizowany program otworzyły w taternictwie nowy etap.”

Michał Jagiełło i Andrzej Paczkowski, (1985)

„W 1961 roku uwaga całego świata alpinistycznego skierowana była na Centralny Filar Freney w południowej ścianie Mont Blanc - kolejny ostatni problem alpejski’.”...

Janusz Kurczab, (1985)

Janek był najwybitniejszym taternikiem mojego pokolenia i pod koniec krótkiego życia należał do światowej czołówki alpinistów. Trudną drogę do uznania przebył w osamotnieniu. Przez długie lata był nie rozumiany i nie doceniany nawet przez najbliższych przyjaciół. Posądzano go o brak charakteru, infantylizm, tymczasem okazał się silny i konsekwentny. U szczytu sławy zginął w górach mając trzydzieści trzy lata.

*

Jeszcze podczas kursów wspinaczki dla początkujących zwróciłem uwagę na jegomościa, który zachodził do Klubu Wysokogórskiego, ale trzymał się z dala od wszystkich.



– Kto to jest ten facet, w dość grubych okularach, blondyn z lekko kręconymi włosami? Jak go ktoś zagadnie to odpowiada krótko, nerwowo i przez nos?

– To Palant – powiedział jeden ze starszych stażem kolegów. Dziwny facet, trochę narwany. Wspina się jakoś bez głowy, niebezpiecznie, pewnie się wkrótce ubije. Nic sobie nie da powiedzieć; nikt nie chce z nim chodzić.

Rok później, mając kilka dni wolnych od nauki, udałem się na Halę Gąsienicową. W Betlejemce^{1/} trwał właśnie obóz taternicki zorganizowany pod przykrywką CWKS^{2/} przez byłych członków naszego niedawno zlikwidowanego Klubu. Odnalazłem Zbyszka Jaworowskiego.

– Baca, mam trzy dni wolnego i jestem sam. Czy ktoś z was zechciałby się ze mną powspinać?

– Nikt z obozu, bo pewien oficerek nas kontroluje, ale jest na Hali „taki jeden Palant nieprzeciętny” – Baca swoim zwyczajem zaakcentował cudzysłów, – który też jest sam. Teraz wołają do stołu; zapoznam cię z nim jak nas tylko nakarmią.

– Słyszałem, że to jakiś nieodpowiedzialny facet.

– Przecież wiesz, że nie poleciłbym ci byle kogo. Nie słuchaj tych co obszczekują bliźnich.

Chwilę później, w drodze do Murowańca spotkałem Palanta:

– Dzień dobry, jestem Marek Stefański. Baca mówił, że kolega nie ma towarzysza do wspinaczki. Czy nie moglibyśmy pójść gdzieś razem? Już mam kilka ładnych dróg za sobą, jak Południowa Zamarłej, więc może się nadam?

– Po pierwsze nie jestem „kolega” tylko Janek Długosz. Po drugie – bardzo chętnie. Gdzie śpisz? Dokąd pójdziemy?

Nazajutrz do południa zrobiliśmy, w dobrym stylu, nadzwyczaj trudną Zachodnią Kozich Czub. Przed nami wspinał się jakiś zespół i kilka razy spuszczał niewielkie kamienne lawiny. Niezupełnie zdawałem sobie sprawę z zagrożenia i niecierpliwiłem

1/ – Betlejemka – pomocnicze schronisko, przystosowane z góralskiego szałas.

2/ – CWKS – Centralny Wojskowy Klub Sportowy

się gdy Janek kazał mi przeczekiwać niebezpieczne chwile pod przewieszkami. Wspinał się średnio dobrze, a do prawidłowej asekuracji przykładal tyleż wagi co ja.

Pod wieczór postanowiliśmy „wkosić” jeszcze drogę Wicherkiewicza i Siedleckiego na wschodniej Ścianie Zamarłej Turni^{3/}. Na mnie przypadło kluczowe, skrajnie trudne miejsce. Podszedłem, w lekko przewieszonym terenie pod wydatniejszą przewieszkę, wczepiony lewą ręką do skały wbilem hak, wpiąłem linę, z trudem podszedłem dwa metry wyżej i znów, tym razem znacznie bardziej wywieszony na tejsze lewej ręce, na kiepskim chwycie, szybko odpinałem z pasa krótką łyżkę, czując, że zaraz chwyt mi się wymknie ze zdrętwiałych palców. Ostatkiem sił zdołałem włożyć łyżkę w szczelinę wysoko nad głową i opuścić się do poprzedniego haka.

Za chwilę tam wrócę by poklepać młotkiem tę cholerną łyżkę – powiedziałem. Niestety lewą rękę miałem tak zmęczoną, że mimo wielokrotnych prób nie udało mi się już dotrzeć do łyżki. Pewnie jestem nie dość dobry dla Palanta – myślałem.

– Janek, daję za wygraną – wydusiłem wreszcie – może ty tam wleziesz.

Janek oblegał przewieszkę przez dobre pół godziny, równie bezskutecznie, więc zmęczeni, musieliśmy się wycofać na Kozią Przełęcz. Niepowodzenie i zaraz po tym klęska przypieczętowały naszą przyjaźń.

Uspodobienia i podejście do życia mamy odmienne – mówiłem po powrocie do Krakowa – ale dzięki temu nigdy się z nim nie nudzę. Niektórzy moi przyjaciele nie mogli się do niego przekonać. – Jeśli tam z tobą ma być Palant to ja wolę pójść gdzie indziej – mawiali, gdy proponowałem wspólną wyprawę w skałki. Tak więc Janek zmuszał mnie do swego rodzaju „podwójnego życia”, raz z nim, raz z innymi. Było to dość kłopotliwe, a jednak zaciekał mnie i nie zamierzałem z tej przyjaźni wycofywać się.

– Co prawda – myślałem – nie wszystko o nim wiem, jest zagadkowy. Czy można się przyjaźnić z kimś kogo się dobrze nie zna i nie rozumie? Kto zazdrośnie strzeże swych tajemnic?... Właściwie dlaczego nie? Może z biegiem czasu będzie bardziej otwarty?

W owym czasie Janek nie miał wielu przyjaciół. Z początku chyba tylko Baca, potem ja i z kolei Rubinek, z pewnością także Jurek Pilitowski. Teraz, po latach myślę, że Jankowi brak było pewności siebie. Łatwo przybierał obronną, sarkastyczną postawę, co zrażało kolegów. Dla nas, przyjaciół był cieplejszy, czasem niemal wylewny. Niemal – bo na dnie zawsze tkwiło coś, czego nie ujawniał nikomu. Przyjmowaliśmy go takim jaki był. Ale czyśmy go doceniali?

*

3/ – Niejeden wspinacz średniej klasy – a takimi byliśmy wówczas – nabral się na tę drogę, bo choć krótka, była ona trudniejsza niż to podawał przewodnik.

– Janek, Zbyszek – zagadnąłem pewnego dnia Palanta i Rubinka – przerwijmy choć raz rutynę podkrakowskich Dolinek. Jedźmy w okolice Zawiercia, „odkryć” nowe tereny wspinaczkowe. Moja mama spędziła dzieciństwo w tamtych okolicach i opowiadała o ich niezwyklej urodzie.

W najbliższy weekend staliśmy się chyba pierwszymi taternikami z Krakowa, którzy przyjechali wspinać się w „Łódzkie”⁴ skałki, w okolicy Góry Zborów. Po biwaku, w porannym słońcu, kiedy Zbyszek, jedyny znośny kucharz, zajął się gotowaniem śniadania odłączyliśmy się z Jankiem na chwilę. Urzeczeni niezwyklej rzeźbą ostańców wyruszyliśmy na zwiedzanie. Za przewodnik służyło nam parę kartek z odręcznymi planami okolicy, które przysłał z Łodzi Sławek Chojnacki. Wkrótce każdy z nas podążył w innym kierunku. Wspiąłem się samotnie na łatwy kominek Ropuszy, posmakowałem rozległego widoku ze szczytu, a potem chciałem wejść następnym kominkiem, mocno przewieszonym na wysokości trzech metrów. Mocując się przez chwilę ze skałą próbowałem przepchać biodra przez przewężenie. Zmęczyłem się i zeskoczyłem.

– Trzeba się inaczej zabrać – mruknąłem ze złością – lecz na drugą próbę nie było czasu, bo właśnie rozległ się głos Rubinka: – Palant, Hareczek, gdzie się włóczycie, zupa stygnie, już wrzeszczę na was od kwadransa!

– Hej panowie, odkryłem kominek na pozór dziecinnie łatwy, ale niestety spadłem z niego. O tam za drzewami. Za chwilę znów tam pójde.

Po uraczeniu nas zupą z kostki i płatkami owsianymi na mleku w proszku Rubinek zarządził: – No wiara, teraz ja mam wychodne, a wy zmywacie gary.

Po chwili rozległ się wesóły głos: – No cóż, Hareczku, ten twój kominek nie był znów tak strasznie trudny.

Cholera z tym Rubinkiem, pewnie pierwsze wejście przeszło mi koło nosa!

Za drugim podejściem „zdobyłem” kominek bez wielkiego trudu, po czym przysła kolej na Janka. Stękał, wyrzekał, potem zaciął się i w milczeniu zeskakiwał ze cztery razy, aż do zmęczenia. Pierwszy raz widziałem go tak sfrustrowanego, choć starał się nadrabiać miną. – Pozwól rękom odpocząć, dopiero potem spróbuj znów. To tylko kwestia właściwego sposobu.

Widać było, że to drobne niepowodzenie jest dla Janka klęską, a nasze rady tylko go drażnią.

Tego dnia zrobiliśmy szereg pięknych powtórzeń. Dziewicę drogą normalną, oraz „od tyłu”, Podwójną Aspirynę i inne. Coraz to ktoś inny prowadził. Janek wspinał się doskonale, lecz w milczeniu, jak automat. Głośne kukanie i charakterystyczny „śmiech” rozlegały się z każdej skały.

⁴ – Skałki te nazywaliśmy „Łódzkimi”, ponieważ ich eksplorację wspinaczkową rozpoczęli Łódzianie: Władek Mańduk, Andrzej Wilczkowski i inni.

– Przysięgam Bogu, tych kukulek muszą tu być dziesiątki. Tylko trzy, najwyżej cztery pary – odezwał się we mnie amator – ornitolog. Samczyki właśnie tokują i pary przelatują z miejsca na miejsce. Stąd taka symfonia.

Wieczorem byliśmy zmęczeni, a Palant, przy nas zazwyczaj towarzyski, milczał, zaraz po kolacji znikł w śpiworze.

Nazajutrz zabraliśmy trzy liny i wszystkie haki. Postanowiliśmy podzielić się z pozorów nadzwyczaj trudną, hakową drogą na słonecznej ścianie, która wczoraj zachwycała nas swym kształtem.

– Nie ma żadnych śladów, chyba nikt tego jeszcze nie robił.

Wylosowałem dolną, przewieszoną rysę do półki, a Rubinek z półki na szczyt.

– Oczywiście mnie przypadnie zaszczyt wbijania haków – skarżył się Janek żalostnie.

– Cóż ci zależy, jedna droga więcej, jedna mniej...

– I tak pierwsze wejście liczy się dla wszystkich,

– To tak się mówi, ale najważniejszy jest pierwszy.

– No to losujmy jeszcze raz.

– O, nie! Tak będzie jak wylosowaliśmy. Hareczek zaczynaj!

Z wejściem na półkę techniką hakową uporałem się dość szybko mimo przewieszki. Właśnie zacząłem ściągać liny, kiedy usłyszałem Zbyszka:

– Jak nazwiemy tę drogę?

– Droga Wyklętych. Trzeba uczcić światło i sprawiedliwe decyzje naszych wspaniałych władz.

– Genialna myśl – przyklasnąłem – a więc Droga Wyklętych na Czołowej Ścianie. Nazwa ta była politycznym protestem, tak się bowiem zdarzyło, że poprzedniej zimy w Tatrach odbył się kurs dla instruktorów Sekcji Alpinizmu PTTK, jak nazwano szczątki rozwiązanego przez władze Klubu Wysokogórskiego. Janka i Zbyszka, oraz kilku innych przyjaciół, także wybitnych wspinaczy, nie przyjęto na kurs jako „element niepewny politycznie”. Kto im tak zaszkodził, jakie były kryteria ich „niepewności”? – Jak zwykle jakieś partyjne kacyki dyrgowały zza kulis. Janek zdawał się tym nie przejmować:

– Jeśli taternictwo ma polegać na zebraniu o łaskę i słuchaniu pańskiej trąby, to ja dziękuję – mówił.

– Pewnie nadrabia miną – myślałem. – Z drugiej strony, jemu rzeczywiście trudno się nagiąć do czegokolwiek, a przeciw idiotyzmowi komunizmu buntuje się jeszcze bardziej niż my wszyscy. Jakaż awantura mogłaby wybuchnąć, gdyby był z nami wówczas, gdy podczas obozu kazano nam poświęcić cały dzień na dojście do Poronina i zwiedzenie muzeum Lenina. Tuż przed owym kursem chciałem wycofać

się przez solidarność z „wyklętymi“, ale mi to Zbyszek wyperswadował:

– Nic nie osiągniesz, tylko sam siebie pograżysz, nie wygłupiaj się, idź na kurs. Im więcej swojej wiary tam będzie tym lepiej dla nas wszystkich.

Siedząc na półce i asekurując Zbyszka usiłowałem wymyśleć dalszy ciąg drogi. Pionowa, zupełnie gładka ścianka wydawała się nie do pokonania. Żeby choć jeden hak gdzieś wbić...

– Chyba się nie obejdzie bez żywej drabiny zawyrokowałem – z takiej wąskiej półki..., ale będzie draka.

Zbyszek, po dotarciu do mnie, wziął w garść młotek, dwa razy klepnął w wyszlifowaną na ślisko ściankę, rozległ się trzask i triumfalny okrzyk:

– Jest dziura na nasz klincał. Ma się to szczęście. Była zalana skorupką z wapienia. Po kilku minutach Zbyszek był na szczycie.

– To na pewno jedna z najpiękniejszych dróg w tej okolicy!

Jak zwykle najdłużej trwało wybijanie haków. Na „moim“ odcinku było ich z dziesięć. Palant, chwilami zawieszony głową w dół kłął i walił w haki aż iskry leciały. Trochę się przy tym rozpogodził. Za to po obiedzie gdzieś się zawieruszył i nie odpowiadał na wołanie. Kiedy już zaczęliśmy się niepokoić zjawił się roześmiany od ucha do ucha:

– Wkośliłem ten Kominek Hareczka już trzy razy. Chodźcie, pokażę wam jak to się robi.

Rzeczywiście zaimponował nam swym stylem, podchodził „zapieraczką“ bardzo wysoko, stawiając „na tarcie“ stopy obute w wibramy daleko na lewej, gładkiej ścianie. W pewnym punkcie, wsparty na prawej ręce przenosił głowę i tułów tuż ponad przewężenie, poniżej poziomu stóp, przechodził na moment do szerokiego rozkroku niemal szpagatu, tak charakterystycznego dla jego stylu, i łądował w kominie, ponad kluczowym miejscem.

– Naprawdę pięknie.

– No widzisz, a tak rozpaczałeś.

Palant promieniał.

– Przyznam, że nie było mi przyjemnie być gorszym.

*

Tej wiosny w Podkrakowskich Skalkach nie było żadnego kursu, a Rubinek większość czasu poświęcał swej narzeczonej – Teresce, toteż wszystkie weekendy spędzaliśmy z Jankiem we dwóch, w rozmaitych grupach skalnych. Najpiękniejszą naszą wspinaczką było wejście na Maczugę Herkulesa w Pieskowej Skale.

– Ponoć to droga Abazego i Łaptasia⁵ – rzekł Palant.

– A kto ten krzyż ustawił? Pamiętam go jeszcze z przed wojny.

– To jakaś stara historia, owiana legendą. Na pewno użyto drabin.

Poprowadziłem wewnętrznym kominkiem mocno „spróchniałej” Maczugi, pod okap, gdzie wbiłem hak, Jankowi przypadł fascynujący odcinek – przewinięcie się z pod ciemnego okapu na zewnątrz, na pionową ściankę pod szczytem. Kiedy w ślad za Jankiem wychynałem z mrocznej „jaskini bez dna” na światło dzienne, dobiegł mnie z dołu przerażony kobiecy głos:

– Oni się zabijają!

Na szosie, opodal Maczugi stało kilka osób – z zadartymi głowami i oczami rozszerzonymi ze zdumienia; okoliczni mieszkańcy nie często widywali taterników, bo dojazd z Krakowa do Pieskowej Skały był kłopotliwy.

– Oh my papa... – równocześnie, jak na komendę zaczęliśmy nucić modny międzynarodowy przebój – piosenkę chłopca, który się szczyli swym ojcem występującym w cyrku, na trapecie.

Wieczorem rozłożyliśmy śpiwory na gołej ziemi, na przełęczce między Maczugą, a stromym brzegiem wąwozu. Nie chciało nam się spać i długo w noc rozmawialiśmy o górach, przyjaciółach i nas samych, śledząc urywane, świetliste loty robaczków świętojańskich zapędzających się do nas z pobliskich leszczyn. Jakże odległe były czasy, kiedy patrzyłem niechętnie na „nerwowego blondyna w okularach”

*

Rok po naszej wspinaczce na Drogę Wyklętych szliśmy we dwóch z Jankiem, z Zawiercia do Podlesic. Łódzcy taternicy zaprosili nas, jako instruktorów, na tygodniowy obóz u stóp Góry Zborów. Po wczorajszym deszczu poranek był świeży, a plecaki mieliśmy lekkie, bo większość sprzętu i żywność były już na miejscu. Maszerowaliśmy raźnie.

– Palant, co słyszać z twoimi studiami?

Pytanie to odważyłem się zadać po raz drugi w ciągu kilku miesięcy.

– Słuchaj – głos Janka stał się bardziej nosowy, słowa szybsze, mniej wyraźne – czy mógłbyś wreszcie przestać mnie tak nazywać?

– Nigdy nie mówiłeś, że ci to wadzi.

– W krakowskim żargonie to jest okropne przezwisko.

– Wiem, ale twoja osobowość dawno nadała temu wyrazowi odmienny sens – „uszlachetniła” go. To już nie jest nic obraźliwego, skoro twoi przyjaciele też ci tak mówią.

– Może, ale w każdym razie przyjemne to nie jest.

– A „Palantino”?

– To już trochę lepiej.

– Więc Palantino, co z twoimi studiami? Czy ty możesz wrócić na swoją

ekonomię? Czy jesteś jeszcze zarejestrowany na uczelni? – nalegałem.

W ogóle mnie to nie interesuje – odparł nieco nieprzyjemnym tonem. – Cóż ja na to poradzę, że czuję się dobrze tylko w górach. Tylko patrzeć jak w Tatrach śnieg zlezie...

– No ale...

– Wiesz, mówmy o czymś ciekawszym... – nauczę cię amerykańskiej piosenki:

„ *You baccio me and I bacc’-you and everything is crazy ... Be- you, ba-you, be-you boo..* „ przez kilkanaście minut odśpiewywaliśmy niemądre, lecz pachnące egzotycznym „zgniłym zachodem“, „jazzowe“ słowa.

– A teraz posłuchaj co ja mam nowego...

Zazwyczaj uczyliśmy się nawzajem piosenek by je potem „przekazywać w Klubie“. Zawsze się dziwiłem jak bardzo dziewczynom imponowały nasze prymitywne występy w skałkach, lub na werandzie w Morskim Oku. Janek do tych śpiewów przykładał znacznie większą wagę niż ja. Był naturalnym dyrygentem skałkowego „chóru“, którego trzonem, prócz niego, byli Jurek Pilitowski, Długi (Zbyszek Łagocki) i ja: Janek nie tylko wybierał piosenkę, ale także narzucał tempo i wskazywał palcami, kto ma śpiewać następną zwrotkę pierwszym, kto drugim, ewentualnie trzecim głosem.

Myślę teraz, że dla samotnego – w gruncie rzeczy – Janka śpiewanie słowackich i góralskich piosenek, mało znanych poza wąskim kręgiem taterników, było stwarzaniem duchowej wspólnoty, okazywaniem przyjaźni członkom chóru, słuchaczkom i słuchaczom, rodzajem świeckiej modlitwy.

– Wiesz, już mi się znudziło ciągle śpiewanie pierwszym głosem – powiedział mi wówczas w drodze do Podlesic – odtąd będziemy śpiewali drugim na zmianę.

Czy słuch muzyczny da się wyrobić? Dotychczas myślałem, że Janek nie jest w stanie improwizować drugiego głosu, tymczasem teraz czynił to znakomicie. A może przedtem nie wiedział czy potrafi? Bał się fałszować by się nie narazić na kpiny? Nie pytałem. Podanie w wątpliwość jego „perfekcji“ mogło wywołać kolejne rozdrażnienie. Znów dotarłem do bariery, poza którą Janek nie dopuszczał wścibstwa.

Obóz łódzki w Skałkach Kroczyckich był pożywką dla naszej młodocianej pychy. W krakowskim środowisku było w tym czasie kilkunastu kolegów, którzy wspinali się po skałkach równie dobrze jak Janek i ja. Tutaj pod nieobecność Wilka i Żyły⁶ górowaliśmy nad wszystkimi.

Zaraz pierwszego dnia, po zagospodarowaniu się w namiotach stojących rzędem pod murem folwarczku „Kajetanówka“, Palant, na czele dużej grupy instruk-

torów i kursantów udał się pod Kominek Hareczka i przeszedł go dwukrotnie w swym wspaniałym stylu. Okazało się, że nikt z obecnych Łodzian nie jest w stanie powtórzyć tej drogi. U „Miss kursu” jak potem nazwaliśmy piękną instruktorkę, Halinę Jodłowską zauważyłem żywą reakcję na wyczyny Janka.

– Janek, która dziunia podoba ci się najbardziej – zagadnąłem go potem na stronie – patrz co za drapieżna kotka z tej Haliny. Chyba jej się podobasz.

– Dobre określenie, ona jest najlepsza, ale Bogdan nie odstępuje jej ani na krok.

Janek był jakby zadowolony z tego, że Halina jest „zablokowana”. Od tej strony prawie nic o Janku nie wiedziałem, dawno zauważyłem, że podobał się dziewczynom, ale nikim się nie interesował „na stałe”.

– Widocznie jest równie nieśmiały wobec dziewczyn jak ja – myślałem. Obaj uwielbiamy kobiety, marzymy o nich i na tym koniec. Może i moja wierność Mariannie – dalekiej i niedostępnej jak tęczowe halo wokół księżyca – jest wygodną wymówką? Zwolnieniem z przymusu konfrontacji?

Tak czy owak na razie „kosiliśmy” skały; czas na dziewczyny miał dopiero nadejść.

„Wkosiliśmy” z Jankiem, bez asekuracji, jeszcze kilka niewysokich lecz skrajnie trudnych dróg, co zostało przyjęte z respektem, ale też pewną rezygnacją u łódzkich instruktorów. Przez cały tydzień kursu chodziliśmy z Jankiem napuszeni jak pawie. Kipieliśmy zadowoleniem i radością. Kierownika kursu, wytrawnego taternika starszego pokolenia denerwowało nasze zachowanie. Najbardziej zżymał się na nasz nie tylko radosny, ale co gorsza, hałaśliwy sposób bycia. Po dwóch dniach cały obóz śpiewał nasze idiotyczne biju-baju. Za naszym przykładem wszyscy śmiali się głośno i przekrzykiwali. Wywoływało to miny pełne odrazy u kierownika, który chciał, żeby skałki traktować jak sanktuarium.

Kiedy założyliśmy powietrzną „kolejkę linową” z Dziewicy na Córkę i przeciągaliśmy przez nią wszystkich kursantów, hałas słychać było na setki metrów. Po skończonej zabawie kierownik odwołał nas na bok i dał reprimendę:

– Cóż to był za jarmark! Jak możecie dawać taki przykład kursantom? Wątpię czy Dziewica i Córki są zadowolone z takiego bezczeszczenia ich majestatu i piękna, – dodał nieco drżącym głosem – dla mnie to wręcz świętokradztwo.

– Popłuczyny po romantyzmie, lub Młodej Polsce – skomentował później Palant, – Tu jest obóz sportowy, nie wypruwanie „transcendentalnych bebechów”. Kursantów szkolimy poprawnie i bezpiecznie, a jeśli panu kierownikowi nasz styl się nie widzi, to niech się wypcha.

W połowie tygodnia zaczęliśmy przemyśliwać nad jakąś nową imprezą:

– Może byśmy dali kursantom pokaz techniki hakowej; tego nie mają w programie szkolenia, a na pewno ich zainteresuje – zaproponowałem.

– Coś co by zarazem było ładną nową drogą, bo inaczej szkoda czasu – dorzucił Palant.

– A co myślicie o Mysim Trawersie – poddał Sławek Chojnacki, mój serdeczny przyjaciel i łódzki instruktor, którego zapraszaliśmy na nasze przedwieczorne „krakowskie narady“, – już ma nazwę, choć go jeszcze nikt nie przeszedł.

Nazajutrz zaraz po zajęciach i codziennym, wspólnym obiedzie obładowani sprzętem powędrowaliśmy do „Komnaty“, pod Mysi Trawers. Za nami ciągnęła długa procesja widzów – kursantów i instruktorów.

– Ave Caesar morituri te salutant – mruknął Palant – tylko brakuje by tłum zaczął krzyczeć „panem et circenses“.

Początek drogi – klasyczne wejście na półkę przypadło mnie. Po zmianie stanowiska Palant i Sławek zademonstrowali technikę wahadeł wymagającą bezbłędnego wyczucia mechaniki i wiele inwencji. W pewnym momencie Palant, zawieszony na ławeczkach u daleko wysuniętego „sufitu“ przyjrzał się z pozoru zupełnie gładkiemu fragmentowi Trawersu i orzekł:

– Przysięgam Bogu – to był jego ulubiony i mocno nadużywany zwrot – na upartego możnaby przejść ten trawers klasycznie niemal w całości.

– Nie gadaj tylko jedź dalej z tymi wahadłami, przecież chodzi o pokaz sufitówki, a także o zabawę.

– No dobra, jak się bawić to się bawić.

Dwie osoby, bez zmian stanowisk „w pętłach” mogłyby zrobić ten trawers w ciągu dwóch–trzech godzin. Podobno kilka lat później Alger⁷ udowodnił, że wiele odcinków Trawersu można przejść klasycznie, bez techniki hakowej. Jednakowoż wówczas, nasze skomplikowane operacje linami, niewygodne wbijanie haków nad głową, a zwłaszcza kłopotliwe zmiany stanowisk spowodowały, że nie ukończyliśmy wspinaczki przed zmrokiem. Pozostał końcowy odcinek Sławka i wybijanie haków przez trzeciego, czyli przeze mnie.

– Proponuję zjechać, zostawiając liny do jutra.

– Zostańmy na noc u stóp rozpoczętej drogi, będzie tak jakbyśmy biwakowali w górskiej ścianie.

Po obozowej kolacji wróciliśmy na miejsce ze śpiworami. Pogoda była piękna jak codzień i właśnie układaliśmy śpiwory pod wygwieżdżonym niebem kiedy rozległ się szurgot nóg na piargu i wesołe dziewczęce głosy:

– Hej, czy nie przeszkadzamy?

Postanowiliśmy dotrzymać wam towarzystwa do jutra.

- Doskonale!

- Witamy!

- Chodźcie!

Z ciemności wynurzyły się trzy gracje: roześmiane, bardzo młode i miłe kursantki – Janeczka, Ewka i Magda. Po krótkim „kursie astronomii” – Janeczka знаła kilka-
naście konstelacji – dziewczyny rozłożyły śpiwory opodal.

Jak to miło, co za fajne dziewczyny – pomyślałem ładując się do swego śpiwo-
ra. Właśnie zasnąłem kiedy nowy hałas mnie postawił na nogi: Ciężkie kroki, światła
latarek.

O, tu są – usłyszeliśmy głos kierownika.

Gdzie są dziewczyny? – odezwał się szorstko Maciuś, jeden z instruktorów,
„młodszy pomagier kierownika” – jak go przezwaliliśmy.

- Tam, za tym głazem.

- Koleżanki, proszę się zbierać i natychmiast iść z nami do obozu! – powiedział
ostro kierownik.

- Czegóż tak gonicie dziewczyny, przecież nic złego nie robią – rozłościło mnie
takie podejście:

- Mają spać wraz z resztą obozu, ja odpowiadam za to co się dzieje.

Tu zwrócił się do dziewcząt:

- Tylko nie usiłujcie tu wracać, będziemy sprawdzać!

Zapanowała cisza.

Po chwili wahania odezwałem się:

- Idźcie, skoro kierownictwo nalega..

Dzięki za to żeście przyszły – wybełkotał Janek bardziej niż zwykle nerwowo
i przez nos.

- Dziękujemy, lepiej idźcie – dodał powściągliwie Sławek.

Cóż za żłoby niemyte, kompletni idioci – usłyszałem komentarz ledwo kroki za
nimi umilkły – Palantowi łamał się głos.

- Ależ je potraktowali... a i nas przy tym.

- Typowe dla nich obu – dodał Sławek, który ich lepiej znał.

Na drugi dzień rano, po skończeniu trawersu zagadnąłem kierownika:

- Po coś urządził taką scenę tym dziewczynom, przecież one nie chciały zrobić nic
złego. Przy nas nic im nie groziło...

- Dobrze wiedziały czego chcą, przyszły się j... – użył wulgarne słowa.

Zaniemówiłem. Palant zbladł i twarz mu się zmieniła jakoś nieprzyjemnie.

- Wiesz, ty jesteś spokojniejszy – powiedział potem – przysięgam Bogu, tak się
wpięprzyłem, że mało brakowało, a dałbym mu w mordę.

To by dopiero był skandal.

Obóz ten miał duże znaczenie dla mnie i chyba także dla Janka. Nie tylko nabraliśmy większego zaufania do siebie samych i do naszych taternickich umiejętności, ale i nasza przyjaźń osiągnęła swe szczyty. Przyjaźni, w owych młodzińskich czasach, stawiałem wysokie wymagania. Bliskim przyjacielem nazywałem kogoś tylko wówczas, gdy byłem przekonany, że będzie on działać na moją korzyść zawsze, nawet wbrew własnym interesom. To samo obowiązywało i mnie. Do Janka miałem zupełne zaufanie. Nie potrafiłem sobie wyobrazić bliższej przyjaźni między dwoma mężczyznami. A jednak... z nim sprawa nie była prosta. Miałem w pamięci niedawne rozmowy o nim z innymi jego przyjaciółmi. Troszczyliśmy się o niego, więc krytykowaliśmy go ostro. Usiłowaliśmy go „wychować” na naszą modłę, co go niesłychanie drażniło. Czy to rzeczywiście miało sens? Czy nie byliśmy nadmiernie zadufani w sobie?

– Palant się marnuje – powiedziałem kiedyś do Bacy. – Przecież to zdolny, bardzo inteligentny człowiek, pełen inwencji. Popatrz na górski reportaż o Północnej Mięgusza, który ostatnio napisał, na wiersze, na dowcip jego „klubowych ballad”...

– Obawiam się, że to przeszłość. Palant „był” zdolny, „był” inteligentny, ale umysł podobnie jak mięśnie, wymaga ciągłego treningu. Jaki rozwój go czeka w Kurniku nad Morskim Okiem?

– Czy to nie jest zwykły brak charakteru? – zapytywał ktoś inny – pozwalając biernie nieść się fali, robić tylko to co się lubi. Jak długo może on tak ciągnąć?

– Kariera zawodowego taternika nie istnieje. Może gdzie w Alpach, jeśli się „zrezygnuje z intelektu”, ale Tatry są za małe. Z biedą można się utrzymać jako instruktor narciarski, albo przewodnik turystyczny, – ale taternik?

– Cóż, kiedy on nie przyjmuje żadnych uwag...

– Janek hołduje zachciankom, lekceważy wszystko co słuszne. Kiedy my rozpoczynamy normalne życie dojrzałych ludzi, uniezależniamy się od rodziców, kończymy studia, on zastyga w rozwoju jako niedorośły chłopiec na bardzo długich wakacjach.

– Z drugiej strony, iluś ludzi nie studiuje, a żyje. Może on nie chce studiów, może źle zaczął, poszedł na niewłaściwą uczelnię?

Wkrótce w Tatrach zrobiliśmy, we czwórkę z Palantem, Grandrzejem i Kanciarzem Starszym^{8/} nowy hakowy wariant na „Kancie” Mnicha, na którym mnie przypadł kluczowy odcinek. Po moich treningach i wyprawach z Rubinkiem i Staszkiem Bielem wspinaczka ta nie była szczególnie trudna. Tylko Kanciarz narzekał, że moje haki wbite w zbyt szeroką szczelinę trzymają się na włosku.

8/ – z Andrzejem Grabianowskim i Zbyszkciem Skoczylasem wyprostowanie drogi WHP5344.

– Tyś oszalał do szczytu – grzmiał swym tubalnym głosem – przecież ta zgięta igła lodowa dotyka skały ledwie trzema punktami i trzyma się tylko dlatego, że sprężynuje. Mam w d... takie taternictwo.

Te wypowiedzi wcale mu nie przeszkodziły w sprawnej wspinaczce i wybiciu wszystkich haków i kołków. Janek prowadził na innych odcinkach i jak zwykle wspinał się świetnie.

Po skończonej wyprawie, z Janka inicjatywy zaczęliśmy snuć wspólne „wielkie” plany tatrzańskie. Pewnego popołudnia w Morskim Oku, Janek, z wielką schroniskową lornetą w ręku, zagroził mi drogę na werandę.

– Hareczek, poszedłbyś się przejść? Coś ci chciałem pokazać. Poszliśmy nad Czarny Staw i dalej, wysoko pod Białczańską Przełęcz, gdzie usiedliśmy na skalnej grzędce. Siklawa spływająca gdzieś z pod Grani Apostołów wytworzyła intensywną tęczę. Jeszcze wpatrywaliśmy się w nią gdy usłyszałem:

– Przestań się gapić na kolory, patrz na Północną Kazalnicy. Kiedyś Stolik⁹ usiłował zrobić nową drogę na lewo od Paszuchy i Łapińskiego. Skoro wykosiliśmy wariant na Mnichu, z którego on i Wawa¹⁰ się wycofali to może i tu nam się uda? Myślę jednak, że tu trzeba by wywiercić parę dziurek, założyć jakieś nity, bo inaczej Stolik by się z tym uporał. Na skromny wariant na Mnichu mógł machnąć ręką, ale ta ściana to jest inny wymiar.

Lornetka przechodziła z rąk do rąk. Domyśliłem się, że Janek już przedtem musiał dokładnie badać ścianę, bo zwracał moją uwagę na coraz to inne szczegóły i spodziewane trudności.

– Popatrz na lewo od tej próby Stolika. Tam też jest możliwość poprowadzenia co najmniej jednej, a może i dwóch dróg. Może samym filarem, może którąś z jego flank.

Spojrzałem na Palanta z boku i chyba to wtedy zacząłem wyraźniej odczuwać zwątpienie, które dojrzewało od dawna. Czy ja naprawdę jestem właściwym partnerem dla Janka? On potrzebuje kogoś, kto jak on – cały swój czas chce poświęcić górom.

– Marek, przysięgam Bogu, nie śpij, powiedz co myślisz o tej Kazalnicy.

– Janek... na te twoje drogi trzeba skonstruować i wypróbować nowy sprzęt.

– No właśnie, czy masz kogoś, kto mógłby nam zrobić jakieś wiertło do granitu i nity?

– Spróbuję się tym zająć. Może na Akademii Górniczej. Gdybyśmy zdobyli ten sprzęt, to czy nie wolałbyś zacząć od wariantu „R” na Mnichu? Jakoś zaorywanie

9/ – Tadeusz Orłowski.

10/ – Wawrzyniec Żuławski.

następnej skiby na Kazalnicy nie ekscytuje mnie tak jak Mnich. Południowo – wschodnią ścianę Mnicha znam znacznie lepiej. To dopiero jest droga.

– To zrobmy rekonesans na Mnichu.

Po drodze do schroniska słuchałem Janka słów, lecz myślami byłem gdzie indziej. Moje wątpliwości rosły. „Jego“ drogi wymagały wielotygodniowych przygotowań, nowego sprzętu, pieniędzy na koczowanie w Kurniku. Tymczasem moje ostatnie dłuższe wakacje właśnie się kończą. Za miesiąc zaczynam praktykę magisterską w Katowicach i zapewne zmieni się ona w stałą pracę. Wyprowadzę się z Krakowa. Muszę jak najprędzej zacząć pomagać matce. Wkrótce chciałbym robić doktorat. Gdy się chce osiągnąć coś wielkiego trzeba się angażować bez reszty... No właśnie... a już Janek wyznaje tą samą zasadę? Kij ma dwa końce.

– Janek, twoje plany są genialne. Żebyśmy tylko dali radę czasowo. Boję się, bym cię nie zawiódł. W każdym razie jeśli bym nie dał rady, a ty poszedłbyś z kim innym, to nie będę ci miał za złe.

– Wolałbym z tobą.

Nadal nie zdawałem sobie sprawy, że oto role się zmieniają. Że to już nie rzekomo uboższy duchowo Palant nie nadąża za przyjaciółmi żądnymi dyplomów, sukcesów zawodowych i naukowych. W ciągu najbliższych lat miało się okazać, że my, jego przyjaciele, również nie nadążaliśmy... za nim. Że to on dochowywał wierności, gdy my wyrzekaliśmy się naszej wielkiej wspólnej pasji, tego co wszyscy uważaliśmy za najpiękniejsze w życiu – Gór. Drogi nasze się rozchodziły. Jakie takie łączenie miejskiego życia zawodowego z górami nie mogło trwać długo i było tylko „jakie takie“.

Nazajutrz z pomocą Grandrzeja, Kanciarza Starszego i Kwakwy¹¹ zjechaliśmy kolejno – wpierw ja, potem Janek – pod okap przewieszek – na środku północno-wschodniej ściany Mnicha. Wisiałem w powietrzu w odległości kilku metrów od odpęknietego ze wszystkich stron, żółtego trójkąta skalnego, stanowiącego dno niszy. Nie mając skali porównawczej usiłowałem dociec, czy w poziomą szczelinę nad trójkątem można będzie wsadzić nogę wraz z udem i zawiesić się jak Pan Wołodyjowski u siodła, czy zaledwie wetknie się tam dębowy kołek zamiast haka. Jeszcze trudniej było ocenić, jak wiele nitów trzeba wbić by przedostać się z pierwszej, pionowej szczeliny nad półkami – z miejsca gdzie załamała się próba Paszuchy i Łapińskiego, do następnej szczeliny, która wyprowadza pod okap. Trapiła mnie myśl, że nie wywiązuję się z zadania, bo brak mi serca do tego. Zdradzam naszą

11/ – Krystyny Saługi.

przyjaźń. Wisiałem niezdecydowany i sfrustrowany, aby wreszcie przyjaciele ponagliли mnie do powrotu.

– Niewiele wskórałem – rzekłem. – To się okaże dopiero „w praniu“. Trzeba spróbować.

Janek wrócił z pod przewieszek równie zdezorientowany, ale nie pocieszyło mnie to wcale.

*

W następnych dwóch latach komunistyczne władze „łaskawie“ zezwoliły na obozy w Tatrach Słowackich, lecz niestety terminy moich krótkich urlopów nie pasowały do Janka planów.

Janek wspinał się z młodszymi kolegami. Jego drogi na Kazalnicy i Mnichu, a potem na Petit Dru, Grand Capucin, a zwłaszcza słynnym filarze Fréney na Mont Blanc popchnęły polski i światowy alpinizm na nowe tory.

Ottawa, Maj 1994

Od redakcji: Jan Długosz stał się legendą taternictwa lat pięćdziesiątych. Pokonał najbardziej trudne w tym czasie drogi. Zginął tragicznie w wieku 33 lat, 2 lipca 1962 roku na grani Zadniego Kościelca. Moment nieuwagi, łatwy teren, nieszczęśliwy krok, tragiczny upadek... Przeczucie takiego końca nosił w sobie. Świadczy o tym jeden z ostatnich jego wierszy.

Za późno

*To tylko błysk,
To tylko szmer,
To tylko ćwierć sekundy!
A już kamyk i haka dźwięk
Koniec ostatniej rundy.
Myśl? na nic.
Myśl? po co?
Za późno.
Szkoda, że
Promień zgaś.
A potem już ciemność...
Może blask...
Czy tak?*

WSCHODNIA MNICHA

Zbigniew Jaworowski

W alpinizmie wszystko odbywa się w bezpośrednim zbliżeniu do skały, porostów, śniegu, przyrody. Wszystko dzieje się w tempie zwolnionym, przez dzień lub miesiąc, na dystansie kilku tysięcy lub paruset metrów. Może ta bliskość i zwolnienie gna ludzi w skałę i lód. Literatura alpinistyczna oddaje tę sytuację: opisy przejść kilkuset metrów zajmują często całe rozdziały książek.

Alpinizm, rodem ledwie z dziewiętnastego wieku, jest może dziedzictwem czasów pradawnych, okresu gdy praprzodkowie nasi trenowali sobie ramiona i dłonie, przez niezliczone pokolenia, wysoko nad ziemią, przerzucając się gdzieś w dawnym świecie z gałęzi na gałąź. Z pewnością jednak chodzi tu o stan ducha, o skupienie na sprawach najprostszych: skale, powietrzu, linie i bliskości śmierci. To napięcie wyostrza percepcję i barwi świat z ogromną intensywnością. Może ono właśnie jest jedną z przyczyn niezwykłości doznań i trwałości przyjaźni alpinistów.

Na wschodniej ścianie Mnicha, bardziej niż na innych drogach, zdawało mi się, że kiedyś zrozumieć sens tego sportu. Minęły lata, i sam go nie pojąłem ani nikt mi go nie wytłumaczył. Wiem, że nie jest nim rekord ni zwycięstwo. Mogę sobie tylko wyobrazić, że umiejętność ta i „cnoty” z nią związane, będą kiedyś potrzebne, gdy ludzkość wyjdzie poza Ziemię i spotka n.p. na Marsie, góry o ścianach wysokich na dwadzieścia kilometrów i równie głębokie przepaście.

Pamięć nawet najsilniejszych przeżyć blednie z upływem czasu. Najwcześniejsze są najtrwalsze. Spośród trzech ataków zimowych Wschodniej Mnicha najostreżniej pamiętam pierwszy, a dwa następne widzę przez mgłę oddalenia. Odbija się to na konstrukcji tego opowiadania.

Powojennemu pokoleniu przyszło zdobywać skalne zerwy Tatr w zimie. Wschodnia Mnicha była jedną z pierwszych. To była ściana symbol – nawet latem budziła grozę. Pamiętam, że gdy w 1948 roku wychodziliśmy ze Staszkiem Worwą z niezapomnianego obozu Pod Żabim na jej pierwsze po wojnie letnie przejście, wszyscy uznali nas za samobójców. W przewodniku słynny przerażający opis Wiesława Stanisławskiego podnosił włosy na głowie: w jednej trzeciej ściany, wspiąć się na „odstrzeloną turniczkę i za nią przejść ponad „czeluścią na dnie której bieleją kości”.

Parę lat potem stwierdziłem, że „czeluść” jest obszerną grotą, z korytarzami i komnatami, skrytą wśród Mnichowych płyt, rozwiniętą na dwóch poziomach, z oknami–strzelnicami patrzącymi ku Morskiemu Oku i schronisku, zakończona cudowną, stromo sklepioną salką, o dnie usłanym złotym piaskiem. Kości nie znalazłem.

Jak zwykle postęp polega bardziej na złamaniu psychologicznej bariery niż na osiągnięciach technicznych. I oto pewnej nocy z początkiem lutego 1951 roku, w czasie pierwszego ataku Wschodnią Mnicha, leżeliśmy z Jankiem Długoszem w jamie wykopanej w moście śnieżnym, który usypał się ponad tą „czeluścią”. Na uklepanym śniegu pościeliliśmy sobie liny, buty, plecaki i skafandry. Jamę zrobiliśmy wygodną, lecz krótką i głowy wystawały nam na zewnątrz. Niebo było bezchmurne. Wschodzący księżyc oświetlał tylko najwyższe śniegi grani Mieguszowieckiego. Zerwy filara Cubryny stojące tuż naprzeciw, jakby w zasięgu ręki i wszystko dokoła ogarniał czarny cień skał wiszących nad nami. Patrzyliśmy z mroku jak powoli błądły gwiazdy w coraz jaśniejszym blasku księżyca. Nie było wiatru. Cisza, spokój i mróz w nieruchomym powietrzu, przenikający poprzez puch śpiworów.

– Przypomnij któryś z tych swoich „Biwaków”, poprosił Janek. Zacząłem „Drugi”:

*Zastłonę snów rękami rwę czarnymi
Nad strugą wód księżyca wschodzi łeb
Noc leje czerń a księżyc złotem dymi
Zawisłem w środku wszystkich siedmiu nieb*

Spaliśmy źle. Mieliśmy liche sprząty i na dwudziestopięciostopniowym mrozie trzęśliśmy się z zimna. Rano wstaliśmy sztywni i zziębnięci. Poprzedniego dnia od świtu przedzieraliśmy się przez dolne części ściany, zasypane niezwykle grubą warstwą śniegu. Śnieg był sypki i nie mógł utrzymać ciężaru człowieka, trzeba go było usuwać aż do skały. Przez cały dzień drążyłem w nim czekanym rodzajem pionowego tunelu. Gdy wspinaliśmy się w górę, ponad śnieg nie wystawały nam nawet głowy. Asekurowaliśmy się sizalową liną, z lodowych haków wbijanych w pionowe ławki. Całe tony śniegu waliły się w dół przy tej robocie. Ostatni wyciąg w

kominie skalnym wypadł już w nocy i w zupełnych ciemnościach wyprowadził nas na miejsce biwakowe. Spodziewaliśmy się nocować znacznie wyżej i zrobić ścianę w półtora dnia, ale zły śnieg opóźnił nasz pochód.

Gorącymi łykami czerwonego barszczu popijaliśmy kęsy chleba i zmrożonej konserwy. Spojrzałem na Janka i zrobiło mi się niedobrze.

– Ach, Palancie (to było taternickie imię Janka), powiedziałem, mógłbyś przynajmniej wytrzeć sobie ten okropny nos. Jankowi z nosa ciekł pas żółtawego śluzu równo odcięty tam, gdzie wargę stykała się z brzegiem menażki.

– Spójrz lepiej na siebie – rzekł Janek.

Dotknąłem ręką twarzy i wybuchnąłem śmiechem: ten sam skutek nocnego marznięcia wisiał mi na górnej wardze.

Lubiłem mojego towarzysza. Był intelektualnie niepodległy. Przez kilka lat nie chciał nawet wstąpić do Klubu Wysokogórskiego. Nie interesowały go też inne organizacje turystyczne. Janek płacił i twierdził, że niezależność jest ważniejsza niż wszystko. Ci którzy go znali, odczytują to łatwo w książkach tego chyba największego naszego górskiego pisarza.

Pierwszy wyciąg ponad odstrzeloną turnię przypadł mnie. Stałem na stopniach w osuwającym się śniegu. Przednie zęby raków nie miały oparcia na skale, lodzie, ani na twardej, trzycentymetrowej skorupie firnu. Pod nim

*We wschodniej ścianie Mnicha (droga Łapińskiego i Paszuchy)
fot. Z. Rubinowski*



był śnieg o konsystencji cukru. Na twardej warstwie leżało ponad pół metra nie związanego gipsu. Usuwałem go, wykopując w nim komin, którym z duszą na ramieniu wspinałem się w górę. Z otworów wybitych butami w firnie wysypywał się z sykiem śnieżny cukier. W każdej chwili niepewne stopnie mogły się załamać.

Zabezpieczający hak wbilem dość daleko, jeszcze pod przewieszką, gdzie kończyła się ryska wyprowadzająca na dolny kraniec półki. U stóp ryski stał Janek, nie mogłem go już widzieć, ani słyszeć. Niewielkie półko, przylepione jak biała plama do pionowych, ciemnych skał, było prawie pionowe i urywało się kilkuset-metrową przepaścią. Musiały je stworzyć jakieś niezwykle warunki atmosferyczne, bo w czasie następnych dwóch ataków już tego nie widziałem.

Bardzo ostrożnie wspiąłem się półkiem dziesięć metrów w górę do miejsca, które kończyło się zakręconym w dół barokowym nawisem. Wisiał mi nad głową jak dach wystając chyba z metr w stronę przepaści. Przez pół godziny przekopywałem go z zapartym tchem i rękami wzniesionymi do góry. Gdy wystawiłem głowę przez wyrąbaną szczelinę, okazało się, że przy skale po ścięciu kawałka nawisu pozostał pas śniegu o szerokości piętnastu centymetrów. Nad nim wznosiła się lita skała, gładka i pionowa, bez szczeliny dla haka. Zabrakło mi liny, wbilem ręce w śnieg – na czekan było zbyt płytko, i czekałem, aż Janek, bez ściągania liny dojdzie rysą do haka pod przewieszką, jedyne jakiego nas teraz ubezpieczał. Wierzyłem że nie odpadnie i nie polecimy razem w dół. Gdy znalazł się przy haku i nie miał gdzie stać siadł w zaczepionej na nim pętli podciągowej. Ja powinienem teraz iść w lewo, praktycznie bez asekuracji – hol był dwadzieścia metrów niżej. Pod nogi ścieliła mi się gładka płaszczyzna podnosząca się nieco ku górze, na metr szeroka. Tylko część najbliższa skały szerokości stopy i nie zawieszona w powietrzu, mogła utrzymać mój ciężar. Dla bezpieczeństwa musiałem odciąć to, co wystawało na zewnątrz.

Po tym zabiegu droga, którą miałem pójść nie była szersza od mojego buta: trzy centymetry twardszej skorupy i „cukier”. Pod stopami widziałem białą równinę Morskiego Oka, a dalej schronisko i cienką smugę dymu z komina, która kusila bezpiecznym ciepłem. Wycofanie się z tego miejsca pod przewieszkę było praktycznie niemożliwe, mogłem iść tylko do przodu.

Ostrożnie ukląknę na gzymsie, dłonie wbilem między śnieg a skałę i powoli zacząłem czołgać się w kierunku początku tzw. Drugiej Rysy, gdzie spodziewałem się znaleźć stanowisko asekuracyjne. Całą siłą przyciskałem plecy do skały, która szczęśliwie miała tu nieckowate wklęsnięcie. Posuwałem się jakby po szczycie wąskiego muru, który spadał prawie pionowo, a następnie łagodnie przechodził w bardzo strome pole śnieżne. Pole urywało się ostrą linią przewieszek, dwadzieścia metrów pode mną. Nie mieściłem się w granicach gzymsu. – Czołgałem się na boku. Część tułowia wychylała się nad przepaść i byłem na granicy utraty równowagi. Bałem się,

że cały ten śnieg zaraz zwali się w dół. Lina niezdolnie odciągała mnie od ściany. Nie kłamałem nawet, bo byłem zbyt skupiony i przestraszony. Centymetr po centymetrze przesuwałem się po skrawku śniegu a przez głowę przelatowały mi myśli zupełnie nie związane z sytuacją. Właściwie były to dwa tory myślowe: dokładnie rejestrowałem to co się działo ze mną i planowałem swoje i Janka postępowanie, ale jednocześnie duchem byłem gdzie indziej i z jasnością umysłu koncentrowałem się na pojęciu czasu. Ten drugi tor biegł jakby zwolnionym rytmem. Było to przyjemne, i wydawało mi się, że jestem w stanie zbliżonym do tego, co można by nazwać kontemplacją.

U stóp Drugiej Rysy wbiłem dwa dobre, wysoko dźwięczące haki. Co za ulga: kilkusetmetrowa pionowa przepaść tuż pod stopniem, na którym oparłem nogę (taką sytuację taternicy nazywają w swej gwarze ekspozycją) przestała mnie obchodzić. Stanowisko było dość wygodne, mogłem tu odpoczywać zaparty w skałę w półsiedzącej pozycji. Janek przesłał mi plecaki i po godzinie doszedł do mnie.

Teraz on przejął prowadzenie. Nad nim kilkunastometrowa Druga Rysa wychylała się nad przepaścią, zaladzona i osypana śniegiem. Po kilku metrach Janek wbił hak i wkrótce znikł znad przewieszki przecinającej rysę. Jakiś czas słyszałem jego głos, domagający się popuszczenia lub ściągnięcia liny, ale wkrótce głos przestał dochodzić wskutek złej akustyki ściany. Zaczęło się dla mnie wielogodzinne ubezpieczanie towarzysza, w zupełnej ciszy i samotności, marznięcie na przenikającym do kości mrozie. Po wielu godzinach stłumiony, daleki okrzyk Janka: „CHOODŹ!” wyrwał mnie wreszcie z powolnego zamarzania. Janek stał na górnym krańcu śnieżnego pola, asekurując mnie z czekana wciśniętego w śnieg, gdyż małe haki, które zdołał wbić w płytką szczelinę trzymały, jak twierdził, raczej nędznie. Cała ta asekuracja była tylko „pro psyche” z czego jasno zdawaliśmy sobie sprawę.

Czarną pionową skałę przecinało skośne pęknięcie. Trzecia Rysa wypełniona była u dołu sypkim śniegiem, który wyżej gubił się w coraz węższej i płytszej szczelinie. Prowadzi ona nad pionowymi płytami, a górą zamyka ją gładki monolit. Dopiero za rysą zaczyna się łatwiejszy teren, tak zwane „Półki”. Niebo ciemniało i noc nas goniła gdy z gorączkowym pośpiechem zabrałem się do rysy. Po paru metrach wspinaczki udało mi się wbić dobry hak asekuracyjny, „klincał” z solidnym kółkiem. Zaraz za nim rysa stawała dęba, beśśnieżna skała pokryta była cienką warstwą lodu. Posuwałem się w górę wychylony nad ekspozycję, prawą stopę wciskając w rysę, a lewą opierałem na małych śliskich stopieńkach na zewnątrz. Wbiłem jeszcze jakiś kiepski hak. Wysoko nad głową znalazłem niewielki chwyt na lewą rękę. Z trudem można było go trzymać opuszkami dwóch palców. Oczywiście wspinałem się bez rękawiczek i każde dotknięcie żelaza pozostawiało na skórze krwawy ślad. Podniosłem się powoli ku górze tak, że ów mały chwycik miałem na wysokości biodra. Dalej rysa zwężyła się i spłyła, stopa już się w niej nie mieściła.

Skala wokół była pozbawiona rzeźby i przykryta polewą lodu, skrywającą wszelkie drobne pęknięcia. Odbijając lód znalazłem wreszcznie nikłą szczelinę, w którą wbilem maleńką łyżkę o szerokim brzeszczocie. Weszła może na głębokość pół centymetra, ale nie było innego wyjścia: musiałem jej użyć. Wpiąłem w hak linę i pętlę z deseczką.

Z pomocą tego samego chwyciku podniosłem się jak mogłem najwyżej, tak, że w końcu oparłem się na nim wyprostowaną w dół ręką. Była to męcząca pozycja i mogłem ją utrzymać tylko przez krótki czas. Jedną nogę postawiłem w pętli wiszącej na haku i z zapartym tchem zacząłem na niej stawać. Powierzałem jej tylko część ciężaru, resztę opierając na chwycie i z napięciem obserwując hak. Ostrożnie podniosłem się w pętli ku górze, lina na chwycie wyprężyła się do ostateczności, dotykając go tylko czubkami palców. Nie odrywając palców od chwytu, rozluźniłem nieco wyprostowane lewe ramie, przerzucając cały ciężar na pętlę i ... mój krzyk:

- LECE!

Błyskawiczny rzut z powrotem na chwyt i obsunięcie się dwa metry w dół. Wcisnąłem stopę w rysę i przytrzymałem się poprzednio wbitego haka. Lina przyciągała mnie lekko do niego i ujrzałem wtedy niespokojny wzrok Janka. Czerwone śniegi pod szczytem Cubryny zaczynały już ciemnieć i zapalały się gwiazdy. Serce mi biło młotem a całe ciało drżało. Właściwie nie był to lot, lecz gwałtowne cofnięcie się z wyrwanym hakiem, bez przyspieszenia.

Rozładowaliśmy napięcie jakimś żartem, i gdy tętno wróciło mi do normy, w szybko zapadającym mroku jeszcze raz zaatakowałem śliską, odpychającą skałę. Poranione ręce krwawiły bez przerwy, ale na mrozie nie czułem bólu. Ani o milimetr nie udało mi się wbić głębiej podciągowego haka. Scena powtórzyła się, odpadłem znowu, ale z większą wprawą. Zrobiło się zupełnie ciemno. Wiszący za Mnichem księżyc oświeślał tuż przed nami ścianę Cubryny i szczyt Mięgoszowieckiego, całe rozpalone złotem. Wschodnia Mnicha stała w cieniu. Razem z Jankiem – ja zaparty w dolnej części rysy, on dziesięć metrów niżej – analizowaliśmy sytuację: jest jasne, że w nocy nie pokonamy Trzeciej Rysy. W naszym systemie asekuracyjnym jest tylko jeden dobrze wbity hak. Ja mam już fizycznie dość, a Janek, dygoczący z zimna, ma nie większe szanse ode mnie. Nie doceniliśmy tej ściany – wzięliśmy za mało jedzenia, nie mamy nic poza kilkoma kostkami cukru i ani kropli paliwa. Jesteśmy głodni, od rana nie mieliśmy nic w ustach. Przez dziesięć godzin pokonaliśmy ledwie siedemdziesiąt metrów wysokości, a mieliśmy przejść jeszcze dwieście. Biwak bez picia i jedzenia nie poprawi nam kondycji. Już teraz trzęsiemy się bezustannie z zimna. Zaproponowałem szybki odwrót. Janek zgodził się z pewnym wahaniem. Nie wiedział, że jeszcze jeden czynnik ważył w tej decyzji: ktoś miał czekać na mnie następnego dnia na Wadze.

Trochę dziwne, że decyzję odwrotu ułatwiło nam to, że wycofanie spod Trzeciej Rysy było problemem niepewnym, jak gdyby niebezpieczeństwo odwrotu mogło ratować utracony honor zdobywców. Jedyny dobry hak wbity w samej Trzeciej Rysie znajdował się zbyt daleko w lewo od linii zjazdu. W litej skale nie było żadnych pęknięć. W miejscu gdzie dwie pionowe płyty stykały się z sobą, była szczelina szeroka na sześć centymetrów. Zaklinowałem w niej w jednym poziomym szeregu cztery haki, w tym jeden zwany „szyszką”. Na najbardziej wysuniętej w prawo ogromnej łyżce (zdobycz z II przejścia Kazalnicy drogą Paszuchy i Łapińskiego) zawiesiłem linę zjazdową. Było to dość ryzykowne. Janek, asekurowany przez mnie z owego dobrego haka w rysie, ostrożnie obciążył zjazdówkę. Wytrzymała! Wkrótce zniknął pod przewieszką i za chwilę usłyszałem miły głos dobrze wbijanego żelastwa.

Trudność wycofania się z tej ściany polegała na tym, że droga odwrotu biegła nie wprost w dół, lecz dużym skosem w prawo. Każdy zjazd był więc wykonywany ze znacznym odchyleniem od pionu i groził wypadnięciem na gładkie płyty lub pod przewieszone skały. Posłałem Jankowi plecak, wybiłem hak z Trzeciej Rysy i założyłem klucz zjazdowy. Jeszcze kilka pośpiesznych czynności i wreszcie powierzyłem się wytrzymałości zaklinowanych haków. Wiedziałem, że niewiele przekracza ona mój ciężar i że Janek jest lżejszy ode mnie.

Zjazd. Zęby raków opierają się początkowo na niepewnym śniegu, potem zgrzytają o skałę. Śniegi Cubryny i Miękuszwieckiego zalane jasnym światłem. Natomiast dno przepaści ku której zjeżdżam i Wschodnia Mnicha w głębokim mroku. Lekkim skosem, unikając wstrząsów i gwałtownych ruchów obniżam się ku dołowi. Rękami opieram się wypadnięciu w wahadło. Drgnęła lina zeskakując z nierówności skały. Rzucam okiem ku hakom – wszystko w porządku. Czemu więc nie jadę dalej, lecz stoję o dziesięć sekund dłużej niż trzeba? Trudno to opisać. Zatrzymany na moment, odchylony od skały wiszę jak pajak na cienkiej nitce ponad powietrzną przepaścią, której ciemnego dna nie mogę dojrzeć. A zza ogromnej pionowej grani Mnicha, czarnej i poszarpanej jak gotycka katedra, wygląda nie księżyc, lecz jego najbliższy odbłask. Przenika mnie dojmujące wrażenie przemijania tego piękna, które zniknie zaraz, za sekundę, jak i ja. Mam poczucie jedności z tym co widzę, co tworzy moja sytuacja obserwatora, efemerydy zawieszonej między niebem i ziemią. Przeżycie jest tak intensywne, że po upływie pół wieku trwa we mnie ostre i nie zatarte, jak srebrno–czarna fotografia.

Cóż jeszcze mam powiedzieć o tym pierwszym, nieudanym ataku na Wschodnią Mnicha? Czy warto opisywać jak sto metrów przed końcem ściany zleciał nam cały zapas haków do głębokiej szczeliny skalnej i musieliśmy improwizować stanowiska zjazdowe z ostatnich trzech połamanych, zbyt krótkich haków i pętli robionych ze

sznurówek zdjętych z butów? Gdy po północy stanęliśmy wyczerpani na stromym śniegu pół podścianowych okazało się, że nie mamy ani jednego haka więcej. Poranionymi palcami rozwiązałem linę łączącą mnie z Jankiem. Położyliśmy się w miękkim, głębokim śniegu i łagodnym ześlizgiem uciekliśmy do Dolinki pod Mnichem z ponurego cienia niezdobytej turni. W jasnym księżycowym świetle odwróciliśmy się jeszcze raz ku ścianie: stała nad nami czarna, groźna, zwycięska. W nagłym porywie gniewu pogroziłem jej odmrożoną ręką.

*

Winienem jeszcze powiedzieć o następnych atakach z Adamem Skoczylasem, Tadeuszem Strumiłłą, Andrzejem Truszkowskim i Jerzym Wałą. Dwaj pierwsi, tak jak i Janek Długosz, już dawno odeszli. Ulubieńcy bogów, w pełni rozkwitu lat i talentów: Adam zmarł śmiercią naturalną, Tadeusza zmiotła lawina z południowych ścian Mięgusza, a Janek runął w piargi z grani Kościelca. Adam Skoczylas, Andrzej Truszkowski i ja byliśmy we Wschodniej Mnicha od 15–ego, do północy 17–ego lutego 1953. Drugiego dnia wspinaczki oberwaliśmy niezłe przy trzydziestostopniowym mrozie i zadymce, która nadleciała od wschodu. Ściana była zalodzona, szczeliny i chwytty zalane twardym szklivem, a lawiny pyłowe sypały się nam nieustannie na głowę. Śnieżny pył wciskał się pod płótno skafandrów i zatykał oddech. Prócz lawin niósł go wiatr wiejący pionowo od dołu. Posuwaliśmy się w górę wolno jak w mazi. Pierwszy biwak, pod Drugą Rysą, był okropny: zimno, ciasnota i tumany zmrożonego śniegu. Trudno było nawet zagotować herbatę. Drugi, na „Półkach”, nieco lepszy, byliśmy po nim w dobrym nastroju i niemal pewni, że zdobędziemy Mnicha. Gdy Andrzej „robił” podciągowy trawers, ostatni klucz tej ściany, staliśmy z Adamem Skoczylasem na wygodnej półce wyśpiewując w kółko chorał *„Rorate coeli de super et nubes pluvant iustum”*, w chmurach śniegu pędzących ze wszystkich stron. Surowe słowa i gregoriańska melodia oddawały nasz nastrój i sytuację.

„Spuśćcie rosę niebios, z chmur sprawiedliwość niech spłynie.”

– To lubię – powiedział Adam. – Świat się nam wali na głowę, a my nic, my do przodu. Nic jeszcze nie zapowiadało klęski.

Tego trzeciego dnia w południe podeszła pod ścianę wyprawa ratunkowa, kopiąc się w głębokim śniegu Mnichowego żlebu, cztery czy pięć osób obciążonych sprzętem. Zapytali nieśmiało czy przypadkiem nie trzeba nas ściągnąć. Odpędziliśmy ich wtedy dumnie, ale po kilku godzinach skończyło się chóralnym wołaniem o pomoc, sześć razy na minutę.

Po przejściu podciągowego trawersu, musieliśmy uciec z normalnej drogi, którą szedł główny ciąg lawin, na ścianę komina spadającego z Przełęczy Mnichowej. Staliśmy wśród nocy na nachylonej ku przepaści i szerokiej na stopę półce, do której wduszały nas pyłowe lawiny. W ciemności nie byliśmy w stanie pokonać lodowego

progu komina. Musieliśmy tu biwakować pozycji w stojącej. Nie było mowy o zapaleniu kochera, ani wejściu do śpiworów. Zaczęliśmy zamarzać. Mieliśmy szczęście, że późną nocą Zbigniew Skoczylas, brat Adama, wyszedł przed schronisko przy Morskim Oku i usłyszał nasze wołanie, mimo wiatru i śniegu. Ledwo słyszalne sygnały pomocy, trzy co dwadzieścia sekund, minuta przerwy i znów trzy, dotarły do nas, choć nie widzieliśmy światła schroniska.

Poodmrażanych i ledwie żywych bohaterów, dobrze po północy, ściągnął z ostatnich dwóch wyciągów na Przełęcz Mnichową Zbyszek Skoczylas z Jerzym Walą. Śnieg błyskał fioletem od mrozu, gdy z goryczą klęski w sercu schodziliśmy nad ranem stokami Miedzianego.

*

Lepsza pogoda była następnego roku, gdy z Jerzym Walą i Tadeuszem Strumiłą przeszliśmy ścianę 28-go i 29-go marca. Na mnie przypadła Trzecia Rysa, w której wspinałem się, dla lekkości, w samej koszuli i skafandrze. W połowie rysy byłem tak osłabiony, że nie mogłem naciskać zatrzasku karabinków. Musiałem zejść, zjeść dwie tabliczki czekolady i napić się pospiesznie zagotowanej herbaty. Przeleciałem potem przez rysę jak ptak i wykopałem w śniegu dobre stanowisko. Było jeszcze daleko do wieczora i nie martwiłem się, że zamarznę, bo zaraz Tadeusz miał donieść mój swetr i ciężki wór pełen puchów i jedzenia. I rzeczywiście, wkrótce mogłem podciągnąć z dziesięć metrów liny do siebie. Byliśmy poza zasięgiem swoich głosów i porozumiewaliśmy się tylko szarpnięciami liny. Tadeusz przestał iść do góry. Myślałem, że trzeba mu pomóc i zacząłem go z całej siły ściągać. Okazało się potem, że to był błąd. Po długim czasie doszedł mnie ledwie słyszalny krzyk Wali: POOPUUŚĆ! Spuściłem wiele metrów i nic.

Dalej byłem tylko w koszuli i skafandrze, noc zaczęła zapadać, a ja stojąc tańczyłem w miejscu jak opętany by rozgrzać marznące ciało. Bez przerwy otrzępywałem padający śnieg z przemakającego skafandra. Wreszcie po paru godzinach poczułem szarpnięcie i zacząłem ściągać linę. Jakoś bardzo szybko doszedł do mnie Tadeusz, ale bez wora i bez mojego swetra.

– Co się stało? – spytałem.

– Zemdlałem w połowie rysy – powiedział. – Z wysiłku. Potem ty przyciągałeś mnie jak wariat do haka, a Wala ciągnął w dół, ale ja nie bardzo wiedziałem co się dzieje. W końcu Wala zszedł trochę w bok od rysy i wtedy go usłyszałeś.

– To musiała być hypoglikemia, wypaliłeś cały cukier w krwi.

– Może. Ale głównie wykończył mnie wór, zbyt ciężki na tego ausera. Gdy mi popuściłeś Jurek przyciągnął mnie do siebie, nakrył śpiworem, napoił rozpuszczoną czekoladą i napchał keksami z kielbasą. Poczułem się zupełnie normalnie, ale postanowiliśmy, że pójdę bez obciążenia. Ściągnijmy plecak tą zjazdówką – wskazał

na linę, którą włókł za sobą obok asekuracyjnej.

Zabraliśmy się zaraz do ciągnięcia wora, a Jurek Wała od spodu sterował nim cienką linką. Trwało to bez końca. Potem i jego wciągnęliśmy do siebie i weszliśmy do śpiworów w jamie śnieżnej, którą wykopałem rękami w czasie wielogodzinnego czekania. Zrobiliśmy sobie wspaniałą kolację: zupę, makaron, konserwy, a przede wszystkim niezliczone menażki herbaty, wonne i przesłodzone, parzące usta. Nocleg był dla mnie okropny. Jama wystarczała na półtorej osoby a nie na trzy. Od przepaści oddzielała ją piętnastocentymetrowa ścianka śniegu, więc oczywiście spaliliśmy przywiązani na krótko do haków. Zgodnie z planem następnego dnia prowadzenie przypadało Tadeuszowi a ja miałem iść na drugiego. Wybrałem więc sobie najgorsze miejsce przy ścianie, a najlepsze, od skały, daliśmy Tadeuszowi. Oznaczało to po prostu, że Jurek spał na mnie. Całą noc dusiłem się pod jego ciężarem, zasypiałem, budziłem się by go podrzucić i zaczerpnąć powietrza, znowu zasypiałem i tak w kółko. Rano Jurek z Tadeuszem wynieśli się z dziury, ugotowali śniadanie, zjedli i Tadeusz zaczął się wspinać. Pozwolili mi spać przez cały ten czas. Dopiero gdy Tadeusz dotarł do połowy trawersu podciągowego nad nami i liny zaczęły mu się blokować, Jurek mnie zbudził. Wypiłem i zjadłem zimne resztki śniadania i doszedłem do Tadeusza. Nad trawersem niewiele już zostało wspinania.

Skała była wytopiona ze śniegu, a potem czekało nas już tylko łatwe przemknienie się pod płytami szczytu i żleb wyprowadzający na Przełęcz Mnichową. Tadeusz wszedł na nią, wzniósł czekan i wysokim głosem krzyknął: ZWYCIĘSTWO! Nasz wtór poniosło echo nad doliną, a radość wstrząsnęła mną do kości. Wtedy, w błysku jasnowidzenia, narodziły się te strofy do Janka Długosza, które przesłałem mu parę lat później i nigdy już więcej go nie ujrzałem:

*Czy przekraczając próg – może Ty pierwszy –
Zostawisz inny jakiś ślad po sobie
Niż starty odcisk stóp w granicie górskim
I oddech wierszy?*

*Mój brat być przestał tłukąc mózg o skałę.
Od gwiazd schodzący mróz wygasł w innych
płomień żywiący myśl, czucie i ciało.
Zaczęli iść ku entropii.*

*Czy przekraczając próg – może Ty pierwszy –
zostawisz inny jakiś ślad po sobie
niż starty odcisk stóp w granicie górskim
i oddech wierszy?*

Gliwice 1956

NIEBEZPIECZNA GRAŃ

Stanisław Worwa

Nagle powietrze przerywa złowrogi szum spadającego śniegu. Prostujemy się ostrożnie, żeby nie stracić równowagi. Głowa kołuje ze zmęczenia po paru nieprzespanych nocach w burzy śnieżnej – gdzie to się stało?

Tam!...

– O rany!... przecież w tym miejscu przed chwilą byli Pysiek z Bemolem^{1/}...

Wołamy!!!... nic, – tylko pył śnieżny osiada powoli.

Odpowiada nam złowroga cisza.

Próba przejścia zimowego grani Tatr Wysokich od Przełęczy Pod Kopą do Przełęczy Liliowe, podjęta przez taterników z Krakowa w kwietniu 1956 roku, zakończyła się tragicznie na południowych stokach Mięguszwieckiego Szczytu Pośredniego. Zginęło wówczas w lawinie śnieżnej dwóch wspaniałych kolegów i świetnych taterników: Henryk Czarnocki (Pysiek) i Tadeusz Strumiłło (Bemol).

Tak się jakoś złożyło, że dotąd nikt nie opisał tych zdarzeń, nawet akcja ratunkowa słowackiego THS-u nie doczekała się publikacji.

Cała wyprawa organizowana była z dużym rozmachem, zaplanowana na okres dziesięciu dni, ze składami żywności usytuowanymi po drodze. W przedsięwzięciu

1/ Pysiek, Bemol - środowiskowe pseudonimy Henryka Czarnockiego i Tadeusza Strumiłły.

brały udział dwie grupy taterników: grupa wspinaczkowa wędrująca granią oraz grupa pomocnicza, która utrzymywała kontakt z grupą graniową i pomagała przy zakładaniu składów żywności.

Do grupy pomocniczej należeli M.Pauly, K.Heller, Z.Hegerle oraz J.Słupski. Grupę graniową stanowiło ośmiu uczestników: Henryk Czarnocki, Jurek Lechowski, Adam Skoczylas, Tadeusz Strumiłło, Andrzej Truszkowski, Jerzy i Antoni Walowie oraz Stanisław Worwa.

Założyliśmy trzy składy z żywnością: na Polskim Grzebieniu, pod Zachodnimi Żelaznymi Wrotami oraz koło schroniska na Wadze. Przy zakładaniu składów brali udział wszyscy uczestnicy.

Przygotowania, kompletowanie żywności i sprzętu, załatwianie spraw formalnych ze stroną słowacką, wymagało trochę czasu. Wreszcie z całym majdanem znaleźliśmy się na Słowacji.

Pierwszy tydzień zajęło nam wędrowanie po górach i wynoszenie żywności na grań. To był doskonały trening kondycyjny i towarzyski, pomagający zgraniu całej grupy.

* * *

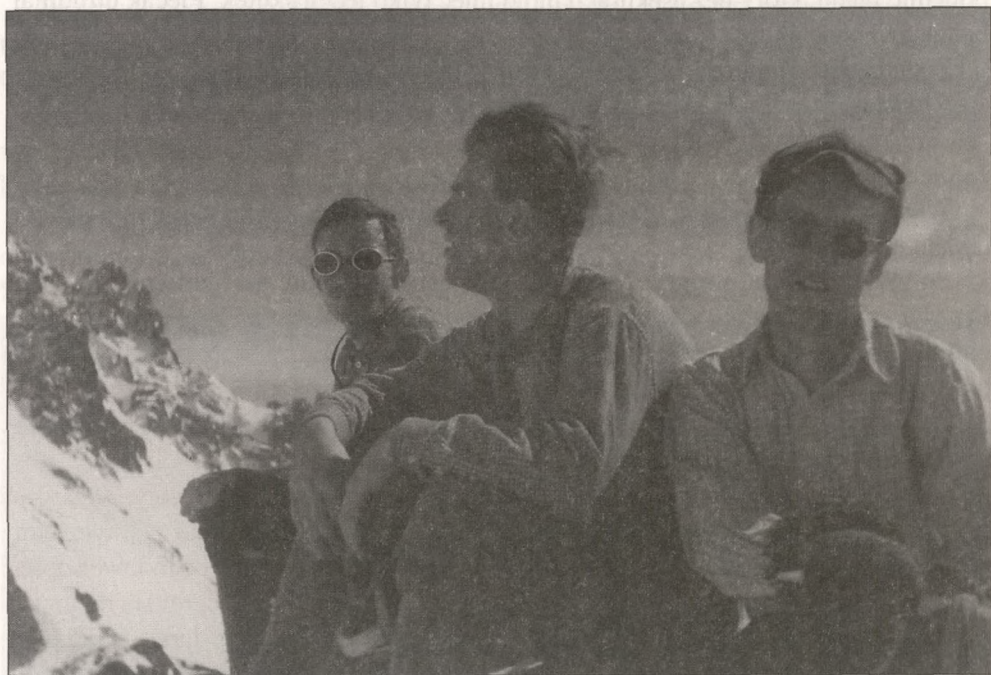
Wreszcie nadszedł dzień wyjścia. Z początkiem kwietnia graniowa ósemka w głębokim śniegu torowała drogę do Kiezmarskiej Chaty, przytłoczona worami załadowanymi sprzętem wspinaczkowym, biwakowym i żywnością. Trzeba pamiętać, że ówczesne namioty i cały sprzęt był tyleż prymitywny, co ciężki do niesienia.

Arno Puškáš, który wtedy gazdował w schronisku, przyjął nas gościnnie. Wieczorem przepakowaliśmy plecaki i zredukowaliśmy część rzeczy i jedzenia, by dało się z tym wspinać po grani. Święta Wielkiej Nocy miały nas zastać gdzieś na szczytach. Jedno pozostawało zagadką: czy nie załame się decydująca o wszystkim pogoda, która na razie nam sprzyjała.

Ranek wstał mroźny i pogodny. Opuściliśmy schronisko o bladym świcie. Po przekopaniu się przez dosyć głęboki śnieg górnej partii doliny, grań powitała nas wschodem słońca i twardym, wywianym gruntem, bądź zmarzniętymi trawami, po których w kierunku Jagnięcego Szczytu szybko zyskiwaliśmy wysokość. Plecaki ciążyły niemiłosiernie, jak zawsze w pierwszym dniu wyprawy. Wyżej drogę zagrażały coraz stromsze partie skalne, na których trzeba się było wspinać. Osiągnięcie pierwszego szczytu było symboliczne. Świeciło słońce, ale wiał silny wiatr, uniemożliwiając swobodny wypoczynek. Trzeba było zapiąć puchowe kurtki i schronić się po zawietrznej stronie grani. Niebo bez jednej chmurki.

Adama zaczęły ogarniać pewne wątpliwości.

– Jak myślisz, stahuszku (było to jego ulubione powiedzenie, a że nie wymawiał głoszki „r“, brzmiało nieco nosowo) – kiedy załame się wheszcie ta wyjątkowa



Zimowa grań Tatr. Odpoczywają (od lewej) Jerzy Wala, Tadeusz Strumiłło, Henryk Czarnocki. Fot. A.Skoczylas.

pogoda?

– Wiesz – odpowiedziałem – dobra pogoda zawsze napawa pesymizmem, bo może się tylko zepsuć. Problem w tym, że nie wiadomo, kiedy to nastąpi. Ale bądźmy dobrej myśli.

Przy zejściu z Jagnięcego w kierunku Kołowego Szczytu występują pewne trudności. Grań staje się dość eksponowana, zaczynamy się fragmentami asekurować. Podejście na Kołowy to łatwiejszy teren. Jest popołudnie, wlecemy się otępiali. Przełęcz Stolarczyka. O zmierzchu podchodzimy na Barani Zwornik i tutaj pierwszy biwak.

W namiotach przytulnie. Gotujemy dużą ilość herbaty, aby uzupełnić niedobory płynów. Ciepły śpiwór stwarza wrażenie zacisza domu. Sen przychodzi szybko zaś świadomość, że jesteśmy już w akcji, daje pełne odprężenie. Milkną leniwe rozmowy.

Następnego dnia utkwily mi w pamięci wielosetmetrowe, ostre trawersy z dużą ekspozycją po stronie doliny Czarnej Jaworowej i Śnieżnej, które pokonywaliśmy, aby możliwie szybko wydostać się na Lodowy i Śnieżny z ominięciem jego uskoku. Skoncentrowany wyszukiwałem chwytty i precyzyjnie wbijałem zęby raków, żeby nie

popęłnić błędu, który bez asekuracji mógł mieć tylko jeden skutek. Plecak utrudniał balansowanie ciałem.

Zagadnąłem Kukula^{2/}, który przede mną walczył z trudnościami:

– Uważaj! Bo szkoda jedzenia, które masz w plecaku.

– Spokojna głowa – odpowiedział – będę was odwiedzał co noc na biwakach, żarcie też przyniosę.

Wspinaczka była dość ryzykowna. Spieszyliśmy się, gdyż czas naglił. Dalej będzie już łatwiej.

Po przebyciu Lodowego i Małego Lodowego, zeszliśmy na Czerwoną Ławkę. Przed nami była trudna, stercząca w niebo grań Ostrego Szczytu. Przejście tego odcinka z plecakami wymagałoby ich przeciągania. Rozdzieliliśmy więc grupę. Koledzy z obciążeniem obeszlą turnię dołem. Tadeusz i ja poszliśmy granią na szczyt.

Na lekko wspinaczka była szybka i przyjemna. Największą atrakcję stanowiło zejście z przełęczy między wierzchołkami na południe.

Godziny popołudniowe. Słońce wściekle grzeje i wyciąga ostatnie poty. Żleb wypełniony masą mokrego, klapniętego śniegu, powietrze nasycone charakterystycznym zapachem nagrzanego skały i porostów. Ze ścian płyną strugi wody i lecą lodowe sople. Niebezpieczeństwo lawiny gruntowej jest duże. Walczę z zaklejającymi się rakami.

– Uciekajmy stąd, rany Julek! – mówię – bo jak pieprznie, to długo będziemy fruwać w powietrzu niczym nietoperze! Słyszę wodę podmywającą nas od dołu.

Jesteśmy zgodni, że trzeba stąd jak najszybciej wiać. Pod nami wysoki, dolny próg ściany. Z duszą na ramieniu, zadowoleni, że nareszcie mamy ciepło, wychodzimy trawersem ze żlebu.

Na Jaworowej Przełęczy spotyka się cała grupa. Zabieramy swoje plecaki. Przed nami Jaworowy Szczyt, przez który niesiemy worki. Ze szczytu schodzimy już o zmroku na głęboką przełęczkę Rozdziele i dalej w dół, na górne piętro Doliny Staroleśnej. Są tu wykopane w śniegu rozległe jamy, w których biwakował obóz taterników słowackich.

Zejście z przełęczy pionowym żlebem odbywa się prawie po ciemku. Osiem osób w stromym żlebie to rzeczywiście zagrożenie. Naturalnie lecą bloki, znaczące swą drogę snopami iskier. Uskakujemy w bok jak wiewiórki. Słychać przekleństwa i czuć swąd siarki.

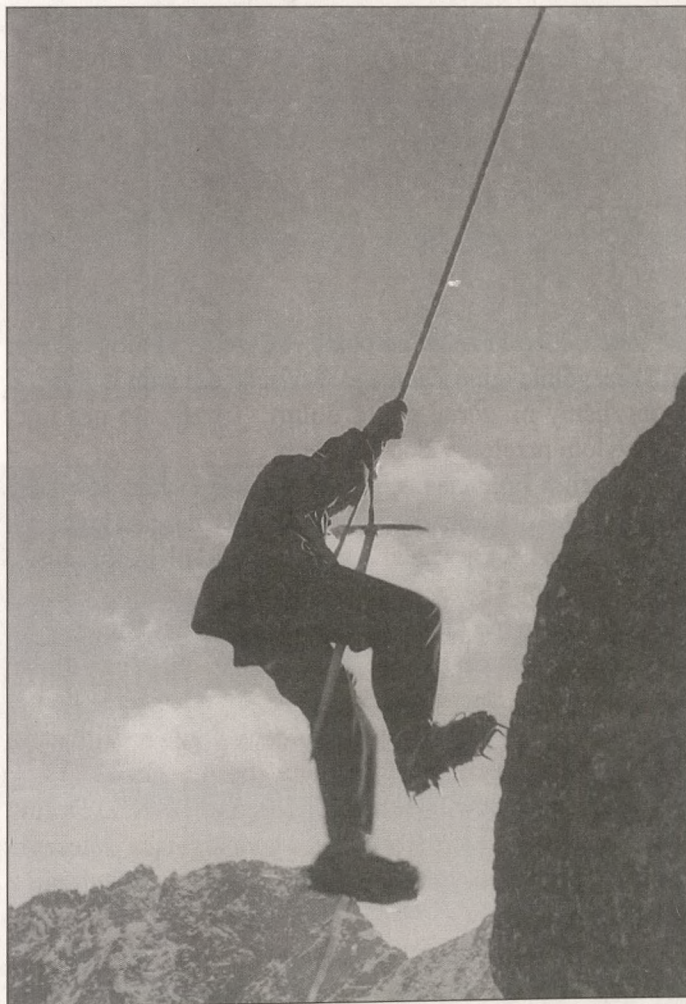
– Taka wasza mamusia! – krzyczymy z dołu – nie rzucać kamieni!

– Nikt nie rzuca, same lecą – odzywa się spokojny głos z góry. Zupełnie, jak w zakopiańskim barze: – Kto zamawiał ruskie?

Wreszcie wszyscy szczęśliwie docieramy do jam, gdzie jest przestronnie, choć trochę wilgotno. Trzeba umiejętnie położyć materac, aby nie obudzić się w kałuży. Obfita, wspólna kolacja, odpoczynek. Ogarnia nas zmęczenie. Zasypiamy.

Świta. Przez wejściowy otwór wpływa jasność wstającego dnia. Przecież dzisiaj mamy Wielką Niedzielę! Święcone zjemy na górze. Wychodzimy z powrotem w kierunku przełęczy Rozdziele. W dzień stromy komin jest o wiele łatwiejszy.

Południe zastaje nas na rozległej kopule Świstowego Szczytu. Tutaj wykwinny, świąteczny obiad. Pogoda nie robi nam zawodu. Świeci ciepłe słońce, brak jakiegokolwiek wiatru.



Dzielimy się jajkiem. Po obiedzie, który składa się z przystawek rybnych, tradycyjnego barszczu i szynki, „zaserwowano“ dużą puszkę wspaniałego kompotu z brzoskwiń. następnie fundujemy sobie pełny relaks i opalanie. Tadek Strumiłło gotuje dodatkowy garnek wody, wyjmując przybory do golenia i przystępuje do toalety. Spoglądamy zezem na ten przyływ pracowitości z uszczypliwymi uwagami:

– Stary, zły znak, byle to nie było twoje ostatnie golonko.

Stanisław Worwa
zjeżdża z Dzikiej Turni.

Fot. A.Skoczylas

– Nie trzeba być przesadnym – odparowuje krótko. Wierzył, jak każdy, że gdyby się nawet coś stało, to nie jemu.

Słońce zbliżało się ku zachodowi. Góry jarzyły się żółtawym blaskiem, błękitny opar zalegał doliny po słowackiej stronie. Na północy horyzont zamykał ciemny masyw Babiej Góry i Gorców, które były naszym domem. Wydawało się, że jesteśmy w jakichś dalekich, obcych górach – tylko skąd ten znajomy widok ojczystych stron?

Parę ciekawych atrakcji czekało nas jeszcze w rejonie Dzikiej Turni, gdzie Adam Skoczyła fotografował mój efektowny zjazd. Potem minęliśmy Małą Wysoką i łatwe zejście wyprowadziło nas na szerokie siodło Polskiego Grzebienia. Znowu o zmroku stawialiśmy namioty.

Był tutaj założony składzik. Odkopaliśmy przyniesione wcześniej zapasy, co znacznie urozmaiciło naszą kuchnię, również smakowo, ponieważ – jak się okazało – herbatniki i pieczywo były zbyt blisko benzyny i zyskały odpowiedni aromat nie do odrzucenia.

Następnego dnia pogoda zaczęła się zdecydowanie zmieniać. Niebo pokryło się wysokimi chmurami, zaczął dąć silny wiatr, przelatywały krótkie śnieżyce. Szliśmy jednak dalej. Etap tego dnia miał nas zaprowadzić pod Zachodnie Żelazne Wrota, gdzie byliśmy umówieni z grupą wspomagającą.

Zmęczenie dawało się we znaki. Plecaki znów odrobinę cięższe, grań niby nie trudna, ale wciąż przepaścista. Szczególnie rejon Zadniego Gerlachu dał nam w kość. Z Batyżowieckiej Przełęczy zeszliśmy na górne piętro doliny. Tu złapała nas noc. Musieliśmy założyć biwak u wylotu przełęczy Pod Drągiem.

Rano, przy złej pogodzie, Adam z Jurkiem Lechowskim zaliczyli Batyżowiecką Grań. My zaś, manewrując worami, obskoczyliśmy resztę szczytów. Dalej, cała grupa, po minięciu Żelaznych Wrót, przez Śnieżne Kopy, znalazła się w rejonie kolejnego obozu.

Namioty stanęły na wygodnym, eksponowanym balkoniku, nad naszymi głowami wisiał śnieżny żleb. Biwak rozbijaliśmy po ciemku i nikt nie myślał o lawinowym zagrożeniu. Nim się spostrzeżliśmy że może być źle, już za późno było na zmianę miejsca. Położyłem się spać z uczuciem zagrożenia. Gdy w nocy wiatr gwałtownie szarpnął płótnem – odruchowo, jednym ruchem rozerwałem zamek w śpiworze. Nic złego nie nastąpiło. Noc była jednak pełna podświadomego czuwania.

Rankiem pogoda nienajgorsza, nawet chwilami przebijają słońce. Z dołu Doliny Złomisk posłyszeliśmy znajome pohukiwania. To grupa wspomagająca spieszyła na spotkanie. Byli już niedaleko: Krystyna, Marian, Zbyszek i Janek. Witali się z nami pełni wrażeń.

– Byliście tu wczoraj, co się z wami działo? – pytał Marian.

– Yeti nas zatrzymał, żądał okupu za przejście grani, ale Adam z nim pogadał i facet zmiękł...



W Dolinie Złomisk - zakładanie składów żywnościowych. Od lewej: Jerzy Lechowski, Stanisław Worwa, Henryk Czarnocki. Fot. A.Skoczylas.



Biwak pod Zbójnicką Ławką. Fot. A.Skoczylas.



Zejsście z Jaworowego Szczytu. Fot. T.Strumiłło.



Obóz w dolinie Stawów Hińczowych (dzień przed wypadkiem). Fot. A.Skoczylas.

Ogólna wesołość, dalsze rozmowy, zdjęcia przy wspólnym śniadaniu. Niebo, jak zwykle o tej porze, zaczyna się zaciągać chmurami. Żegnamy się, bierzemy plecaki i dalej.

Trawerssem dochodzimy na Rumanową Przełęcz. Po drodze zaliczamy kolejne szczyty: Żłobisty, Rumanowy i Ganki. Pogoda psuje się coraz bardziej. We mgle pniemy się mozolnie w kierunku Wysokiej. Ze szczytu nic nie widać. Szybkie zejście żlebem rozdzielającym wierzchołki i trawers osławionych, lawiniastych pól pod Czeskim Szczytem. Odżywają wspomnienia. To przecież stąd parę lat temu zjechał się z ogromną lawiną do doliny Siarkańskiej^{3/}.

– Popatrz, jak inaczej to wszystko dzisiaj wygląda – mówi Adam. – teraz zupełnie nie widać skalnych żeber, ani krawędzi progu w dole...

– W ogóle góry zniknęły, za to śniegu dużo więcej – dodaję.

Trawersujemy dalej w kierunku Kogutka, idąc w odpowiednich odległościach, aby umniejszyć ryzyko przy ewentualnym obrywie lawiny.

Gdy grupujemy się na szczybie w grani zapada noc. Dalej skały są strome i oblodzone. Schodzimy częściowo z pomocą liny. W dole majaczy ciemna bryła zamkniętego schroniska na Wadze. Czeka nas jednak duże zagrożenie. Wchodzimy na niebezpieczne pola zalegające środkową partię ściany, w głęboki, nawiany śnieg. Koniec etapu tak blisko, byle nie nastąpiło coś złego. W podświadomości mam obraz resztek lawiny oglądanej w tym miejscu, która oparła się o budynek, wyginając żelazne okiennice i dewastując otoczenie. Nie chciałbym zostać wprasowany w ścianę jak sardynka.

Jest ciemno. Osiem osób brnie przez lawiniasty teren. Jakakolwiek asekuracja nic nam nie da. Wszyscy są śmiertelnie zmęczeni. Wyłączam instynkt samozachowawczy, biegiem rzucam się w dół – i... nic się nie dzieje...

Tym razem nie wchodzimy do zamkniętego schroniska. Rozbijamy namioty na zewnątrz, w partii bezpiecznej od lawin.

Całą noc dmie wiatr, masa śniegu rośnie w oczach. Mam jakieś cholerne szczęście do Wagi w zimie... Rano pogoda niewiele się zmienia, widoczność prawie zerowa. Wielka dyskusja: co robić dalej?

– W tych warunkach nic zdziałać nie zdołamy – wyrażam swoją opinię. – Jesteśmy już dosyć wykończeni, do tego ostatnie dni niekonsekwentnego marszu po grani stawiają cały efekt przejścia pod znakiem zapytania – mówię.

Trudno jednak zdecydować się na odwrót, gdy włożyło się taką masę wysiłku. Bakcyl sukcesu preferuje walkę do końca, za każdą cenę. Jakże trudno tu wyważyć granicę rozsądku.

3/ patrz t.II Pamiętnika PTT.

W końcu – wolą większości – staje na tym, że przerzucimy obóz do doliny Hińczowych Stawów, a gdy poprawi się pogoda, uzupełnimy ten odcinek grani. Teraz zejdziemy szlakiem w dół, a następnie skrócimy drogę, przechodząc przez przełęcz w Wołowcu Miękuszuwieckim.

Ciężka wędrówka: we mgle, w głębokim śniegu i ciągłym opadzie. Z trudem trafiamy na przełęcz w Wołowcu. Przed nami odsłania się na moment w dole Wielki Hińczowy Staw i jego otoczenie – rozległe, trawiaste płaszczyzny wśród granitowych złomów.

Namoty stawiamy walcząc o każdy fragment napiętego płótna. Wiatr wyrывa wszystko z rąk, siecze biczami śniegu. Poruszamy się w wirującej, białej masie, chodząc po twardym gruncie.

Nareszcie udało się wpełznąć do środka w wilgotnych ubraniach do mokrych śpiworów. Cały czas trzeba usuwać śnieg, który wciska się między podwójne ścianki namiotu. Podłoga pokrywa się kałużami wody, w której zaczęły pływać materace i śpiwory. Wybieram ją przy pomocy starej rękawiczki. Jednak dopiero otwory w podłodze radykalnie usunęły wodę.

Święci⁴⁰ ustawili swój namiot za wielkim głazem, ale został on zasypany i zawalony w zaspie śnieżnej.

Przez łomot wiatru dociera do nas dyskusja:

- A mówiłem, że nas tutaj zasypie...
- To trzeba było namiot postawić gdzie indziej – logicznie odpowiadał Antoni.
- Tak... Ale tobie było wszystko jedno – bronił się Jerzy.

W nocy opuścili go desperacko, lokując się u sąsiadów.

Rankiem zawierucha trwała. Spędziliśmy w obozie cały następny dzień, nie mając już siły stąd uciekać. Kolejna noc była trochę lepsza, ale w podartych i mokrych namiotach trudno było o sen. Był to czas koszmarów i nagłych przebudzeń. W końcu przyszedł mróz i zrobiło się potwornie zimno.

Trzeciego dnia nad ranem zrobiło się dziwnie jasno, wiatr nie targał już płótnem. Za grzbietem Wołowca srebrzyła się poranna zorza, ostatnie gwiazdy bladły na niebie. Wstawał piękny, słoneczny dzień.

Wygrzebaliśmy się na zewnątrz. Wokół biel śniegu kontrastowała z bursztynowym kolorem okolicznych bloków skalnych. Poczuliśmy jakiś dziwny przypływ desperackiej energii. Bakcyl sukcesu znów zaczął działać. Zlikwidowaliśmy obóz i zamiast iść w dół, do ludzi, postanowiliśmy ratować nieosiągalne i walczyć dalej.

Podzieliliśmy się na grupy. Wałowie poszli na Chłopka i Miękusza Czarnego, Tadek z Pyśkiem – na Miękusza Pośredniego. Kukuł, Adam, Andrzej i ja – na

Mięgusza Dużego. Punkt zborny wyznaczaliśmy na Hinczowej Przełęczy.

* * *

Wokół świeże lawinisko, nawet niedużych rozmiarów, ale śnieg spiętrzył się w załamaniu stromizny i tafla stawu. Nad nami stok najeżony licznymi, odsłoniętymi głazami, wyżej – łagodna, płytowa ściana Pośredniego Mięgusza. Od dołu widać sznurek zagłębień wchodzących w niebezpieczny teren. Płaty te już wcześniej okazały się pechowe dla polskich taterników. To na nich Gienek Strzeboński znalazł w roku 1954 rozbite ciało Tadka Westwalewicza, który w ową śnieżną, sierpniową noc odpadł z zerwaną poręczówką z trawersu nad przewieszkami i poniósł śmierć na miejscu. Ratowano także wtedy rannego Milówkę na Mięguszowieckiej Grani.

...Wzrok utkwiony w stromy, lawiniasty kuluar, biegnący w kierunku skał ściany Mięgusza, chwilami zapadamy się do pasa w nawianej, zbitej masie. Czekan nie daje żadnego oparcia.

Nagle powietrze przerywa złowrogi szum spadającego śniegu. Prostujemy się ostrożnie, żeby nie stracić równowagi. Głowa kołuje ze zmęczenia po paru nieprzespanych nocach w burzy śnieżnej – gdzie to się stało?

Tam!... Biały obłok wznosi się ponad stoki Hinczowego Stawu. Wyżej widoczny obryw lawiny, która wymiotła środkowe pola na ścianie Pośredniego Mięgusza.

– O rany!... przecież w tym miejscu przed chwilą byli Pysiek z Bemolem... nawet jest widoczny w dole ich ślad...

Wołamy!!!!... nic, – tylko pył śnieżny osiada powoli.

Opętańczy bieg w dół. – Białe, twarde lawinisko, nawet nie duże, ale wystarczająco głębokie. Wołamy dalej w nadziei, że może gdzieś cię zatrzymali. Wokół pełno wywianych kamieni.

Odpowiada nam złowroga cisza. Tragiczne przypuszczenia potwierdza daleki głos i rozpaczliwe gesty Jurka Wali, który wraz z bratem szedł w kierunku Mięguszowieckiej Przełęczy pod Chłopkiem i dokładnie wszystko widział.

Tak... Żadnego śladu wokół. Nie ma wątpliwości. Są pod śniegiem.

* * *

Biegniemy zszokowani, szukając śladów mogących ułatwić zadanie. Nie ma nic. Z góry schodzą Walowie.

– Usłyszałem głucho tąpnięcie – mówi Jurek. – Myślałem, że gdzieś koło nas, ale nie. Widzę z lewej strony całe pole, zjeżdżające błyskawicznie w dół. Śnieg zaczął się kłębić dopiero na pierwszych skałach. W tym miejscu właśnie zniknęli.

Zaczynamy sondować lawinisko. Początkowo chaotycznie, później systematycznie, na nic innego nas nie stać. Zdajemy sobie sprawę z kompletnej przypad-

kowości tych zabiegów. Czekan ma długość najwyżej 80 cm, zaś lawinisko ponad trzy metry głębokości!

Wreszcie jest jakiś opór! Kopiemy menażkami. Około pół metra pod śniegiem natrafiamy na skafander... TO PYSIEK!!! Pracujemy intensywnie. Wydzielana adrenalina daje o sobie znać. Nie czujemy zmęczenia. Dochodzimy do rejonu, gdzie powinna być twarz. Śnieg staje się różowy. To krew... Odsłania się głowa: zaciśnięte wargi, nie ma śladu oddechu. Nad lewym okiem głęboko wgnieciona czaszka, widać siną wnękę w obramowaniu białej kości.

Adam, niedoszły lekarz, schyla się nad przyjacielem. Jego łamiący głos brzmi jak wyrocznia:

– Nie żyje... Nic tutaj pomóc już nie można. Czapki z głów, panowie...

Od zejścia lawiny minęło 40 minut.

Szukamy dalej Tadeusza. Całą powierzchnię śniegu pokryły ślady naszej penetracji. Bez skutku.

Naturalnie, w międzyczasie ktoś pobiegł (nie pamiętam kto), do Popradzkiego Stawu zawiadomić o wypadku. Czas biegnie szybko. Trzecia godzina od zejścia lawiny. W głębi doliny, słysząc odbite echa. To THS – Słowackie Pogotowie Górskie.

Mija kilkadziesiąt dalszych minut. W oddali widzimy zbliżających się ludzi. Mają szpikulce do sondowania lawin, łopaty, dwie akie do transportu i plecaki pełne środków ratunkowych.

Krótką wymiana informacji i zaczyna się sondowanie lawiny długimi drutami. Po chwili natrafiamy na COŚ!!! Kilku ludzi kopie łopatami ze zdwojoną energią, zagłębiając się w coraz głębszą jamę.

CIAŁO LEŻY UKOŚNIE, GŁOWA JEST NIŻEJ. Ostrożnie zacząłem rozgrzebywać śnieg, początkowo menażką, później ręką. I tutaj – pamiętam – szok: ręka wpada mi w głęb, bez oporu! Byłem przekonany, że jestem we wnętrzu rozbitej czaszki... Ale to była tylko dość duża próżnia, wytopiona wokół głowy. Prawdopodobnie oddychał jeszcze jakiś czas pod śniegiem. Gdybyśmy natrafili na Tadeusza w pierwszej fazie poszukiwań, może by żył.

Konwój ratowników z dwoma podłużnymi kształtami tworzy długi wąż. My wysuwamy się do przodu. Teraz dopiero zmęczenie i odprężenie biorą górę. Byłe do schroniska.

* * *

Pamiętam jeszcze dziwne wrażenie zieleni mijanych drzew i kosówki, które przy powrocie w doliny dotarło do mnie, po dziesięciu dniach przebywania wśród skał i śniegu.

Ale na pełne odczucie tego, co zaszło, przyjdzie czas dopiero później. W ciszy i spokoju.

Mojej Mamie

KIEŻMARSKI SZCZYT W DNIU WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Alina Kaszyn

Zbliża się Święto Zmarłych. Mam trzy dni wolnego. Pogoda – cud! Mocno niebieskie niebo, w górach bardzo dużo śniegu. Ale czy ta pogoda się utrzyma? Prognozy dla Polski są zawsze ogólne. Jest rok 1965 i radio jeszcze nie podaje prognozy biometeorologicznej. Ja sama jeszcze nie wiem, że należę do biometeopatów. Dzwonię do Obserwatorium na Kasprowym, aby dowiedzieć się o prognozę dla Tatr.

Lubię chodzić i bardzo często chodzę samotnie, lecz w warunkach takiego opadu wolę mieć dobrego partnera. Takim byłby Władek Habil, lecz go zatrzymują sprawy rodzinne. Więc tylko Heni. Wiem, że się świetnie porusza w zawiejach śnieżnych w kotłach Kasprowego Wierchu. Zrobił przed laty wschodni Filar Ganku – pierwsze zimowe wejście, nadzwyczaj trudne. Oczywiście liderem był znacznie starszy brat. Wadą Heniuszka jest nudziarstwo do potęgi. Uprzedzam Heniego, że ma wziąć ubranie i ekwipunek na długie, nietrudne wejście.

W ostatnim dniu października dojeżdżamy do Tatrzańskiej Łomnicy. Zostawiamy rzeczy w pustym hotelu i idziemy w Tatry Bielskie. O zachodzie słońca kolory nieba nad pogórzami Spisza – piękne. Na dole wzgórze są szarzielone, nad nimi jaskrawo niebieski pas, nad nim ostroróżowy, a najwyżej – stopniowo ginąca zieleń. Z Płaczliwej Skały schodzimy przy pełni księżyca. W niższych partiach drogi przekraczamy małe lawiniska.

Na drugi dzień otwieramy oczy późno. Żadne z nas nie wzięło budzika. Od razu zaczyna się nudziarstwo Heniego – jakich haków nie trzeba brać. Moje uwagi, że Kieżmarski Szczyt ma 2558 m i trudno przewidzieć, jakie napotkamy warunki – trafiają w próżnię. Heni nie lubi nosić! W rezultacie wyruszamy o dziesiątej. Żeby zaoszczędzić koron, idziemy pieszo do Łomnickiego Stawu. Upał jak w lecie. Widoczność nadzwyczajna. Widać odległe pasma górskie, jakby były tuż, tuż. Niebo czyste, ciemnobłękitne. Tylko na horyzoncie, po prawej stronie, trzy małe chmurki w kształcie czółenek tkackich. Patrzę na to wszystko apatycznie. Ożywiam się, gdy dochodzimy do stacji lanowki. Ludzi wokół niej nie ma. Cisza. Ale że ludzie już i tu wtargnęli, świadczy nie tylko ciągnąca się ku Łomnicy stalowa lina. Widać wyraźnie wyryty pod szczytem rów, by wagonik mógł wjeżdżać na górę. Chyba Staszic nazwał Łomnicę płonąca gromnicą? Ze śniegu wokół stawu sterczy mnóstwo jakiegoś grubego żelastwa. Na ścianach Huncovskiego Szczytu stoi już para podpór na kabel wysokiego napięcia. Czuję złość na tych ludzi, którzy to zaprojektowali. Heni zanudza mnie pytaniami, po co to wszystko? Ale nie czuję w nim oburzenia. Zawzięcie i długo to fotografuje. Nudzi dla zasady. Ja piję wodę, do której wrzuciłam dużo soli.

Jest godzina trzynasta. Ożywiona solą ruszam pierwsza pod ścianę Huncovskiego. Nadal upał. W rozmokłym śniegu zapadam się do bioder. Heni nie proponuje zmiany w torowaniu. Wreszcie rodzaj żebra. Za nim długi żleb ciągnący się na Huncowską Przełęcz z Lejkowego Kotła. Śnieg dalej rozmokły, staczają się gigantyczne, śnieżne ślimaki. Doszedłszy do połowy żlebu, przypinamy raki i przechodzimy, manewrując wśród skałek do drugiego, podciętego żleбка. Widać już przełęcz. Na tle ciemnoszafirowego nieba stoi kozica. Dopuszcza nas blisko i znika. Jest już szesnasta. Odpoczywamy chwilę. Patrzę bezmyślnie w zacięzioną Dolinę Huncowską, którą będziemy wracać w ciemnościach. Kieżmarski Szczyt wydaje się tuż, tuż.

– Idziemy metodą francuską, na lekko – mówi Heni. – Sprzęt zostawiamy, na takie warunki niepotrzebny.

Mój partner rozkłada na słońcu ocieplacze by wyschły, wyciąga paski z raków, też w tym celu. Napełnia kubeczek śniegiem (ma się roztopić przed naszym powrotem). Zgadza się, po mej intensywnej walce, na wzięcie tylko dwóch haków i młotków. Jednak jestem nadal niezrozumiale bierna. Ja, która lubię nosić i zawsze być dobrze zaopatrzona – wyjmuję z mej horolezki wszystko, za wyjątkiem mini apteczki. Zostawiam na przełęczy wiele rzeczy, nawet puchatkę. Na Kieżmarskim byłam zaprzeszłej jesieni i wiem, że jest stąd na szczyt około półtorej godziny.

Jest już 16.15. – Idź wreszcie – mówię – i weź tę linę. To jest skrócona stilonowa zjazdówka, nie przedźwigasz się – pokpiwam. Heni wchodzi szybko na wznoszącą się nad nami turniczkę (zauważyłam, że ma nowe wibramy). Zdiera dobry śnieg,



Widok z Łomnicy na Kieźmarski Szczyt (2558 m). Fot. Biza.

pozostawiając mi oblodzenie. Idąc za nim, na mych wytartych podeszwach, ślizgam się. Po kilkunastu metrach zawracam i chwytam mój czekan.

Przechodzimy na stronę północną, na zbocze pod granią. Tu warunki zupełnie inne. Płytki, sypki, usuwający się śnieg leży wszędzie. Przykrywa zmarznięte trawki, dachówkowate płyty, oblodzenia. Idziemy śliskim kominkiem tuż nad żlebkiem, którego dna nie widać. Trawersik po ośnieżonej płycie. Heni, idąc pierwszy, strąca płytki śnieg, mnie zostaje oblodzona płyta. Przechodzę ją, ryzykując, bo dziób czekana wchodzi bardzo płytko – pod spodem jest skała. Znowu zmarznięte trawki. Gdy mówię do partnera, że przydałyby się raki – on mnie wyśmiewa: – Raki na trawki! – i idzie dalej średnim tempem, swobodnie.

Zbocze nie jest strome, lecz urywa się do Huncovskiej pionowymi ściankami. Asekurowanie się liną o luźno leżące bloki to iluzoryczna asekuracja. Robimy kilka wznoszących się ku górze trawersów. Śnieg jest coraz bardziej twardy, idzie mi się już dobrze. Skręcamy nieco w lewo i wchodzimy na zalodzone półko. Heni rąbie łopatką młotka stopieńki, ja pogłębiam je czekanem. Ostrzegam go, że teraz mamy urwisko na obie strony. Heni znów się śmieje i udając poślizgnięcie, natychmiast zatrzymuje się łopatką młotka.

Moja apatia już się dawno skończyła. Przyspieszamy tempo wchodząc na grani łączącą oba Kieżmarskie. Kładę się na śniegu, by mieć lepszy wgląd w Dolinę Dziką. Widzę Miedziane Ławki bliżej, niż bym się spodziewała. Złudzenie optyczne? Złoci je zachodzące słońce. Szczyty i przełęcze w zasięgu ręki. Patrzę na prawo, na Kieżmarską Wyżnię Przełęcz. Spod niej, przed dziewięciu laty, spadał dwieście metrów ściągnięty śnieżną lawiną Leszek Dziędzielewicz. Doznał otwartego złamania kości nogi. Długie lata leczenia, groźba amputacji. Ale nie poddał się. Nadal był przewodnikiem i instruktorem narciarskim.

Oglądam się w tył. Na Huncovskim siedzi ciemna czapa chmury. Wąska grani, która się ciągnie ku niemu, jest całkowicie zaśnieżona. Wchodzimy bardzo łatwo i szybko na szczyt. Dolina Dzika staje się brunatna niewiarygodnie pięknym kolorem. Jeszcze rzucam ostatnie spojrzenie na Durny, Czarny, Kołowy. Łada chwila słońce zajdzie, ale to nie szkodzi, bo zza Tatr Bielskich wylania się księżyc. Będzie niezapomniane zejście z Kieżmarskiego przy pełni księżyca!

Z Huncovskiego czapa zesza, ale... o, źle... W doliny Łomnicką i Huncovską wpływają ciemne chmury. Prawie biegiem wracamy ze szczytu i teraz wszystko dzieje się bardzo szybko. Z tyłu bardzo silne uderzenie wiatru. Zapada ciemność, mgła i zaczyna padać gęsty śnieg. Jeszcze dostrzegamy nasze ślady, lecz na lodowym półku stopni musimy szukać dłońmi. Jeszcze nie ma we mnie niepokoju. Zauważam, że Heni kieruje się skosem w dół.

– Stój! – wołam we wzrastającym poszumie wichury. – Wracamy granią, tylko nią trafimy na przełęcz!

– Na grani nas przewieje – sprzeciwia się partner.

– To nie trzeba było zostawiać gaci na przełęczy – mówię. – Nie to było głupie, że poszliśmy na szczyt, lecz to, że tyle potrzebnych rzeczy zostawiliśmy na dole. Daj kompas!

Heni wraca posłusznie, ale kompasu nie ma. – Zapomniałem wziąć – odpowiada. Ja swego nie wzięłam, bo ktoś mi ułamał igłę. A przecież już wiele razy ten przez wielu pogardzany przyrząd naprowadził mnie na właściwą drogę. Jak teraz trafimy na grani już zaśnieżoną? Boję się, że w ciemnościach i wzrastającym opadzie wejść na któryś z filarów – żeber. Widziałam je od Łomnickiego Stawu, lecz czy dochodziły do szczytu, czy rozpląszczały się w ścianie – nie zwróciłam uwagi. Na razie stoję i nie ruszam się. Wiem tylko tyle, że za nami nie ma grani. Wszelkie posuwanie się naprzód może być w najlepszym przypadku kręceniem się w kółko, a jeśli promień będzie większy – runięciem w przepaść. Brak jakiegoś punktu odniesienia, choćby odsłoniętej skałki, do której po paru krokach można by wrócić. Nic, tylko biel dookoła, z dołu i z góry.

– Jeszcze nie spotkałem się z tak gęsto padającym śniegiem – mówi Heni, przecie-

rając okulary. – Ani ja – odpowiadam. Stoję i czekam, jakby na jakieś objawienie, jakąś myśl. Jednocześnie wyszyskam się w duchu: przewodnik i to ze stopniem instruktora... Nie spytałam się Paryskiego o szczegóły szczytu, nie wczytałam się w Kroutila... JAK TRAFIĆ NA GRAŃ? Heni mi w tym nie pomoże. Stoi i niecierpliwi się. Ja zdaję sobie sprawę, że od tego, czy trafię na grań, zależy nasz los. O NAS NIKT NIE WIE I NIKT NIE PRZYJDZIE NAM Z POMOCĄ. O grani wiem tylko tyle, że ma dwa siodełka, które wypatrzyłam z Rakuskiej Czuby, gdy przed dwoma laty weszłam na Kieżmarski „chodeckym terenem“. Ale czy grań ma ruchome bloki lub konie – nie wiem. Musimy na nią wejść.

Heni tupie, chyba z zimna i obraca się wkoło, a ja ku jego irytacji stoję nieruchomo i nic nie robię. Pozornie, bo obserwuję. Zauważyłam, że wiatr, który na szczęście wieje porywami, uderza stale z jednej strony. Gdy schodziliśmy ze szczytu – czuliśmy uderzenia w plecy. Teraz uderzył z prawej tak silnie, że ledwo utrzymaliśmy się na nogach. Ten wiatr stał się moim drogowskazem: muszę iść pod kątem prostym w stosunku do niego. Idziemy terenem, który nagle się zwęża. To chyba grań. Wiążemy się liną podwójnie złożoną w odległości ok. 4 m. Pozostałe zwoje nakładamy na siebie. Są związane specjalnym węzłem. Jedno pociągnięcie za węzeł i zwój się zwalnia (nauczył mnie tego Gienio Strzeboński).

– Jeśli zobaczysz – mówię do partnera, gdy przecierał okulary – że ja spadam z grani, skacz na jej drugą stronę... W huraganowych uderzeniach wiatru ledwie słyszę swoje „jeśli...”.

– Zaś ty – mówię – jeśli będziesz spadał w lewo, wrzeszcz „lewa”, a w prawo – „prawa”. Jednocześnie mam prawie pewność, że Heni nic nie zobaczy, a ja nie usłyszę...

Kaptura nie ściągam, bo zimno wzrasta (puchatka czeka na przełęcz). Posuwam się wolno naprzód, kulę się, bo i czekam krótki i lepszy dam opór porywom wiatru. Marznę. Czuję klucie w klatce piersiowej. Ten ból pojawia się zawsze, gdy jestem dłużej narażona na zimno. To zrosty opłucnej, której suche zapalenie miałam po nieprzewidzianym udziale w akcji ratunkowej. Teraz jestem skupiona na posuwaniu się granią, chwilami po omacku, w nieprzeniknionej bieli. Tylko uderzenia wiatru poprawiają na moment widoczność, przenosząc padający śnieg w lewo.

Widzę jakieś siodełko. Kładę się na śniegu (jak dobrze, że mam wełniane gacie). Czekam na następny podmuch. Tak – siodełko. Uprzedzam partnera i schodzę pierwsza. Strącam kamienie, które jeszcze nie przymarzły i wydają się ruchome. Zdaję sobie sprawę, że złamanie przez któreś z nas nogi lub ręki, przyspieszyłoby nasz koniec. Ale siodełko łatwe. I dalej granią.

Trudności są zmienne. Mróz się zwiększa. Wolne tempo marszu powoduje, że jeszcze bardziej marznę. Nagle niezrozumiały krzyk i szarpnięcie liną. Odruchowo

padam na grani z szeroko rozpostartymi ramionami i nogami. Czy to utrzyma spadającego? W ciągu dwóch sekund przelatuje mi przez głowę ogrom myśli. Jeśli zostanę ściągnięta na prawą stronę, to spadając będziemy się obijać o skały filara i zaryjemy w śniegach Lejkowego Kotła. Martwych ktoś zauważy za kilka dni... Jeśli Heni ściągnie mnie na lewą stronę grani, to będziemy się obijać o rynny, lub spadniemy na chodecky teren, a z niego wylecimy do Doliny Huncovskiej. Tam zauważą nas na początku lata. Moja Mama (nazywam ją „Kocia”) będzie załamana... Ale jestem optymistką. Może partner spadł na półkę tuż pod granią? Stilonowa lina jest bardzo elastyczna.

Upływają 2 – 3 minuty i nic się dalej nie dzieje. Podnoszę głowę i zezuję do tyłu. Heni stoi na grani, może metr za mną, choć ledwo go widać. Zrywam się na nogi. Nasz dialog, gdyby nie to, że w każdej chwili możemy zostać zdmuchnięci, byłby śmieszny. Śnieg wtłaczany w usta powoduje, że bardziej mamroczone, niż mówimy.

– Potknęłaś się? – pyta Heniuszek.

– A czemuś szarpnął linę?

– Chciałem cię zatrzymać, bo mi się tak szkła zaprały, że nic nie widziałem.

– Bałwan! – z trudem wrzasnęłam. I zaraz: – Przepraszam...

Nie jest moim zwyczajem nikogo obrażać. Zresztą on nie jest przecież winien, że jest krótkowidzem. Umawiamy się więc, jak często będę się zatrzymywać i na jak długo. Uświadamiam sobie, że to przedłuży zejście i że przemarznię. Gdy czekam, napinam i rozluźniam mięśnie, lecz to niewiele pomaga. Pocieram nos – czy jest czucie? Jest.

Tempo bardzo powolne. Heni coś woła. Chce już zejść z grani, ma dość wiatru. Ale musimy jeszcze trochę być cierpliwi, już niedługo będzie przełęcz. Grani staje się coraz szersza i... wiatr przestaje wiać. Chwilowo? Mój drogowskaz już nie istnieje? Straciłam poczucie kierunku. Widać tylko biel, śnieżycę i mgłę. Czekam na wiatr, ale jest cisza. A jeśli ustał zupełnie?

Ale i tak trzeba iść. Wątpię, by chmury opadły poniżej grani i ukazał się księżyc. Heni ponagla mnie. Badam dookoła siebie śnieg czekaniem. Pod bardzo małą ilością puchu, bo wiatr ciągle go zwiewa w lewo, śnieg jest twardy. Nagle noga się obsuwa... Wbijam ukośnie mój krótki Stubai z nadzieją, że nie w puch. Jednocześnie przykurczam się, bardziej napinając mięśnie. Utrzymałam się, bo czekan wszedł po głowicę. Pode mną jest jakaś pochyłość. Może to drugie siodełko? Ostrzegam Heniego, by nie schodził i czekał na wezwanie. Zrzucam zwój liny, na asekurację partnera nie liczę. Obracam się twarzą do stromego zbocza, wybijam solidne stopnie. Kilka metrów schodzi mi się świetnie. Nagle śnieg zaczyna sunąć razem ze mną. Nie pomaga rozpaczliwe hamowanie, ryję nawet bokiem głowy w obuwie, by mnie nie przerzuciło głową w dół. Jednak nim zdążyłam wydać okrzyk – Lecę! – nogi na czymś się

zatrzymały. Ponieważ kaptur zsunął się, słyszę szelest obsuwającego się gdzieś niżej śniegu. Wypluwam śnieg i rozważam, na czym stoję. Wąska półka? Bardzo ostrożnie obracam się i patrzę naprzeciw.

Wiatru tu nie ma. Może naprzeciwko jest druga strona siodełka? Gęsto sypiący śnieg uniemożliwia dostrzeżenie czegokolwiek. Wewnętrzny głos mówi mi: nie schodź niżej. Znam ten głos, wymagający natychmiastowego posłuchu. Nikt nie umie wytłumaczyć mi jego natury, a już dwa razy uratował mi życie. Podczas warszawskiego września kazał mi: – Wynoś się stąd natychmiast. Gdy to zrobiłam – w opuszczone przeze mnie miejsce uderzył pocisk. Drugi raz, też we wrześniu: ostrzał artyleryjski, bombowce. Biegnę ulicą Książęcą i słyszę mocny śpiew. Wpadam do dużej sali, w której ponad sto osób coś śpiewa. Ktoś chce mnie zatrzymać, lecz głos każe mi natychmiast tę salę opuścić. Ledwo wybiegłam do drugiej części budynku – wycie pikującego samolotu, huk, wstrząs... Gdy po paru minutach wyjrzałam na opuszczoną połowę domu – była to już kupa gruzu...

Teraz badam, co jest w pobliżu. Za półką odsłoniętą przez zsuwający się śnieg, jest płyta. Wyszukuję w niej szczelinę, lecz simond jest za cienki, a żelazny – za gruby. Wbijam ten grubszy bez wiary, że utrzyma szarpnięcie. Heni schodzi do mnie. Polecam mu usiąść spokojnie, bo pod nami urwisko. Po wyjęciu z horolezki apteczki, daję mu pod siedzenie mój plecak. Porządkuję bardzo poplątaną linę. Gdy ją doprowadzę do ładu, wrócimy na grań.

– Aleśmy się urządzili – mówi Heni. – Jak się to skończy... Może to koniec? Koniec z kłopotami o pieniądze, z marzeniami o zakładzie fotograficznym... Nie wracam na grań. Nie warto żyć...

– Co? – pytam zdziwiona. – Będiesz miał atelier, masz zdolną i pracowitą żonę...

Ściągam łapawicę, by rozplątać węzeł. Z góry spada na nas mała pyłówka, znak, że na grani wieje. Partner powtarza w kółko, że nie warto żyć. Myślę, czy nie zesłał? Wsuwam dłoń pod jego podwójny rękaw. Długo szukam pulsu. Ale jest, mocny i równy, w normie. Heni wrzeszczy: – Tobie ciepło, dlatego chcesz na grań! – i przebiera nogami, jakby tupiąc.

– Uspokój się – mówię – bo spadniemy. Ja też zmarznę i zamarznię, jeśli się stąd nie ruszymy.

Z góry znowu spada na mnie pyłówka. Partner wciąż powtarza, że nie wróci na grań, że nie warto żyć, bo nie będzie miał atelier... Na obozach Klubu Wysokogórskiego nie uczyli co robić, gdy partner załamie się psychicznie. Łamię w kieszeni czekoladę na drobne kawałki i wtłaczam w nie połówkę tabletki Ritaliny. – Masz to, co lubisz – wsuwam mu w usta. Heni ją natychmiast wypluwa. Nie mógł wyczuć leku, który jest bez smaku i woni. Wpadam we wściekłość. Od dzieciństwa zawsze miałam skłonność do bijatyki. Teraz mam ochotę przetrzepać partnera, może

to podziela jak elektrowstrząs? Ale i miejsca mało, i on może uderzyć młotkiem. Na ułamek sekundy i ja się załamuję. Może naprawdę nie warto żyć? Na dole mam różne przykrości... Lecz natychmiast, jak fizyczne uklucie w mózg: Matka! Jak mogłam nawet przez moment o niej zapomnieć? Tak pogodna i dzielna mimo tej skomplikowanej operacji, będzie musiała umrzeć samotnie, w załamaniu i biedzie...

Z góry znowu pyłówka. Zasypie nas w końcu...

- Dosyć tego! - mówię twardo Heniemu - ja chcę żyć! Zaraz wyjdę na grań i ściągnę linki. Szarpnę nimi trzy razy. Po dwóch minutach znów trzy razy. Ty masz mi tak samo odpowiedzieć i wyjść za mną. Jeśli tego nie zrobisz - odwiążę się, koniec liny przrzucę na drugą stronę grani i będę schodzić. Zanim zawiadomię Horską Służbę, zanim cię tu znajdą, o ile w ogóle znajdą - będziesz zastygłym trupem.

Wyciągam spod niego moją horolezkę, wyrywam ręką hak i zaczynam ostrożnie się wspinać. Nie wolno mi popełnić żadnego błędu. Robię dobre stopnie, posługując się jednocześnie młotkiem i czekanem. Znów pyłówka. Wypełzam na grań i leżąc, od razu obracam się o 180 stopni. Ściągam linkę i szarpnię ją tak, jak zapowiedziałam. Czekam. Z dołu żadnego odzewu. Robię drugą próbę. Ostatnią. Ale z dołu nie dobiega żaden sygnał. Lodowaty wiatr mrozi mi ramiona. Jak długo mam czekać? Aż zdrętwięję z zimna? Święci Pańscy, pomóżcie mi, przecież to Wasz dzień! W tym błaganiu jest cień zniecierpliwienia. Pan Bóg nie stworzył Tatr dla samobójców...

- Chodź! - wołam, gdy wiatr spływa w dół. Siadam machając ramionami dla rozgrzewki. Rozmyślam, czy w tych warunkach istnieje możliwość wyciągnięcia zwariowanego partnera. Ale nie ma. Gdyby to był teren skalisty, gdybym miała kilka karabinków, haków, dwa prusiki, to próbowałabym. Zastanawiam się, że pozostawiony samotnie Heni jest skazany na śmierć. Może gdy uświadomi sobie że został sam, opadnie z niego psychoza i wyjdzie na grań. Jeśli będzie szedł we właściwym kierunku, to może uda mu się dojść do przełęczy. Ma tam część ubrania i kaloryczne jedzenie. Mocno przemarznętego znajdzie pogotowie. Oczywiście jeśli ja zejść szczęśliwie. Bo Heni będzie miał do dyspozycji całą linę, ja ani kawałka. Nie mam czym jej uciąć. Swoją ulubioną nóż huculską zostawiłam w hotelu. Któż by przypuszczał, że się rozdzielimy?

Te długie rozważania, gdy coraz bardziej sztywnięję z zimna, to w mej podświadomości odwleknięcie w czasie ostatecznej decyzji. Mam rozdartą duszę. Muszę i chcę żyć. Zresztą moje przeżycie jest szansą i dla towarzysza...

Gdy zaczynam się rozwiązywać, czuję szarpnięcie linką. Momentalnie wbijam czekan i otaczam go nią, ściągając powstający luz. Heni wychodzi na grań szybciej, niż można się było spodziewać. Wygląda i niesamowicie i śmiesznie, tak jest ośnieżony. Biała zjawa z mlecznej mgły. Otrzepuję go ze śniegu znacznie brutalniej, niż to jest konieczne...

Idziemy związani jak poprzednio. Wiatr szaleje, a ja doświadczam radości, że

właśnie to jest życie, ta walka z trudnościami stwarzanymi przez tatrzańską przyrodę, ze swoją i cudzą słabością. Chyba dojdziemy w dół, choć jeszcze tak daleko. Nie widząc otaczających nas szczytów i dolin, wiedząc, że nikt nas nie zobaczy ani nie usłyszy – czuję się bliżej nieba i doznaję dziwnej radości, że tu jestem. Tylko Heni ciągle pojękuje, że mu zimno.

Na drugie siodełko trafiamy szybciej, niż sądziłam. Wyciągnięta na brzuchu uważnie badam, czy to nie jakaś pułapka. To siodełko jest trudniejsze, niż poprzednie. Dalej jednak nie ma już niespodzianek. Przed nami jakaś czubka, lub spiętrzone głązy. Wspinamy się na nią i przywieram do wierzchołka, by mnie wichura nie strąciła. Wypatruję, czekając, co ukaże uderzenie wiatru. Gęsty śnieg przelatuje w prawo i widzę ciemny uskok Huncovskiego.

Na przełęcz strząsam z siebie ośnieżenie i czym prędzej wdziewam puchatkę. Co za raj – tak ciepło. Zażeram się czekoladą i świecąc latarką wygrzebuję resztę rzeczy. Jestem gotowa do zejścia. Jest godzina pierwsza po północy. A Heniuszek już stał się sobą. Nudzi, że nie może znaleźć drugiego paska od raków. Pasek jest zniszczony i niepotrzebny, bo będziemy schodzić bez raków. Teraz już nie ma po co się spieszyć. Patrzę w północną część Doliny Huncovskiej i marzę: – Kociu, Kociu... Dziś wieczór już będziemy razem. Ja ci jestem potrzebna, a ty mnie zawsze podnosisz psychicznie słowami „wszystko będzie dobrze”...

Wreszcie schodzimy związani liną, bo w razie zejścia lawiny moglibyśmy się zgubić. Idziemy to w twardym śniegu, to w puchu, zapadając się po pas. Przewracamy się i śmiejemy. Posuwamy się skosem, na prawo. Nareszcie magistrała. Jest nie do poznania, tak zawiana śniegiem. Człapiemy wolniutko, słabi. Może to odwodnienie? Nareszcie stacja lanovki. Poczekalnia pusta, oświetlona i ciepła. Słyszę znajome mi drżenie lin targanych wiatrem. Gotuję na variku niezliczoną ilość herbat. Z rzeczy rzuconych na podłogę tworzy się coraz większa kałuża. Napojeni, idziemy znaną już nam nartostradą. Padający śnieg jest coraz bardziej mokry. Gdy wchodzimy zwyczajnym krokiem w śpiącą jeszcze Tatrzańską Łomnicę – pada deszcz. Ale pod kurtką jestem zupełnie sucha.

W hotelu śpimy do południa. W autobusie jadącym do Łysej Polany widzę sympatyczną twarz nie znanego mi słowackiego ratownika. Mówię mu, gdzie byliśmy, mieszając względnie dobrze podane nazwy topograficzne i nazwy formacji skalnych, jednocześnie dodając polskie wyrazy. Ale on rozumie dobrze i określa nasze przejście jako „tażka tura“. Pokazuje nam na prawe strony naszych twarzy – mamy ślady odmrożeń. Na koniec, na nasze pytania o komunikaty z łomnickiego Obserwatorium odpowiada, że o 6 rano wiatr wiał z prędkością 25 m/sek., mrozu było -10°C , a świeżego opadu – 70 cm.

REFLEKSYJNIE Z CHOCHOŁOWSKIEJ

Ryszard Remiszewski

W sierpniowe dni w Dolinie Chochołowskiej tłoczno i gwarno. Niby nic się nie zmieniło: góry te same, droga z kocimi łbami, szalasy, potok, ale czułem się inaczej. Powroty w miejsca, gdzie dawniej się bywało, mają to do siebie, że są traktowane z nutką sentymentu, a i sami jesteśmy niestety starsi.

Przyzwyczailem się do tego, że pogoda w górach jest zmienna. Ruszając z ciężkim plecakiem z Polany Hucisko, myślałem powróciłem na chwilę w Dolinę Białej Wiselki, którą miesiąc wcześniej podchodziłem na Baranią Górę. Banie wodne skrzyły się wówczas, jak gorczańskie baniory w ostrych promieniach słońca. Niebo odbite w nich budziło mój niepokój, zapowiadało rychłą zmianę pogody. Coś w nim było takiego trudnego do określenia, że mrużyłem oczy. I teraz też mrużyłem! Czyżby intuicja, zdobyta latami doświadczeń w górach, zapowiadała mi zmianę pogody? Dwa dni później okazało się, że miałem rację.

SCHRONISKO

Ucieszył mnie widok nowych gontów na dachu. Schronisko żyło swoim życiem, i odradzając starzało się! W jadalni tłoczno i gwarno, że przysłowiowej szpilki wetknąć się nie dało. Lubię wtopić się w taką atmosferę, usiąść gdzieś w kącie, niewidoczny dla innych – i patrzeć. Naprzeciwno, przy długiej ławie, nad butelkami okocimia i pepsi coli (co za zestaw!), siedział mężczyzna o oczach tak smutnych, że w tym momencie wydały mi się podobne do basset hounda. Wyobrażenia pracowała dalej. Wydawało mi się, że ma zwisające uszy, krótkie nogi, długi tułów i gruby ogon, a na głowie pofałdowana skóra, o krótkiej sierści i łaciatej maści.



Schronisko PTTK na Polanie Chochotowskiej. Fot. S.Zwoliński.

Z tej zadumy wyrwał mnie znajomy wyrwał mnie znajomy głos kolegi – przewodnika, którego kilka lat już nie widziałem i wypowiedziane na powitanie zdanie: – „Nie witam się, bo mam rękę z kibla!”. Dalibóg! Mroźek, Kafką, czy życie wymyśla takie chwile? Na tak postawione pytanie nie znajduję od razu odpowiedzi, bo obok słyszę kolejny dialog: „Panie, co to za pieczarkowa, jak nie ma jednego grzyba?”. – „Niech się pan cieszy, że w ogóle zjadł zupę”.

Tak, kochany Wicku Cieślewiczu, może nawet o tym nie wiesz, że w Twoim schronisku można napisać powieść na modłę Jarosława Haszka.

KULAWIEC

Jeżeli chcesz odpowiedzieć na nurtujące cię pytanie, jeżeli masz wątpliwości, chcesz coś sprawdzić, męczysz się wewnątrznie – przejdź się Krowim Złębem i Kulawcem na Trzydniowiański Wierch. Może sobie pomożesz.

Nie wiem tylko, po co nieodpowiedzialni nauczyciele i przewodnicy męczą wycieczki szkolne tym podejściem? Kulawiec – to pokręcone ludzkie życie, które trzeba przejść, by zaznać uczucia ulgi. Stromy, oślizły, wystające korzenie drzew, głązy i kosówka przyprawiająca o zawrót głowy, ale jakże cudowne widoki na Kominiar-

ski Wierch, Ornak, Dolinę Starej Roboty. Im wyżej, tym piękniej.

Widzę głowę dziewczyny spoczywającą na ramieniu swego chłopaka i jej głos, który jeszcze dzisiaj próbuje odtworzyć, powtarzając nieudolnie za nią: – „Misiuuu, ty jesteś całą moją nadzieją...”. Wtedy i dziś przerywa mi ten obraz despotyczny głos nauczyciela, zmuszającego wyczerpaną grupkę do marszu dalej. Pod samym szczytem Trzydniowiańskiego Wierchu ostry, zimny wiatr przygniata, zmusza do pochylania się. Może dzięki niemu podnoszę spod buta kamień o fantazyjnym kształcie, który kojarzy mi się ze smokiem (trzydniowiańskim?).

KAPLICA

W mojej parafii p.w. Matki Boskiej Kochawiańskiej w Gliwicach, kapłan nazwał Ją Matką Nadziei. Kim jesteś dla pielgrzymów, Matko Doliny Chochołowskiej?

Biorę udział w niedzielnej Mszy św. Alleluja odbija się od ściany Kominiarskiego Wierchu i Ornaku, wciska się w zalesioną Przełęcz Iwaniacką. Mszę odprawia wikary z Witowa i misjonarz – salezjanin, ewangelizujący w Egipcie. To on w kazaniu mówi rzecz oczywistą, ale tu, wśród tej niecodziennej scenerii, może dla niektórych odkrywcza: życie ludzkie jest nieustanną pielgrzymką, każdy pielgrzymuje.

Tak! Ma rację. Ja i ty, ty... Pielgrzymujemy. Dlaczego? Aby zmazać grzechy, zmazać krzywdy i rany. Obraz Matki w tej kaplicy przypomina mi fragment z „Pieśni Jasnogórskiej” Anny Kamieńskiej, która pisała:

*Jedna blizna
To od szabli rana
Druga rana
Przeze mnie zadana.*

A Ty, Matko, jesteś ciemna i piękna, jesteś ciepła, jesteś dla nas. Patrząc w Twój obraz odnajduję sens zawarty w wierszu u Jerzego Harasymowicza („W górach nie-pogoda”):

*I pustka wielka
Nic się nie dzieje
Tylko się z wolna
Zwęgla sumienie.*

Salezjanin powiedział jeszcze, że Matka Boska to wszystko, co Bóg nam ofiarował najlepszego, to niewiasta obleczona w słońce.

Jeszcze kilka razy podczas tej wyprawy drogi wiodły mnie pod Twój wizerunek. Były chwile, że siedziałem na ławce sam. Cisza, wokoło tylko góry i moje myśli nie-pozbierane. Dlaczego częściej przychodzimy do Ciebie, gdy nas coś boli, a nie gdy się cieszymy? Pielgrzymujemy, szukamy nadziei. Tu w górach jesteśmy szczególnie przed Tobą nadzy. John Powell pisał: „Ból sam w sobie nie jest złem, które trzeba

omijać lub zwalczać za wszelką cenę. Ból jest raczej nauczycielem, od którego można się wiele nauczyć. Oznajmia, że coś trzeba zmienić, czegoś zaprzestać lub coś rozpocząć, porzucić dawny sposób myślenia i od nowa zacząć inaczej”.

Szukamy w Tobie, Matko, powiernika naszych najskrytszych tajemnic. I jeszcze raz z tego samego wiersza Harasymowicza zacytuję fragment:

I we mnie wszystko

Jest takie kręte

Jak tej buczyny

Konary święte.

GRZEŚ

Wychodzimy Bobrowieckim Żlebem. Wyschnięte koryto potoku, coś jeszcze sączy się między kamieniami, ale niewiele tej wody. Liście tojadu mocnego spod fioletu kwiatów opadły bezsilnie, czekając choćby na kroplę deszczu. Ten szczyt od pewnego czasu kojarzy mi się z kolegą przewodnikiem – przyjacielem Kazkiem Gajosem, „przemytnikiem” literatury religijnej dla braci Słowaków w latach 80 – tych. Tu co roku, w ostatnią sobotę czerwca, odprawiona jest Msza św. dziękczynna właśnie za takich, jak Kazek.

Wybacz mi, Kazku, tę refleksję. Tobie skromność nie pozwala na mówienie o tym, ale ja mogę i dlatego tak czynię. Właśnie tacy jak Ty, bezimienni, przez tyle długich lat robiliście rzeczy wielkie.

Słupek graniczny, zamieniany co roku na ołtarz i drewniany krzyż na szczycie. Nic więcej, a tak wiele. Pewien turysta poprosił mnie o zrobienie mu zdjęcia na szczycie. – „To przecież nie Mont Blanc!” – pomyślałem, ale gdy ustawił się pod krzyżem, a za plecami miał Kominiarski Wierch, wiedziałem już, że ma rację.

W DOLINIE

Gdzie kończy się granica magii pieniądza? Czy musi sięgać tak daleko w głąb Doliny? Nie myślę w tej chwili o strażniku Tatrzańskiego Parku Narodowego, kasującego za wstęp do Parku na Polanie Hucisko. Nie mam też na myśli tych ludzi, którzy biwakują na Siwej Polanie wzdłuż potoku, palą ogniska i myją samochody, nie mam na myśli Niemców w najlepsze biwakujących w Wielkich Koryciskach, ciekaw będąc, czy u siebie w domu też na coś takiego sobie pozwolą. Mam na myśli natomiast górali ze Wspólnoty Witowskiej – ośmiu wsi gospodarujących na tym miejscu należnych mu praw. Może są trudności w dogadaniu się. Nie wiem, ale skutki tej beczynności jeszcze zobaczymy.

POSTSCRIPTUM

Pod schroniskiem mnóstwo wypoczywających, zdrożonych turystów. Część się opala, część pożywia. Na chwilę przysnąłem dla złapania oddechu przed wejściem do schroniska i usłyszałem taki monolog leciwej pani do jej towarzysza: – „To wstyd, Lesiu, że od razu w Zakopanem powiodłeś nas na bazyry, zamiast przyjść z nami na Chochołowską. Nie wstyd ci? Patrz, jak pięknie!”

Jedni po przyjeździe do Zakopanego wybierają się na bazyry czy na Krupówki, a mnie ciągnie – gdy mam chwilę czasu – do „Atmy” Szymanowskiego, do kościółka ks. Stolarczyka, czy na Pęksów Brzyzek. Tak było i tym razem. Z głazu na grobie Krystyny z Mierzejewskich Sudziłowskiej (1888–1989) i Marii Bohatyń – Hłasko z Rusi Białej (1872–1900) odpisałem:

*Mijają ludzkie pokolenia
jak fale gdy wiatr morzem zmaci
i nie masz godów ich pamięci
i nie masz bólów ich wspomnienia.*

Z wdzięcznością pomyślałem o Ali i Wicku Cieślęwiczach, którzy zaprosili mnie na Chochołowską i pozwolili znów myślami refleksyjnie pobłądzić, odżyć i odciąć się od codzienności. W pamięci pozostanie mi też grzybek postawiony na stołku w pokoju, pachnący ja nigdy i ubawiający posiłki.

Powiedziano mi, że nie ma skróconych dróg do szczęścia. Jeżeli to prawda, to po co się tak wszyscy spieszymy?

BIESZCZADNICY

Andrzej Burghardt

Latem 1947 roku, w wyniku przeprowadzonej przez władze polskie akcji przesiedleńczej „Wisła”, dotknięte pożogą walk z UPA bieszczadzkie powiaty opustoszały. Cztery lata później, na mocy polsko – radzieckiej umowy o wymianie terenów przygranicznych dołączono do nich nowe połacie wyludnionych ziem. Stały się podówczas Bieszczady Zachodnie jedyną w Europie krainą nieomal całkowicie wyludnioną i zdewastowaną. Po stu dwudziestu tętniących ongiś życiem wsiach pozostały na starych mapach jedynie głucho brzmiące nazwy, w górach zaś smętne pogorzeliska. Porażającą grozą pustkę zawładnęła wtórnie dziczejąca roślinność.

Nic przeto dziwnego, iż w latach 50. z dnia na dzień góry owe stawały się w oczach Polaków osobliwą „terra incognita”. Dla nielicznie ocalałych, a nie przesiedlonych tuziemców były po bezmiarze tragedii ekspresją diabła, dla osadników miejscem pełnej niewiadomych walki o przetrwanie, dla żołnierzy WOP niebezpieczną życiową przygodą. Turystów urzekały nade wszystko ponurą legendą, zastraszającym mitem. Dostarczając w dobie zniwastowanego stalinizmu oraz nieomal hermetycznie zamkniętych granic państwowych możliwość uprawiania „robinsonady”, a zatem szlaków nieprzetartych, nocy pod gołym niebem, emocji na zagubionych drogach, niewyobrażalnych kłopotów aprowizacyjnych pełniły ponadto rolę substytutu jakże nowocześnie pierwotnych i egzotycznych: Wietnamu, Tajwanu, Kanady, „gór wyprawowych”, Czarnohory.

Wszystko to sprawiło, że otoczone aurą niezwykłości Bieszczady rychło zwróciły na siebie baczną uwagę znacznej części społeczeństwa polskiego. Zyskując na pewien czas status krainy tajemniczej, infernalnej, tragicznej, pierwotnej i egzotycznej

stały się, podobnie jak w wieku XIX Tatry a w międzywojniu Czarnohora, „aktywną” górską przestrzenią kulturotwórczą, inspirującą nade wszystko do działań artystycznych wcale niemałą liczbę poetów, prozaików, filmowców, malarzy, fotografików.

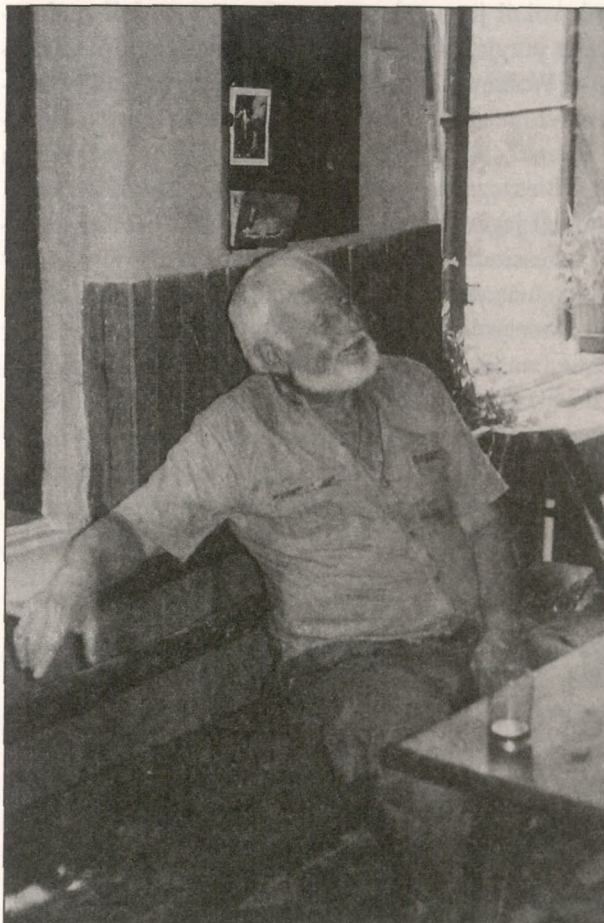
Anektowała je dla swoich potrzeb nasamprzód poezja (m. in. mitologizowane motywy: śmierci generała Waltera i jałowego pejzażu naznaczonego śmiercią) oraz film (m. in. transplantowany ze Stanów Zjednoczonych motyw Dzikiego Zachodu), z czasem również proza (m. in. stereotyp okrutnego Ukraińca).

Za miarę mocy kulturotwórczej powojennych Bieszczadów Zachodnich uznać wszakże wypadnie także wykształcenie się w tych górach osobliwie pod względem osobowościowym i charakterologicznym bogatego, uchodzącego obecnie za socjologiczny fenomen, quasi – osadniczego środowiska tzw. bieszczadników.

Pośród rzesz zauroczonych bieszczadzką „terra incognita” znaleźli się bowiem ludzie nietuzinkowi. Skłóceni nierzadko z prawem, częściej z powszechnie obowiązującymi normami społecznymi, nie znajdujący w „komunistycznym raju” szans na realizację nie uładowanej osobowości, szukający przygody, ciszy i swobody Bieszczady obrali za swoje „miejsce na ziemi”. A wierni wyborom, bo obdarzeni niepospolitą życiową odwagą, energią, fantazją i uzdolnieniami, smakujący pomimo piętrzących się przeciwności losu powielokroć do zatrąty samych siebie uroków pionierskiego żywota, wybili się swą malowniczością wśród pozornie podobnych im osadników i stali się na ziemi bieszczadzkiej, kulturowo ją wzbogacając, żywą legendą, mitem. Rychło też trafili do tuziemczych oraz turystycznych anegdot i dykteryjek, a stamtąd do bieszczadzkiej toponomastyki, na łamy lokalnych i ogólnopolskich gazet, do kadr filmów fabularnych, na karty utworów literackich i przewodników po Bieszczadach. Dzisiaj nie sposób sobie wizerunku tych gór bez nich wyobrazić.

Oto portrety kilku bieszczadników – tych najbardziej znanych, popularnych, frapujących. Portrety z konieczności niepełne, ledwie kilkoma kreskami na bogatym bieszczadzkim historyczno – kulturowym tle zaznaczone, bo niepodobna stworzyć fascimile nieodgadnionej i powikłanej osobowości ludzkiej, otoczonej w dodatku mgiełką niezwykajnych opowieści.

Za nestora bieszczadników bezsprzecznie uchodzi **Henryk Victorini** z Sokolego. W Bieszczady z niedalekiego Krosna przybył już w roku 1956 zwabiony legendą gór i możliwością zarobku przy wypasie dzierżawionego bydła. Wraz z kilkoma przyjaciółmi wypasał je w urokliwej dolinie Sanu, na zarośniętych po pas trawą polach i łąkach byłych wsi Tworylne, Krywe, Hulskie. Bydło podówczas przywożono w Bieszczady m. in. z poznańskich i bydgoskich PGR-ów. Utrudzone wielodniową podróżą koleją i przeganianiem po górach, nie przywykłe do bieszczadzkiego klimatu, nie dojrane na czas, nękanie przez gzy i wilki marniało w oczach. Niedoświadczonym pastuchom trudno było poddać rozlicznym obowiązkom. Stada,



Nestor bieszczadników Henryk Viktorini. Fot. A.Burghardt.

zamierzeniach reżysera Wadima Berestowskiego i scenarzysty Józefa Hena miało być próbą stworzenia polskiej wizji Dzikiego Zachodu. Ale bo też powojenne Bieszczady tworzyły kongenialną scenerię rzeczywistego amerykańskiego Dzikiego Zachodu: połacie zdziczałych pól i łąk z powodzeniem imitowały prerie, pierwsi bieszczadzcy osadnicy uchodzili za pionierów, a ich prymitywne domostwa za rancha, w pastuchach pilnujących wprost z koni pasącego się bydła widziano kowboi itd. Ten potencjalnie „westernowy” bieszczadzki pejzaż powołano tedy w filmowych kadrach do życia, naniesiono nań „westernowych” bohaterów, a wszystko przewiazaną „westernową” akcją. I jakkolwiek w oczach krytyki filmowej rysował się jako nieudany, to jednak widzom, zwłaszcza nastoletnim, musiał się podobać. Stał się bowiem,

które wypasali wprost z koni liczyły nawet i po pięćset sztuk, tymczasem dookoła panowała zupełna pustka i wtórnie pierwotniejąca roślinna dzicz. Dla mieszkających w byle jak skleconym „rancho”, odciętych od dróg, sklepów, komunikacji młodzieńców szybko najważniejsze stało się przetrwanie. I chociaż na drugi rok żaden PGR nie odważył się im bydła ponownie na wypas powierzyć, w Bieszczadach pozostali, by w Krywem budować kolejne swe „rancho”. Tym razem pracę wykonywali na zlecenie realizatorów westernu, którego powstanie swym quasi-kowbojskim żywotem niejako zainspirowali, a w którym mieli statystować. Victoriniemu przypadło nawet w udziale dublowanie wielce dziś popularnego Bogusza Bilewskiego.

Western „Rancho Teksas” w

wraz z opowieściami krążącymi wokół jego genezy – zwłaszcza wokół malowniczych postaci Victoriniego i jego przyjaciół, którzy podobno wprost z planu filmowego jeździli konno do barów w Wołkowcy i Lutowiskach – i serią artykułów prasowych traktujących o Bieszczadach, a na wszystkie sposoby deklinujących rzeczowniki „pionier”, „rancho”, „Teksas”, „kowboj”, „western” zaczynem powstania kolejnego bieszczadzkiego mitu: o Bieszczadach jako rodzimym Dzikim Zachodzie. „Widywałem chłopców – wspominał jego recepcję po latach Adolf Jakubowicz – taszczących na plecach autentyczne siodła, na widok których drżały w okolicy pegeerowskie chabety. Pojawiali się masowo młodzi pionierzy z kapeluszem, czerwoną chustką na szyi, sztyletem zatknętym za pasem”. I jakkolwiek mit ów nie miał nic wspólnego z rzeczywistością, na co uporczywie wskazywali autentyczni bieszczadzcy osadnicy, to okazał się on na tyle żywotny, iż przetrwał w wersji skomercjalizowanej do dnia obecnego: na okładce pierwszej turystycznej mapy Bieszczadów, w literaturze dla młodzieży, w rokrocznie organizowanych leskich Piknikach Country, w atmosferze stylizowanego na westernowski saloon schroniska „Podkowiata” w Komańczy.

Henryk Victorini szybko uwolnił się spod miazmatycznych uroków światka filmowego i mitu. Był zbyt silną osobowością, by mistyfikować swój żywot. W pozostawionych przez filmowców barakach założył stację turystyczną. Byłby ją pewnie z powodzeniem prowadził, gdyby nie sroga zima... Zwyciężony przez nią wyjechał na Śląsk i został... biuralistą. Ale też Bieszczady zapisały się mu w duszy jako jego „ziemia obiecana” i ustawicznie go przyzywały. Powrócił i osiadł w nich w roku 1962 w Sokolu nad Sanem, na stałe. W Sokolu znajdował się w rękach PTTK zdewastowany dworek, który już przed wojną funkcjonował jako „Pensjon Sokoleckie”. Victorini postanowił zatem nawiązać do tradycji. Eks-pensjonat wydzierżawił, wyremontował, uczynił zeń schronisko „Szept” i został jego pierwszym kierownikiem. Nie zdążyło ono zasłynąć jeszcze swą gościnnością, gdy zalały go wody powstałego Zalewu Solińskiego. Victorini jednakże tym razem Bieszczadom pozostał wierny. W pocie czoła rozebrał z pałacyku to, co się dało, dokupił materiałów budowlanych, zakupił dzierżawioną ziemię i tam, gdzie woda nie sięgała, wybudował dom, założył gospodarstwo rodzinne. Ocalił w ten sposób dla siebie miejsce na ziemi... A było o co zmagać się z losem. Sokole bowiem, leżąc z dala od innych miejscowości, mało dostępne, było i jest urokliwą oazą ciszy, przestrzeni, swobody, górskim krajobrazem zdolnym udatnie korespondować z wewnętrznymi pejzażami jego potencjalnych mieszkańców. Uczynił przeto Victorini z Sokola swoją – rządzoną prawami spowolniałego czasu, smaku i ładu życia, gościnności – „małą ojczyznę”. A pozyskawszy sławę dobrego gospodarza (póln. – wsch. ramię Zalewu Solińskiego nosi na mapach Polski jego nazwisko!), uczucia rozlicznych

przyjaciół, sympatię turystów, wpisał się poprzez legendę, mit w historię Bieszczadów na zawsze. Dziś jawi się jako żywe ucieleśnienie i urealnienie literackiego mitu Arkadii Łęgowej, mitu wykreowanego przez prozę Wilhelma Macha, Remigiusza Napiórkowskiego, Józefa Pawlusiewicza oraz poezję Krystyny Szymonowicz.

Jakoś w okresie, gdy Henryk Victorini zakorzenił się w Sokolu w Bieszczady przywędrował **Lutek Pińczuk**. Lutek urodził się właściwie w Bośni i do Polski wraz z rodzicami: ojcem Polakiem i matką Jugosłowianką oraz z rodzeństwem przyjechał dopiero w 1946. Rodzina Pińczuków osiadła na Śląsku i przyszły bieszczadnik początkowo zgodnie niejako ze społecznym scenariuszem skończył tamże szkołę zawodową, technikum i podjął pracę. Gdy z końcem lat 50. dotarł na wakacjach autostopem w tajemnicze góry, urzeczony ich egzotycznością oraz perspektywą prowadzenia w nich nieskrępowanego życia, postanowił zerwać z ustabilizowanym żywotem mieszczucha. Wkrótce też imigrował z zadymionego Śląska na swą „ziemię wybraną” już na stałe. Początkowo był bezdomny, bez środków do życia, ale przepełniały go radość, szczęście i optymizm. Zamieszkał w ruinach piwnicy w Berehach Górnych, zbieraniem runa leśnego zapracowywał na pożywienie i gromadzone na srogą, bieszczadzką zimę zapasy. W trakcie rozlicznych włóczęg trafił na Połoninie Wetlińskiej na opuszczoną chatkę. Ta od razu wzbudziła w nim tęsknotę za własną sadybą. Była przecież i przytulna i położona w nader urokliwym miejscu. Niegdyś była placówką służby przeciwlotniczej i WOP. W 1956 roku przeznaczono ją, podobnie jak i inne obiekty tego typu w ówczesnych Bieszczadach na cele turystyczne. Już dwa lata później przejęli ją na własność i zagospodarowali jako tzw. „Tawernę”, proklamując przy tym szumnie na połoninie „Harcerską Republikę Wetlińską” krakowscy studenci-harcerze. Jednakże nie na długo... Wkrótce chatka ponownie opustoszała. I jakkolwiek przeszła pod bezpośredni patronat PTTK, funkcjonując jako nie zagospodarowany schron turystyczny, bez stałego gospodarza niszczała. Lutek postanowił zatem zostać jej „opiekunem”. Doszedł do porozumienia z ludźmi zainteresowanymi dalszymi losami obiektu, z Grupą Bieszczadzką GOPR-u i ulokował się w niej wraz z niewielkim, pozyskanym już w Bieszczadach, dorobkiem i żywym inwentarzem, by następnie, na mocy prawa-umowy z PTTK stać się wykonawcą jej remontu. Do pracy zabrał się ochotczo. Nieomal codziennie, przez trzy lata, na własnych plecach i konno dźwigał z Przełęczy Wyżniej na szczyt Połoniny Wetlińskiej setki kilogramów materiałów budowlanych. Latem przyjmował turystów, zimą borykał się z niedostatkiem i samotnością. „Chatka Puchatka”, bo tak zaczęto zwać remontowane schronisko, piękniała w oczach. Wokoło pracowitego gospodarza, nierzadko pojawiającego się pośród turystów w „kowbojskim” przyodziewku, rosła fama osobliwego pustelnika. Jak zaświadcza Justyna Woś, w Berehach

Andrzej Potocki

DUSIOŁKI CO ONE SĄ W BIESZCZADACH



Z GRAFIKĄ
JĘDRKA WASILEWSKIEGO - POŁONINY

Górnych zatrzymywały się na tylko co wybudowanej tzw. Pętli Bieszczadzkiej liczne autokarowe wycieczki i z nabożnym nieomal podziwem „pielgrzymowały” na Połoninę Wetlińską. Nic przeto dziwnego, iż kiedyś Lutek, będąc przypadkowo w Wołosatym, podbił serce urodziwej Urszuli z Cieszyzna, która rychło zgodziła się oddać mu swą rękę i dzielić trudne życie na połoninie. Z tegoż to okresu pochodzi słynny bieszczadzki przebój Jerzego Michotka „Mam domek na połoninie i dziewczę w sukni niebieskiej”. Szczęście Lutka jednakże nie trwało długo... Bez mała po roku funkcjonowania wyremontowanego schroniska między jego gospodarzem a ZG PTTK doszło na tle umowy remontowo-dzierżawczej

do nieporozumień i musiał on swoją sadybę z prawdziwie ciężkim sercem opuścić. I jakkolwiek nie miał gdzie i z czego żyć, a żona i córeczka odeszły, Bieszczadów przecież nie opuścił. Przeprowadził się na Przełęcz Wyżnią i tam początkowo wynajmował swego konia chętnym do „kowbojenia” turystom, potem był węglarzem, ratownikiem GOPR-u, wieloletnim kierownikiem campingu dla turystów zmotoryzowanych w Ustrzykach Górnych. W końcu na początku lat 90. do swego „miejsca na ziemi” powrócił i wraz z byłą żoną (Urszula do schroniska jako jego gospodarz wróciła już w roku 1975) czuwa do dnia obecnego nad wygodą i bezpieczeństwem połonińskich gości. Trwa przy tym niezmiennie w bieszczadzkich niezwykłych opowieściach, legendach i mitach.

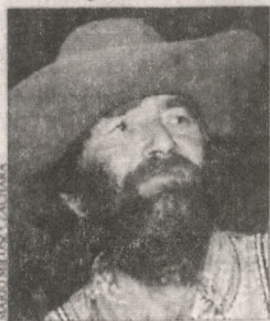
Kiedy Lutek Pińczuk jeszcze w połowie lat 60. zmagiał się w swojej sadybie-schronisku na Połoninie Wetlińskiej z którąś z bieszczadzkich zim, trafił do niego niespełna osiemnastoletni chłopak spod Torunia, **Andrzej Wasilewski**. Lutkowi wtedy nie przeszło przez myśl, że przybyły za niedługo pokaże się najoryginalniejszym bieszczadnikiem i artystą regionu. Wasilewski bowiem przyjechał w Bieszczady z rzeszą wszelakich cwaniaków i nieudaczników przyzywany mitem

o bieszczadzkim Eldorado, ale odebrawszy od gór wyjątkowo ostrą szkołę życia, niezwłocznie je opuścił. Wędrował podówczas po całej Polsce i imał się dorywczo najróżniejszych zajęć. Uczył się rzeźbić w zakopiańskiej szkole Kenara, pracował jako górnik w kopalni węgla kamiennego, robotnik w tartaku, palacz w kotłowni, nawet jako asystent scenografa i statysta w teatrze. W końcu po dziesięciu latach powrócił w Bieszczady, bo chyba nie mogło być inaczej, a otrzymawszy w darze wiejską chałupę w Orelcu, zakorzenił się w górach na dobre. Na znak dozgonnego związku z nimi sam sobie nadał przydomek Połonina. Zainspirowany niepowtarzalnym pejzażem począł rysować, malować, rzeźbić (madonny, anioły, wiedźmy, dusiołki, ka-

pele, świątki frasobliwe, „cierpialki”), urzeczony góorskimi przestrzeniami pokochał bez reszty konie i konne „kowbojskie” włóczęgi. Z równie szaloną pasją potrafił strugać całymi dniami lipowe kłoce, co i wypasać miesiącami u stóp Kiczery swych czworonożnych ulubieńców.

Szybko też pokazało się, że los obdarował Jędrka niecodziennymi uzdolnieniami artystycznymi oraz niepospolitą, nadwrażliwą i wielce zagadkową osobowością. Przemieszczał się bowiem Jędrak stale po całych Bieszczadach jakby nękany irracjonalnym niepokojem, wewnętrznymi ułudami i koszmarami, które wraz z nieszczęściami zeń płynącymi (m. in. odejście ukochanej kobiety, spalony dom) oraz miazmatami ogromniejącego o nim samym mitu jako o ostatnim bieszczadzkim kowboju – dziwadle, począł topić w nadmiernej ilości alkoholu. Porzucał tedy jedną bieszczadzką chałupę dla drugiej (Orelce, Glinne, Werlas, Terka, Kulaszne), jedną zaczęętą pracę artystyczną dla kilku innych. Widywało się go zatem tego samego dnia i w leskiej synagodze i w „piwnych barach” Cisnej, Lutowsk, Komańczy i na rzeszowskim rynku. Sam Połonina w Karcie Ludowego Twórcy (przynależał do Bieszczadzkiej Grupy Twórców Kultury) podawał zaważdiacko jeszcze na początku lat 80. w miejscach na wpisanie adresu zamieszkania: „całe Bieszczady”, adresu pracy: „pracownię pod chmurką/zimą kąt za piecem u przyjaciół”, danych o ukończonej uczelni: „Politechnikę Bieszczadzką”. Ale już w wywiadzie prawie dziesięć lat później udzielonym w rzeszowskiej „Prywatnej Gazecie Południowej” na pytanie „Czego najbardziej pragniesz w

ZGINAŁ BARD



Andrzej Wasielewski, popularny Jędrak Połonina, najbardziej chyba znana i malownicza postać Bieszczad, został wczoraj potrącony przez samochód prowadzony przez pijanego kierowcę. Zginął na miejscu. Był obdarzonym niezwykle wyobraźnią rzeźbiarzem i malarzem. Jego pracami szczególnie interesowali się przybywający w Bieszczady zachodni turyści. Zasłynął jako górski bard, bieszczadzki kłoszard. Tak dalece wpisał się w bieszczadzkie pejzaże, że wielu twierdziło, iż Jędrak Połonina był tu od zawsze i zawsze będzie. (P)

MAREK SZENBORN, RZESZÓW

życiu?” odpowiadał ze szczyptą głębokiego smutku: „Spokoju w sobie”. Za cenę tragiczniejącego rokrocznie żywota zyskiwał Jędrzek bodaj czy nie największą sławę pośród wszystkich bieszczadników. Sławę, popularność, sympatię. Andrzej Potocki, miłośnik Bieszczadów i przyjaciel niezmiennie wszak trudnego w kontaktach osobistych Połoniny, w ulotce przygotowanej w 1990 roku na wystawę jego rzeźby, malarstwa i grafiki w Galerii WDK w Rzeszowie tak oto aurę uczuciową z nim związaną obrazował: *„Kiedys był tylko Andrzejem Wasilewskim spod Torunia – teraz jest Jędrkiem Połonią, królem bieszczadzkiej cyganerii, największym z największych wagabundów i artystą. W tym jego popapranym żywocie ani cerkiewni święci, ani sam diabeł nie mogą doszukać się sensu – a przecież to takie proste. On życiu naszemu przydaje radości, obdarowując nas rzeźbami, rysunkami, akwarelami, madonnami, kapelami, aniołami, za które płacimy mu grosz marny, stawiamy piwo lub zapraszamy na domowy obiad. To nieprawda, że Jędrzek nikogo nie ma, bo on ma nas wszystkich i w zagrodzie naszych serc zawsze będzie dla niego ciepły kąt, szklanka mocnej herbaty i kromka chleba bodaj ze smalcem, kiedy się spóźni na pierogi...”* Doczekał się też Połonina licznych mitologizujących jego malowniczą sylwetkę opowieści, anegdot, dykteryjek, artykułów prasowych, wierszy. Jednakże nie sposób przy całej tej mitologizującej otoczce zapomnieć o jego rzeczywistych artystycznych osiągnięciach i bieszczadzkich zasługach. Prace plastyczne Jędrka, w większości poświęcone Bieszczadom, prezentowane w licznych galeriach, znane są nieomal w całej Polsce. Przyozdabiają przede wszystkim wiele prywatnych mieszkań licznych jego przyjaciół, ale też ubogacają prywatne zbiory w kraju, Europie Zachodniej i USA. Jego grafiki ilustrują urokliwe miniaturowe książeczki o Bieszczadach Andrzeja Potockiego. Wreszcie jego rzeźbione fantazyjnie dusiołki, obce ziemi bieszczadzkiej, bo importowane wprost z utworów ulubionego Bolesława Leśmiana, uszlachetniają tkankę i koloryt literackiego mitu demonologicznego o Bieszczadach jako o przeklętej krainie Biesa i Czadów.

Lata 60. były dla losów Bieszczadów Zachodnich latami przełomowymi. Wybudowanie obu obwodnic bieszczadzkich oraz zapory w Solinie sprawiło, iż wtargnęły w góry, nie ograniczone już koniecznością uciążliwego wędrowania z ciężkim plecakiem, ogromne masy ludzi zupełnie do nich nie przygotowanych. „Niezdrowa” popularność Bieszczadów rosła w zastraszającym tempie nieprzerwanie aż do połowy lat 70. i przyroda stanęła w obliczu zagrożenia. Wprawdzie utworzono Bieszczadzki Park Narodowy, ale też szybko zaczęła rozwijać się turystyczna infrastruktura. Ponadto utworzono „eksperymentalny” powiat bieszczadzki, a jego władze obdarzono dość rozległymi kompetencjami. Wkroczyły tedy brutalnie w góry rolnictwo i przemysł, infrastruktura gospodarcza, wzrosło też pokaźnie zaludnienie. Pionierski model turystyki, tej z kompasem, siekierą i plecakiem dotknął

rozległy paraliż i nie mogły go już reanimować kolejne, w atmosferze zażartych sporów obmyślane, koncepcje bieszczadzkiego rezerwatu turystycznego.

Również dla Bieszczadników nastały nienajlepsze czasy. Dowodnie miał się o tym przekonać **Wiesiek Nowacki** i grupa jego przyjaciół. Wiesiek, syn poznańskich pedagogów akademickich, jako „nieudacznik” w żaden sposób nie mógł przystosować się do uładzonego życia w mieście. Skłócony z nobliwą rodziną przybył zatem w Bieszczady z początkiem lat 70, gdzie – o czym był święcie przekonany – było dla niego „miejsce na ziemi”. Odurzony wolnością czas spędzał głównie na górskich włóczęgach, rezydowaniu w schroniskach, na pracy w lesie. Z czasem dostrzegł obok siebie takich jak i on życiowych „popaprańców” – jakichś hippisów, narkomanów, uciekinierów z poprawczaków, psychicznie zgnębionych i zagubionych zbieraczy runa leśnego. Kierując się empatią, wzruszony ich pogmatwanymi życiorysami, pragnął im z całego serca pomóc. A że wzbudzał ufność, rozładowywał swą obecnością wewnętrzne napięcia, garnięto się do niego niezwykajnie i wkrótce poszła po Polsce fama, iż jest uzdrowicielem. Zebrał tedy grupę tzw. „społecznych wykolejeńców” i wraz z nimi w połowie lat 70. osiedlił się w wybudowanych wspólnymi siłami prymitywnych chatkach na urokliwym, bezludnym od powojnia Caryńskim. Dzika przyroda, towarzystwo zwierząt, praca fizyczna w lesie oraz niepowtarzalna atmosfera wolności i nieskrępowania quasi-komuny leczyła psychiczne zawirowania i doły owych „wykolejeńców” tak dalece, że w niedługim czasie nawiązała z Wieśkiem kontakty m. in. krakowska Klinika Psychiatryczna, a psychiatra Andrzej Jaczewski nosił się nawet z zamiarem stworzenia na Caryńskim ośrodka psychoterapii i często posyłał mu na rekonwalescencję swoich pacjentów.

Jednakże okazało się, iż „wioska zdrowia” Nowackiego psuła lokalnym władzom wzniosłe wizje zagospodarowania Bieszczadów, nade wszystko ograniczała samowolne rządy pierwszego myśliwego PRL-u Kazimierza Dосkoczyńskiego. Jej mieszkańców poczęto więc nękać oskarżeniami o hippisowską lewacką antyustrojową działalność, o mitomaństwo, o narkomanię, ponadto grzywnami o brak zameldowania i pasożytnictwo, wreszcie obławami i paleniem chatek. Wieśka, który w przeciwieństwie do studentów pobliskiej „Koliby”, nigdy nie przystawał na konformistyczne rady władz, osadzono na trzy miesiące w areszcie. Gdy zeń wyszedł, okazało się, iż jego Caryńskie w zasadzie przestało istnieć. Nie pomogły interwencje osadników, baczów, studentów, dziennikarzy, lekarzy. Wiesiek i jemu podobni musieli się z Caryńskiego, po bez mała trzyletnim pobycie, raz na zawsze wynosić.

O atmosferze swoistego zaszczucia „caryńczyków” najlepiej zaświadczaą losy **Zdzicha Radosa**. Rados, zanim trafił do Wieśka sporo przeżył: obóz koncentracyjny, walki o wyzwolenie kraju, gruźlicę, rodzinne niepowodzenia, napady bandy oprychów, próby ustabilizowania żywota w Bieszczadach zakończone spalaniem



Zdzichu Rados z adeptem jego rzeźbiarskiej sztuki. Fot. A. Burghardt.

jego domostwa nad Zalewem Solińskim. Wreszcie pięćdziesięcioletni, sterany życiem, wygrzebał na stoku Połoniny Caryńskiej ziemiankę i tam przez rok, w zupełnym odosobnieniu, ukrywał się przed okrucieństwem świata. Któregoś dnia napotkał Wieska, a ten nakłonił go do zejścia niżej i pomógł mu wybudować chatkę. Gdy Zdzichu miał chandrę rzeźbił, gdy brakowało mu środków do życia, sprzedawał rzeźby, zbierał runo leśne i czuł się niewypowiedzianie szczęśliwy. Do czasu... aż oskarżono go o brak dowodu osobistego i brak zameldowania, o pasożytnictwo, obłożono karami pieniężnymi i pracy fizycznej na rzecz społeczeństwa, a gdy mu w końcu spalono sadybę, nieszczęśnik chciał umrzeć. Wprawdzie z pomocą przyjaciół zdołał ją odbudować, ale otaczała go tak gęsta atmosfera zagrożenia, iż wywieszał na drzwiach kartki z napisami w rodzaju: „Proszę nie podpalać beze mnie”, „Proszę podpalać wraz ze mną”, A gdy i tę chatkę mu spalono, na dogasających zgliszcach ugotował herbatę i ruszył w Bieszczady, by po okresowych pobytach w Dwerniku i Chrewcie osiąść ostatecznie w Cisnej.

Obecnie Rados jest już blisko osiemdziesięcioletnim starcem, ale jak na swój wiek, trzyma się znakomicie. Jego rzeźby cieszą się ogromnym powodzeniem, ma prawdziwy domek–pracownię i adeptów swojej rzeźbiarskiej sztuki. Odnalazła go córka, która za jego namową zakorzeniła się również w Bieszczadach. On sam z mitologizującą zadumą twierdzi, iż jest Królem Gór, iż śpi w łóżku, w którym

niegdyś w Cisnej spał Aleksander Fredro, iż... najlepsze wino, którego nawiasem mówiąc wypija całe morze, to „Zbójeckie”. Tak czy inaczej, jest Rados niezmiernie barwną postacią Bieszczadów i jeszcze jedną z Bieszczadnikowskich legend tych gór.

W historię Caryńskiego wpisali się na trwałe również dwaj inni popularni bieszczadnicy: **Artur Pustelnik** i **Prezes**. Artur Lignowski od najmłodszych lat wychowany na indiańskich i traperskich lekturach, zawsze kochał samotność, las i swobodę. W Bieszczady przybył w roku 1975. Początkowo zamieszkał wraz z grupą osób tworzących na wzór hippisowski małą komunę w „traperskim” domku w Sękowcu. Gdy komuna rozpadła się, on sam postanowił w nim pozostać, ale domek spalił mu miejscowy leśniczy. Wtedy Artur trafił na Caryńskie i dzielił wszystkie dole i niedole „caryńczyków”. Podobnie jak i oni wybudował sobie chatkę, utrzymywał się z pracy w lesie, hodował zwierzęta domowe, uprawiał ogródek, podobnie jak i Nowacki siedział w areszcie, a Caryńskie opuścił, gdy wręczono mu nakaz rozbiórki domku. Przyparł go wówczas na kilka miesięcy popularny bieszczadzki rzeźbiarz Marian Hess z Dwerniczka, któremu pomagał w pracy na gospodarstwie. Jesienią roku 1978 ulokował się w nieczynnym jeszcze podówczas schronisku studenckim na Otrycie i ze współrezydentem, niejakim Billem, opiekował się nim. Ale i tam zbyt długo miejsca nie zagrzał. Nękania nieustannie, zwłaszcza w stanie wojennym, przez milicję i SB z Otrytu trafił aż do Warszawy. Po rodzinnych perypetiach i długotrwałym pobycie w szpitalu, po próbach zakorzenienia się w Beskidzie Niskim powrócił w Bieszczady ponownie. Po tułaczce po dawnych znajomych zamieszkał w starym barakodomu znanego dziś hodowcy Hucułów Staszka Myślińskiego w Polanie, gdzie mieszka do chwili obecnej. Dewizą Artura są od niepamiętnych czasów słowa: „Kiedy jestem sam, jestem sobą! Chcę być sobą sam dla siebie”. I chyba nigdzie poza Bieszczadami nie urzeczywistniałyby się w jego życiu owa dewiza

równie mocno. W nich bowiem znalazł umiłowaną samotność, spokój i ciszę. One wewnątrz go uwrażliwiały i humanistycznie pogłębiły. One pozwoliły mu zbudować wyrosłe z wegetarianizmu i buddyzmu, którym hołduje, zręby mądrej antyurbanizacyjnej filozofii natury i jej głęboką tre-



Artur Pustelnik przed swoją chatynką. Fot. A. Burghardt.

ścią ubogaca nawiedzających go, złaknionych oczyszczenia mieszczuchów. One wreszcie pozwalają mu nieuleczalnie choremu na raka dożywać w zadumie, z niespotykaną godnością resztę dni, które mu pozostały...

Zupełnie inaczej potoczyły się losy **Prezesa** – łodzianina **Ryśka Krzeszewskiego**. Z Bieszczadami związał się, podobnie jak większość „caryńczyków” również w I poł. lat 70., ale były to zrazu związki dość luźne. Rysiek spędzał na wędrowaniu po nich, a potem na Caryńskim początkowo jedynie wszystkie, wolne od społecznych uwikłań chwile. Dopiero w 1979 roku zdecydował się na zakorzenienie w nich. Odpowiadało mu swym charakterem twarde bieszczadzkie bytowanie. Ponadto chciał tu wybudować dom otwarty dla każdego, kto utyłany „życiowym brudem” chciałby kiedykolwiek przekroczyć jego progi, w nim zagościć i próbować na powrót odnaleźć się. By marzenia ziściły się, emigrował zarobkowo do USA. *„Dziwnym zrządzeniem los rzucił mnie na Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Wałęsałem się bezdrożami rezerwatów Indian Skoskone Wavayo Apache. Pracowałem w tartaku na peryferiach Los Angeles i słuchałem jazzu w knajpach rozsianych nad Pacyfikiem. Jadłem wieprzowinę w ananasach w dzielnicy chińskiej San Francisco”*.

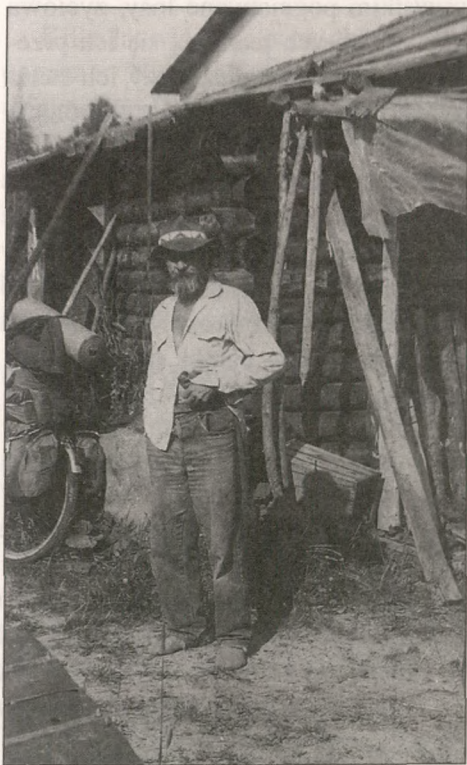
W Bieszczady Rysiek powrócił z pieniędzmi po dwóch latach. Wykupił w Chmielu 15 hektarów ziemi i wraz z rodzeństwem oraz przyjaciółmi przystąpił do jej zagospodarowania. Dolarów jednakże nie na długo starczyło, zmuszony był więc pierwszą bieszczadzką zimę spędzić w... namiocie. Ale że był niebywale uparty, twardy i wiedział, czego pragnie, swe wymarzone rancho nieugięcie budował. Mały domek, jaki najpierw powstał obudował ścianami stajni–owczarni, a tę rokrocznie powiększał o kolejne segmenty. Równocześnie z dotychczasowego „łaziora” przedzierzgnął się w rolnika. Zajął się hodowlą owiec, koni, kóz.

Rysiek dochował wierności swym postanowieniom. Wraz ze stajnią–owczarnią rosła jej sława jako „domu otwartego”. Zaczęli do Chmiela przybywać z całej Polski wszelakiej maści młodzi, zgębnieni psychicznie z bagażem szkolnych i domowych kłopotów, życiowi „odmieńcy” i „popaprańcy”. Wspólne demokratyczne przebywanie z sobą, atmosfera przyjaźni i tolerancji pozwalały im z reguły odpocząć od wrogiego świata, odreagować psychiczne napięcia, zrelaksować się. Wkrótce przez „Prezesówkę” (Ryśka nie wiedzieć kiedy obdarowano pseudonimem „Prezes”) rokrocznie przewijało się około tysiąca osób. A bywało – gdy Prezes wraz z przyjaciółmi organizował turystyczno–pieśniarsko–poetyckie święta: „Stachuriady” (1985, 1989), „Mały Woodstock” (1986) – że znacznie, znacznie więcej. Goście Ryśka, przeważnie długowłosi, barwnie ubrani, częstokroć nie stroniący od „trawki” quasi–hippisi, wzbudzali ustawicznie podejrzenia miejscowej ludności, zwłaszcza lokalnych władz. Przede wszystkim wtedy, gdy w owczarni dochodziło do nieszczęśliwych wypadków. Utożsamiano je tedy często z meliną narkomanów i nasyłano na goszczących milicję

z nakazami legitymowania i rewizji. Straszono ich mandataми, przymuszano gospodarza do założenia i prowadzenia księgi meldunkowej. Represje nasiliły się znacznie w stanie wojennym, by zniknąć zupełnie dopiero po roku 1990. Jednakowoż Rysiek z podziwu godnym spokojem znosił wszelakie niedogodności płynące z tak obranego modelu bieszczadzkiego żywota i tylko czasami, zimą, zmęczony tłumami przewalającymi się przez jego owczarnię, szukał odpoczynku w samotności i twórczych zmaganiach. Wszystko to sprawiało, iż pośród „łaziorów” i „nieudaczników” całego kraju rósł mit „otwartego domu” w Chmielu, ale wraz z nim rosły też wobec Prezesa niebotyczne oczekiwania. Nic też dziwnego, że nie chciano mu wybaczyć, oskarżając go o sprzeniewierzenie się, gdy w końcu postanowił założyć rodzinę i zerwać ciasne okowy mitologizujących o sobie wyobrażeń. Ryśkowi pomógł w tym wydatnie jak to zwykle zresztą bywa przypadek. Pewnego dnia... owczarnia doszczętnie spłonęła. Dziś Prezes, nie złamany nieszczęściem, buduje wraz z żoną w Chmielu nowy bieszczadzki dom, a w jego obejściu... stoją namioty kolejnych obozów ekologicznych.

Z początkiem lat 70. osiadł na stałe w Bieszczadach jeszcze jeden niezwykle bieszczadnik, którego nie sposób pominąć

– **Jerzy Świtalski**, znany powszechnie jako Jurek 2000. Urodził się aż w Sokalu w 1939 roku. W rok później Rosjanie wywieźli całą jego rodzinę na Syberię, do Archangielska. Przetrwali tylko dzięki temu, iż ojciec mógł wstąpić w szeregi polskiej armii tworzonej na terenie Związku Sowieckiego. Po wojnie Jurek jako repatriant znalazł się najpierw w Rzeszowie, a potem w Sosnowcu i wiódł zgodnie niejako ze społecznym scenariuszem kolejno żywoty: ucznia, żołnierza, robotnika, męża i ojca. Po górach, zwłaszcza po Bieszczadach włóczył się od roku 1955. Dokładnie zatem je poznał, nim zdecydował się, po rozstaniu z rodziną, osiąść w nich. Nasamprzód mieszkał w Rajskim, ale konieczność zarobkowania rzuciły go to do Rosochatego, Lutowsk, Zatwarnicy, to do Chrewtu, Skorodnego, Smolnika. Dobrze wtedy zasmakował uroków gorzkiego żywota bieszczadzkiego robot-



Jurek 2000 przy swojej Białej Stajni. Fot. A.Burghardt

nika. Ostatecznie pozostał w Smolniku, a po przejściu na rentę „zagnieździł się” w ukrytej daleko w lesie urokliwej tzw. Białej Stajni, którą własnymi siłami wyremontował i w przemyślny sposób wraz z całym obejściem przysposobił do życia. Powtórnie też założył rodzinę.

Jurkowe Rancho, jak i on sam, sprawiają po głębszym poznaniu wrażenie niezwykle. Pod pozorami wszechwładnej tymczasowości i lumpowatości, jakie z każdego kąta Białej Stajni emanują, kryje się porządek świata, którego większość z ludzi obecnie nie zna. Wydaje się, jakoby powolniejący tu stale czas stanął w końcu w miejscu. Nic nie burzy naturalnego rytmu natury i ładu życia z nim związanego. Wszędzie panują znamiona indywidualizmu gospodarza, atmosfera ciszy, swobody, prostych wartości, nade wszystko serdeczności i przychylności wobec wszystkiego, co żyje. Jurek zaś ze stoickim spokojem poddaje się wyrokowi niezmiennie wpływających dni.

Bieszczadnicy, z których, niestety, wielu musiałem jak choćby Dziunka Nadoptę, Johana z Ustrzyk czy Betona pominąć, wydają się tworzyć wyraźnie zarysowaną enklawę kulturową. Jednocześnie przed wszystkim pogmatwane losy, życiowa odwaga, twardość i upór oraz umiłowanie gór, w których realizują się ich prężne tęsknoty do ciszy, wolności, autentyczności. Ale również łączy ich samo „bieszczadnikowanie”. Pseudonimy i przydomki. Wygląd: długie włosy i równie długie brody związane niekiedy na supeł. Ubiór: kapelusz, kurtka, flanelowa koszula, spodnie wpuszczone w buty, nieprzemakalny prochowiec opasany pasem. Umilowanie zwierząt, zwłaszcza estyma dla koni – wszak Victoriniemu nieraz ratowały życie. Połonina, Artur, Prezes przemierzali na nich całe Bieszczady, w siodle całymi dniami wędrował do Cieszyna, Zakopanego, Torunia Lutek Pińczuk, a Jurek 2000 do Jeleniej Góry. Victorini, Prezes i Jurek 2000 założyli swego czasu Klub Jeźdźców Kresowych. Malownicze domostwa: chatki, szałas, baraki, stajnie wraz z niezmierzoną przestrzenią obejść. Zajęcia: hodowla zwierząt, uprawa roli, prace w lesie, rzeźbiarstwo. Obrzędy: barwne bieszczadzkie wesela Lutka i Urszuli oraz Jurka 2000 i Boguśki, słynne ongiś sylwestrowe ubawy na Połoninie Wetlińskiej u Pińczuków.

Jednakże to, co cementuje bieszczadników najmocniej a dla postronnych czyni ich ze wszechmiar atrakcyjnymi, to ich pionierska, oparta na indywidualizmie, rzetelnej pracy i solidarności, fantazja oraz filozofia nieprzebranego życiowego optymizmu i życzliwości dla świata.

Od autora: Wszystkim bieszczadnikom, przyjaciółom moich bieszczadzkich włości, składam tą drogą serdeczne podziękowania.

RUMUŃSKĄ POŁONINĄ

Zbigniew Grzegorzewski

Kilka lat włości po wschodniokarpackich graniach, pozostawiło nam niedosyt poznania. Nie udało się nam dotąd stanąć na Popie Iwanie Marmaroskim, choć osiągnęliśmy tak wiele szczytów znanych z kart przedwojennej historii turystyki.

Po Popa Iwana postanowiliśmy tym razem sięgnąć od rumuńskiej strony. I nie ma sensu ukrywać – obawialiśmy się Rumunii, miała przecież być o wiele mniej gościnna od Ukrainy, spodziewaliśmy się niebezpieczeństw, przewidywanych wedle wyobrażeń o Rumunach wyniesionych z ulic naszych miast. Na dodatek brak nam było starych, dobrych map, a opisy w dawnych księgach były nader ubogie. To jednak nie pomniejszało posmaku przygody.

URANOWE JEZIORO

Pierwszą próbę odporności mieliśmy już dobrze przećwiczoną, przekraczanie granicy polsko – ukraińskiej w Medyce nie było poważniejszym problemem. Wyposażeni w glejt uwierzytelniający naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych czuliśmy się niemal tak, jakby każdy z nas był VIP-em.

Prawdziwa wschodniokarpacka przygoda rozpoczęła się od następnej granicy, za Czerniowcami. Zważając na przestrogi prezesa Związku Polaków w Rumunii „Dom Polski“, dr Iohana Petera Babiasza, ze względu na nasze bezpieczeństwo, nie zatrzymywaliśmy się aż po samą bramę otwierającą drogę do nieznanej nam, rumuńskiej części Karpat.

Ugrzęźliśmy właśnie przed granicznym szlabanem i dalej ani rusz. Nie bardzo wiadomo czemu, Ukraińcy zwalali winę na rumuńskie służby graniczne. Mijały

godziny, a sytuacja wydawała się coraz bardziej beznadziejna. Za nami stały już setki samochodów i autobusów. Wszelkie znane nam sposoby zawodziły.

Trzeba było zagrać najwyższymi atutami. Wyjaśniamy, że jedziemy do Bukaresztu na spotkanie z rumuńskimi parlamentarzystami, którzy tam nas oczekują. Choć to rzecz całkiem wymyślona, niemal absurd – chwyta. Mają nas puścić w pierwszej kolejności, więc gdy tylko pogranicznicy otwierają bramę, wypychamy nyskę Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, ale ku naszemu zaskoczeniu, brama zamyka się przed mercedesem, w którym podróżuje druga część grupy. Zaczyna się piekło. Już po chwili wiemy, że za karę będziemy tu stać całą dobę. Dla ukraińskich pograniczników też jednak jesteśmy kłopotem, bo muszą się tłumaczyć swoim przełożonym, jak to możliwe, że znaleźliśmy się w miejscu, gdzie nas być nie powinno. Z dwojga złego, wolą nas puścić – mercedesa także. Kończy się na opłacie ekologicznej, dwadzieścia dolarów nie wydaje się zbyt wygórowaną... łapówką. Trwało to wszystko dziesięć godzin, poniekąd niewiele.

Śpimy przy głównej drodze. Niebawem przekonujemy się, że Rumunia jest pełna schludnych miasteczek i wiosek. Jesteśmy zaskoczeni, zwłaszcza, że wielu miejscowych zna dobrze obce języki, a przecież miało być gorzej, niż na Ukrainie.

Spieszymy do polskich wiosek u zboczy południowych stoków Karpat Wschodnich. Jest 15 sierpnia – święto Wniebowzięcia N.M.P. Tego dnia do Kaczycy, a także trzech innych wiosek zamieszkałych przez rodaków (Pojana Mikuli, Nowy Sołonec, Plesza), przyjeżdża niemal cała rumuńska Polonia.

Przez lata o Polakach w Rumunii wiedzieliśmy mniej, niż o rodakach w Ameryce czy na antypodach. Można to tłumaczyć jedynie konsekwencjami komunistycznego internacjonalizmu. Ceausescu Rumunię wołał postrzegać jako państwo jednonarodowe, mniejszości oficjalnie nie istniały. A przecież osadnictwo polskie na terenach Bukowiny sięga XVI wieku. Po pierwszym rozbiórze Polski tu także była Galicja, w tej części tak słabo zaludniona, że chętnie przyjmowano osadników. Polska wieś Nowy Sołonec (po rumuńsku Solonetu Nou), powstała w 1834 roku. Inna wieś, Pojana Mikuli, słynęła ponoć z wzorowego współżycia osadników polskich i niemieckich. W 1918 r. przez Karpaty Wschodnie poprowadzono nowe granice. W okresie międzywojnia polskie organizacje w Rumunii nie osiągnęły dawnej świetności, związek z Polską słabł, właściwie aż do upadku komunizmu. Niewielu turystów pewnie wie, że w głębokich karpackich dolinach żyje półtora tysiąca Polaków (w całej Rumunii ok. trzy tysiące). Mieliśmy przed wyjazdem to szczęście, że w Łodzi gościł wspomniany już I.P.Babiasz. Dowiedzieliśmy się wówczas, że powstają polskie domy, polskie szkoły. Dzieciom i młodzieży brakuje czasopism, książek i podręczników. Powstał pomysł, aby zabrać z Polski takie dary. Rok wcześniej odnawialiśmy cmentarz Drugiej Brygady Legionów Polskich w Dolinie Płajskiej (blisko



Dom Polski w Nowym Sokońcu. Fot. J. Pilc



Nad jeziorem Vinderel. Karpaty Marmaroskie. Fot. J. Pilc.



W Karpatach Marmaroskich. Widok na Popa Iwana Marmaroskiego. Fot. E. Kuziemska.

Przełęczy Legionów) na Ukrainie. Tym razem także chcieliśmy, aby powrót PTT w te tereny nie ograniczał się do przemierzania górskich szlaków. Podobnie, jak przed rokiem, wsparły nas finansowo samorządowe władze Łodzi, a książki i czasopisma podarowało nam warszawskie wydawnictwo Prószyński i S-ka.

Po noclegu pod Suczawą ruszyliśmy do największej z polskich wiosek – Kaczycy (rum. Cacica), gdzie znajduje się rzymskokatolicki kościół (Rumunia jest prawosławna) i dokąd 15 sierpnia zjeżdża najwięcej Polaków. Dotarliśmy tam na tyle późno, że pośród tysięcy ludzi nie zdołaliśmy odnaleźć nikogo ze Związku Polaków w Rumunii „Dom Polski“. Postanowiliśmy dojechać do Nowego Sokołca, odległego o kilka kilometrów.

Ledwie wysiedliśmy z nyski i mercedesa, okazało się, że wszyscy napotkani ludzie dobrze mówią po polsku. W centrum wioski stoi okazała, nowiućka szkoła im. Henryka Sienkiewicza. Rodacy wskazują nam drogę do równie nowego budynku – do Domu Polskiego, gdzie za darmo może nocować każdy przybyły tu Polak. Jesteśmy zaskoczeni gościnnością i wygodą. Wieczorem uczestniczymy w polskojęzycznej mszy. W kościele tłoczno, a doznania nasze są niemal równe tym z pierwszego pobytu we Lwowie, w polskiej katedrze.

Coraz bardziej tęskno nam jednak do gór. Oglądamy tylko jeden ze słynnych monasterów i mkniemy na zachód, ciesząc się, że benzyny na stacjach nie brakuje, a jest tańsza niż w kraju. Alpy Rodniańskie oglądamy z okien samochodów. Widoki cudowne, ale nam bardziej zależy na Karpatach Marmaroskich, nieco niższych, ale pozbawionych turystycznych szlaków i udogodnień dla tych, którzy nie lubią targać wypełnionych po brzegi plecaków.

Z głównej drogi zbaczamy w okolicach Viseu de Sus (Wyszów Dolny) i Viseu de Jos (Wyszów Górny), skręcamy do Repedei (Krywa), by dotrzeć do ukraińskich wiosek. W Ruskiej Polanie (Poleni de sub Mute) znajduje się siedziba pograniczników. Usiłujemy wynegocjować zezwolenie na wjazd samochodami do strefy nadgranicznej, do dolinki, z której blisko już na Popa Iwana Marmaroskiego. Z negocjacji jesteśmy na tyle zadowoleni, że po noclegu w podłych warunkach, dociskamy pedały gazu w samochodach, wbijając się w głąb doliny potoku Krywa, przybliżając nas ku samej granicznej grani.

Pierwszą „zonę“ minęliśmy, nie zauważając nawet wybiegającego pogranicznika. Jest już tak dziko i odludnie, że nie spodziewaliśmy się, natrafić na jeszcze jeden budynek straży granicznej. Stąd postanawiamy nasze samochody odesłać do Viseu de Jos.

Po chwili wiemy, że popełniliśmy błąd. Należało to zrobić choćby o kilometr wcześniej. Tego nie mogliśmy jednak wiedzieć. Rumuńscy pogranicznicy są zachwycająco mili, palimy z nimi kolejne papierosy, ale nie dają się przekonać, że chce-

my podążać ścieżką na lewo od drogi... Jeżeli marzą nam się góry – powinniśmy iść w prawo. My swoje – bo chcemy na Popa Iwana, oni swoje – bo można pójść tylko na Farkaul, a ze szczytu trzeba wracać do doliny. Nic się nie daje wynegocjować. I tak narobiliśmy dostatecznie dużo zamieszania. Pod przymusem weryfikujemy nasze plany.

Po dwóch godzinach mozolnego zdobywania wysokości napotykamy pasterzy. Nie sposób się dogadać. Rumuński wywodzi się z łaciny (!), bariera językowa jest nie do pokonania, a że każdy szczyt ma zwykle po kilka nazw, więc mało dokładne mapy na niewiele się zdają. O skutkach tego przekonaliśmy się jeszcze kilkakrotnie. gdy najlepszym przewodnikiem okazała się... nasza intuicja.

Docieramy na przełęcz (1615 m npm) między Farkaulem a Michailekiem. Przed nami ukazuje się wzbudające zachwyt jezioro Vinderel. Rzeczywiście, lustro wody wydaje się zawieszone w powietrzu. To skutek działania lodowców. Tuż za metrową, skalistą „grzędą“, obryw i głęboka dolina. Nie potwierdza się natomiast informacja z wydanego przed kilku laty małego, ale cennego przewodnika SKPB: jeziorko miało być zanieczyszczone skutkiem wypasu owiec, a w rzeczywistości nadaje się do milej kąpielii. Szkoda tylko, że dno jest grząskie.

Miejsca do rozbicia namiotów niewiele, ale biwak ma swe uroki. Nie przewidzieliśmy tylko jednego – nocnej wizyty wołów, które Darka Gloca i Zbyszka Rembowskiego pozbawiają zapasu chleba, a Ankę i Piotrka Ziółkowskich – ręcznika. Jeszcze dziwniejszą stratę poniosła Dziuba (Jadwiga) Wiejacka, która straciła część osobistej garderoby. Woły są wszystkożerne!

Kilku chętnych wbiega pod wodzą Zbyszka Bienia na szczyt Michaileka (1920 m), gdy inni oszczędzają siły na Farkaul (1961 m), najwyższy w Karpatach Marmaroskich.

Na Farkaulu rozstajemy się z częścią grupy, która ma powrócić do naszych dwóch kierowców. Czynią to bez entuzjazmu, ale przecież wszyscy wcześniej musieliśmy porzucić marzenia o Popie Iwanie. Dziuba, Basia Bartyś, Heniek Swarobowicz i Tomek Stefaniak wędrują w dolinę, a my zamierzamy pokręcić się jeszcze dwa dni po tym rejonie.

Po zejściu z gór, dowiedzieli się, że nasze piękne jeziorko to ślad po dawnej kopalni uranu! Czy rzeczywiście?

MARSZ POD KARABINAMI

Na Farkaulu spotkaliśmy turystów z Czech. Są tu pierwszy raz (jedyni turyści, których spotkaliśmy w Karpatach Marmaroskich!), a bazę mają gdzieś w chaszczech, po drodze na naszą wymarzoną górę. Przy zejściu na północne stoki Farkaula dojrze-

wa w nas przekorna myśl, aby jednak zaryzykować. W tym gronie, o takich pomysłach nigdy nie trzeba dyskutować nawet kilka minut.

Zmieniamy trasę i już wędrujemy w stronę głównego grzbietu karpackiego, ku rumuńsko – ukraińskiej granicy. Grzbietem Kakatiasy przybliżamy się do Szczawuła, w dole widać letniarki (miejsca wypasu owiec). Nie tracimy nadziei, że natrafimy na wodę, nawet tam, gdzie o nią może być bardzo trudno.

Znajdujemy takie miejsca, rozbijamy obóz. Gdy zapada cisza, słyszymy dobiegającą z doliny muzykę gór – głos trembity: instrumentu, którego dźwięk tak bardzo chciałem usłyszeć przez kilka lat wędrowania po Huculszczyźnie, a nigdy takiego szczęścia nie miałem.

Następnego dnia porzucamy trawersy i narażając się na niebezpieczeństwo podążamy granicznym grzbietem. Po godzinie wędrówki od miejsca biwaku, jesteśmy na Nienesce Wielkiej (1817 m) i rzucamy się do plecaków po aparaty fotograficzne. Widoki jak ze snu.

Wędrowanie granicą dostarcza wrażeń, nie tylko ze względu na górskie otoczenie. Otwierają się widoki na dobrze nam znanego, kończącego Czarnohorę Popa Iwana, na Stóg, gdzie zbiegała się niegdyś granica polsko – rumuńsko – czeskosłowacka. Wrażenie wywołują też ślady po niedawnej „światłości“ współczesnej granicy – słupy z porozrywany drutem kolczastym i szeroka droga, której nie wolno przekroczyć...

Czujemy się dziko i swobodnie. Trudno pohamować harce Darka Gloca, który wyrывa się przed grupę i gdzieś pod Bendreaszką staje przerażony: wpada na dwóch rumuńskich pograniczników. Po chwili jesteśmy w komplecie. Rozmowa raczej na migi. Jesteśmy szczęśliwi, że karabiny mają ciągle zawieszane na plecach. Tłumaczymy, że idziemy na Popa. Przez kilka minut prowadzą nas graniczną ścieżką i na różne sposoby tłumaczą, że linii wyznaczonej przez graniczne słupki nie wolno przekraczać, bo ukraińscy żołnierze będą do nas po prostu... strzelać.

Zaskakujące spotkanie dodało tylko optymizmu. Przed zmierzchem docieramy wreszcie do połoninki, skąd doskonale już widać północne kotły Popa. Pokrywające go niegdyś lodowce skalną rzeźbę uczyniły fantastyczną. Nie sposób dziwić się, że kiedyś uznano tę górę za „najpiękniejszą część Karpat po Tatrach w całym Królestwie Węgierskim“.

O kilkaset metrów od granicy zakładamy nasz kolejny biwak, w pobliżu pasterskich staj. Do naszego ogniska docierają pogranicznicy. Obiecuja, że następnego dnia przyniosą chleb do naszej bazy i poprowadzą na szczyt, aby uchronić nas przed skutkami spotkania z żołnierzami z drugiej strony gór.

Wszystko układa się lepiej, niż można było marzyć.

Rano dzielimy się na dwie grupy, aby nie zostawić obozu bez nadzoru. Gdy pier-

wsza grupa pnie się na Popa reszta posila się. Gdy już przygotowujemy się do wyjścia, znów pojawiają się pogranicznicy. Nadchodzą z dołu, z bazy, gdzie rozstaliśmy się z naszymi samochodami. Okazuje się, że spotkani wczoraj żołnierze powiadomili swych przełożonych i od rana trwa coś, co można nazwać oblawą na naszą wyprawę.

Kombinujemy na różne sposoby. Tłumacząc, że skoro natychmiast mamy schodzić w dolinę, to musimy przywołać naszych przyjaciół, którzy poszli na szczyt. Chyba udało się przekonać żołnierzy.

Ruszamy w kierunku Popa. Po kilku minutach widzę, że biegną za nami, z karabinami. Nie ma już żartów. Trzeba schodzić. Zwijamy obóz. Z irytacją patrzę na szczęśliwe twarze Zbyszka Bienia, Janusza Pilca i innych, którym udało się wejść na Popa Iwana Marmoroskiego.

Po pół godzinie schodzenia żołnierze są już w dobrych nastrojach. Robimy kolejne zdjęcia i slajdy. Bez skutku namawiam ich, aby jednak puścili na Popa naszą pechową piątkę. Na darmo. Okazuje się, że i tak popełniliśmy wiele wykroczeń.

Mieliśmy prawo wejść na Farcaula, ale nie nocować na nim. W tych górach to zakazane. Żołnierze są jednak mili. Jeden z nich niesie nawet ciężki plecak Beaty Osmulskiej. Znów jesteśmy nad potokiem Krywa, przy strażnicy pograniczników.

PASTERSKIM PŁAJEM

Choć to niedziela, udaje się nam zatrzymać potężną ciężarówkę, na której kipeć trzeba wchodzić po dachu kabiny kierowcy. Dzięki temu jesteśmy znów w Ruskowej Polanie. Ciężarówka dowozi nas do Łuh (rum. Paulic). Odżywają nasze nadzieje na zdobycie Budyjowskiej Wielkiej. Niepomni porannej porażki (a może właśnie z tego powodu), znów chcemy się pchać na graniczny szczyt.

W Łuhach łapie nas paskudna burza. Możemy zachwycać się budownictwem ludowym Bukowiny, przeczekując nawałnicę, tracimy jednak czas przeznaczony na wędrowanie. O świcie umówiony traktorzysta nie przyjeżdża. Trzeba znowu weryfikować plany.

Wracamy do Ruskiej Polany i zapuszczamy się w dolinę potoku Bardi. Łapiemy ciężarówkę do przewożenia bali. Dojeżdżamy do miejsca, gdzie dalsza jazda wydaje się karkołomna. Znów ciążą nam plecaki, a co gorsze, leje paskudnie i nie dość dokładnie uzgodniliśmy trasę. Kierunek wydaje się jeden, ale ścieżka rozdziela się nader często. Gonię Ankę i Piotrkę Ziółkowskich, próbuję wrócić po innych, znajduję tylko Monikę Jedlińską i Bogusia Lewickiego. Nie ma wyjścia – trzeba iść dalej, skoro inni poszli w górę. Mam nadzieję, że odnajdziemy się na połoninie, gdy wyjdziemy z lasu. Zbyt duże mamy wszyscy górskie doświadczenie, aby obawiać się o swe losy. Rwiemy do przodu. Może to przypadek, ale akurat jest nas pięcioro

tych, którym nie udało się wejść na Popa Iwana. Widać odczuwaliśmy niepo-
hamowany niedosyt gór.

Pada tak paskudnie, że stajemy się bryłami błota, ociekającymi wodą. Nie sposób
rozbić namiotów. Najpierw trafiamy na zrujnowany dom myśliwski, który nie nada-
je się na miejsce noclegu. Na szczęście poniżej znajdujemy pasterzy i szałas. Nie jest
to nawet kurna chata. Dym wypuszcza się otwierając drzwi. Pasterzy coraz więcej,
także kobiety i dzieci. Mamy na zmianę spać na klepisku. Znajdujemy jednak lepsze
locum – półkę na sery, tyle, że nie starcza miejsca na nasze nogi. Ale i tak jesteśmy
szczęśliwi.



Klasztor, Góra Homorului. Fot. E. Kuziemska.

Rano zamieniamy papierosy na owcze dzwoneczki i wyruszamy w góry. Znów
jest pięknie. Napotkani pasterze wymieniają zupełnie inne nazwy szczytów, niż te na
mapie. Trzeba piąć się na kolejne szczyty, aby rozeznać sytuację. Góra, którą pasterze
nazywają Bardu, okazuje się Pietroszem Budyjowskim (1854 m). Zaszliśmy dalej niż
się nam wydawało i jesteśmy tym zachwyceni.

Na tym nie koniec niespodzianek. Za radą pasterzy schodzimy do Botity w doli-
nie malowniczego Wazeru. Wąwóz Wazeru znany jest ze swej wyjątkowej stromoś-
ci. Do zejścia wykorzystujemy dość kłopotliwą leśną przecinkę, a po wędrowce

wzdłuż potoku napotykałyśmy na ruiny starej klauzy. Wiemy już, że jesteśmy nad potokiem Batitulmi i tym dalsza droga przed nami. Z Botity do Bardu jest godzina drogi wzdłuż torów kolejki wąskotorowej. Przechodzimy przez wspaniałe, kute w skale, kolejkowe przejazdy (drogi dostępnej dla samochodów tutaj nie ma). Wszelkie przewodnikowe informacje o istniejących w każdej z osad sklepach są całkiem nieaktualne. W Bardu dowiadujemy się, że przed nami jeszcze trzydzieści kilometrów toru do Viseu de Sus. Negocjujemy różne warianty dostarczenia nam drezyny, a im skutek gorszy, tym dyskusja o cenach bardziej przykra.

O zmroku pojawia się zupełnie nie zapowiadany pojazd. Nasza piątka ledwie się na nim mieści. Poznajemy smak grozy, nasze nogi nieustannie zagrożone są połamaniem. Podczas nocnej jazdy odczuwamy uderzenia kamieni, ocieramy się o skalne ściany. Emocjonująca, ale raczej makabryczna podróż trwa dwie godziny. Operator drezyny jako napędu używa... siły grawitacji.

Do jednego z przysiółków Viseu de Sus docieramy przed północą, ale na tyle wcześnie, aby w miejscowym barulu uczcić piwem nasze zejście z gór. Czekają już mercedes z jakże cierpliwym Jurkiem Bołsanowskim, a nyskę pospawali – oczywiście za darmo – życzliwi Rumuni. Na wyznaczone spotkanie stawiają się wszyscy z nie większym, niż trzygodzinne opóźnieniem, co zważywszy na liczbę podgrup i rozległość poznawanych gór, jest wynikiem zaiste godnym uznania.

U PANA MICHAŁA

Spieszmy się na Ukrainę, aby zdążyć na kolejną rocznicę odzyskania państwowości przez naszego wschodniego sąsiada. Barierą, której najbardziej się obawiamy, jest znów granica. Nie sądziliśmy, że może być aż tak kiepsko. Setki samochodów, nocleg szykuje się marny. Znowu trzeba negocjować...

Przeistaczamy się w ekipę filmową, której spieszno, bo mamy zrealizować telewizyjny film o ukraińskim święcie. Liczna jest ta nasza ekipa filmowa – wiadomo: dźwiękowcy, oświetleniowcy i alpiniści. Argument trafia do przekonania. Jednak jest problem z przejechaniem kilkuset metrów wzdłuż sznura samochodów, zwłaszcza, że reakcja zdenerwowanych kierowców może być jak najgorsza. Udało się nam przekonać jakże sympatycznych rumuńskich celników, aby kierowców przy szlabanie skłonili do zajęcia miejsc w samochodach. Wygląda to groźnie, ale tylko w to nam graj!

I znowu jesteśmy na Ukrainie. Z Czerniowiec ruszamy do Chocimia. W Okopach św. Trójcy rozmawiamy po polsku z jedyną kobietą, znającą jeszcze nasz ojczysty język. Później jest Kamieniec Podolski, a więc trasa jak przed rokiem, tyle, że tym razem biwak urządzamy na wałach obronnych twierdzy, której bronił Jerzy Michał

Wołodyjowski. W katedrze zostawiamy podarunki dla Polaków mieszkających w Kamieńcu – książki w naszym ojczystym języku.

Przed nami jeszcze Trembowla i Zbaraż. Zbaczając z sienkiewiczowskiego szlaku, docieramy do rodzinnego miasta Juliusza Słowackiego – do Krzemieńca. Tam udaje się nam zdobyć miejsce w hoteliku podając się za grupę ukraińskich akademików, którzy w górach prowadzili badania naukowe i kręcili film.

Dalej jest już tylko droga do Medyki. Kilkadziesiąt kilometrów przed Lwowem, spod kół ciężarówki wyskakuje kamień. Przednia szyba naszej nyski zamienia się w śnieżny pył. Świat rozpada się na kawałki. Myślę tylko o tym, aby nie puścić kierownicy w odruchu osłonięcia twarzy.

JAGODY NA PÓŁCE

Krzysztof J. Szmidt

Z okna mojego pokoju w domu studenckim widać zalesiony grzbiet Gór Slanskich. Słowacy mówią o nich Slanske Vrchy, Węgrzy – Tokaji Hegrseg albo Lempleni Hegysag, zaś dawniej określano je Hedziela. Słowo „hegyalja“ znaczy pogórze. Nie są to wysokie góry. Najwyżej wznosi się położona na północy grupa Szymonki (1092 m), inne nie sięgają tysiąca metrów. Ale są to ładne góry – tak mi się wydaje, gdy patrzę na nie z daleka. Szczególnie podoba mi się Oblik (925 m), którego regularną kopułę można dostrzec z ulic Preszowa.

Patrząc na Oblika nie ma się wątpliwości, że Góry Slanskie mają wulkaniczną przeszłość. Moi słowaccy znajomi bagatelizują ich turystyczne i krajobrazowe wartości, bo gdzież im tam do urody oddalonych o 80 km od Preszowa Tatr, Słowackiego Raju, czy nawet niewielkiego pasma o wdzięcznej nazwie Branisko, które zaczyna się tuż za miastem, z drugiej strony niż Góry Slanskie. – *Tam nikto nie chodi* – mówią, by ostudzić moje zamiary. Nie zdają sobie oczywiście sprawy z tego, że to jeszcze jeden dobry powód, by tam pójść. Lubię wyludnione góry, zwłaszcza po letnim pobycie w naszych Tatrach. Już sam widok Szymonki z okna jest dostatecznym zaproszeniem i wyzwaniem, któremu się nie odmawia. Wystarczy, że podczas czytania lub picia kawy spojrzę przed siebie, a już widzę ciemny zarys góry. Jest ciągle na swoim miejscu: rano, w południe i wieczorem.

Dojazd do „wnętrza“ Gór Slanskich jest prosty i krótki. Wsiadamy w małą miejscowości o nęcącej nazwie Zlata Bana. Do niedawna w jej okolicach wydobywano złoto i nie jest to żadna regionalna legenda na użytek turystów, tylko szczerza prawda. Tak twierdzi Aleks, trener siatkówki z Preszowa. Ze Złatej Bani wędrujemy

zielonym szlakiem na Szymonkę i dalej do Doliny Obrav, gdzie jest główny cel naszej wyprawy – Hermanovske Skaly. O skałach tych można nawet przeczytać w słowackiej encyklopedii „Horolezectvo“. Wchodzące w ich skład Sokole Skąły i Hawrania Skała mają do 90 metrów wysokości i poprowadzono na nich kilka trudnych dróg wspinaczkowych.

Nasz szlak biegnie wśród gęstych lasów bukowych, próżno szukać tak typowych dla naszych gór świerków. Wysokie drzewa skutecznie zasłaniają widoki, nic więc dziwnego, że nie jestem zachwycony. Brak też śródgórskich polan i wartkich potoków. Dla kogoś, kto tak jak ja kieruje się przy wyborze szlaków „zasadą widoku“ (określenie prof. Jacka Kolbuszewskiego), droga na Szymonkę nie przedstawia większych wartości. Idący ze mną studenci również nie są zachwyceni. Duszna, bezwietrzna pogoda daje się im we znaki, a brak rozleglejszych panoram osłabia motywację do dalszej wędrówki.

Nie wchodzimy na kopułę szczytową Szymonki, widząc w górze gęsty las bukowy. Skracamy wędrówkę, by szybciej znaleźć się przy Hermanowskich Skałach. Doliną Obrav płynie szumny potok, ale urok doliny psuje asfaltowa szosa. Zgodnie ze wskazaniem mapy skręcamy z szosy w prawo, w gęsty zagajnik, a potem wspinamy się stromym stokiem. Nad głowami kopuła z drzew, pod nogami gruba warstwa zeszłorocznych liści. Dochodzimy do źródła, od którego nasz szlak powinien skręcać wprost pod skały. Pijemy zimną wodę, zawierającą jakieś rzadkie minerały, które wyraźnie wyczuwam pod językiem. Tu wszystkie źródła, od Bardejova do Koszyc zawierają jakieś minerały – myślę z zazdrością.

Wysyłam Lecha na rekonesans. Nie podoba mi się, że znajdujemy się ciągle w gęstwinie leśnej. Nie ma w niej miejsca na wypiętrzenie skalne – tak mi podpowiada górskie doświadczenie – brak jakiegokolwiek pustej przestrzeni, bardziej skomplikowanej rzeźby terenu, pojedynczych skałek lub większych kamieni, które z reguły zapowiadają istnienie większej formacji skalnej. Wszędzie las.

Lech wraca nic nie odkrywszy. Uważnie studiuje mapę. Powinniśmy być 300 – 500 metrów od skał, to jasne jak na mapie. Idę w jedną stronę, potem w drugą. Irytacja rośnie, a skał ani widu. Nagle słyszę okrzyk triumfu:

– Szefie, są!

To Dobrek, mało doświadczony turysta górski, odkrył szlak idąc w najmniej obiecującym kierunku. Od źródła droga biegła stromo pod górę, wśród monumentalnych buków. Cóż droga – raczej ścieżynka, ledwo widoczna perć, którą wyrobiły nieliczne buty może skałolazów, może kłusowników. Ścieżyna wchodzi na strome wzniesienie, którego najwyższy punkt zwieńczony jest lekko różową skałą. Zapowiadał się kwadrans wspinaczki z użyciem rąk.

– Kto idzie? – pytam.

Oczywiście Lech, taternik z Klubu Wysokogórskiego z Łodzi, oczywiście Alicja i Agnieszka, które zapalały gwałtowną miłością do gór w czasie obozu i oczywiście ja. Osiem osób zostaje w dole.

– *Prosim pekne!* – przepuszczam Lecha i dziewczyny przed siebie. Chwytając rękoma za korzenie i pnie drzew, zaczęliśmy zdobywać metr po metrze wysokości. Z dołu podziwiałem zręczność i lekkość, z jaką poruszały się dwie górskie nowicjuszki. Wydawało się, że prawo ciążenia ich nie dotyczy. Z naturalną swobodą wybierały najwłaściwsze korzenie, by podciągnąć się do góry, celnie stawiały stopy tam, gdzie powinny je postawić, poruszały się tak, jak powinny się poruszać. Jeśli istnieją specyficzne zdolności, które można by określić zdolnościami górskimi, to z pewnością obie są wysoce uzdolnione górsko. Będę miał okazję przekonać się o tym już za tydzień, w czasie wędrówek tatrzańskich. Wysokie, szczupłe, długonogie, przypominały sarny lub kozice. Jakież było moje zdziwienie, gdy miesiąc później dowiedziałem się, że jedna z nich, Alicja, w czasie tych wypraw była w ciąży.

Zdyszani osiągamy skały. Lech, uśmiechnięty od ucha do ucha, stoi już na skalnej półce, która ma szerokość jego wielkiej stopy. Stoi tak z miną zdobywcy i patrzy w stumetrową przepaść pod nogami.

– *Bomba!* – w jego taternickim języku oznacza to wielką radość i komplement skierowany do skał.

Wąska półka nie pozwala na wiele manewrów, urywa się pionową ścianą, schodzącą wprost pod skarłate drzewa. Skały mają kolor różowy, są dobrze urzeźbione, a ich spadzistość zapowiada interesującą wspinaczkę.

– *Ale bym się powspinał!* – w Lechu odzywa się taternicki zew. Naprzeciw nas znajduje się druga skała, jeszcze wyższa i bardziej stroma od naszej. Aż dziw bierze, że nikt się tu nie wspina, że nie słychać niczych głosów. Cisza i skalista pustka.

Stoję obok Lecha i raz po raz obrzucam opiekuńczym spojrzeniem obie dziewczyny. Czuję się za nie odpowiedzialny, bo to ich pierwszy udział w niebezpiecznej ekspedycji. Nie trzymają się kurczowo skał, a nawet wprost przeciwnie: stoją na wąskiej półce w swobodnej postawie, zwiastującej opanowanie i brak lęku. W pewnej chwili Alicja dostrzega w skalnych rysach niewielkie krzaki jagód, zrywa je i zjada. Wypatruje kolejnych owoców i w ich poszukiwaniu zbliża się do mnie. Nie zwraca w ogóle uwagi na przepaść, stawia stopy śmiało i bezpiecznie, jakby zapomniała, że tylko centymetry dzielą ją od stumetrowego upadku w dół. Przypomina kozicę, zajadającą w skupieniu smaczne trawy na eksponowanej półce, tak pochłoniętą jedzeniem, że ślepą na przepaść, a przy tym jednak poruszającą się z zachowaniem podstawowych zasad własnego bezpieczeństwa. Alicja dochodzi do mnie. Przeszkadzam jej w dalszych poszukiwaniach jagód, a te rosną jeszcze za mną. Alicja widzi je i ma na nie ochotę.

– *Przepraszam* – mówi uprzejmym tonem, jakby znajdowała się na ulicy i miała zamiar przejść obok przechodnia – zawałidrogę. – *Proszę!* – odpowiadam z wyraźnym akcentem na „ę“, chcąc dostosować się do jej uprzejmego tonu i jednocześnie ukazać dziewczynie absurdalność jej zamiarów. Nie ma bowiem dość miejsca na swobodne przejście obok mnie. Półka jest za wąska, a my nie jesteśmy uwiązani liną i ubezpieczeni.

To „ę“ w moim akcencie każe Alicji spojrzeć na mnie uważniej i opamiętać się. Odwraca wzrok od smacznych kulek, szacuje w milczeniu szanse ominięcia mnie i lekko marszczy czoło. Widać, że powróciła znów na skalną półkę.

– *Chyba się nie zmieścimy* – mówi z lekką rezygnacją i patrzy w przepaść. Tak, zdecydowanie wróciła na wierzchołek pionowych skał. – *Oj, te baby! Jagody im w głowie, a tu takie skały!* – w głosie Lecha daje się wyczuć dezaprobatę dla braku podziwu dla tych cudów natury. Druga z dziewcząt, Agnieszka, stoi wygodnie oparta o skałę i w milczeniu przygląda się sąsiedniej ścianie.

– *To góry tak wyglądają!* – mówi bardziej do siebie, niż do nas.

Po kilku miesiącach otrzymałem od niej widokówkę. Z Chamonix. „*Dzisiaj pobiłam swój rekord (3.300 m n.p.m.)* – napisała. *Z miejsca gdzie mieszkam, codziennie mogę podziwiać Mont Blanc, ale jego zdobycie jeszcze przede mną*“.

Następną kartkę Agnieszka wysłała z Megave. „*Tym razem pobyt w górach od początku do końca poświęciłam nartom. Jest to jeden z najprzyjemniejszych sportów, aczkolwiek pozostawia sporo śladów, szczególnie u takich debiutantów jak ja. Mont Blanc jak zawsze godny podziwu. Być może następnym razem uda mi się go zdobyć*“.

Minęło pół roku. Listonosz przyniósł przepiękną widokówkę, przedstawiającą dwóch alpinistów, związanych liną i wędrujących śnieżną granią na tle Aiguille du Midi. Już pierwszy rzut oka mówi mi, że to zdjęcie Pierre’a Tairraza. Tym razem Agnieszka pisze z Combloux: „*Najciekawsza była wyprawa w okolice lodowca Bossons. Jest ogromny i przepiękny. Nie udało mi się jeszcze pokonać „Króla Alp*“.

Wkrótce Agnieszka przyjeżdża do Polski. Poznaje jej męża, Pierre’a – to on wodzi ją po Alpach. Ostatnia kartka jest z widokiem na l’Aiguille Verte, Dru i Grandes Jorasses od Jeziora Blanc. „*Jesteśmy 7 kilometrów od Chamonix – piszą Agnieszka i Pierre – w Argentiere, gdzie spędziliśmy prawdziwie sportowy tydzień. Mimo że nie zdobyliśmy jeszcze Mont Blanc, zaprzyjaźniliśmy się z nim bardzo. Zmienna pogoda sprawiła, że widzieliśmy go w słońcu, deszczu i śniegu. W przyszłym tygodniu chcemy kontynuować wyprawę*“.

Leżą przede mną dwie fotografie: jedna z Gór Slanskich, przedstawiająca Hermanowskie Skały z jagodową półką i druga, z widokiem na lodowce Mont Blanc. Od chwili, gdy Agnieszka postawiła pierwsze kroki w skałach, do chwili, gdy poczuła pod butami wieczny lód, minęły zaledwie dwa lata.

Artykuł dyskusyjny

KOMU I CZEMU WINNY SŁUŻYĆ GÓRY?

Krzysztof J. Szmidt

Góry stanowią przedmiot zainteresowań i badań ludzi reprezentujących różne dyscypliny naukowe. Naukowcy patrząc na góry widzą je po swojemu. Ze swojego punktu widzenia akcentują również to, co powinno się rozwijać w środowisku górskim by zaspokoić potrzeby ludzi tam przebywających. Równo 20 lat temu Andrzej Ziemilski w studium „Człowiek i góry a cywilizacja współczesna” scharakteryzował osiem głównych sposobów myślenia ludzi o górach. Sposoby te nazwał „modelami gór”. Powstawały one w odpowiedzi na pytanie, komu i czemu przede wszystkim powinny góry służyć? Choć od chwili ukazania się tekstu Ziemilskiego upłynęło już dużo wody w Suchej Wodzie i sporo się zmieniło nie tylko pod Giewontem, to jednak niektóre modele wydają się być nadal aktualne. Przypomnę je w wielkim skrócie.

1. Model „góry dla gospodarki” – zwolennicy tej opcji postrzegają góry jako tereny bogate w surowce mineralne, kruszywo, drewno i zwierzynę. Twierdzą, że góry winny służyć osiągnięciu korzyści materialnych i rozwojowi gospodarczemu.

2. Model „góry – szkoła” – góry mają służyć jako środowisko wychowawcze, w którym uczy się hartowania ciała i ducha, współpracy w grupie i koleżeństwa.

3. Model „góry dla upośledzonych” – tereny górskie mają służyć tym, którzy są pokrzywdzeni przez los – chorym i upośledzonym (również pod względem klasowym czy narodowym).

4. Model „góry – panoptikum” – jako świat „zamieszkały” przez dziwy, niena-

turalne lub naturalne stwory oraz atrakcyjne zagadki. Góry mają służyć do oglądania i podziwiania przez ludzi zamożnych. Dla nich należy tworzyć coraz dogodniejsze ułatwienia techniczne.

5. Model „góry-boisko” – hale górskie, turnie i narciarskie trasy zjazdowe to tereny do treningu, ćwiczenia krzepy i zaspokajania potrzeby ryzyka. Góry mają służyć sportowemu wyżyciu się.

6. Model „góry dla wybranych” – góry są czymś, na czym trzeba się znać lub mieć na nie odpowiednią wrażliwość. W związku z tym mają służyć wybranym, to znaczy „prawdziwym” turystom, alpinistom, badaczom, artystom i twórcom, nie zaś „ceprom” czy „stonce”.

7. Model „góry dla przyrodników” – to uszczegółowienie modelu poprzedniego: góry mają służyć przyrodnikom jako ostatnie, niezniszczalne laboratorium przyrody w najbliższym sąsiedztwie człowieka. Przyrodnicy mają uchronić je przed niepożądanymi deformacjami cywilizacyjnymi.

8. Model „góry dla górali” – góry powinny być dla odwiecznych ich mieszkańców, tzn. górali, którzy są najlepszymi gospodarzami swojej ziemi. Oni znają je najlepiej i najlepiej wiedzą, czego im potrzeba.

Który z tych modeli myślenia o górach dominuje wśród stechniczowanych ludzi końca XX wieku? By odpowiedzieć wyczerpująco na to pytanie należy przeprowadzić systematyczne badania psychosocjologiczne, obejmujące reprezentantów wszystkich grup korzystających z bogactw i piękna gór. Na razie, można przedstawić kilka sugestii związanych z omawianym tematem.

Biorąc pod uwagę różnorodne obserwacje ludzi na szlakach, schroniskach, domach wczasowych, biurach turystycznych itd. oraz prace naukowe, które wychodzą spod piór różnorodnych specjalistów (ekonomistów, technokratów, przyrodników) stwierdzam, iż dzisiaj góry są postrzegane głównie jako:

1. miejsce interesów,
2. ścisły rezerwat,
3. arena sportowa.

BIZNES

Postrzeganie gór jako terenu i okazji do interesu nie jest nowością ostatnich lat. Jednak dopiero reformy rynkowe lat 90 uzewnętrzniły tego rodzaju postawy ludzi. Ekonomiści zastanawiają się nad tym, co zrobić, żeby zmaksymalizować zyski z usług górskich, w jaki sposób przyciągnąć w góry jak najwięcej jak najbogatszych klientów, dla których należy postawić jak najwięcej hoteli górskich (nie zaś schronisk!), poprowadzić jak najwięcej tras narciarskich i kolejek linowych. Powstają więc plany zarobkowania, tworzone na zlecenie niektórych gmin górskich spółek i osób

prywatnych. Prowadzi się ciągłą analizę jakości usług, usprawnia się ocenę placówek turystycznych i czasowych. Gdyby nie przeszkadzano teoretykom i praktykom interesów, już dawno poprowadzili by kolejkę zębatą na Świnicę, dwie dodatkowe nitki kolejki na Kasprowy Wierch, wytyczyliby trasę zjazdową z Kominiarskiego Wierchu, zaś Babią Górę otoczyliby kolorowym zawrotem głowy. A wszystko dla rozwijania interesów i poprawy życia ludu górskiego, który wszak – jak twierdzą – znajdzie zatrudnienie w świetnie prosperujących hotelach i placówkach usługowych. Na szczęście, dalekosiężne plany tzw. ludzi interesu napotykaają na mur niechęci przyrodników i przepisy parków narodowych.

REZERWAT

Na góry jako na rezerwat ścisły patrzą nie tylko przyrodnicy zatrudnieni w parkach narodowych. Taką postawę reprezentują coraz liczniejsze rzesze ekologów, „zielonych”, zwolenników „powrotu do natury”. Najchętniej wszyscy oni zamknęli by tereny górskie przed ludźmi lub otoczyli je kordonem przepisów zakazujących większości czynności, jakie zwykł robić człowiek na łonie natury i obserwowali rozwój endemicznych okazów fauny i flory w niczym nie zmąconej ciszy i w spokoju. Przyświecający im cel wydaje się zbożny i wartościowy – dobro i nienaruszalność przyrody. Dziwne jednak – jak zauważa Ziemiński – że ludzie reprezentujący tę postawę niechętnie rozciągają zakres terminu „przyroda” na człowieka. Bo tak naprawdę cóż nam po pięknie nienaruszonego uroczyska, którego nikt nie może zobaczyć ?

ARENA

Z powyższą postawą polemizują i walczą zwolennicy trzeciego głównego spojrzenia na góry – sportowcy górscy w swych licznych odmianach: wspinacze skałkowi, alpiniści, kolarze górscy, spadołotniarze, narciarze, kajakarze. Dla nich góry to arena sportowa, a więc boisko. Boiskiem są zarówno skałki i ściany skalne, jak i urwiska, rwące rzeki i wyboiste drogi górskie. Tu można się wykazać tężyzną fizyczną i odwagą, tu można przeżyć chwile grozy i chwile triumfu. Tu można się spotkać z zainteresowaniem i podziwem kibiców. Gdyby to tylko zależało od sportowców górskich, uwolniliby tereny górskie od wszystkich krępujących człowieka przepisów, zwłaszcza tych, które ograniczają wolność swobodnego poruszania się (wspinania, zjeżdżania, pływania i spadania). Góry chcieliby wykorzystywać bez ograniczeń sportowcy innych dyscyplin do treningu.

KONFLIKTY?

Łatwo dostrzec, że pomiędzy tymi trzema modelami postrzegania i korzystania z gór istnieją napięcia, sprzeczności i konflikty interesów, które raz po raz wybuchają

ze zdwojoną siłą przy stołach konferencyjnych i schroniskowych. Zilustrujemy to za pomocą rysunku:



Jak widać, w szczególnie złej sytuacji znajdują się „ochroniarze”, przeciwko którym występują zarówno ludzie interesu, jak i sportowcy górscy. Obie te grupy nie mogą bowiem swobodnie rozwijać swoich interesów w rezerwach i na terenach chronionych. Z moich obserwacji wynika jednak, że zwolennicy wspinaczki i spadołotniarstwa zbyt rzadko dostrzegają pewien dość wyraźny związek, który ich łączy z przyrodnikami. Ochrona terenów górskich w odległej perspektywie służy również ochronie ich działalności. Wyobraźmy sobie, co by się działo gdyby pozwolono biznesmenom na nieograniczone budowanie urządzeń i ułatwień górskich (jak ma to miejsce niejednokrotnie w Alpach). Albo gdyby nie żądano od wspinających się karty taternika lub pozwolono wybudować gdzie się chce pasy startowe dla spadołotniarzy. Co by zostało z przyjemności wspinania się filarem Świnicy w światłach ramp i na oczach tysięcznego tłumu? Chyba, że o to chodzi?

Również rysująca się wspólnota interesów biznesmenów ze sportowcami wydaje się być jak sądzę krótkotrwała i złudna. Chociaż rozwój usług górskich może początkowo rozbudzić rozwój sportów, to jednak w odległej perspektywie przyczyni się raczej do zbyt dużego umasowienia tak w końcu romantycznych form aktywności, jak wspinaczka we dwoje Kantem Zamarłej lub lot nad Dol. Kondratową o zachodzie słońca. W tłumie ginie nimb wyjątkowości, tak ważny dla Rycerzy Ścian Skalnych i Orłów Przesławy.

Konflikt interesów biznesmenów i ochroniarzy jest również relatywny jeśli spojrzymy nań z lotu ptaka. Góry mogą bowiem przyciągnąć wielu turystów, wczasowi-

czów i sportowców (a tym samym ich pieniądze), jeśli będą dla nich stanowić istotną wartość – odmienną od tego, co znajdują w miejscach ich stałego zamieszkania. Kontakt z nieskażoną przyrodą, rzadkie okazy fauny i flory, piękno krajobrazu, cisza, przygoda w gronie znajomych i podobnych ludzi, kontemplacja a nawet modlitwa – po to między innymi przyjeżdża się w góry i pewnie jeszcze długo będzie się przyjeżdżało. Kolejka na Świnicę czy Babią Górę tylko na krótko, jak sądzę, może spowodować ruch w interesie. Wkrótce ci, którzy mają pieniądze, znajdą sobie inne, bardziej dzikie i pierwotne ostępy górskie lub wygodniejsze i bardziej komfortowe ośrodki usług górskich.

TURYSTA GÓRSKI

Jakie w tych wszystkich różnych opcjach i interesach jest miejsce tak zwanych zwykłych turystów górskich? Czy mają oni wspierać ludzi interesu, sportowców czy ochroniarzy? Sądzę, że powinni wspierać... siebie. Cóż to znaczy? Żeby to wyjaśnić, trzeba by odrębnego opracowania. W tym miejscu mogę jedynie przedstawić główną tezę tego stanowiska. Oprócz wymienionych modeli postrzegania gór jest jeszcze jeden model – trochę staroświecki, trochę psychologiczny, niezbyt popularny w dzisiejszych czasach szybkich samochodów i szybkich wejść na szczyty. **To postrzeganie gór jak terenu (środowiska) rozwoju osobistego i harmonii wewnętrznej.** Psychologiczne pojęcia rozwoju osobistego oznacza ciągłe dążenie człowieka do poznania własnych możliwości, zdolności i talentów, pełniejsze rozpoznanie i akceptację własnej wewnętrznej natury i zmierzania do jedności i integracji wewnętrznej. Sądzę że kontakt z górami i aktywność górską może służyć tak ogólnie sformułowanym celom osobistym. To w górach rozpoznajemy częstokroć swą prawdziwą naturę, odkrywamy zalety i wady charakteru, uczymy się akceptować braki i niedostatki własnej kondycji fizycznej i ducha. To w górach, jak twierdzi wielu wybitnych himalaistów, ale i artystów oraz wytrwałych turystów, można osiągnąć stan zbliżony do harmonii wewnętrznej, komfortu psychicznego, homeostazy. Władysław Krygowski napisał, że *„Nieraz na pytania, które stawiamy w dolinach otrzymujemy odpowiedź w górach wysokich (...)”*, a wielu starych repów górskich może potwierdzić mądrość i trafność tego zdania.

W pojęciu rozwoju osobistego mieści się również zgodny rozwój wiedzy, uczuć i umiejętności człowieka. Czyż nie to jest właśnie celem uprawiania turystyki górskiej: rozwój wiedzy o górach, pogłębianie uczuciowego zaangażowania i przeżyć górskich oraz usprawnienia górskich umiejętności? Traktowanie aktywności górskiej jako sposobu rozwoju osobistego może uchronić dorastającego miłośnika gór przed mirażami wyczynowości, czystości ekologicznej i ekonomicznej intratności. Jeśli celem mojej wędrówki górskiej będzie nie tylko szczyt ale wzbogacenie mojej

wiedzy i doświadczeń, odreagowanie napięć psychicznych, odkrywanie własnych możliwości i ograniczeń, to taka wędrówka będzie wędrówką do siebie. Jeśli dzięki trudom wspinaczki lepiej poznam siebie i pełniej zaakceptuję swoją nie tak doskonałą nieraz osobowość, to będzie to krok do osiągnięcia spokoju wewnętrznego i optymizmu. A czy można wyruszać w góry bez optymizmu? Jeśli jeszcze do tego łatwiej zaakceptuję odrębność innych ludzi i ich prawo do indywidualności, to będzie znaczyło, że góry jednak czegoś uczą oprócz prusikowania i zjazdów w kluczu. Bo jak twierdzi X. Roman Rogowski *„góry to nie tylko alpinizm i przygoda, to nie tylko wysilek i ryzyko, to nie tylko radość zwycięstwa czy gorzki smak porażki. Góry to styl życia.”*

Wspieranie siebie nie jest, jak się może wydawać na pierwszy rzut oka egoistycznym zamykaniem się na innych ludzi i dbaniem wyłącznie o własne interesy. Jest trudną drogą rozwoju duchowego, na której nikt nie może nas zastąpić, co najwyżej może nam pomóc w dążeniu do samopoznania. Tak więc góry, postrzegane jako środowisko ułatwiające ujawnianie się prawdziwych intencji, nawyków, przyzwyczajeń, przekonań, ale i ukrytych dotąd mocnych stron charakteru człowieka, mogą przyspieszyć proces jego dojrzewania.

Znam wielu autentycznych miłośników gór, dla których wędrówka lub wspinaczka górską stały się sposobem na życie lub sposobem wzbogacenia życia. W swej aktywności górskiej osoby te popierają na ogół ochroniarzy i przyrodników choć nie w smak im szlabany na szlakach. Sami będąc często wspinaczami, patrzą z ojcowską pobłażliwością i lekką ironią na kolorowych ścigantów przemierzających ściany skalne bez oglądania się wokół siebie i za siebie, a także patrzenia w siebie. Zaś młodych biznesmenów wbitych w garniturki z teczkami pełnymi „business”-planów, których realizacja ma jakoby uszczęśliwić mieszkańców i bywalców Ryniasa, miłośnicy gór traktują jak wysłanników biednego diabła. Postrzegając góry nie tylko jako góry, widzą po prostu więcej. A powróciwszy w doliny nie zapominają o swych doświadczeniach szczytowych.

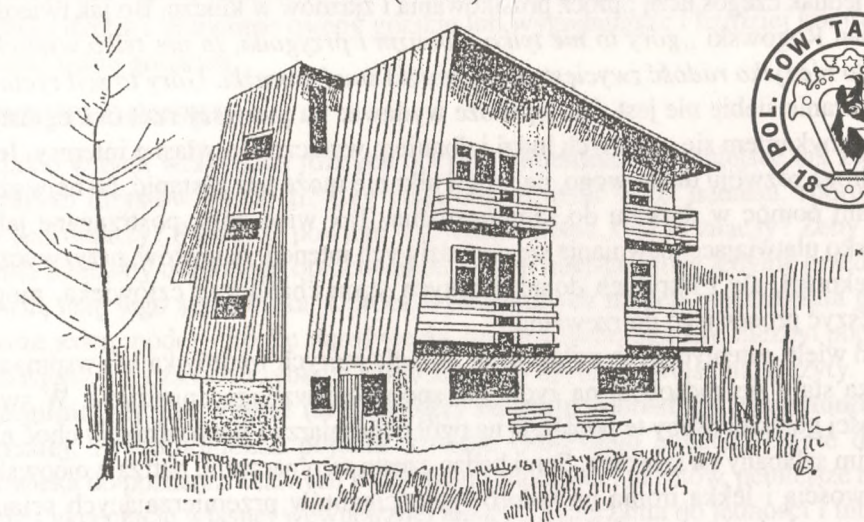
Oddajmy zresztą głos księdzu Rogowskiemu, który będąc alpinistą, filozofem i ... mistykiem najlepiej oddał to, o czym chcę przekonać Czytelników: *„(...) dopiero w życiu w dolinach spełnia się wartość gór i sprawdza się ich wpływ na człowieka. Dlatego człowiekiem gór nie jest ten, który umie i lubi chodzić po górach, ale ten, który górami potrafi żyć w dolinach po zejściu z gór. Umie żyć na codzień (...). Góry uczą pokory, czyli prawdy o sobie”.*

Od Redakcji: Naszym zdaniem temat jest bardzo ciekawy i chętnie wydrukujemy uwagi innych, bo pytanie postawione w tytule, przy obecnym rozwoju tradycyjnych i nowych dziedzin sportu uprawianych w górach, wymaga szeregu wyjaśnień. Np. Kto ma pierwszeństwo na ścieżce górskiej: tradycyjni turyści czy rozpędzony rowerzysta?

STACJA TURYSTYCZNA PTT oddz. w Bielsku-Białej

Pensjonat „Pod Kiczorą”

Krystyna Walas ul. Orawska 940 34-340 Jeleśnia
tel. (0-30) 63-65-68



Usytuowany w Jeleśni, w Beskidzie Żywieckim, w pobliżu nowego przejścia granicznego na Słowację (Korbielów – Oravska Polhora).

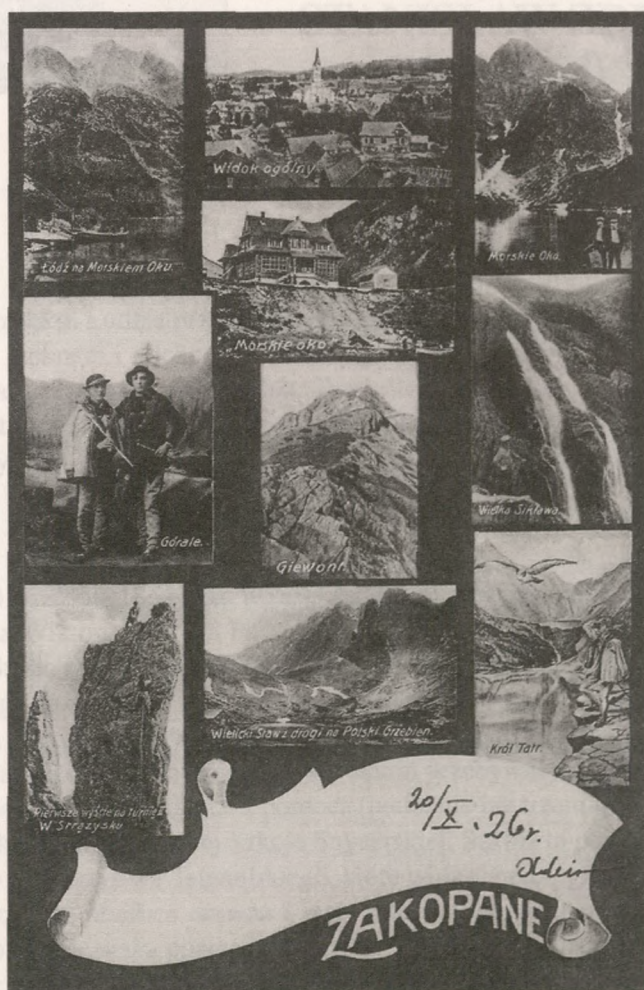
Disponuje 19 miejscami noclegowymi w pokojach 2,3,4 osobowych.

Pensjonat posiada piękny ogród z brodzikiem, bibliotekę i salonik, na miejscu pełne wyżywienie. Obiekt jest świetnym punktem wypadowym w rejon Pilska, Lipowskiej, Lasku, Mędralowej a także na Słowacką Orawę.



III

Ocalić od zapomnienia



Wydawnictwo „Sztuka”, Kraków



STANISŁAW ZDYB (1884-1954)

WSPOMNIENIE O NIELEGENDARNEJ POSTACI ZAKOPANEGO

Maria Gumińska

Czas płynie szybko. Ludzie przychodzą, świecą jak gwiazdy, cieszą się życiem, otaczającym ich pięknem i odchodzą. Chciałoby się ten rytm życia powstrzymać; utrwalić niektóre sylwetki i wydarzenia. Pozwólcie, że jedną z takich postaci związanych z Tatrami i Zakopanem, a trochę już zapomnianą, przypomnę.
To Stanisław Zdyb.

KORZENIE

Urodził się 20 września 1854 roku we wsi Zadole, w powiecie puławskim. Ojciec Wojciech i matka Wiktoria z domu Pasztelan gospodarzyli na niewielkim poletku ziemi, a oprócz Stasia musieli jeszcze wykarmić dziesięcioro młodszych dzieci. Staś pasąc krowy strugał kozikiem w drzewie figurki zwierząt i ludzi. Te jego figurki bardzo się podobały, więc zaczął je sprzedawać na targu. Wieści o zdolnościach chłopca dotarły do hr. Władysława Zamoyskiego, który akurat przebywał na Lubelszczyźnie. Zamoyski postanowił przyjść chłopcu z pomocą (podobnie jak trzem innym) i zaproponował mu naukę w Zakopiańskiej Szkole Snycerskiej. Szkoła ta powstała w 1876 roku z inicjatywy Towarzystwa Tatrzańskiego, które widząc nędzę górali, a z drugiej strony ich zdolności w obróbce drewna i jego zdobnictwie, postanowiło tą drogą przyczynić się do podniesienia poziomu ich życia. W ciągu kilku lat szkoła stała się znana i uczyli się w niej nie tylko górale.

Rodzina Zdybów przyjęła pomoc Władysława hr. Zamoyskiego z wdzięcznością, ale i ze smutkiem ze względu na konieczność rozłąki z synem. Stasiu wyruszył w daleki świat. Podróż do Zakopanego trwała wtedy dwa dni. Pociągiem do Chabówki, a dalej bryczką. Skromne stypendium pozwoliło rozpocząć naukę i pokryć najpilniejsze potrzeby.

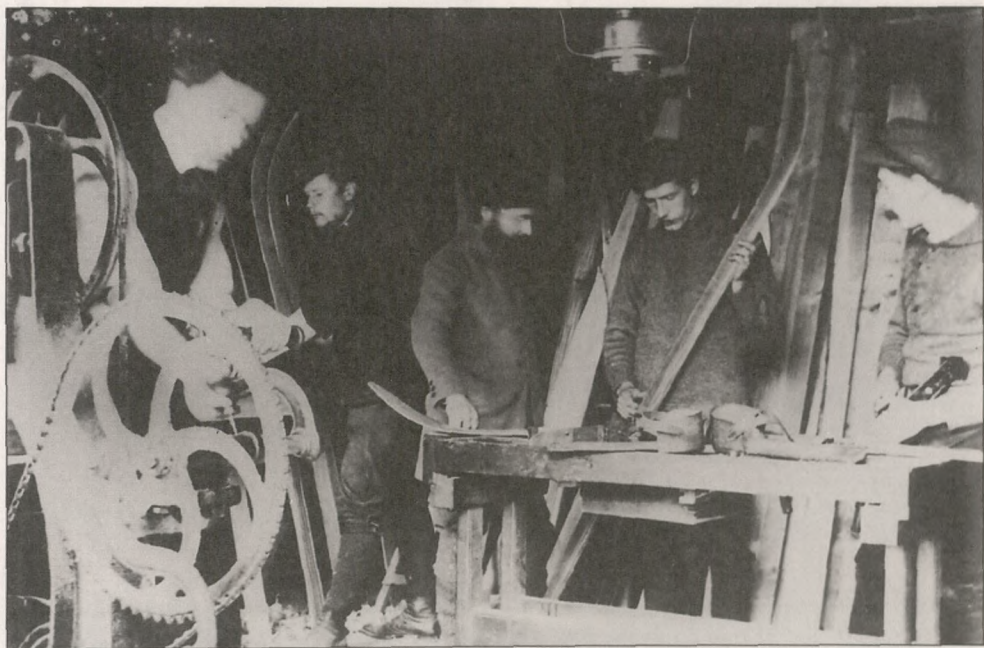
W pamięci młodego ucznia zapisały się szczególnie dwie osoby: Józef Galleth, który uczył rysunku i modelowania i Antoni Święch, nauczyciel rzeźby i ornamentyki, opiekun pierwszej pracowni fotograficznej dla potrzeb szkoły. To Święch w latach 1891–1893 zbudował własnoręcznie aparat fotograficzny z drzewa orzechowego, w który wbudował obiektyw „Proter”. Przy pomocy tego aparatu fotografował w szkole rzeźby i meble. Stanisław Zdyb stał się pomocnikiem swojego nauczyciela. Najpierw nosił za nim ciężki sprzęt, a przy okazji uczył się fotografować. Później poznał pracę w laboratorium, a niebawem nauczyciel zaczął pożyczać swemu uczniowi aparat na wyprawy w góry.

Stanisław wraz z kolegami Józefem Lesieckim i Henrykiem Bednarskim wynajmowali skromny pokój przy drodze na zakopiański rynek. Było to życie pełne niefrasobliwości. Staszka oczarowało nowe środowisko. W szkole rozwijał talent rzeźbiarza, a poza szkołą chłonał wszystko, co go otaczało, a przede wszystkim Tatrę, narty i fotografię. Uległ urokowi miejsca. Ówczesne Zakopane przyciągało jak magnes. Stał się jednym z „opętanych górami”. Gdy musiał wyjeżdżać, tęsknił i wracał tu jaknajszybciej.

Zdyb związał z Zakopanem prawie całe swoje życie. Nie zostawił pisanych wspomnień, ale po latach, gdy nastrój chwili sprzyjał, godzinami można było słuchać jego opowieści niezwykle żywych i plastycznych, tak jakby się oglądało tworzone przez niego rzeźby. Wtedy niestety nie były znane magnetofony. Pozostał jednak okrucz wspomnień utrwalony przeważnie na szklanych płytach – stare fotografie, bo fotografia była jego wielką pasją.

TROCHE HISTORII

Warto sobie uświadomić, że Stanisław Zdyb przyjechał do Zakopanego jako 14-letni chłopak. Było to ok. 70 lat po odkryciu Tatr przez pierwszych turystów, 25 lat po powstaniu Towarzystwa Tatrzańskiego i 46 lat po pierwszych wycieczkach dr Tytusa Chałubińskiego w Tatry. Człowieka, który odkrył dla Polaków swoistą egzotykę gór i górali. Nieco później towarzyszem Chałubińskiego stał się Jan Krzeptowski Sabala. Jego sławę góralskiego barda utrwalili Sienkiewicz, Tetmajer, Witkiewicz. Pierwsi przewodnicy tacy jak Maciej Sieczka odkrywali przed gośćmi piękno gór. Im też wielu ludzi pióra poświęciło niejedną opowieść czy nawet wiersz. Pod opiekuńczymi skrzydłami przewodników wyrastała nowa generacja taterników takich jak



Rok 1911. W wytwórni nart Stanisława Zdyba (Zdyb drugi z prawej).



Przed narciarską wyprawą w góry. Fot. S.Zdyb.



Na przełęczy. Od lewej: Mariusz Zaruski, Stanisław Zdyb, Henryk Bednarski. Fot. J.Lesiecki.



Narciarze zasypani śniegiem w Kuźnicach po powrocie z gór. Fot. S.Zdyb.



Przejście Potoku Gąsienicowego w drodze na Żółtą Turnię. 20 stycznia 1910. Fot. S.Zdyb.



Mariusz Zaruski z towarzyszem nad Morskim Okiem. Fot. S.Zdyb.

Jan Gwalbert Pawlikowski czy Janusz Chmielowski. Ten pierwszy stał się gorliwym orędownikiem ochrony przyrody tatrzańskiej; ten drugi wprowadził nowoczesny (wówczas) sprzęt alpejski i opracował pierwszy szczegółowy przewodnik tatrzański. Dziś to już historia z pogranicza legendy, ale wtedy w małym Zakopanem głośno było o zdobyciu każdego szczytu czy nowo odkrytej drogi. Wszystko było owiane urokiem wielkiej przygody, bo niejednokrotnie wchodzono na szczyty, gdzie wcześniej nikt nogi nie postawił. Zapał udzielał się innym. Był wśród nich Staszek, uczeń „Szkoły Drzewnej”.

NA PRZEŁOMIE WIEKÓW

Profesorowie w szkole nie tylko nauczali zawodu, ale żywo interesowali się wychowaniem uczniów i w trudnych sytuacjach często im pomagali. Staszek, by zarobić parę groszy (stypendium było skromne) w wolnych chwilach sprzątał szkołę. Okres ten obfitował w różne ważne wydarzenia.

Dla uczczenia przełomu wieków postawiono krzyż na Giewoncie (Staszek przy tym też pomagał); wygrany został spór o Morskie Oko. Do Zakopanego doprowadzono kolej żelazną, co starszą generację wprawiło w przerażenie, ale równocześnie otwarło drogę nowej fali gości.

W technice fotograficznej też nastąpiła zmiana. Staszek miał już swój własny aparat, który zabierał na każdą wyprawę w góry. Było to pudło oklejone szarym płótnem, którego obiektyw w obudowie harmonijkowej można było wysuwać i wsuwać. Do tego dźwigało się jeszcze statyw – drewniany trójnóg i szklane klisze 18 x 24. Zdyb malował piękno gór obiektywem. Jego pierwsze zdjęcia należą chyba do najwcześniejszych i najwartościowszych.

Zaraz po ukończeniu szkoły w 1902 roku Staszek zaczął pracować w Pracowni Rzeźby Artystycznej Andrzeja Górasia, którą potem przejął w roku 1911. Naturalnie fotografii nie porzucił. W 1910 tworzył przy pracowni Zakład Fotografii Artystycznej „Tatry”. Z tego okresu pochodzi najwięcej zdjęć Staszka. Są dojrzałe w kompozycji i starannie wykonane. Tematycznie obejmują góry, zawody narciarskie, różne obchody i uroczystości. Trzecim zakładem w rękach Zdyba była pierwsza w Zakopanem, wytwórnia nart.

Ludzie zjeżdżający do Zakopanego z różnych stron świata coraz bardziej fascynowali się górami i to latem i zimą. Dlatego nawet w mrozie i śniegu szli w góry. Stanisław Zdyb opisał swą pierwszą wycieczkę narciarską na Przełęcz Goryczkową w 1906 roku. Chociaż wielokrotnie leżał w śniegu, powrócił nasycony zimowym pięknem gór. W 1907 roku istniała już w Zakopanem czołówka narciarzy turystów.

Przewodzili im Mariusz Zaruski i Stanisław Barabasz, a należeli do niej Henryk Bednarski, Józef Lesiecki, Leon Loria, Józef Oppenheim, Janusz Żuławski, Feliks

Antosiak i naturalnie Stanisław Zdyb. Ta właśnie grupa założyła w roku 1907 Sekcję Narciarzy Towarzystwa Tatrzańskiego. Późniejsza SNTT miała być organizacją propagującą przede wszystkim turystykę narciarską. W tym samym roku Antosiak i Zdyb przeszli na nartach przez Zawrat i Świstówkę do Morskiego Oka. W 1908 roku Henryk Bednarski i Stanisław Zdyb weszli na nartach na Zadni i Pośredni Granat. Największą serię wyczynów przyniosła zima 1910/11. Sądząc po notatkach prawie nie odpinali nart. Przeszli w 4 etapach całą Orlą Percą i grań Rohaczy, weszli nawet na Mnicha pokonując ostatni odcinek przy użyciu raków. W tym okresie taternictwo zimowe miało podobnie odkrywczy charakter jak taternictwo letnie w XIX wieku.

Te ciężkie wyprawy były przede wszystkim szkołą charakterów. Jak powiedział Mariusz Zaruski „miały być remedium na zastrasające cherlactwo duchowe i fizyczne, gorliwie pielęgnowane przez zaborców”. Miały zaszczerpić trochę tężyzny naszej młodzieży. Tak na marginesie warto zauważyć, że daleko odeszliśmy od narciarstwa tamtych czasów. Narciarstwo jest wprawdzie sportem masowym, ale technizacja tego sportu stała się chyba objawem patologicznym.

Stanisław Zdyb był jednym z pierwszych wytwórców nart. Historyczne deski Zdyba miały w spłaszczonym dziobie dziurkę, przez którą można było przewlec sznurek i ciągnąć narty za sobą. Na produkcji nart można się było wówczas dorobić fortuny. Narty stały się modne, czekano na nie w kolejce, ale „wolny duch” nie uznawał przymusu. Jak tylko zdobył trochę pieniędzy, zamykał wszystko, sam szedł na narty i włóczył się beztrudno po górach do ostatniego centa ... cóż, miał inną skalę wartości.

Na początku XX wieku prawie wszystkie tatrzańskie szczyty były już zdobyte przez taterników. W polskiej części Tatr pozostawał jeden wielki problem – niepokonana południowa ściana Zamarłej Turni, stromo opadająca do dol. Pustej granitowymi, litymi płytami. Była ona obiektem ataków wielu taterników. Dopiero w roku 1910 czwórka kolegów – Bednarski, Lesiecki, Loria i Zdyb pokonali tą 150 metrową ścianę. Ten wyczyn odegrał przełomową rolę a dziejach polskiego taternictwa. W ciągu następnych 10 lat klasyczną drogę powtórzono zaledwie 5 razy.

TATRZAŃSKIE OCHOTNICZE POGOTOWIE RATUNKOWE (TOPR)

Liczba turystów i niesięty wypadków w Tatrach stale rosły. Grupa taterników i turystów z Mariuszem Zaruskim i Mieczysławem Karłowiczem postanowiła utworzyć „Straż Górską” by nieść pomoc potrzebującym. Niestety apele do turystów o wsparcie finansowe idei nie dawały rezultatu. Dopiero śmierć Mieczysława Karłowicza w lawinie z Małego Kościelca w 1909 roku, bardzo popularnego w Zakopanem znanego kompozytora, przyspieszyła utworzenie TOPR-u.

Oficjalnie TOPR został powołany do życia w październiku 1909 roku, ale ściśła



Ćwiczenia TOPR. Po prawej Mariusz Zaruski. Fot. S.Zdyb.



Zbiórka przed Dworcem Tatrzańskim. Fot. S.Zdyb.



Panna Mania Kwarcieńska (z lewej) z rodziną w górach. Fot. S. Zdyb.



Panna Mania z siostrą Elżbietą na nartach pod Krokwią. W głębi Nosal. Fot. S. Zdyb.

grupa taterników już wcześniej brała udział w wyprawach. Był wśród nich naturalnie Stanisław Zdyb. Brał udział we wszystkich ważniejszych akcjach ratunkowych TOPR. To on brał udział w poszukiwaniach Stanisława Szulakiewicza w Ścianie Małego Jaworowego. Potem znalazł Klimka Bachledę, który zginął idąc ratować Szulakiewicza.

Dla Staszka ta wyprawa miała jeszcze prywatnie dramatyczny przebieg. Był umówiony z piękną dziewczyną o niebieskich oczach, Manią Kwarciańską i jej rodzicami.

Wielkopolanie Kwarciańscy mieli po powstaniu 1863 roku poważne kłopoty z policją pruską. W końcu jak wielu aktywnych działaczy niepodległościowych musieli się wynosić z zaboru pruskiego. Wiedząc, że właścicielem sporej części Tatr i Zakopanego jest ich krajan, właściciel Kórnika, hr. Władysław Zamoyski znany z troskliwości o prześladowanych przyjechali do Zakopanego. Z pomocą finansową Zamoyskiego Maksymilian Kwarciański, ojciec dwu córek, otworzył sklep w Zakopanem.

Tak więc Stanisław Zdyb nie spotkał się wtedy ze swoją przyszłą żoną i jej rodzicami, bo jako członek TOPR-u „*musiał się stawić bez względu na porę roku i dnia w miejscu i czasie oznaczonym przez naczelnika*”.

Ta pierwsza, dramatyczna wyprawa ratunkowa po Szulakiewicza, a następnie po Klimka Bachledę, była opisywana przez wielu autorów nie tylko w kraju, ale i zagranicą jako przykład niesienia bezinteresownej pomocy.

Od 9 do 19 lipca 1912 roku ratownicy TOPR bezskutecznie szukali studentki Aldony Szystowskiej, która na Czerwonych Wierchach odłączyła się od grupy i przepadła. Na prośbę rodziców 1 sierpnia wznowiono poszukiwania przepatrując jeszcze raz wszystkie możliwe miejsca. Zdyb z Zaruskim idąc od Miętusiej ku Wielkiej Turni wypatrzyli w kominie plecak zaginionej, a potem schodząc niżej znaleźli zwłoki turystki. Jakiś czas potem rodzina w podzięcie ofiarowała Zdybowi nagrodę w postaci 1000 koron. Mimo, że nie przelewało mu się, całą nagrodę przekazał Czerwonemu Krzyżowi.

Z 24 ratunkowych wypraw TOPR-u do 26.VII.1914 roku Stanisław Zdyb uczestniczył w 17-stu.

O NIEPODLEGŁOŚĆ OJCZYZNY

I wojna światowa wyrwała Zdybą z Zakopanego. W pierwszych dniach sierpnia 1914 roku prawie cały pociąg ochotników wyruszył z Zakopanego. Na zbiórkę do Krakowa jechali m.in. Zaruski, Jerzy Żuławski, Kornilowicz, Loria, Zdyb, Bednarski, Lesiecki. Wśród żegnających była panna Mania, która żegnając pana Stanisława dała mu na drogę uszytą przez siebie koszulę z wszytym medalikiem Matki Boskiej, aby omijały go kule. Stanisław zabrał ze sobą pudło z aparatem fotograficznym, które przedtem towarzyszyło mu wszędzie i paczkę szklanych klisz.

Lesiecki poległ już w grudniu 1914 roku, Żuławski zmarł w sierpniu 1915 roku na tyfus. Zdyb służył w 1 pułku Legionów Polskich Beliny. Był ranny pod Ostrołęką, a potem internowany. Po wojnie służył w 11 pułku ułanów do 23.VII.1923 roku. Z okresu wojny pochodzą liczne zdjęcia, które nie zostały opisane ani zidentyfikowane, chociaż zapewne mają dużą wartość historyczną.

Po wojnie Stanisław odwiedził rodzinną wieś Zadole. Niestety, przez wieś przetoczył się front. Cała była spalona i nikt nie potrafił powiedzieć Stanisławowi, co stało się z jego rodziną. Wszystko wskazywało na to, że był jedynym, który ocalał.

Wreszcie 12 sierpnia 1922 roku odbył się w Ostrowie Wielkopolskim długo oczekiwany ślub już 38-letniego Stanisława z panną Marią Kwarcinią.

ZNÓW W ZAKOPANEM

Dwa lata później małżonkowie powrócili do Zakopanego, a Stanisław podjął pracę jako nauczyciel rzeźby w szkole, która go wychowała. Pracował tam do chwili przejścia na emeryturę w roku 1948.

W roku 1925 Zdyb wrócił też do pracy w TOPR. Stara generacja, która przeszła wojnę i znów się spotkała, zaznaczyła swoją obecność... Osiecki, Zaruski i Zdyb weszli jako pierwsi w zimie na Zamarzłą Przełęcz.

Zdyb znany ze swej prawości charakteru był stale zapraszany jako sędzia w czasie rozgrywania różnych konkurencji narciarskich. Wanda Gentil-Tippehauer i Stanisław Zieliński w swej książce „W stronę Pyszej” tak piszą: ... „o płowowłosym, błękitnookim dryblasie Stanisławie Zdybie twierdzili zgodnie przyjaciele, że był to chłop niezwykły, swoistego zaiste autoramentu. Łagodny dryblas u podnóża gór nie uznawał przymusu i nie ulegał czarowi grosiwa“. To prawda, nie zabiegał o pieniądze, dlatego dom rodzinny, który zaczął budować w 1927 roku u podnóża Nosala nad Korytem (tak się wtedy nazywał popularnie Bulwar Słowackiego) stawiał własnoręcznie jak atleta układając płyty jeden na drugim. Po śmierci pierwszej dwójki dzieci następna dwójka już się w tym domu urodziła i rosła zdrowo (dom stoi do dnia dzisiejszego).

Nauczyciel Stanisław Zdyb wymagał w Szkole Przemysłu Drzewnego nie tylko manualnej zręczności i artystycznych zdolności, ale sam próbował formować kształt młodego człowieka z tak trudnego i różnorodnego materiału, jakim była podhalańska młodzież. Umiał twardą, ale przyjacielską ręką kierować młodymi ludźmi. W czasie wspólnych wycieczek, przy ognisku w wyiskrzzone noce, opowiadał im interesująco swe wspomnienia z górskich szlaków i ukazywał piękno postaw ludzkich i konieczność zmagania się z trudnościami do końca. W szkole od siebie i młodzieży wymagał sumienności, punktualności i ofiarności.



Stanisław Zdyb na koniu jako żołnierz legionista I Pułku Ułanów.



Ułani w latach wojny. Fot. S.Zdyb.



Biwak w lesie. Fot. S. Zdyb.



I Pułk Ułanów I Brygady Legionów Polskich.. Fot. S.Zdyb.

LATA OKUPACJI

Przed II wojną i w pierwszych latach okupacji Zdyb wiele rzeźbił. Większość swych prac sprzedawał, aby żyć. Wynagrodzenie nauczycieli było znikome. Ale szkoła spełniała bardzo ważną rolę. Gromadziła w swych murach liczną zakopiańską młodzież, którą w ten sposób chroniła przed wywiezieniem do Niemiec (niestety do czasu). Zdyb był przytłoczony ogromem zła, które przyniosła wojna. Starał się ludziom pomagać. Przygarniał do domu różnych potrzebujących, artystów, a czasem włóczęgów. To wprawiało jego żonę w zaniepokojenie. W roku 1942 wielkim wstrząsem była dla niego nagła śmierć żony, spowodowana pośrednio przez okupanta. W czasie łapanek na terenie szkoły została zabrana córka. Wprawdzie zwolniono ją po kilkunastu godzinach, ale świadomość czyhającego w każdej chwili niebezpieczeństwa spowodowała, że serce matki nie wytrzymało.

Po tej tragedii Zdyb bardzo zmienił się, stał się milczący. Nawet z dziećmi niewiele rozmawiał. Ale w miarę możliwości roztaczał nad nimi dyskretną opiekę. To, czego sam nie umiał nauczyć oddawał w ręce swego kolegi szkolnego, ks Józefa Winkowskiego, który umiał rozmawiać z młodzieżą. Zdyb brał udział w tajnym nauczaniu. Niemcy trzymali się z dala od domu u podnóża gór, w sąsiedztwie lasu.

PO WYZWOLENIU

Wielkie nadzieje szybko stały się zawodne. Powojenna szkoła nie bardzo Zdybowi odpowiadała. Nie akceptował ekstrawagancji w sztuce i nieznanego mu zaborczego postaw ludzi rywalizujących między sobą. Dlatego usunął się na emeryturę i dorabiał do niej dyżurami w muzeum TOPR-u, gdzie znów miał okazję mówić do odwiedzających wycieczek. Rzeźbienie przychodziło mu coraz trudniej. Jeszcze tylko dla swoich krewnych i bliskich, którzy „odchodzili” wykonywał krzyże, artystycznie je przyozdabiał, a potem sam zanosił na cmentarz.

Syn ukończył Szkołę Przemysłu Drzewnego i był z ojcem. Córka pojechała na studia do Krakowa. Jego ukochany dom postawiony własnymi rękami został zajęty przez kwaterunek. Zostawiono mu tylko pokój z kuchnią i pracownię. Ale widocznie i to komuś przeszkadzało, bo pewnego dnia 1952 roku po powrocie do domu zastał pokój zaplombowany, a meble wyrzucone do ogrodu (pokój przydzielono dobrze sytuowanej urzędniczej radzie miejskiej). Był to dla niego wielki cios. Pracownię musiał zamienić na pokój mieszkalny dla siebie i syna. Niestety, często swój smutek zaczął topić w kieliszku. Nie rozumiał „nowoczesnej masowej turystyki”. Drażniły go tabuny wycieczek, które nie miały czasu zachwycać się pięknem gór.

Rok przed śmiercią, kiedy miał już trudności z chodzeniem, w ramach ćwiczeń nowych ratowników GOPR-u pojechał w górę kolejką na Kasprowy, by móc zostać zwiezionym w dół jako „ranny” na toboganie. Było to jego pożegnanie z górami, które tak bardzo ukochał.

Zmarł 8 grudnia 1954 roku w dniu imienin swej ukochanej Marii. W dniu pogrzebu góry pożegnały go wyciem wichru, jakby w ten sposób oplakiwały swego druha i przyjaciela.



*Dziewczyna
z dzbankiem.
Jedna z rzeźb
Stanisława Zdyba.
Fot. J. Ryś.*

NIESTRUDZONY SEKRETARZ

LEOPOLD ŚWIERZ (1835-1911)

Stanisław Wasilewski



Leopold Świerz
Archiwum Muzeum Tatrzańskiego

Wśród twórców Towarzystwa Tatrzańskiego Leopold Świerz był – obok Eugeniusza Janoty, Tytusa Chałubińskiego, ks. Stolarczyka, Walerego Eljasza i Maksymiliana Nowickiego – jedną z tych wybitnych indywidualności, którym Towarzystwo zawdzięcza ukształtowanie niemal od zarania właściwego oblicza i kierunków wszechstronnej działalności. Ludzi tych łączyło umiłowanie Tatr, pasja ich poznania, oczarowanie wielkością i pięknem przeżycia, rodzące się wśród nich przeświadczenie o potrzebie przyswojenia, upowszechnienia, lecz i ochrony tych wartości, które poznali w Tatrach i u ich podnóży. Pochodzili z różnych środowisk społecznych i zawodowych, z różnych części kraju, reprezentowali odmienne kierunki uzdolnień i wykształcenia, lecz to właśnie, że się w jednym czasie u stóp

Tatr znaleźli, tak bardzo twórczo wpłynęło na powstanie i styl działania pierwszej polskiej organizacji turystycznej.

Karierze życiowej Leopolda Świerza (jak i innym tu wymienionym) nie towarzyszyły żadne przywileje ani ułatwienia majątkowe. Sam twardą pracą od wczesnej młodości musiał zarabiać na swe utrzymanie i pomóc rodzeństwu. Bieg życia i praca wykształciły w nim ogromną pracowitość i systematyczność, chłonność dla wiedzy, ofiarność dla innych oraz poczucie odpowiedzialności.

Urodzony w roku 1835 w Tarnowskim ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim studia z zakresu filologii klasycznej i nowożytnej. W latach 1859–1872 pracował jako nauczyciel gimnazjalny w Rzeszowie, Tarnowie, Przemyślu i Brzeżanach, wciąż przenoszony przez galicyjskie władze oświatowe za nieugiętą, gorącą postawę patriotyczną i szczere, demokratyczne poglądy. W tych trudnych warunkach ukończył dodatkowo wydział prawa i umiejętności politycznych UJ oraz rozpoczął studia lekarskie idąc za swymi wszechstronnymi uzdolnieniami i zainteresowaniami. Był twórcą i prezesem tajnego Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Uczniów UJ, a w roku 1863 uczestnikiem powstania styczniowego i reprezentantem Rządu Narodowego w Krakowie.

Przeniesiony w 1872 r. do Gimnazjum św. Anny w Krakowie wslawił się tam jako jedyny odmową pytania uczniów po niemiecku w obecności delegata Ministerstwa. Obywatele Krakowa wręczyli mu za to złoty pierścień z napisem „Obrońcy praw narodowego języka – ziomkowie”. Wcześniej jeszcze władze specjalnym reskryptem (!) zabroniły mu noszenia czamarki jako stroju narodowego. Musimy te fakty oceniać w świetle ówczesnej walki o autonomię Galicji i o jej rzeczywiste poszanowanie przez władze, jako charakterystyczne także dla postawy i osobowości Świerza.

Bywając w Tatrach rok rocznie od 1869 r. (jedno lato wspólnie z sędziwym Sewerynem Goszczyńskim!), z chwilą wejścia w środowisko gimnazjum św. Anny w Krakowie Świerz zetknął się z atmosferą rozbudzonego zainteresowania turystyką górską, sprzyjającą poznawaniu i badaniu gór. Zaslugą ks. Eugeniusza Janoty, wieloletniego profesora tegoż gimnazjum, było skupianie wokół siebie młodych ludzi i wychowanie całej plejady wybitnych badaczy i miłośników gór. Sam Janota był wszakże autorem pierwszego polskiego „Przewodnika w wycieczkach na Babią Górę, do Tatr i Pienin” (1860). Toteż gimnazjum św. Anny trzeba uznać – obok Komisji Fizjograficznej Towarzystwa Naukowego Krakowskiego (a później Akademii Umiejętności) – za drugie wybitne środowisko prekursorskie w stosunku do Towarzystwa Tatrzańskiego w zakresie badania i eksploracji gór polskich.

Z biegu życia i pracy Leopolda Świerza wynika jasno, jak dalece skryształizowanego człowieka, działacza i patriotę zyskało Towarzystwo Tatrzańskie już w chwili swego założenia.

Nie sposób w krótkich słowach oddać zasług Leopolda Świerza dla Towarzystwa i spraw górskich. Przeszło 35 lat pracy w Wydziale (Zarządzie) Towarzystwa Tatrzańskiego (1874–1910), w tym 29 lat pracy na stanowisku sekretarza, stanowiło całą epokę, w której w decydujący sposób rozwinęły się i ukształtowały wszystkie ważne kierunki pracy Towarzystwa i powstały jego główne osiągnięcia. Można śmiało powiedzieć, że w znacznej mierze Świerzowi Towarzystwo zawdzięcza swą pozycję i miejsce w społeczeństwie polskim XIX wieku i w dziejach kultury polskiej.

Wraz z M.Nowickim, W.Eljaszem, T.Chałubińskim, B.Lutostańskim, W.Markiewiczem, W.Arnése i A.Uznańskim – Leopold Świerz wziął czynny udział w 1874 r. w dokonaniu reformy świeżo założonego Towarzystwa w duchu demokratycznym i ogólnopolskim kładąc podwaliny pod jego przyszłą rolę jako ogólnonarodowej instytucji.

Nie było sprawy ni problemu, ważnych dla Tatr, Zakopanego, gór polskich, turystyki górskiej, które by nie przeszły przez ręce Świerza. Niezmordowany i dokładny w pracy, nie wysuwał się na plan pierwszy pozostając duszą wszelkich poczynąń i ich troskliwym orędownikiem.

Zakopane przechodziło w tym czasie gwałtowne przemiany. T.T. brało w nich aktywny udział, często inspirowało szereg działań, a sekretarz Leopold Świerz był wielokrotnie motorem napędowym tych poczynąń. Sam Leopold Świerz podjął badania ciepłoty wód tatrzańskich i prowadził obserwacje meteorologiczne. Był również świetnym redaktorem Pamiętnika T.T.

Świerz pierwszy zajął się (1875) uregulowaniem statusu i pracy przewodników tatrzańskich nadał im klasyfikację i uprawnienia, oznaczył taryfę i wymagania, zadbał o ich postępy i rozwój. Pierwszy też – na szereg lat przed innymi – propagował „zaprowadzenie w naszym kraju narciarstwa” (Pamiętnik TT, 1892).

W sporze Galicji z Węgrami o teren Morskiego Oka czuwał nad biegiem obrony interesów i argumentów strony polskiej, doprowadził do szybkiego wykorzystania ustaleń i faktów w kierunku interwencji Wydziału i Prezesów TT w polskim Kole Poselskim w Wiedniu, u Ministra dla Galicji w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i u Prezesa Rady Ministrów.

Inicjował zainteresowanie się i opiekę T.T. nad terenami beskidzkimi, zwłaszcza Babią Górą i Zawoją. Czuwał też nad przyjaznymi kontaktami T.T. z analogicznymi Towarzystwami krajów sąsiadujących i dalszych.

Świerz nie baczyl na trudy i znoje. Potrafił np. przez całe lato nocować w prymitywnym szałasie w Roztoce pilnując budowy schroniska im. W.Pola (1876) lub jako starszy już człowiek (1892) dotrzeć zimą do Morskiego Oka brnąc pieszo po głębokich śniegach i zaspach (wszak szosy wówczas nie było), by stwierdzić stan nowo wybudowanego schroniska na spornym z Węgrami terenie.

Wszystkie te prace w latach 1874–1891 Świerz wykonywał dzieląc czas i siły

między zajęcia profesora gimnazjum (a wiele uczył) i społeczne funkcje w Towarzystwie Tatrzańskim, pełnione równie intensywnie w Krakowie jak i w Zakopanem (mimo braku kolei!). Od 1891 r. Świerz oddał się wyłącznie i całkowicie pracy dla Towarzystwa rezygnując z pracy pedagogicznej.

Jako taternik i turysta górski, uwzględniając kryteria epoki, był Świerz postacią wybitną. Znał Tatry dokładnie, równie Zachodnie jak Bielskie. W Tatrach Wysokich dokonał licznych wejść na wszystkie wówczas zdobyte i zwiedzane szczyty i przełęcze z wyjątkiem Gerlacha. Chadzał sam lub w towarzystwie górala-przewodnika (głównie z M. Sieczką albo J. Wałą starszym, a później i z młodszym) lub w liczniejszym towarzystwie – z Asnykiem, Chałubińskim, ks. Stolarczykiem i innymi. Był na Lodowym, Krywaniu, Kończystej, Wysokiej (III wejście), Wadze, przł. Lodowej, na Żelaznych Wrotach, Rysach, Świnicy, Zawracie, Polskim Grzebieniu i wielu innych. Trawersował Czarną Ławkę, atakował (z Wałą) niezdobyty wówczas Ganek. Miał liczne wejścia zimowe. Jeszcze jako 67-letni szedł rażno na Krzyżne z synkiem Mieczysławem (później słynnym taternikiem i działaczem, autorem artykułów i przewodników).

Był postacią nieodłączną od pejzażu Zakopanego owych lat, znaną każdemu – góralom i bywalcom, otoczoną powszechnym szacunkiem. Do końca dni swoich oddany bez reszty sprawom Towarzystwa, był jego „podporą, duszą i niestrudzoną siłą roboczą”, niezawodnym znawcą ludzi i spraw, żywą kroniką i łącznikiem między tradycją pierwszych lat polskiej turystyki górskiej a jej dalszym bogatym rozwojem, tego rozwoju głównym współautorem.

Zmarł 16 kwietnia 1911 r. w Krakowie jako honorowy członek Towarzystwa, jako niedościgniony wzór prawości, pracowitości, patriotyzmu, obywatelskiej troski o sprawy wielkie i codzienne, jako wzór człowieka gór.

Napawa smutkiem świadomość, że jak pisze Zofia Stałchowa (Hale i Dziedziny, Nr 9, 1995) miejsce jego pochówku znają prawdopodobnie wyłącznie badacze dziejów cmentarza Rakowickiego. Pochowano go bowiem w grobie rodziny Zabłockich, w kwaterze II, pas EB. Na grobowcu nie ma śladu informacji, że spoczywa w nim jeden z największych miłośników gór i świetny znawca Tatr.

DAWNA POCZTÓWKA TATRZAŃSKA DOKUMENTEM MINIONYCH LAT

Józef Durden

Pocztówka starej daty, tak jak dawna fotografia, jest obecnie nie tylko miłą pamiątką, lecz może stanowić dokument minionej epoki, potwierdzający wizualnie istnienie w przeszłości przedstawionych osób lub przedmiotów.

Pierwsze karty pocztowe bez kopert, zaczęto wysyłać w Austrii, jednak wzbogacanie ich o treść wizualną poprzez wprowadzenie graficznych elementów ozdobnych, było efektem pomysłu francuskiego księgarza Leona Besnardeaux'a, wydawcy z 1870 roku, najprawdopodobniej pierwszej ilustrowanej karty korespondencyjnej. (Gwoli prawdy odnotować należy, iż Anglicy i Niemcy zgłaszają roszczenia i starają się dowieść pierwszeństwa pomysłu i realizacji tej nowej formy korespondencji).

Pięć lat później, karty dopuszczone zostały do obrotu międzynarodowego. Wkrótce w wielu krajach wzrosło zainteresowanie wydawców i nabywców nowym środkiem przekazu.

Wydawcy zabiegali, by ilustracje posiadały walory estetyczne, także poznawcze, zaś wykonanie typograficzne cechował wysoki poziom sztuki drukarskiej. W krótkim czasie współpraca z artystami, znanymi grafikami, malarzami i fotografami uwieńczone została sukcesem. W 1897 roku karty pocztowe obok obrazów i rzeźb, zostały eksponowane na III Międzynarodowej Wystawie Sztuki w Wenecji. W końcu XIX w. popularność pocztówek była tak znaczna, iż dostrzeżono celowość i potrzebę ich gromadzenia oraz łączenia się kolekcjonerów w klubach filokartystów.

Na terenach polskich, w Galicji, już po 1890 roku rozpoczęto wydawanie kart

pocztowych. Początkowo nie miały one ogólnie przyjętej stałej nazwy polskiej. Przez lata, na rewersie drukowano w językach polskim, także niemieckim, francuskim oraz rosyjskim napis „karta korespondencyjna“. Potocznie nazywane były „korespondentkami“, mniej popularne nazwy to: „krótkopis“, „pocztylionka“, „pozdrowka“, „zwiastunka“. Określenia „pocztówka“ i „widokówka“ jako najbardziej zrozumiałe i odpowiadające pod względem wyglądu i przeznaczenia, przetrwały do czasów obecnych.

Początki pocztówki tatrzańskiej sięgają końca XIX w. Pierwsze wydawnictwa propagujące uroki Tatr i regionu podhalańskiego na kartach pocztowych powstały w Krakowie, Lwowie i Zakopanem. Pocztówki szybko zyskały zainteresowanie wśród gości i turystów coraz liczniej przybywających do małej wówczas miejscowości pod Giewontem. Z uruchomieniem kolei (1899) i budową nowej drogi do Zakopanego (1902) powstały lepsze warunki podróżowania, a tym samym przesyłania korespondencji. Kształtująca się moda na przysyłanie pozdrowień na pocztówkach z miejsc pobytu określana „sportem kartkowym“ miała swych wiernych entuzjastów, szczególnie w kręgach inteligencji. Rosnący popyt na karty był bodźcem do powstawania dalszych, początkowo małych wydawnictw. W Krakowie oprócz anonimowych wydawców w końcu XIX w. działały wydawnictwa J.F.Fiszera, Salon Malarzy Polskich. Wprawdzie nieznana jest dokładna data wydania pierwszej pocztówki tatrzańskiej, to jednak w kręgu kolekcjonerów, znawców przedmiotu, jako początek ery tych kart wymienia się najczęściej rok 1895. Nie ma wątpliwości, że w Zakopanem przed rokiem 1900 istniało wydawnictwo S. Bizańskiego. Niebawem dużą aktywność wykazały wydawnictwa K.Bauma – Bazar Zakopiański, S.Ciszewskiego, J.Rysia. W szóstym wydaniu „Przewodnika do Tatr, Pienin i Szczawnic“ Walerego Eljasza, wydanym w 1900 r. zamieszczono anonsy reklamowe m.in. Księgarni L.Zwolińskiego oraz Zakładu Artystyczno-Fotograficznego Stan. Bizańskiego w Zakopanem, które oferowały karty korespondencyjne i fotografie z widokami Zakopanego i Tatr w wielkim wyborze.

W tym okresie karty pocztowe wykonywano głównie technikami druku, także fotografii, zaś ilustrowanie ręczne stosowano sporadycznie. Pocztówki tłoczono w drukarniach krakowskich, lwowskich, a nawet wiedeńskich. Ilustracje zawierające reprodukcje malarstwa tatrzańskiego wykonywano techniką druku wielobarwnego, do reprodukcji fotografii czarno-białych stosowano druk dwubarwny, niebiesko-biały, zielono-biały, sepiowo-biały. Wykonawcy pierwszych fotogramów przeznaczonych do ilustrowania kart wywodzili się z kręgów turystów tatrzańskich i nie byli związani zawodowo z fotografią. Byli to ludzie, którzy zainteresowanie Tatrami i fotografią łączyli z szlachetną pasją wędrowek górskich. Najbardziej znanym twórcą obrazów, rysunków i fotografii reprodukowanych na pocztówkach w pierwszym okresie był



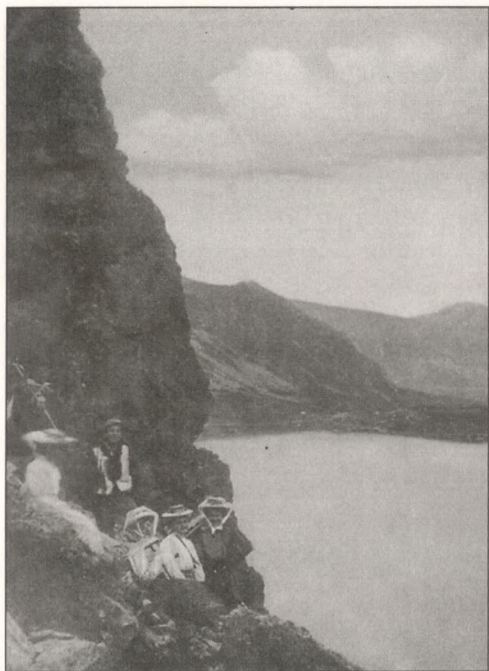
Bartuś Obrochta. Fot. J. Opp.



*Brama w stylu zakopiańskim.
Wydawnictwo „Podhale” w Zakopanem.*



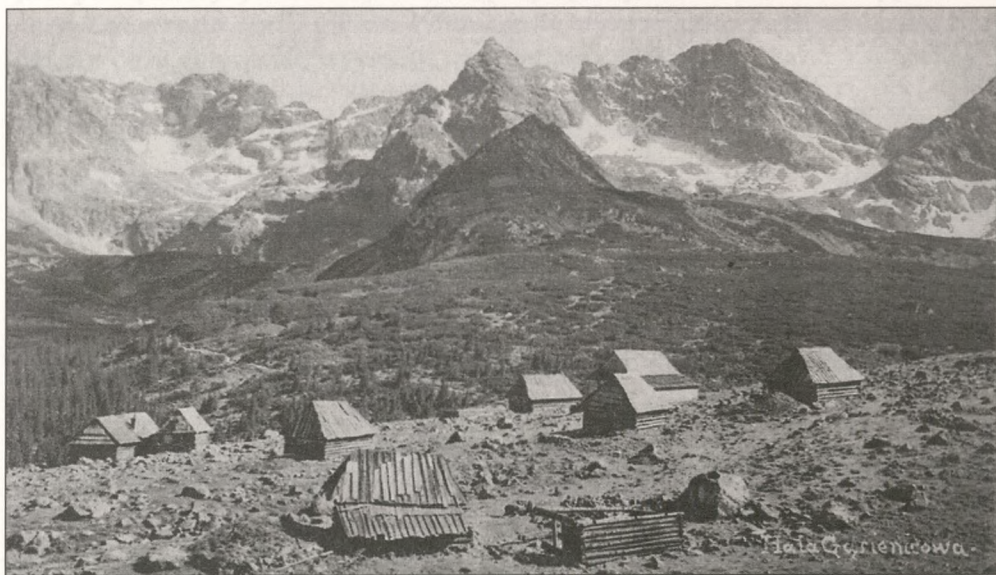
Zakopane - Willa Wanda - Pawilon Główny. Nakł. J. Rys.



*Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym.
Nakładem S. Ciszewskiego w Zakopanem.*



*Czarny Staw Gąsienicowy.
Fot. J. Kosiorkiewicz.*



Hala Gąsienicowa. Fot. J. Opp.

jeden z założycieli i aktywnych działaczy Towarzystwa Tatrzańskiego Walery Eljasz-Radzikowski. Następni oprócz wymienionego już wcześniej Stanisława Bizańskiego to Stanisław Eljasz-Radzikowski – syn Walerego, lekarz, badacz Tatr; Jan Fischer – wydawca, kupiec, z zamiłowania taternik; Mieczysław Karłowicz – kompozytor, taternik; Józef Ryś – wydawca, kupiec; U. Turek; Stanisław Zdyb – nauczyciel, taternik. Niestety wielu autorów ilustracji dawnych widokówek pozostało nieznanymi. Do około 1911 roku wydawcy nie dostrzegali potrzeby umieszczania nazwisk autorów. Natomiast dobrym, zwyczajowo stosowanym pomysłem było drukowanie na rewersie napisów informujących o treści ilustracji, często z wyszczególnieniem poszczególnych szczytów.

Sezon w Tatrach trwał około 2 miesięcy. Podróżowano najczęściej z rodzinami, jednak rozłąka z dalszymi krewnymi czy przyjaciółmi rodziła potrzebę utrzymywania więzi poprzez kontakty korespondencyjne. Pisanie listów wymagało czasu, którego turystom zauroczonym Tatrami najczęściej brakowało. Życie towarzyskie w Zakopanem, zależne od pogody, miało swój rytm, często mierzony wycieczkami górskimi. O atrakcyjności widokówek decydował także fakt, iż obrazowały góry i wszystko co z nimi związane, trudne do zwięzłego opisu. Częstym motywem ilustracji były fotografie górali. Rozsyłane po kraju karty szerzyły hyr o nich, apoteozowały wiele postaci legendarnych, kreując ich na herosów tatrzańskich.

Autorzy ilustracji dostrzegali też turystów, uwieczniali ich podczas wędrówek oraz popasów przy szałasach. Miłośnicy Tatr wiedzeni potrzebą przeżyć turystycznych, poznania gór, pokonywali trudy wspinaczki i zdobywali szczyty zda się niedostępne. Z szacunkiem, uznaniem i wyrozumieniem spoglądamy obecnie na fotografie pań w modnych kapeluszach i sukniach, a nawet z parasolkami chroniącymi przed słońcem, panów w starannie dopasowanych garniturach, ale i z linami, wspinających się na wysokie wierzchołki, które obecnie nie wszyscy turyści mają ochotę zdobywać pomimo zainstalowanych ułatwień. Zaiste piękne były to stroje w starym stylu, jednak wielce niepraktyczne jako ubiory turystyczne. Dawna pocztówka tatrzańska budząca sentyment ma i ten walor, że dokumentuje nie tylko historię turystyki górskiej, lecz także modę tamtych lat.

Na przełomie XIX i XX w. dla wielu Polaków kontakt z górami rozpoczynał się od pocztówek, ich ilustracje dawały wyobrażenie rzeczywistego piękna skalnych olbrzymów. Obrazkowy świat tatrzański pobudzał ciekawość, inspirował do bezpośredniego kontaktu i poznania. Wykonanie fotografii w górach łączyło się ze znacznymi trudnościami, wymagało wejścia na szczyty lub dojścia do odległych zakątków z plecakiem wypełnionym aparatem fotograficznym i ciężkimi kliszami szklanymi. Walory estetyczne, a także względy patriotyczne powodowały duże zainteresowanie np. Morskim Okiem. Przypomnijmy, że malownicza „perła” Tatr przez wiele lat była

przedmiotem sporu granicznego Galicji z Węgrami. Pomyślna dla Polaków rozstrzygnięcie sporu zaowocowało wydaniem licznych widokówek, które stały się nośnikiem dobrej wieści, docierającej na tereny polskie pod trzema zaborami.

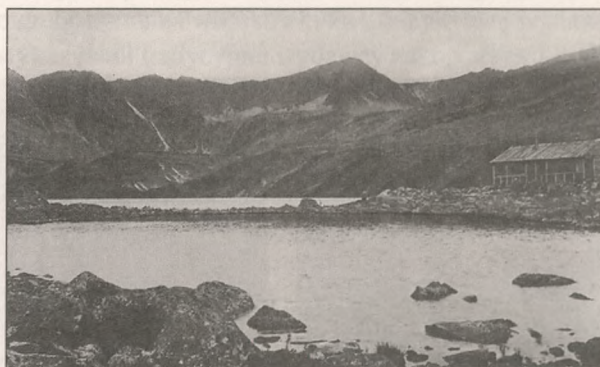
W pierwszym okresie dziejów europejskiej karty pocztowej, trwającym do 1905 roku stosowany był pierwotny układ. Avers, zwany z francuska „vecto“ zawierał ilustracje i margines przeznaczony na krótką korespondencję, zaś na rewersie („verso“) było miejsce wyłącznie na adres i znaczek pocztowy. Wprowadzenie nowego układu zapoczątkowało drugi okres pocztówki. Ilustracje zapełniały cały awers, natomiast na rewersie wydzielono miejsce na adres i korespondencję. Tak powstała widokówka, której układ funkcjonalny jest niezmiennie stosowany do dzisiaj.

W tym okresie do grona wydawców pocztówek górskich dołączyło Towarzystwo Tatrzańskie. Wydawanie pocztówek rozpoczęto w pierwszym dziesięcioleciu obecnego wieku. Brak datowania utrudnia ustalenie kolejności pocztówek wydawanych przez Towarzystwo. W sprawozdaniach finansowych publikowanych w Pamiętniku TT często odnotowywano dochód w pozycji wydawnictwa, jest to jednak określenie zbyt wieloznaczne. Natomiast w sprawozdaniu z czynności Oddziału Pienińskiego TT za rok 1908 wykazane zostały szczegółowe koszty widokówek – 152k 60h; dochód ze sprzedaży wyniósł 237k 29h. Zatem uznać można, iż w tym czasie rozpoczęto wydawanie kart pocztowych. Zestawienia rachunkowe kolejnych lat wykazują dalsze dochody uzyskiwane ze sprzedaży widokówek. Ważniejszą motywacją podjęcia i kontynuowania tej działalności wydawniczej było propagowanie uroków gór i góralszczyzny w odległych miejscowościach w kraju i poza granicami.

Drugi okres pocztówki tatrzańskiej trwający do wybuchu I wojny światowej zapoczątkował nowy rozdział ilustracji; chociaż nie było radykalnego przewrotu, zmieniło się spojrzenie na świat Tatr. Góralszczyzna nadal pozostawała w sferze zainteresowań wydawców, ale zmienił się sposób patrzenia. O ile wcześniej fotografowano chaty góralskie, wille w stylu zakopiańskim, to w tym okresie dostrzegano niemal wszystko co posiadało cechy miejscowego stylu. Na kartach zobaczyć można dawne Zakopane, ulice Krupówki z zabudowaniami, których dziś już nie ma, kryte furki góralskie, „nowe“ modele samochodów. Pocztówki stały się dokumentem czasu dokonujących się przemian, prowadzących do europeizacji tej podtatrzańskiej wioski. Rozwój motoryzacji w kraju dostrzegalny był też w Zakopanem. Automobilści w swych maszynach wyruszali na „podbój“ Tatr, zwiedzając doliny podziwiali przyrodę, a zarazem nieświadomie przyczyniali się do jej degradacji. Nawet w gronie członków Towarzystwa Tatrzańskiego ścierały się poglądy zwolenników i przeciwników nowinek technicznych w górach. W tych latach łatwiej i szybciej ładowano strzelbę, niżeli aparat fotograficzny, dlatego nawet pomimo ochrony więcej kozic



Schronisko przy Morskim Oku. Nakładem S. Ciszewskiego w Zakopanem.



Dolina 5-ciu Stawów Polskich. Fot. Dr A. Wieczorek.



Schronisko W.K.N. na Polanie Chochotowskiej. Fot. T. i S. Zwolińscy.



Dolina Kościeliska. Walery Eliasz Radzikowski.



Owieczki w pochodzie na Kondratowej. R.T.



Schronisko Oddz, Zakop. PTT w dol. Pięciu Stawów

i świstaków padło z rąk skrytostrzelców niż utrwalonych zostało na kliszach fotograficznych i pocztówkach. Często spotykanym motywem ilustracji była flora tatrzańska; fotografowanie roślin nie wymagało szybkości działania.

Oferta Towarzystwa Tatrzańskiego na rok 1914 (załącznik do Pamiętnika) informowała o możliwości nabycia serii 10 kart obejmujących: stoki Kopieńca, Żabi Szczyt, Łomnicę, Kozi Wierch, Kopieniec w zimie, Granaty i Kozi Wierch w cenie 1 korony, pojedyncze widokówki były po 10 halerzy. Karta z widokiem schroniska nad Morskim Okiem kosztowała 8 halerzy.

Z trzeciego okresu dziejów pocztówki tatrzańskiej, trwającego w latach I wojny światowej zachowało się niewiele pocztówek. Zahamowanie ruchu turystycznego spowodowało regres w działalności wydawniczej.

Po odzyskaniu niepodległości odrodziła się w Tatrach turystyka, taternictwo i narciarstwo, a nawet wydłużył się o sezon zimowy czas pobytu pod Giewontem. Wzrastające zapotrzebowanie na widokówki zwiększyło listę wydawnictw. Największą aktywność wykazywali tradycyjnie wydawcy zakopiańscy i krakowscy. O atrakcyjności tematyki tatrzańskiej świadczy fakt, iż ukazywały się widokówki nakładem znanych wydawnictw książkowych w miastach odległych od Tatr m.in. Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, Wydawnictwa Polskiego Towarzystwa Księgarni Kolejowych „Ruch” SA w Warszawie czy Książnicy Atlas we Lwowie.

Przygotowaniem materiału do ilustracji zajmowali się nadal głównie ludzie gór. Poziom fotografii oscylował pomiędzy pracami przeciętnymi a posiadającymi walory artystyczne. Aparat fotograficzny stał się głównym środkiem pozornego zatrzymania czasu poprzez utrwalanie na kliszach przemijającej rzeczywistości. Fotografowie poprzez obiektywy aparatów z uwagą obserwowali i jak kronikarze utrwalali obrazy tworzonej infrastruktury turystyczno-sportowej. Ilustracje pocztówek ukazują schroniska, skocznie narciarskie, także „dzieło techniki” – kolejkę linową na Kasprowy Wierch, budzącą wiele emocji i kontrowersji ze względu na ochronę przyrody. Tatrzański świat obrazów bogaty jest w twory natury i dzieła rąk ludzkich; tylko od wrażliwości estetycznej fotografów i odbiorców zależy czy dostrzegą oni piękno potoku górskiego, wanty w górnym reglu lub kapliczki przydrożnej i szafasu na hali. Pośród plejady autorów ilustracji szczególną wrażliwością wyróżnili się związani od lat z Tatrami – Józef Oppenheim oraz bracia Stefan i Tadeusz Zwolińscy. Pierwszy, znany ratownik i działacz, fotografował góry dla kilku wydawnictw, głównie dla Sekcji Narciarskiej PTT. Członkowie Sekcji odnosili zwycięstwa w wielu dyscyplinach sportów zimowych. Zaś sukcesem wydawniczym sekcji były albumy i pocztówki powstałe wg. fotografii wykonywanych najliczniej w miesiącach letnich. Autorem tego sukcesu – *spiritus movens* – był człowiek gór, który swe prace sygnował J.Opp. Braci Zwolińskich poza nazwiskiem łączyło umiłowanie

gór, wspólnie uprawiali taternictwo, speleologię, razem napisali przewodnik po Tatrach, a nawet ilustracje pocztówek wydawanych przez Księgarnię ich ojca Leonarda Zwolińskiego sygnowali „fot. T. i S. Zwoliński”. Nowością wydawnictwa „Księgarnia L.Z.” było umieszczenie pod ilustracjami oprócz nazw poszczególnych wierzchołków także ich wysokości. Pocztówki ukazujące się nakładem tych wydawnictw charakteryzowały się wysokim poziomem artystycznym i edytorskim wyróżniającym je pośród ogromu kart, często wydawanych przez wydawców sezonowych.

Mówiąc o pocztówkach tatrzańskich nie sposób pominąć technicznej strony ich wydawania. Głównymi wykonawcami były drukarnie krajowe, choć sporadycznie ukazywały się pocztówki tłoczone w Austrii i Francji, mimo to niewiele z nich sięgało wyżej poziomu europejskiego. Z drukowanych w kraju najbardziej udane pod względem typograficznym były dziełem ludzi czarnej sztuki z Drukarni Narodowej w Krakowie. Niewątpliwie było to też efektem stosowania nowych technik druku rotograwiurwego. Format kart 9 x 14 cm odpowiadający normom ustalonym przez pocztę stosowany był niezależnie od technik wykonania tj. druku czy odbitek fotograficznych. Zdarzały się drobne odchylenia. Ciekawostką kolekcjonerską są miniaturowe pocztówki z końca lat dwudziestych. Rozwój technik fotograficznych, udoskonalenie sposobu kopiowania umożliwiły szybką produkcję widokówek z pominięciem drukarni. Pośród zakładów zakopiańskich najbardziej renomowana była Wytwórnia Fotografii Tatrzańskiej „Watra”, we Lwowie zaś Książnica „Atlas”. PTT doceniając szczególną rolę pocztówek w popularyzacji świata gór inspirowało fotografów do wszechstronnego zainteresowania tematyką górską, szczególnie tatrzańską. Nakładem własnym Towarzystwa, oddziałów i sekcji, nadal ukazywały się widokówki pojedyncze oraz zestawy tematyczne w układzie rozkładanek albumowych.

Wielce zasłużonym w kraju wydawcą pocztówek było Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, organizacja turystyczna powstała w Warszawie w 1906 roku. W drugim roku swej działalności rozpoczęło wydawanie pocztówek popularyzujących walory krajoznawcze Polski, przyczyniając się do podtrzymywania uczuć patriotycznych rodaków pod zaborami. Podjęcie tematyki tatrzańskiej przez to wydawnictwo świadczy o wszechstronnych zainteresowaniach krajoznawców spod znaku PTK. Obecnie suponować można, iż była to jedna z prób zbliżenia się PTK do PTT.

Rok 1945 zakończył piąty, trwający 5 lat wojny okres dziejów pocztówki polskiej, zarazem dobiegła końca epoka dawnej pocztówki tatrzańskiej. W ciągu półwiecza wydanych zostało kilkaset tysięcy kart pocztowych, ilustrowanych twórczością plastyczną, a nade wszystko fotografią tatrzańską. Efekt pomysłowości pracy autorów ilustracji, wydawców, drukarzy, trudno dzisiaj przecenić. Należałoby raczej mówić o

niedocenianiu pocztówek, które często towarzyszą nam w życiu, a jednak jako czynnik i element kultury masowej, są mało dostrzegane i doceniane. Nieliczne publikacje jedynie pobieżnie zapoznają z problematyką. Przegląd czasopism górskich, także haseł Encyklopedii Tatrzańskiej (I wyd.) nasuwa myśl, iż autorom łatwiej dostrzec małe znaczki pocztowe tematycznie związane z górami, niż wielokrotnie większe widokówki.

Mija 100 lat od czasu ukazania się pierwszych egzemplarzy pocztówek tatrzańskich. W tym czasie przeplatały się lata wzlotów i obniżenia poziomu artystycznego i edytorskiego. Wiele starych fotografii tatrzańskich, także tych, według których wykonano ilustracje, nie przetrwało do czasów współczesnych, natomiast znaczna część wykonanych w większych ilościach pocztówek zachowała się i lukę tę wypełnia. Stare karty pocztowe są zatem niezatartym śladem przeszłości. Gromadzone w prywatnych kolekcjach wzbogacają też zbiory muzealne, bywają ekspozowane na wystawach. Zatem były i pozostaną w przyszłości wiarygodnym dokumentem odzwierciedlającym określoną ramami czasu rzeczywistość naszych gór najwyższych – Tatr i związanych z nimi ludzi czy wydarzeń.



Chrońmy drewniane kościoły



Kościół w Szyku z XVII w. (Beskid Wyspowy). Fot. M. Ronikier.



Cerkiewka łemkowska w Łosiach (Beskid Sądecki). Fot. M. Ronikier.

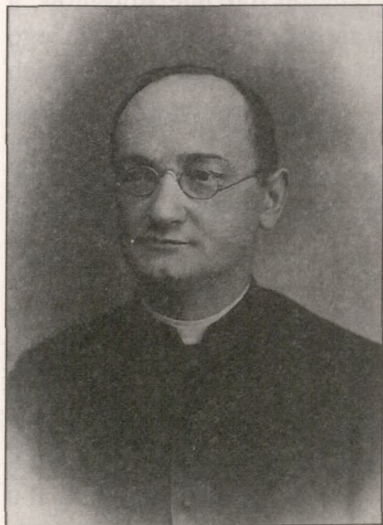
NARODZINY ORLEJ PERCI

Stanisław Kobiela

Ks. Walenty Gadowski to jedna ze wspaniałych postaci, która nie daje się oprawić w ramki. Przebojowy, niepokorny. Wyznaczył i uzbroił szlak Orlej Perci wbrew woli ówczesnych działaczy turystycznych.

Wspomnienie o ks. Walentym Gadowskim ukazało się w WIADOMOŚCIACH BC CHENSKICH w październiku 1992r. Redakcji tego kwartalnika dziękujemy serdecznie za zezwolenie na przedruk. W tekście dokonaliśmy pewnych skrótów.

Redakcja



Ks. Walenty Gadowski
Archiwum Muzeum Tatrzańskiego

Jednym z najwybitniejszych turystów i taterników końca XIX i początków XX w., a więc niejako u progu żywiołowo rozwijającego się nowoczesnego taternictwa, był ks. Walenty Gadowski.

Urodził się w święto Matki Bożej Niepokalanej 8 grudnia 1861 r. w Nowym Wiśniczu, gdzie ojciec pracował jako organista i nauczyciel. Walenty był najstarszym z pięciorga rodzeństwa. Zanim dorósł do lat szkolnych, ojciec dostał posadę w Cerekwi koło Uścia Solnego, w którym Gadowscy posiadali dom i ziemię. Rozpoczął więc Walenty naukę w szkole w Uściu.

Wzrastał w atmosferze patriotycznej, tak żywej w domach zubożałej szlachty po klęsce powstania styczniowego. Po babce Ratajskiej odziedziczył metalowy ryngraf z wizerunkiem Matki Bożej

Częstochowskiej na awersie i postacią jeźdźca na koniu – na rewersie. Często zastanawiał się, czy to św. Jerzy, czy św. Michał. Ale ważniejszy od tej postaci z rewersu był wyraźnie odcisnięty ślad kuli oraz szeroka rysa, powstała zapewne od uderzenia włóczni lub cięcia szabli. Głędząc w zadumie ów ryngraf, pozwalał, by fantazja unosiła go na Dzikie Pola, wszędzie tam, gdzie rycerstwo polskie walczyło w obronie kraju i wiary katolickiej.

Nie wszyscy przodkowie Gadowskiego pochodzili ze stanu szlacheckiego. Jego dziadek – krawiec Rataj, zanim osiadł w Uściu, odbył w młodości długą wędrówkę czeladniczą i był nawet w Hiszpanii. Inny krewny, także rzemieślnik, za udział w powstaniu styczniowym znalazł się na Syberii. Podczas wieczornych gawęd, chłopiec chłonał opowieści o ciekawych ludziach, nieznanach krajach, dziwach i wybrykach natury oraz dziełach pracy rąk ludzkich. W domu Gadowskich bywali także powstańcy przybywający zza kordonu. Chociaż ich pobyty były krótkie, niejeden powstańczy epizod zachował się w tradycji tego domu i w jakimś późniejszym przekazie trafił do serca chłopca.

Szczególny wpływ na kształtowanie się osobowości Walentego miał proboszcz z Cerekwi, ks. Towarnicki. Posiadał on bogatą i dobrze prowadzoną bibliotekę, uczył nie tylko Słowa Bożego, ale prowadził szerszą edukację społeczeństwa w zakresie kultury, estetyki, a nawet medycyny i higieny. Uczył ładnego śpiewu, używania chusteczek do nosa, hodowania kwiatów w oknach i ogródkach.

Po zakończeniu edukacji w Uściu, rodzice zapisali Walentego do niższego Gimnazjum w Bochni. Zamieszkał na stacji w górniczej rodzinie Boroniów, a później u stolarza Zawiszy, byłego powstańca. Uczył się dobrze. Gospodarzem jego klasy był matematyk Michał Szklarz. Pewnego razu opiekun urządził dla swoich uczniów wycieczkę do Wiśnicza, do ruin zamku Lubomirskich. Chłopcy rozpoczęli modną wówczas zabawę w zbójcę Rinaldo – Rinaldiniego. W poszukiwaniu schowka, Gadowski odkrył podziemne przejście. Zamiast jednak zgłosić odkrycie profesorowi, żądny przygód chłopczyzna namówił jeszcze kilku kolegów. Nie bacząc na niebezpieczeństwo zawału i na to, że ziemia obficie sypała się im za kołnierze, śmiałkowicie przeszli podziemnym przejściem aż w pobliże klasztoru.

Ostatnią klasę kończył Gadowski w pierwszym Gimnazjum w Tarnowie i tam 18 czerwca 1880 r. złożył celująco egzamin dojrzałości w obecności prof. UJ, hr. Stanisława Tarnowskiego. Rozpoczął studia teologiczne, ale bardzo szybko zaczął niedomagać na zdrowiu. Lekarze stwierdzili początki gruźlicy i zalecili mu kurację w Zakopanem.

Gadowski po raz pierwszy przyjechał do Zakopanego w 1881 r. i zamieszkał u swoich kolegów z seminarium – Bronka Miętusa i Wojtka Tyłki z Nowego Bystrego. Z tego pierwszego pobytu zapamiętał „pracę młotów w Kuźnicach, która odbywała

się w całej pełni”. Zachwycaly go kazania ks. Stolarczyka, mającego niezwykle dar objaśniania prawd teologicznych, a że był słusznego wzrostu i potężnej siły, nadawał się wybornie na duszpasterza dawnych zbójników. Gadowski leczył się przede wszystkim ruchem na świeżym powietrzu, robiąc wielogodzinne spacery w coraz to inne partie Tatr. Podobnie jak Stanisław Witkiewicz, Jan Czubek rodem z podbocheńskiego Baczkowa i zapewne wielu, wielu innych, przyjechał w Tatry na leczenie i Tatrom pozostawił swoje serce. Szybko powrócił do zdrowia. Od 1887 r. przechodził już bardziej znane i łatwiejsze partie tych gór.

Święcenia kapłańskie otrzymał 15 lipca 1884 r. z rąk bp Pukalskiego, a pierwszą jego placówką duszpasterską było Pilzno. Pracował tam u boku ks. dziekana Ignacego Wieniawy Długoszowskiego, który miał burzliwą przeszłość polityczną. Walczył w powstaniu krakowskim w 1846 r., a następnie był więźniem osławionej Grajgóry. Opowiadał więc młodemu wikaremu swoje powstańcze przygody i więzienną gehennę oraz rozbudził w nim zamiłowanie do podróży.

Na następnej placówce w Nowym Sączu, Gadowski dał się poznać jako społecznik. Założył tam „Gwiazdę”, czyli stowarzyszenie dla młodych rękodzielników i handlowców. 15 IV 1886 r. mianowany został wikarym w kościele katedralnym w Tarnowie. Przez pewien czas pracował razem z ks. Kahlem, późniejszym proboszczem w Gręboszowie, tym samym, który wskutek politycznych intryg i kalumnii rzucanych przez tamtejszego działacza ludowego Jakuba Bojkę, stał się główną osobą dramatu Stanisława Wyspiańskiego „Kłątwa”.

W rok później Gadowski mianowany został prefektem Seminarium Duchownego w Tarnowie, gdzie wykładał katechetykę dla kleryków. W roku następnym awansował na wicedyrektora. Uczył ponadto w tarnowskim Gimnazjum i Seminarium Nauczycielskim. Pozostawał w stałych kontaktach z nowoczesną myślą pedagogiczną. Jego metoda nauczania, do której klucz odnalazł jeszcze w Pilźnie, była szeroko znana w Europie. W 1905 r. na zjeździe w Monachium, dr Eising z Salzburga po raz pierwszy użył terminu „Gadowskische Methode”. W osiem lat później na zjeździe wiedeńskim tym terminem naukowym posługiwano się już powszechnie.

Międzynarodowe zjazdy katechetyczne i sympozja dawały ks. Gadowskiemu okazję do poznania krajów europejskich. Zwiedził więc najpierw Alpy Bawarskie i Tyrolskie. Potem dokładnie Austrię Górną, Alpy Styryjskie, Czechy i Morawy, twierdząc Kufstein i więzienie w Grajgórzu, w którym na kukłach w iście niemieckim stylu pokazywano turystom sposoby torturowania pod rządem słynnej Constitutio Criminalis Carolina. Po Saksonii zwiedził Wilno.

„Z Kijowa postanowiłem pociągnąć na Krym i zwiedzić miejscowości wsławione sonetami Mickiewicza. Obrabem podróż Dnieprem, by sprawdzić wrażenia, jakich doznawał Skrzetuski w podróży do Kudaku” – zanotował w swoim diariuszu.

Po drodze wstąpił do Czerkasów, ominął groźny Nienasytec, oglądał grody Baczysaraju, grobowiec Potockiej, Sewastopol, wyszedł na wzgórze Małogowa, które w czasie wojny krymskiej przechodziło z rąk do rąk. Morzem udał się do Auszty i Liwadii, zwiedził Jałtę i Odessę. Odbił samotną wycieczkę na Czatyrдах (1564 m), a bajeczny widok na półwysep i bezkres ciemnolazurowego morza porównywał na miejscu z sonetem Mickiewicza. W czasie tych podróży zaprzyjaźnił się ze znanym podróżnikiem szwajcarskim Lucgerencem. Wspólnie zwiedzili Włochy i Egipt, Ziemię Świętą i sanktuaria maryjne Europy.

Ks. Gadowski był jednym z pionierów chodzenia po Tatrach bez przewodnika. Kiedy po raz pierwszy przyjechał, już w celach taternickich, do Zakopanego, okazało się, że przewodnicy mają bardziej intratne i wygodne zajęcie wożenia letników do Doliny Kościeliskiej, niż drapanie się po szczytach. Przeszedł zatem na południową stronę Tatr i chodził przez pewien czas z przewodnikami spiskimi. Skoro jednak i tam zaczęły pojawiać się trudności z naborem przewodników na wyprawy tatrzańskie, wyjechał na dwa sezony w Alpy i tam nauczył się obchodzić z rakami, czekaniem i liną.

Od tego czasu wędrował po górach samotnie. Kiedy jednak pewnego razu, schodząc z Lodowego Szczytu do Pięciu Stawów Spiskich, natknął się na kilku turystów stojących nad zamarzniętym ciałem ofiary górskiej tragedii, która nie miała na sobie żadnych obrażeń i w śniegach przeleżała siedem lat, uświadomił sobie niebezpieczeństwo odbywania samotnych wycieczek. Odtąd zabierał zawsze jakiegoś towarzysza, choć niekoniecznie przewodnika. Wiele wypraw odbył z ks. Wawrzyńcem Okulickim, przyjacielem z młodych lat, z prof. Antonim Pankiem, prof. Bolesławem Łazarskim z Tarnowa i profesorami bocheńskiego Gimnazjum: Franciszkiem Tyczką, Piotrem Galasem i Stanisławem Fischerem, Franciszkiem Zbyszyskim i poetą Franciszkiem Nowickim z Krakowa. Z przewodników tatrzańskich, którzy najczęściej towarzyszyli Gadowskiemu przy wytyczaniu nowych szlaków, wymienić należy Jakuba Wawrytkę starszego i króla przewodników tatrzańskich Klimka Bachledę.

Ks. Gadowski zaczął od wejść łatwych, np. z Dolinki Buczynowej na Buczynową Przełęcz, a z niej na Małą Buczynową Turnię (2171 m), ale już w 1900 roku dokonał pierwszego wejścia na Kieżmarską Przełęcz z Doliny Dzikiem. W latach 1901 – 1902 przeszedł szereg nowych dróg w grani biegnącej od Koziego Wierchu do Wołoszyna. Z Antonim Pankiem dokonał pierwszego wejścia na Wielką Buczynową Turnię (2182 m). W 1900 r. zrobił nowe przejścia w Basztach (w 1902 r.) na Krywaniu (1903), na Lodowym Szczycie (w 1908). W 1904 r. dokonał pierwszego wejścia na Kozie Czuby. Był czynny także w zimie. Wspinaczki i wędrowki zimowe rozpoczął w roku 1909, kiedy Karłowicz zginął przysypany lawiną śnieżną. Z prze-

wodnikiem Jakubem Wawrytką starszym dokonał w 1910 r. pierwszego zimowego wejścia Żlebem Kulczyńskiego na Kozi Wierch i tego samego roku pierwszego zimowego wejścia od Morskiego Oka na Rysy. W zimie ks. Gadowski wybierał na wyprawę czas pełni księżyca. Zbyt krótki wówczas dzień – stwierdzał – a marsz przy poświęceniu księżycowej jest całkiem dogodny.

Gadowski nie walczył o rekordy. Szukał w górach pięknych widoków, uważając, że gór nie można przeżywać tylko w sensie sportowym. Tytusa Chałubińskiego uważamy za głównego propagatora punktu widokowego z Gęsiej Szyi na Tatry Bielskie i Wysokie – ks. Gadowskiego uznać należy za propagatora przepięknej panoramy z Szerokiej Jaworzyńskiej na imponujące, potężne turnie Lodowego od wschodu, a Ganku Wysokiej i Młynarza od południowego zachodu. Szczególnie lubił grzbiet biegnący od Świnicy do Wołoszyna, jedyny mający charakter wybitnie wysokogórski i leżący wyłącznie w Polsce. W bukowińskiej willi „Primula”, w której mieszkał, dojrzewał pomysł uprzystępnienia miłośnikom Tatr tego fragmentu i wybudowania tam podniebnej ścieżki. Poeta Franciszek Nowicki, autor „Sonetów tatrzańskich”, proponował nazwać szlak Orlą Percią. Wyobrażał sobie, że będzie to można wykonać w ciągu 10 dni. Planował dwa romantyczne schroniska: jedno na Krzyżnem, drugie na przełęczy między Beskidem a Kasprowym. O wiele większym realistą był ks. Gadowski, który zaplanował na szlaku 500 drogowskazów, 70 napisów, a jako ubezpieczenie 40 klamer i 100 haków żelaznych. Przygotował w tej sprawie stosowny memoriał do Towarzystwa Tatrzańskiego.

Projekt poparł ówczesny prezes sekcji turystycznej Towarzystwa, Janusz Chmielowski, ale uznano pomysł za szalony, niewykonalny i zbyt kosztowny. Niektórzy nawet ironizowali twierdząc, że przecież „orły perciami nie chodzą”, a więc lepiej nazwać szlak kozią percią, na co Gadowski odpowiadał: wprawdzie orły perci nie robią, ale gdzież właściwsze dla nich miejsce wytchnienia, jak nie na szczytach i graniach skał niebotycznych. Inni znów domagali się, by perć biegła przez całą drogę samą granią, nigdzie grani nie opuszczała i wspinała się na każdą turnię.

Gadowski nie czekając zatem na subwencję Towarzystwa, w dniu 16 lipca 1903 r. rozpoczął trasowanie i znakowanie Orlej Perci. Wspominał: *„Kilku profesorów odwiozło nas do Wodogrzmotów Mickiewicza i tam prof. Nowicki (...) obdarował mnie na pomyślność przedsięwzięcia – butelką tokaju pamiętającego czasy powstania 1863 r.”*. Przy pomocy juhasów z Polany pod Wołoszynem podjął pierwsze prace.

Wystarczyło rozkopać ścieżkę, miejscami wykuć chwyty w skale, gdzieś ułożyć stopnie i dać farbę. Już na początku drogi, pod osłoną nocy, juhasi opuścili robotę i ks. Gadowski jedynie z najodważniejszym z nich, Józkiem Budzem, dotarł do Krzyżnego. Przekonał się, jak wielkie osłabienie organizmu w górach powoduje

nawet łyk tokaju. Ze względu na załamanie pogody i brak gotówki, przerwał roboty na dwa tygodnie. 2 sierpnia do willi „Primula” przybyli delegaci Towarzystwa Tatrzańskiego – Stanisław Barabasz, Janusz Chmielowski i Franciszek Nowicki. Można przypuszczać, że Gadowski otrzymał jakąś subwencję na dalsze roboty, bo już 10 sierpnia przy pomocy górali z Jurgowa rozpoczął trasowanie dalszego odcinka. Zamierzał przejść Buczynową Przełęcz, ale górale odmówili, wobec tego postanowił trasować zejście z Małej Buczynowej Turni do Buczynowego Żlebu. Oznakował też przy tej okazji odgałęzienie Orlej Perci na szczyt Wielkiej Buczynowej Turni (tę namiastkę szlaku trudniejszego zlikwidowano po II wojnie światowej).

Trudności zaczęły się w dniu następnym, w kominku wiodącym na szczyt Orlej Baszty i na trawersie pod Orlimi Turliczkami.

„Chciałem iść dalej ku Granatom, ale zimny i mroczny żleb wiał taką grozą, a kamienie usuwały się spod nóg tak często, że górale stawili opór i oświadczyli, że dalej stanowczo nie pójdą”.

Nawet najodważniejszy z nich, wspomniany już Józek Budz powiedział, że dalej nie pójdzie, bo mąci mu się w głowie, a ma przecież żonę i dzieci. W tej sytuacji Gadowski zaangażował kamieniarza, a jednocześnie znanego przewodnika zakopiańskiego Jakuba Wawrytkę, by zbadać dokładnie zejście z Orlej Baszty na Granacką Przełęcz. W dniach 19 i 20 sierpnia 1903 r. wytyczył dalszą część szlaku od Granackiej Przełęczy po Kozi Wierch.

Pozostała jeszcze najtrudniejsza część Orlej Perci od Koziego Wierchu po Zawrat. Zakupił zatem w wiedeńskim Alpen – Club – Verein liny druciane, a haki, klamry, poręcze i drabiny w Tarnowie. Niestety, Towarzystwo Tatrzańskie nie pozwoliło mu umieścić tego sprzętu w schronisku w Pięciu Stawach. Złożył je zatem za opłatą w prywatnym domku przy Czarnym Stawie (domek ten i tratwa od dawna nie istnieją). Towarzystwo pochwaliło się w roczniku alpejskim, że buduje perć granią Tatr Polskich. Koszt ubezpieczeń tego odcinka szacował Gadowski na 1000 koron. T.T. przyznało mu zaledwie połowę tej kwoty. Był tak niezadowolony, że myślał nawet o obejściu przez Pustą Dolinkę i Mały Kozi Wierch, by uniknąć kosztownych ubezpieczeń, choć zdawał sobie sprawę, że proponuje całkiem „nie orle” rozwiązanie i dodaje drogi. Licząc, że czas przyniesie jakieś wyjście, zajął się uzupełnianiem szlaku spod Zadniego Granatu po Żleb Kulczyńskiego. Odcinek przez Przełęczkę nad Dolinką Buczynową do Koziego Wierchu biegł szlakiem wyznakowanym przez T.T. jeszcze w latach 1897 – 1898.

W Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego za rok 1904 w dziale „Kronika turystyczna z Tatr” czytamy, że 18 czerwca 1904 r. Walenty Gadowski z Klimkiem Bachledą i Jakubem Wawrytką znaleźli nową drogę na Kozi Wierch od Dolnej Przełęczy Koziej granią zachodnią poprzez Kozią Brodę i Kozie Czuby. 19 czerwca 1904 r.

przeszli granią od Przełęczy Zmarłej przez Mały Kozi Wierch na Zawrat. W tym samym sezonie Gadowski wykonał dla T.T. kilka dojść do Orlej Perci: od Czarnego Stawu na Skrajny Granat, z doliny Pańszczycy na Przełęcz Nowickiego i z Pustej Dolinki na Kozią Przełęcz.

Trudno dziś powiedzieć, kiedy zaczęły się nieporozumienia między T.T. a Gadowskim na tle finansowania Orlej Perci, bo sprawozdania Towarzystwa milczą na ten temat. Jest niezbitym faktem, że T.T. niechętnie odnosiło się do tej budowy oraz że wykazywało wyjątkowo słabą orientację w trudnościach i kosztach trasowania i ubezpieczenia odcinka Orlej Perci od Koziego Wierchu po Zawrat.

W 1905 r. ks. Gadowski wyłożył poważną sumę z własnej kieszeni. Pracował z Jakubem Wawrytką, bo Klemens Bachleda pobrawszy zaliczkę 200 koron, zużył czas przeznaczony na budowę (lipiec i sierpień) na chodzenie po górach w roli przewodnika.

Odcinek od Koziego Wierchu do Zawratu jest chyba najładniejszym fragmentem Orlej Perci – niezwykle eksponowanym i niełatwym. Już panorama z Koziego Wierchu (2291 m) pokazująca ogrom gór, zarówno po polskiej i słowackiej stronie, jest przepiękna. Z Koziego Wierchu schodzi się do Koziej Przełęczy Wyżniej, a stąd stromą, przepaściastą rynną wspina na wierzchołek Kozich Czub (2266 m), skąd otwiera się znowu pyszny widok, zwłaszcza w kierunku zachodnim. Początkowo Orla Perc opadała wprost na Kozią Przełęcz (2137 m) po urwisku Kozich Czub długą, dwuodcinkową drabinką. Było to najbardziej powietrzne przejście w polskich Tatrach. (Po II wojnie zmieniono nieco ten fragment, wytyczając długi zakos od strony Pustej Dolinki.) Ze Szczerby Koziej Przełęczy wyprowadza urwiskiem ośmiometrową drabinką na północne stoki Zamarłej Turni (2179 m). Trochę dalej Zmarzła Przełęcz (2126 m), której strzeże skalny „chłopek”. Zmarzłymi Czubami przez szczelinę Zmarzłej Przełęczki Wyżnej szlak wydostaje się na Mały Kozi Wierch (2226 m), a następnie przez dwa skaliste garby schodzi do Zawratu.

Budowę Orlej Perci doprowadził Gadowski do końca w 1906 r. Tuż przed zakończeniem prac odezwali się znowu przeciwnicy, zarzucając księdzu zbyt wysokie koszty budowy. Krytyka spowodowała, że zrzekł się kolejnej raty 500 koron, a resztę materiału pozostawił jako dar dla T.T. Zawiadomił także Towarzystwo, że występuje z jego szeregów. Działacze musieli jednak poczynić jakieś kroki pojednawcze, gdyż Gadowski obiecał dokończyć budowę i słowa dotrzymał.

Wśród górali, którzy nigdy nie zrobili nic bezinteresownie dla gór rozeszła się pogłoska, która potem przeszła do legend tatrzańskich, że ksiądz kanonik znalazł „janosikowe skarby” i w zamian za to, „COŚ” kazało mu budować Perc pod rygorem, że „inaczej to mu łeb urwie”.

Jak to zwykle bywa, także i Orla Perc stała się wkrótce przedmiotem krytyki.

Narzekano na hałas rzekomo z niej płynący, zrzucanie głazów przez nieostrożnych turystów. Atakowali ją działacze ochrony przyrody. Patrząc dzisiaj na dzieło ks. Gadowskiego, warto zapoznać się z opinią Józefa Nyki, autora współczesnego przewodnika tatrzańskiego, którego pierwsze wydanie ukazało się w sto lat po „Ilustrowanym przewodniku do Tatr, Pienin i Szczawnic” (1870) Walerego Eljasza:

„Słynny szlak graniowy wiodący wśród przepysznej i ciągle zmieniającej się scenerii skalnej – droga dla turystów o aspiracjach taternickich. Budował ją – głównie z własnych środków – ks. W. Gadowski w l. 1903–06. Szlaki łącznikowe umożliwiają przebywanie krótszych odcinków. Wymagana pewność ruchów i niewrażliwość na przepaście. Trudności znaczne i w dużym nagromadzeniu, zwłaszcza na odc. wsch. Długość szlaku 5 km – w obie strony po ok. 6.45 godz. Znaki czerwone”.

Orlą Percé budował ks. Gadowski od Krzyżnego do Zawratu, ale najczęściej i najchętniej szlak ten turyści przechodzą w kierunku odwrotnym, z zejściem do doliny Pańszczycy. Sympatycy ks. Gadowskiego i jego dzieła nazwali go „Żelaznym Księdzem” zarówno od noszenia na plecach żelaznych ubezpieczeń, jak i żelaznej woli wykonania tego, co zamierzył.

W związku z obchodzoną w 1904 roku 500 rocznicą ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi, zainicjował on na łamach „Dwutygodnika Katechetycznego” zbiórkę wśród księży na figurę Maryi. Postarał się o figurę z pińczowskiego kamienia i z niemałym trudem, przy pomocy Klimka Bachledy zamocował ją w ścianie Zawratu. Podczas tej pracy cudem uniknął śmierci.

Ks. Gadowski był także aktywnym znakarzem i nie ograniczał się tylko do Orlej Perci. „Do malowania znaków – wspomina Mieczysław Orłowicz – używaliśmy jaskrawego cynobru, a na szczytach i przełęczach stawiano tyki z blachami podającymi nazwę szczytu, przełęczy i wysokość. Akcja podjęta przez ks. Gadowskiego była wprost zadziwiająca jak na owe czasy, ponieważ nawet T.T. nie stosowało znakowania ścieżek rzekomo bojąc się, że odbierze to przewodnikom ich zarobki. Muszę przyznać, że inicjatywa ks. Gadowskiego znalazła we mnie gorącego zwolennika, ponieważ rozumiałem znaczenie znakowania szlaków dla rozwoju turystyki”.

Znakowanie w górach rozpoczęło 13 lat po powstaniu T.T. (w 1886 r.) z inicjatywy Leopolda Świerza. Najstarszym znakarzem był Walery Eljasz, który robił znaki ulubionym kolorem jasnocynobrowym lub białym. Dr Michał Kirkot zapuszczał się z farbami aż na węgierską stronę, uważając całe Tatry za nasze od czasu zwrotu sum, które Jagiełło pożyczył pod zastaw Zygmuntowi Luksemburczykowi. Dobrymi znakarzami byli prof. dr Władysław Kulczyński i Mariusz Zaruski, twórca ratownictwa i narciarstwa tatrzańskiego. Oni wciągnęli do znakowania Mieczysława

Karłowicza, którego ulubionym kolorem był niebieski. Zaruski używał dwóch kolorów, aby dwa przecinające się szlaki nie mieszały się ze sobą.

Na tle znakowania także dochodziło do konfliktów między ks. Gadowskim a T.T., które po I wojnie kasowało cały szereg jego szlaków poprowadzonych w Tatrach, Pieninach i Beskidach. Towarzystwo Tatrzańskie twierdziło, że Gadowski, Zaruski i Karłowicz, wiedzeni kawalerską fantazją, wytyczają niektóre szlaki po piargach i skałach, nie przekopując nawet perci. W przypadku zniszczenia lub obsunięcia się znaków, szlaki mogły okazać się mylne, zwłaszcza w chmurach i deszczu i łatwo mogły zaprowadzić w przepaść. Zaruski i Gadowski odpowiadali, że szlaki stale trzeba odnawiać, że łatwiej jest coś skasować, niż utrzymywać w należytym porządku i bezpieczeństwie.

Ks. Gadowski był człowiekiem wymagającym dużo od siebie i innych i może dlatego niektórzy działacze T.T. nie darzyli go sympatią. W 1909 roku przyznano mu członkostwo honorowe. Ksiądz Gadowski był aktywnym działaczem Sekcji Turystycznej Towarzystwa, a w 1904 roku po Chmielowskim i Łopuszańskim został prezesem tej sekcji, która zajmowała się turystyką wysokogórską i skalną oraz taternictwem zdobywczym. Dzięki jej pracy zbudowane zostało nowoczesne taternictwo polskie o europejskim wymiarze. Z sekcji tej powstał w 1935 roku Klub Wysokogórski. Właśnie Sekcja w 1922 r. nadała ks. Gadowskiemu godność członka honorowego.

Orla Percé niezmiennie olśniewa i emocjonuje każdego miłośnika Tatr. Trzeba pamiętać, że w czasach początkowej działalności ks. Gadowskiego problem ochrony środowiska istniał w dość wąskim wymiarze, ale z biegiem lat stawał się on coraz bardziej nabrzmiały. Z tych względów PTT w 1932 r. zamknęło na stałe I odcinek Orlej Perci od polany pod Wołoszynem po Krzyżne. II część od Krzyżnego po Granacką Przełęcz była po II wojnie przez pewien czas niedostępna dla turystów. Zlikwidowano, o czym wcześniej wspomniano, tzw. trudniejszy szlak na Wielką Buczynową Turnię.

Ks. Gadowski był niezwykle sprawny fizycznie niemal do końca życia. W wieku



Na Orlej Perci. Fot. A. Morawska

88 lat chodził jeszcze zupełnie swobodnie po górach, był pieszo na Kasprowym i Giewoncie, a w wieku 91 lat – jak zapewniał ks. Antoni Czapliński – wyszedł po raz ostatni przy pomocy kleryków na Zawrat. Przeszedł wszystkie pasma górskie Europy – od Pirenejów po Kaukaz. Na stokach Wezuwiusza i nad przepaścią na Kaukazie próbowano go ograbić i zabić, ale potrafił sam pokonać napastników dzięki sile fizycznej i znajomości japońskiej sztuki walki.

Będąc już w podeszłym wieku uratował na ścianie Mnicha Stanisława Fischera, który tak wspomina to wydarzenie: *„pięliśmy się w górę ścianą prawie pionową. Pod nami przepaść. Poślizgnąłem się i już lecę w dół, ale ks. Gadowski błyskawicznie uchwycił mnie za kark i wyciągnął”*.

W 1928 r. Walenty Gadowski założył w Bochni Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, po dwóch latach oddając prezesurę Oddziału w ręce Piotra Galasa. Zmarł w Bochni w dniu 14 maja 1956 r. i pochowany został na bocheńskim cmentarzu.

Pamięć o tym wybitnym człowieku jest szczególnie żywa w środowisku bocheńskiego PTTK. Od 17 września 1988 r. Koło Przewodników tego Oddziału nosi Jego imię i organizuje coroczne rajdy w Tatry ku Jego czci. Wcześniej Oddział PTTK ufundował tablicę pamiątkową przy ul. Bernardyńskiej na domu, w którym mieszkał.

Ksiądz Gadowski był wielkim społecznikiem i opiekunem młodzieży, z którą co roku wyruszał w Tatry. Interesowały go także Pieniny, gdzie poprowadził Sokolą Perć – słynny szlak skałkowy, urozmaicony widokowo, trudny i eksponowany.



Nowosądeczanie
pod Zawratem.
Fot. L. Malota.

ORGANIZOWAŁ TURYSTYKĘ GÓRSKĄ W TORUNIU

Jerzy Tomaszewski



LESZEK MICHALSKI urodził się 2 lutego 1920 r. w Bydgoszczy. W latach przedwojennych działał w harcerstwie. Z chwilą wybuchu wojny zgłosił się ochotniczo do obrony przeciwlotniczej. Po zajęciu Bydgoszczy przez Niemców, zorganizował grupę wywiadu i informacji Szarych Szeregów. Po aresztowaniu został wywieziony do Niemiec, skąd jednak udało mu się wrócić w 1943 roku, po czym znalazł się w oddziale łączności Komendy Garnizonu AK w Bydgoszczy.

Po wojnie rozpoczął studia biologiczne na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, jednocześnie odkrywając w sobie nową pasję – turystykę górską.

W Toruniu nie było w owym czasie żadnej organizacji turystycznej. Jednak ze Lwowa i Wilna zjechało wielu dawnych działaczy Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i Klubu Wysokogórskiego. Prof. T. Czeżowski przywiózł archiwum wileńskiego Oddziału PTT oraz obszerną bibliotekę. Michalski z ogromnym zaangażowaniem zajął się organizowaniem Towarzystwa. Był już wtedy asystentem na Wydziale Biologii UMK.

Oddział PTT w Toruniu powstał 18 marca 1948 r. pod przewodnictwem prof. Jana Walasa. Dwa lata później utworzono Koło Klubu Wysokogórskiego, któremu przeze-

sował prof. Edward Passendorfer. Michalski został sekretarzem obu organizacji, a po odejściu obu profesorów – ich prezesem. Jego uniwersytecka pracownia, służąca mu jednocześnie za mieszkanie, była także sekretariatem, magazynem sprzętu, salą zebrań, i równocześnie wytwórnią młotków i haków.

Leszek Michalski zaczął uprawiać taternictwo w 1948 r. W tym samym roku został również członkiem zwyczajnym PTT, a w rok później – członkiem uczestnikiem Klubu Wysokogórskiego, uzyskując także uprawnienia kierownika wycieczek po Tatrach stopnia A. W 1951 r. został instruktorem taternictwa. Był również świetnym fotografikiem, uzyskując m.in. w 1950 r. drugą nagrodę na I Ogólnopolskiej Wystawie Fotografii Górskiej.

Odszedł od nas dobry Kolega i wspaniały Przyjaciel, któremu środowisko taterników i turystów górskich zawdzięcza bardzo wiele. W ostatnich latach działał w Światowym Związku Żołnierzy AK, pełniąc funkcję prezesa Zarządu Wojewódzkiego. Pokonał Go nagły zawał serca 13 marca 1995 r.



Miesięcznica trwała (*Lunaria rediviva*). Fot. M. Ronikier.

120 LAT ZORGANIZOWANEGO PRZEWODNICTWA TATRZAŃSKIEGO

Barbara Morawska-Nowak

Trudno określić, kto był tym pierwszym przewodnikiem; pisemne zapiski sięgają końca XVIII wieku. Potrzeba przewodzenia zrodziła się z chwilą, gdy ludzie z nizin zaczęli zwiedzać nieznane i groźne góry. Penetracje w głąb Tatr i na ich szczyty odbywały się z przewodnikami. Belsazar Hacquet, z pochodzenia Bretończyk, który zwiedzał Tatry w latach 1792–1794, takie podawał wskazówki dla innych: „*Należy słuchać się przewodników. Najlepszymi są kłusownicy, którzy potrafią poradzić sobie w największym niebezpieczeństwie, są niezmordowani, zahartowani i zdolni do dźwigania wielkich ciężarów. Znają przy tym wszystkie górskie zakątki...*”

Tak faktycznie było, to pasja myśliwska robiła z niektórych górali sprawnych fizycznie, zaradnych przewodników. Stanisław Staszic opisuje, jak to jeden z jego przewodników zauważył w dol. Jaworowej kozice i objuczony bagażem „*leciał ... jak zapamiętały w wądół z częścią żywności, którą mieliśmy ze sobą, z różnymi kamieniami, które mu dałem, dwiema strzelbami obładowany, leciał mówię, nie czując się w namiętności, aby po tak przykrych i niebezpiecznych skaliskach, z drugiej strony o miłą szukać owe capy*”. Staszic z trudem powstrzymał dwóch innych przewodników, aby go dla kóz nie opuszczali.

Pierwsi przewodnicy po północnej stronie Tatr wywodzili się z Poronina lub Bukowiny. Były to punkty wyjściowe do Morskiego Oka, które już wtedy było najczęściej odwiedzanym miejscem w Tatrach. Dopiero w połowie XIX wieku spotykamy nazwiska przewodników zakopiańskich. Zyskali oni potem większy rozgłos

ze względu na osoby, które wyprowadzali na tatrzańskie szczyty, takie jak Adam Asnyk, Wincenty Pol, ks. Józef Stolarczyk, Tytus Chałubiński, Jan Gwalbert Pawlikowski i inni. Często były to pierwsze wejścia.

Powstałe w 1873 roku Towarzystwo Tatrzańskie za jedną z najważniejszych spraw uznało uporządkowanie i ujęcie w ramy organizacyjne przewodnictwa tatrzańskiego. Przewodnicy bywali różni, a w grę wchodziło życie ludzkie. W roku 1877 przewodnicy zostali zweryfikowani, podzieleni na trzy klasy, otrzymali książeczki służbowe, w których wpisano miejsca, dokąd mogą prowadzić oraz ustalono ceny za usługi. Otrzymali również odpowiednie odznaki – tzw. blachy przewodnickie.

Wraz z rozwojem taternictwa nastąpiła emancypacja ludzi z nizin, którzy zaczęli chodzić bez przewodników. Równocześnie przewodnikom stawiano coraz wyższe wymagania, towarzyszył temu wzrost opłat za ich usługi. Od roku 1903 nadzór nad przewodnictwem przejęła zorganizowana przez Janusza Chmielowskiego Sekcja Turystyczna TT. Prowadzono szkolenie taternicze przewodników, najlepszych z nich zaopatrzono w liny. W latach 1905–1907 było 8 przewodników kl.I, 14 – kl.II i 16 – kl.III.

Pokonywanie coraz większych trudności zwiększało ryzyko, coraz więcej ludzi wchodziło w Tatry. Przewodnicy często prowadzili akcje ratunkowe. W 1909 roku utworzone zostało Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, którego członkami zostali wszyscy ówcześni przewodnicy. Klemens Bachleda, jeden z najlepszych wówczas przewodników zginął tragicznie chcąc ratować Stanisława Szulakiewicza na Małym Jaworowym (przypomina tę tragedię w tym tomie Marian Plezia; s.59–71).

Po I wojnie światowej sprawami przewodnictwa zajmowała się Sekcja Turystyczna Towarzystwa, którą prowadził Mieczysław Świerz. Po przekształceniu się T.T. w Polskie Towarzystwo Tatrzańskie powołano Komisję do Spraw Przewodnictwa, której członkowie byli mianowani przez Zarząd Sekcji Turystycznej PTT; byli to przewodnicy Stanisław Gąsienica Byrcyn i Jędrzej Marusz Jarząbek. W tym czasie uprawnienia do prowadzenia wycieczek miało 25 przewodników, w następnych latach liczba ta spadła do 19 w 1932 roku. W 1935 roku opiekę nad przewodnictwem przejął Klub Wysokogórski.

Dotychczas przewodnikami byli tylko miejscowi górale, nosili oni tradycyjne stroje góralskie. W latach trzydziestych strój ten stopniowo porzucano, równocześnie przewodnikami zaczęli zostawać ludzie spoza miejscowego środowiska góralskiego. Pierwszym, który uzyskał uprawnienia przewodnickie w 1937 roku był doskonały taternik Stanisław Motyka.

II wojna światowa rozproszyła przewodników po świecie. Wielu z nich było kurierami jak Józef Krzeptowski i Władysław Gąsienica Roj II, działali w pogotowiu górskim. Do historii przeszła słynna wyprawa po partyzantów do Doliny Zuberskiej

pod Salatyn, w której uczestniczyli przewodnicy tatrzańscy kierowani przez Zbigniewa Korosadowicza.

Przez pierwsze trzy lata powojenne przewodnictwem zajmowała się specjalna komisja PTT, w której pracowali Zbigniew Korosadowicz, Witold H. Paryski, Tadeusz Zwoliński oraz przewodnicy Jędrzej Marusarz Jarząbek, Stanisław Gąsienica z Lasa i Józef Gąsienica Wawrytko. W 1948 roku w trzech klasach było łącznie 16 przewodników. Była to zbyt mała liczba na potrzeby rozwijającej się właśnie turystyki masowej. Dlatego w Klubie Wysokogórskim powołano w roku 1948 Komisję Szkolenia Górskiego, która miała szkolić kierowników wycieczek zbiorowych i instruktorów turystycznych.

W Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym przewodnicy zorganizowali się w Kołach. Upadł monopol Zakopanego, oprócz Koła Przewodników Tatrzańskich im. Klimka Bachledy w Zakopanem powstało Koło Przewodników Tatrzańskich im. Macieja Sieczki w Krakowie, Koło Studenckie Przewodników Tatrzańskich w Krakowie, Koło Przewodników Tatrzańskich w Katowicach i Koło Przewodników Tatrzańskich w Gliwicach. Przewodnikami nie są wyłącznie zakonpianczycy, są nimi również kobiety. W 1961 roku sprawę organizacji przewodnictwa przejął Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki, a uprawnienia przewodnickie stały się uprawnieniami państwowymi.

Powstanie w Tatrach parków narodowych (TANAP 1949 r.; TPN 1954 r.) wyznaczyło przewodnikom nowe zadania – ochronę przyrody. Wielu z nich zostało społecznymi strażnikami Parku.

By uporządkować przewodnictwo na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego powołano w roku 1990 Centrum Przewodnictwa Tatrzańskiego przy TPN, które przejęło wszystkie sprawy związane z organizacją przewodnictwa tatrzańskiego. W roku 1992 wprowadzono licencje przewodnickie TPN; osoby nie posiadające licencji nie mają uprawnień do prowadzenia wycieczek na terenie Parku.

Z perspektywy 120 lat można by postawić pytanie czy przewodnictwo jest dziś potrzebne. Istnieje w Tatrach dobrze oznakowana sieć szlaków turystycznych, dostępne są dobre mapy i przewodniki, znaczna część społeczeństwa zna Tatry i woli zwiedzać je samodzielnie. Natomiast prowadząc wycieczki zorganizowane przewodnik czuwa nie tylko nad bezpieczeństwem, ale i nad odpowiednim zachowaniem grupy, przestrzeganiem obowiązujących przepisów. W obecnej sytuacji najważniejsze wydaje się połączenie trzech zadań: przewodnika, strażnika ochrony przyrody i ratownika. Tak też działa to po południowej stronie Tatr – w obrębie jednej organizacji jaką jest Tatraska Horska Służba.



Krzęptowski - przewodnik zakopiański - z żoną. Drzeworyt Bronisława Podbielskiego, rok 1859.
Fot. W. Rzewuski w Tygodniku Ilustrowanym, 1862. Reprodukacja J. Nyka.

JAK SIĘ PRZEWODNICY DAWNIEJ NOSILI

Zofia Stecka

Pytała się pewnego razu turystka swego przewodnika, „czy mu nie za gorąco w grubych, sukiennych spodniach?” Otrzymała zwięzłą odpowiedź: – „Pani, nim słońko przez te portki przeździe, to i zańdzie”. Powiedzenie to wyraża wypraktikowaną przez wieki ludową mądrość odnośnie gwałtownych zmian klimatycznych w naszych górach.

Pod czyim przewodnictwem udawali się pierwsi polscy turyści w Tatry na początku ubiegłego wieku? Otóż byli to mieszkańcy wsi, położonych u podnóża Tatr, najczęściej pasterze lub kłusownicy. Niestety, niewiele mamy opisów i rycin, przedstawiających ich ubiór. Jak wyglądali i w czym chodzili, możemy jedynie przypuszczać na podstawie uwag o ludzie góralskim, umieszczonych w różnych utworach.

I tak Stanisław Staszic, zwiedzający Tatry w latach 1802, 1804 i 1805, w dziele „O ziemiorództwie Karpatów...”, w „Rozprawie o Włoszynie”, pisał: „*Lud w całym tem podgórzu Tatrów i w całych naiwyższych Tatrach jest rośli, żywy, wesoły. Uderzyła mnie tych ludzi zręczna i zwinna postawa, a nad wszystko, zastanowił ich ubiór. Jest on zupełnie różny od tych goralów, którzy mieszkają w górach Bielawskich i w Beskidach, a których strój jest powszechnie znany ... i nie ma żadnego stosunku z dokolnych narodów Słowiańskich strojem. Ma zaś niektóre podobieństwa z ubiorem wysp południowych. Joas [juhas – przyp. aut.] góral Tatrów ma wzrost wielki, cała postać umierzona w dobrym stosunku. Powszechnie włos czarny, naturalnie spuszczoney, oko żywe i czarne, twarz podłużna, w niej rysy znaczące. Na nogach boćkory,*

czarnym rzemieniem do łyst w plecionkę różną przepasywane. Nogawice długie, opięte, białe, z wierzchu koszule całe czarne, stłuszczone i mocno lśniące; u niektórych tak cienkie, iż z daleka ukazują podobieństwo do glansowanej kitajki. Na szyi „gąbice“, to jest kilkanaście sznurków skielek rozmaitych, okrągłych, różnej wielkości i różnej farby; czasem mają pustki z gęstych strzępów od góry i od dołu, natkane takoz rozmaitymi skielkami. Takie „gąbice“ spina pod brodą albo jakiś kamień z dziurkami, przez które są przeciągane sznurki, albo też sprzęga mosiężna w czworogran zmienno – kątny robiona. Z pod tej suto kilka łańcuchów mosiężnych pada mu na piersi. Przy tym wiszą czasem u dołu kamyki różnego kształtu, różnej farby i rozmaitych zabobonnych znaczeń. U innych przy uszach wiszą pęki różnych skiel lśniących. Na głowie kapelusz, którego głowica niska; a ma około sterzące wielorakie pióra”. Opis ten kończy uwaga: „W początkach Października, koło S. Michała, kiedy gorale, na dół spędziwszy trzody, powracają do domów, na ten czas, w całej pod Tatrami krainie, powszechna wesołość; zabawy, gry i sielskie śpiewy. Na ten czas kiermasze gęste i nailudniejsze. W tym to czasie tutejszych goralów strojom przypatrzeć się można najlepiej”.

Do „Ziemioródtwa” Staszic dołączył atlas, a w nim umieścił podkolorowany rysunek z napisem „Goral w Tatrach“. W lewym rogu ryciny widnieje u dołu nazwisko autora rysunku – Frey. Jan Zachariasz Frey, znany malarz na początku XIX wieku, urodził się w 1771 roku we Wiedniu, ukończył tamtejszą Akademię Malarstwa i około 1804 roku przybył do Puław, gdzie uczył rysunków, a następnie osiadł w Warszawie. Tu musiał zetknąć się ze Staszicem, który zlecił mu wykonanie paru tablic, a także rysunku przedstawiającego górala. Frey nigdy nie był w Tatrach, jedynie więc na podstawie opisu Staszica, wzbogaconego bujną fantazją, tak go przedstawił. Freyowski góral nosi obciste, białe spodnie, krótką, ciemną koszulę, z kołnierza której zwisają długie wisiorki. W uszach ma zatknięte ozdoby, na głowie czarny kapelusz z szeroką kryzą, płaskim denkiem, przybrany postrzępionymi piórami. Na nogach ma sandały, przymocowane rzemieniami. W rękę trzyma toporek. Spodnie i krótką, ciemną koszulę zgodne są z opisem Staszica. Także wisiorki na szyi juhasa odpowiadają dawniej noszonym ozdobom stroju góralskiego, zwanym „brambulcami“. Natomiast kapelusz z szeroką kryzą Frey widział może u górali węgierskich i stąd zaczerpnął pomysł. Również sandały nie odpowiadają „boćkorom“, opisanym przez uczonego.

W parę lat po Staszicu dotarł na Podhale Jan Roztworowski i w pozostawionym rękopisie „Diariusz z podróży odbytej w 1813 roku w Krakowskie, Galicyą y Sandeckie cyrkuł“, zamieścił taką wzmiankę o stroju góralskim: „Koszula bez kołnierza ... dużą mosiężną spinką na piersiach spięta, po pas krótka, spodnie sukienne białe, kroju węgierskiego, bardzo opięte, równe z biodrami, wąskim rzemyczkiem



*Maciej Gąsienica Sieczka - 1886. Parzenice na spodniach jeszcze skromne, koszula biała noszona na wierzch.
Fot. S. Bizański.*



Przewodnicy. Ok. 1890 r. Prosimy zwrócić uwagę na cuchy białe, krótkie, serdaki inaczej zdobione, torby „węgierki”, które w stroju przewodnika górala są często jedyną kieszenią. Fot. S. Bizański.

ściśnięte. Kierpce ... sznurowane rzemyczkiem, płaszczyk pod szyją spięty ... brunatnego reformackiego koloru ... żółtym sznurkiem wkoło wyszywany: kapelusz okrągły z dużymi klapami”.

Tak przedstawił strój górala księgarz i historyk Ambroży Grabowski, zwiedzający Tatry w lipcu 1825 roku, w dziele p.t. „Historyczny opis Krakowa i jego Okolic”: *„Ubiór zwyczajny górala jest krótka siermięga (gunia) koloru kaffowego, niczem niezapięta i tylko grzbiet okrywająca, koszula bez kołnierza, mosiężną spinką zapięta, spodnie ciasne białe kroiu węgierskiego, kapelusz mały okrągły, na nogach chodaki (kierpce) z grubey skóry; takim jest letni i zimowy iego ubiór, przyczem to jeszcze dodać trzeba, że w czasie najsroźszych mrozów, piersi iego zawsze są odsłonięte”.*

W utworze znajduje się podkolorowana rycina z napisem „Góral”. Postać (w tle widnieją szpiczaste turnie) z długimi włosami, ubrana jest w brązową cuczę (rodzaj kapoty), długą prawie do kolan, na nogach ma kierpce z rzemieniami owiniętymi wkoło łydek. Góral trzyma w jednej ręce długą ciupagę i mały, czarny kapelusz, w drugiej zabitego ptaka (chyba jarząbka).

Bardziej szczegółowy opis stroju góralskiego umieścił w swoim rękopisie z 1827 roku „Kurze Beschreibung der Karpaten...” Franciszek Klein, najpierw zarządca huty w Kościeliskach, potem leśniczy w Bukowinie i na koniec w Jaworzynie. Zdaniem Kleina „Góral od dzieciństwa wytrzymały jest na wpływy powietrza, dlatego latem i zimą używa jednakego odzienia; w największy upał, jak i w największe zimno nosi mały, okrągły kapelusz, ciemną cuczę, białe spodnie – na co sukno sam sobie sporządza – które to oba odzienia nie mają podszewki. Krótka koszula pokrywa ledwo pierś, nosi pas i „kierpce”, z boku zawiesza na rzemieniu nabitym guzikami skórzaną torbę, która mu służy za poduszkę i nigdy jej nie zdejmuję ze siebie; do niej wkłada krótką fajeczkę, pieniądze i inne drobiazgi, które znalazł lub ukradł. Na plecach nosi inną torbę, sporządzoną z sukna białego ... osłania go ona w razie niepogody i służy do przechowania pożywienia”.

Klein, którego górale zwali „Klajnym”, przebywając wiele lat pod Tatrami zanotował, że górale w niedzielę, czy z okazji jakiejś uroczystości (np. wesela), ubierali się staranniej: „Góral zwykł od święta głowę (włosy) obficie niż zazwyczaj namaszczać. Koszulę wdziewa krótszą, czystszej i ozdobioną żółtą, mosiężną, wielką spinką, od której zwisają krótkie łańcuszki mosiężne. W półciała przepasują się pasem rzemiennym, nabijanym małymi, rozmaitej barwy guzikami. Mały, okrągły, czarny kapelusz otacza pasek z czerwonej wstążki, za którym zatknięte są wiązanki z kwiatów górskich lub też z cisu. Na nogi wdziewa nowe, białe spodnie i kierpce, opatrzone białymi onuckami”.

Stanisław Eljasz Radzikowski w komentarzu do rękopisu Kleina dodał: „Oprócz

łańcuszków nosili górale drzewiej nanizane na sznurki mosiężne kulki, tak zwane brymbulce, które łączyły się ze spinką na piersiach, przypiętą trzpieniem przez rozpór koszuli. Zamiast „brymbulców” nosili też „gombice”, to jest szkiełka różnobarwne, zdaje się koraliki szklane, podobnie nanizane, lecz w kilka rzędów i połączone ze spinką na piersiach”.

W sierpniu 1829 roku, a więc w dwa lata po opisie Kleina, przybył w Tatry po raz pierwszy znakomity polski geolog Ludwik Zejszner. Udał się w góry, ubrany, jak wspominał w pierwszym tomie swych „Notat”, dla bezpieczeństwa – w strój góral-ski: „W białej czuji z wypustkami czerwonymi i niebieskimi, w spodniach opiętych z białego sukna, zwyczajnego stroju mieszkańców gór ... u dołu na haftki spinanych i kapeluszu okrągłym. Nie dostawał mi do ubioru pas, nie dostawały krypcie”.

W następnych latach uczony był wielokrotnie w Tatrach, interesując się także życiem górali, zwłaszcza pasterzy, spośród których wybierał przewodników na swoje wyprawy, a wszedł na ponad trzydzieści tatrzańskich szczytów. Zejszner przedstawił dokładny opis ich ubioru w rozprawie p.t. „Rzut oka na Podhalań” („Biblioteka Warszawska” 1844 r.): „Podhalań ubiór zastosowany do miejscowości, do wstępowa-nia na owe góry wyniosłe, wszędzie jest jednakowy. Mężczyźni noszą długie, opięte spodnie z białego sukna, wyszywane z węgierska kolorową włóczką; na nogach kawał skóry zwinięty w kształcie trzewika, rzemieniem licznie okręconym do spodni przy-mocowany, „kierpcami” nazywa się. Ten szczególny rodzaj lekkiego obuwia ma swoje zalety; chodząc bowiem w górach, zachowuje noga od natury daną giętkość i dlatego nasi górale nie potrzebują owych ostrych żelaz, jakie w Szwajcaryi do grubych, niezbyt zgrabnych trzewików, przypinać trzeba ... Krótką koszulkę, równą połowie naszej zwyczajnej spajają pod gardłem ogromną spinką mosiężną, kilka tótów ważącą, a ta dźwiga liczne łańcuszki. Jest to rodzaj ozdoby ulubionej od młodych juhasów, czyli pasterzy owiec. Wielkim pasem z czerwonej skóry, na pół łokcia szerokim przepasują się, spinając go przed sobą długim rzędem mosiężnych sprzączek. Pas ten służy za kieszenie, których niezwykle używać i w nim pieniądze, tytoń, skałki i inne drobiazgi chowają; niekiedy wybijają go wielkimi guzikami ku większej ozdobie. Ich wierzchnią suknię stanowi gunia z grubego, brunatnego sukna, czasem białego, kroju teraź-niejszych paletotów, którą jakby płaszcz zawieszają, a czasem wdziewają na rękawy. Wioski odróżniają się między sobą małą obwódką na guniach z różnokolorowego sukna. Gunia jest tym krótsza, im z wyższych okolic są mieszkańcy. Podczas zimy używają kożucha, albo kurtki z sukna granatowego. Głowę nakrywa mały kapelusik, ten zamiast wstążki miewa sznurek z białych muszelek morskich. Muszelki te wysoko cenione w całej Podhalańszczyźnie zowią kostkami. Zamiast sznurka muszelek, bywa czasem kawał skóry, wybitej w rysunki różnowzore z guzików mosiężnych. Oprócz kapeluszy cały ubiór Podhalań sam sobie wyrabiają”.

Zejszner, choć w 1829 roku obawiał się górali, słysząc wiele o rozbojach, z czasem stwierdził, że „*Podhalanie nadzwyczajnie są żywi, dowcipni, gościnni ... a czarny włos opadający na barki nadaje ich podłużnym, pełnym wyrazu twarzom ... powagi*”. Ale „*o ile mężczyźni są dorodni, o tyle kobiety są niepozorne, bez żadnego wdzięku*”.

Natomiast Seweryn Goszczyński, poeta, działacz polityczny, uznany za „ojca etnografii Podhala”, w swoim „Dzienniku podróży do Tatrów” (wydanym w 1853 r.), nie robi takiej różnicy, gdyż pisze: „*Jest to w ogólności lud dorodny. Wzrost więcej niż mierny ... Budowa zgrabna, lekka, ale mocna. Ruch pełen życia, i zręczności. Ubiór ich zanadto obcisły, zanadto kusy, nie jednak bez wdzięku męskiego. Oto szczegóły ubioru Górala. Koszulka krótka, mało co przesiągająca piersi; spodnie opięte z grubego, białego sukna, u których szwy podłużne zewnętrzne nogawic pokryte są czerwonym sznurkiem; za obuwiu ciżmy skórzane; pas skórzany szeroki z kieszonkami i pochwami na nóż i inne narzędzia, zapinający się z przodu na kilka sprzączek; guńka biała, długa do bioder, bez żadnego kołnierza, spięta pod szyją, najczęściej z rękawów spuszczone; kapelusz z dnem niskim, wypukło – okrągłym, o wąskich skrzydłach; włosy długie, rozpuszczone po plecach i ramionach, niekiedy splecione w kilka warkoczy, broda i wąsy ogolone; oto strój Górali najpowszechniejszy. Podlega on pewnym zmianom w pewnych okolicach, ale nigdzie co do kroju. Są w nim dodatki i ozdoby, ale te uchodzą tylko młodzieży lub juhasom*”.

Pierwszym, który opisał postać i ubiór swego ulubionego, wieloletniego przewodnika, Józefa Bigosa z Bukowiny, był poeta i rysownik Zygmunt Bogusz Stęczyński. W rymowanym poemacie p.t. „Tatry w dwudziestu czterech obrazach” (1860 r.), tak go przedstawił:

„*Jest to góral przyjemny, wysmukły i silny,
Zdaje się, że nam będzie usłużny, przychylny,
Twarz jego ogorzała, a oczy pogodne,
Malują czyste serce i myśli swobodne.
Czoło wzniosłe, nos ściągły, wąsy ogolone,
A włosy kruczej barwy za ucho spuszczone.
Koszula na nim krótka, z grubego przedziwa,
Choć wstążką zawiązana, nieznacznie odkrywa
Zdrowe piersi, z których się głos wykrada miły,
A ramiona i plecy burką się okryły;
Pas szeroki wznosi się pod pachy, jak dziwo,
A wisi na rzemyku i nóż i krzesiwo;
Spodnie ciasne i białe, a kierpce skórzane,
Zgrabnie rzemieniem do nóg przymocowane;*

*Za małym kapeluszem wygląda fajeczka,
Torba pełna u boku, w ręce siekiereczka,
Nazywana ciupagą, zgrabnie wyrobiona,
Jedyna w niespodzianym przypadku obrona.
A z mowy jego czystym i uprzejmym tonem
Poznać, że jest przejęty ojców zabobonem;
Lecz mimo przesądów niewinnego błędu,
Ten człowiek wart naszego szacunku i względu.
Więc nie traćmy daremnie czasu – ranku chłodem
Józef Bigos powiedzie nas, idący przodem”.*

Co z przytoczonych opisów wynika? Niewątpliwie strój przewodnicki w pierwszej połowie XIX wieku był ubiorem, jaki powszechnie wtedy ludność podtatzańskich wsi używała. Natomiast w drugiej połowie tego wieku pojawiają się szkice, a nieco później fotografie, przedstawiające przewodników. Mamy więc już lepsze rozeznanie. I tak na podkolorowanym rysunku Walerego Ejasza z roku 1866 widzimy znanego wówczas przewodnika Jędrzeja Walę starszego, ubranego w cuchę, ozdobioną jedynie lamówką, w białe spodnie ze skromną parzenicą. Lecz w kilkanaście lat potem, za czasów dr Tytusa Chałubińskiego, strój przewodnicki staje się bardziej ozdobny. Dotyczy to serdaka, spodni i cuchy. Czarne koszule, wędzone w dymie, w obronie przed robactwem, o których wspomina Staszic, zupełnie zanikają, a pojawiają się koszule z mody ogólnej, na spodniach występują coraz bogatsze parzenice, zróżnicowane w rysunku, a na cuchach ozdoby kwiatowe. Z biegiem lat cuchy bywają noszone raczej z okazji uroczystości, a w ich miejsce coraz częściej używane są serdaki, granatowe kurtki, a nawet wiatrówki. Ozdobą kapeluszy stają się wyłącznie muszelki, tzw. kostki, obok mosiężnej spinki widnieje „blacha” przewodnicka, a „krypcie” zastępują buty. Lecz w zasadniczych swych składnikach strój przewodnicki aż do lat czterdziestych bieżącego stulecia pozostał taki sam.

Na zakończenie warto jeszcze wspomnieć o trzech elementach stroju przewodnika tatrzańskiego. Są to: ciupaga, torba skórzana i blacha. Ta pierwsza była wcześniej używana przez pasterzy i kłusowników jako laska i siekierka. Starsi przewodnicy używali ciupagi jeszcze w latach czterdziestych. Tu warto dodać jeszcze jedną wiadomość, otóż ciupaga w końcu XIX w. tak często była niebezpieczną bronią w czasie bójek, że władze zabroniły wchodzenia z odkrytym ostrzem ciupagi do miasta. Torba skórzana, tak zwana „węgierek”, to czarna torba na szerokim pasie, by ją można wygodnie nosić przez ramię. Kłapa przykrywająca torbę była pokryta tłoczonymi w skórze scenami myśliwskimi. Górale kupowali torby na Liptowie. Dawniej nosili je myśliwi i kłusownicy, potem ten zwyczaj przejęli przewodnicy i leśni. Do paska torby zawsze była przypięta odznaka przewodnika, tłoczona z blachy. Potem blachę zastąpił inny materiał, ale nazwa już została.

ERICH FRIEDLI-BAUM (1910-1995)

Marian Tadeusz Bielecki

Członek Honorowy Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego (SAC) i Honorowy Prezydent Międzynarodowej Komisji Ratownictwa Górskiego (IKAR-CISA) Erich Friedli-Baum nie żyje.

Erich Friedli już za czasów studenckich każdy wolny czas wykorzystywał do wypadów w ukochane góry. Latem i zimą wyjeżdżał, często na rowerze, z Winterthur w Alpy Glarneńskie. Z gronem rówieśników spotykał się tam, raczej przypadkowo, z wypadkami górskimi. Wówczas nie była jeszcze wykształcona jakaś wielka technika w udzielaniu pomocy poszkodowanym. Znoszono ofiary wypadków na własnych plecach, transportowano je w podwieszeniu do drąga, stosując różne środki improwizacji. Zadowolenie ze spełnionego obowiązku wobec bliźnich oraz przewidując wzrost liczby wypadków w przeszłości, naprowadziło go na myśl ulepszenia techniki ratownictwa oraz usystematyzowania takiej działalności. Jego uzdolnienia w tym kierunku dostrzegł szef ratownictwa SAC z Linthal a podległa mu drużyna wdrażała projekty młodego potem już inżyniera. Skonstruowano rodzaj noszy z podwieszonym kółkiem jako poręczny dla ratowników a bezpieczny i wygodny dla ofiary środek transportu. Jako samarytanin z powołania, inicjował również coraz lepsze sposoby udzielania pierwszej pomocy w warunkach polowych. Nie było wówczas jeszcze śmigłowców a trudny teren i psia zazwyczaj pogoda składały się na to, iż formy pomocy poszkodowanym trudno było uważać za komfortowe. Konstruowano kolejne wersje środków do transportu osób w górach: improwizowany tobogan z nart, wreszcie

tw. deskę kanadyjską. Sprzęt ten przechodził kolejne ogniowe próby w coraz trudniejszych akcjach na szwajcarskim terenie Alp. Następnym ulepszeń dokonywał Erich Friedli w swoim małym zakładzie konstrukcji mechanicznych w Thun u stóp Alp Berneńskich, gdzie osiadł na stałe.

Z początkiem sierpnia 1957 roku rozegrała się kolejna tragedia na północnej ścianie Eigeru w Oberlandzie Berneńskim, w którą weszli dwaj Włosi: C. Corti i S. Longhi, za którymi podążała dwójka Niemców. Szóstego dnia wspinaczki, na „trawesie bogów” odpadł Longhi. Pozostawiono go zabezpieczonego na półce skalnej. Wycofanie się stąd w dół nie było możliwe, ratunek musiał zostać okupiony wyjściem w górę. W rysach wyjściowych odpadł drugi Włoch – Corti. Z przymusowego biwaku ruszyli w górę już tylko Niemcy, pozostawiając Cortiemu sprzęt biwakowy. Ta dwójka zaginęła potem bez wieści. Wszczętą wówczas 3-dniową akcją kierował E. Friedli oraz jeden z pionierów niemieckiego ratownictwa górskiego – Ludwig Gramminger z Monachium. W spontanicznie zorganizowanej grupie ratowników i alpinistów, oprócz Szwajcarów, Niemców, Włochów, Francuza i Holendra, znalazło się też ośmiu Polaków z odbywającego się obozu treningowego w Grindelwaldzie, najlepiej zresztą wyposażonych w sprzęt biwakowy, żywność, paliwo i środki medyczne. Jedynym lekarzem obecnym wówczas na miejscu tragedii był kierownik polskiego obozu dr. Jerzy Hajdukiewicz, który akcję tę opisał w okolicznościowym wydawnictwie „50 lat ratownictwa górskiego” (Zakopane 1959 r.). W pewnym momencie na szczupłym wierzchołku Eigeru 60 ludzi deptało sobie po piętach. W burzy śnieżnej z piorunami uratowano ze ściany Cortiego, dla drugiego Włocha – Longhiego pomoc przyszła za późno, zamarł w ścianie. To były pierwsze kontakty Ericha Friedli z Polakami a w następnych latach nie szczędził nam też słów wielkiego uznania. W akcji tej sprawdził się zarówno „zestaw alpejski” Bergwachtu i znane „szelki Grammingera”, jak również tzw. winda Friedli’ego, co umożliwiło opuszczenie ratownika kilkaset metrów w dół ściany i wciągnięcie go z uratowanym napowrót na szczyt Eigeru.

Ten 1957 rok był dla polskiego ratownictwa górskiego także i rokiem fatalnym, bowiem w akcji ratowniczej na MtBlanc du Tucul zginął wówczas nasz świetny alpinista i ratownik Wawrzyniec Żuławski.

Oprócz tej akcji, wśród swych 30-tu wielkich wypraw, E. Friedli wymienia jeszcze akcję prowadzoną z Saas Fee na Nadelhorn, gdzie chodziło o ewakuację zwłok dwóch alpinistów z kuluaru wymiatanego nieustanną lawiną kamieni. Była to ogromnie trudna i niebezpieczna akcja, którą sam kierował, podczas której zarówno pilot zastosowanego śmigłowca jak i zawieszeni na linie stalowej (bez windy) ratownicy dokonali cudów zręczności i umiejętności. Nie spodziewał się on też wówczas tego druzgoczącego ciosu, jaki mu zgotował los, gdy krótko przed Bożym Narodzeniem w 1964 roku kierował akcją w północnej ścianie Gletscherhorn ponad doliną Lauter-

brunnen, na której postradał życie m.in. jego wówczas 22-letni syn.

Ogromna wiedza i doświadczenie E. Friedli'ego, jego niezmacony spokój i rozważa oraz wszechstronna działalność alpinistyczna a w szczególności w ratownictwie górskim zjednywały mu ogólne uznanie w społecznościach ludzi gór w kraju i za granicą.

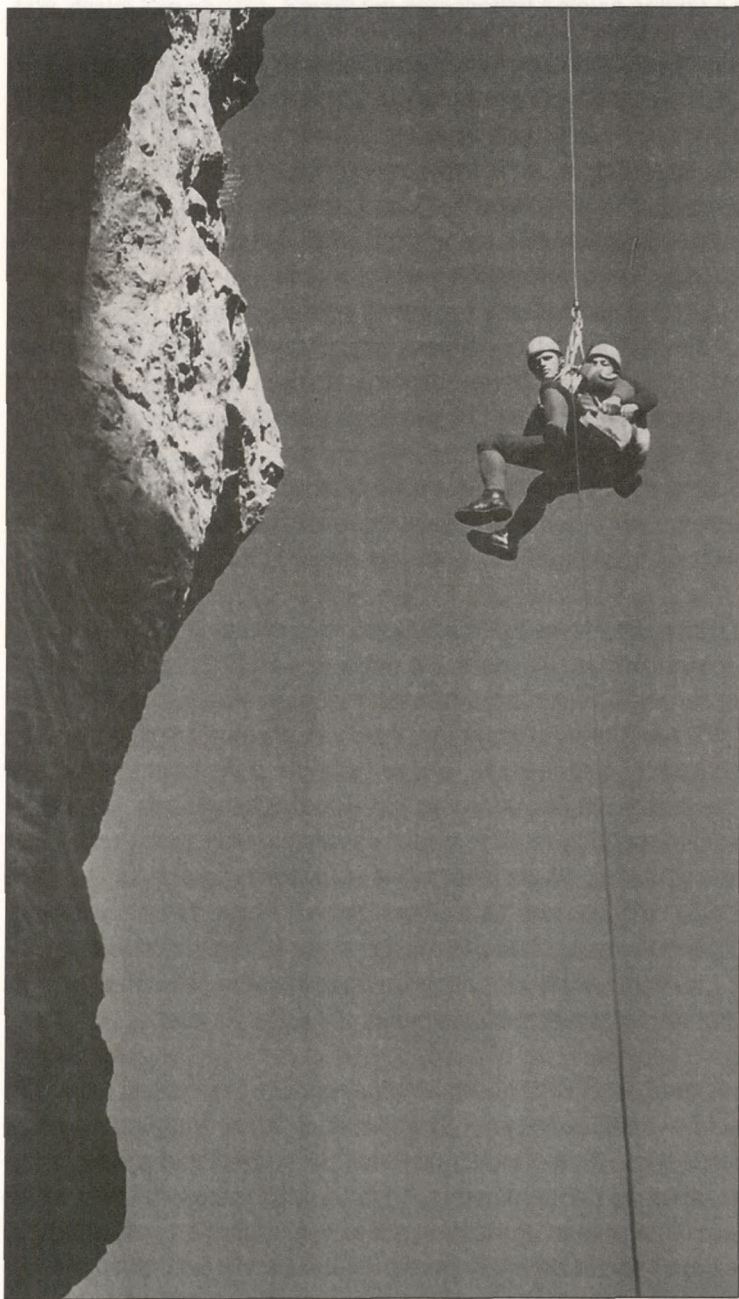
Od czasu akcji na Eigere, polskie GOPR szukało kontraktu z powstałą w 1948 roku Międzynarodową Komisją Ratownictwa Górskiego (IKAR-CISA), trzeba jednak było przejść długą drogę uwiarygadniania organizacji spoza żelaznej kurtyny i przeć przeszkody we własnym kraju, aby zostać wpięty członkiem–obserwatorem tej organizacji i zostać przyjętym na jej członka zwyczajnego w 1968 roku. Dokonało się to za czasów dr. med. Rudolfa Campell'a – pierwszego prezydenta IKAR, w schronisku Monzino (dawniej Gamba) na południowych stokach MtBlanc, równo w 100-lecie wejścia na ten szczyt pierwszego Polaka – alpinisty Antoniego Malczewskiego.

GOPR zyskało sobie coraz większe zaufanie u osobistości organizacji międzynarodowych i w zagranicznych służbach ratownictwa górskiego, zacieśniając kontakty w dziedzinie organizacji i szkolenia oraz popularyzując własne osiągnięcia i doświadczenia.

W 1969 roku powierzono Erichowi Friedli funkcje Prezydenta IKAR, które pełnił do 1986 roku. Był to czas owocnej współpracy polskiego GOPR w ramach tej organizacji, nacechowany szczególnie serdecznym stosunkiem jej prezydenta do niełatwej drogi rozwoju GOPR we własnym kraju i szukania za granicą zrozumienia roli i trudności takich organizacji w społecznej, gospodarczej i politycznej strukturze państw byłego obozu socjalistycznego. W osobie E. Friedli'ego mieliśmy najlepszego orędownika i sojusznika naszych racji, jemu też zawdzięczamy naszą renomę w światowym ratownictwie górskim. Nasze własne doświadczenia i praktyka oraz rozwiązania zbierane od 1909 roku zaznały jednak znaczących impulsów z zagranicy.

W latach 80-tych E. Friedli został Członkiem Honorowego Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego (SAC), w 1987 roku Honorowym Prezydentem IKAR a w roku 1994 odznaczony został najwyższym odznaczeniem GOPR „Za zasługi dla ratownictwa górskiego”.

Po przejściu na emeryturę, E. Friedli nie spoczął na laurach. Po śmierci legendarnego pilota alpejskiego H. Geigera, założyciel Szwajcarskiej Straży Ratownictwa Lotniczego („REGA”) Fritz Bühler i Hans Oetiker powołali do życia „Fundację Horman-Geigera”, której zadaniem jest wspomaganie, opieka i pomoc materialna poszkodowanym w akcjach górskich oraz ich rodzin, w wielu losowych przypadkach, kiedy świadczenia społeczne i ubezpieczenia dobrowolne nie są w stanie wyrównać убыtków i poniesionych strat. Taką dodatkową pomocą objęto dotąd ofiary 20-tu ciężkich akcji i przypadków: wypłaca się zapomogi wynoszące ok. 30.000 CHF ro-



Zjazd w szelkach Grommingera. Fot. W. Werner.

cznie a zjednywanie członków wspierających zdobywanie darowizn i legatów dla tej fundacji było ostatnim, dobrowolnie i z rozmachem podjętej przez E. Friedli'ego działalności.

Jego poprzedzone dłuższą i ciężką chorobą, odejście na wieczny spoczynek, dokonało bolesnego wyłomu w szeregu wybitnych alpinistów, ludzi ogromnie wartościowych, prawych i skromnych, którzy służenie pomocą bliźnim uznali za cel swojego życia. Na miejsce jego pochówku w Unterseen koło Interlaken spoziera znana wszystkim alpinistom i ratownikom trójca: Jungfrau, Eiger i Mönch, której przypadła teraz rola warty honorowej przy Synie Berneńskiego Oberlandu.

IV

Kronika PTT



Rys. Walery Eliaz Radzikowski

CHYZ U BACY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO PO DZIESIĘCIU LATACH GAZDOWANIA

Józef Michlik

„Każde miejsce musi mieć kogoś, kto by je kochał“

/Baca/

„Chyz – mały, nędzny dom, przeważnie wiejski“

(Słownik polszczyzny XVI wieku.

Warszawa 1968 t.3 s. 396)

W 120 – letniej historii Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, dziesięć lat istnienia Chyzy to drobna częśćka dziejów. Przyłożmy jednak do tej miary losy i osobiste odczucia ludzi. Przeglądam kolejne stronicie szesnastu tomów ksiąg Chyzy. Wieczorem, bo:

*„Posiedzimy sobie razem w kuchni,
Czysta nafta tak słodkawo pachnie,
Ostry nóż, bochenek chleba spory...“.*

/Wolna Grupa Bukowina/

Na kartach różne wpisy: te okolicznościowe, ale przede wszystkim bardzo osobiste refleksje. Oto niektóre z nich:

– „OD DZIESIĘCIU LAT nie miałam takich wakacji. Czyż możliwe, że są takie zakątki na tym świecie? Czyż może gdziekolwiek być ładniej? Być może jest ładniej – ale ja w to dzisiaj nie wierzę!“.

– „BIORĄC POD UWAGĘ CAŁE PASMO RACZY I OKOLIC – u was jest najlepsza herbata!!!“.

– „WRESZCIE ZNALAZŁEM MIEJSCE w Beskidach, gdzie można poczuć się jak u siebie w domu. Wasze zachowanie drogie Gospodynie to największy plus tego Schroniska. Swobodne zachowanie i poczucie współgospodarzenia będzie tym, czego brakuje ludziom, którzy włóczą się po schroniskach – hotelach. Do zobaczenia ponownie“.

– „Idąc szlakiem, ani ja, ani mój Anioł Stróż nie wiedział, że napotkamy na tak miłych ludzi w tym schronisku. Nic nie trwa wiecznie i trzeba iść dalej. Cześć!“.

– „Dwa tygodnie minęły szybko. Choć pogoda była deszczowa, to przecież pobyt na Horze był wspaniały, nie dziękujemy Gospodarzom, bo też sami czuliśmy się gospodarzami“.

– „Każde rozstanie to narodziny nowych wspomnień“.

– „Góry... Tu wszystko jest piękne“.

– „To jest to czego między innymi szukaliśmy w trakcie 20 – dniowych wędrówek w górach – miejsce pełne ciepła i życzliwości, po prostu drugi dom rodzinny“.

– „Skoro Pan Bóg dał nam słońce to o 4,30 poszliśmy je zobaczyć, jesteśmy bardzo ciekawi jak ono wygląda, gdy się obudzi“.

– „Taki zobaczyłam las obmyty deszczem. Najpiękniejsze są mokre buki, zwinięte i pnące się ku niebu. Nie ma jak spacer w ulewie ku Rycerzowej, wtedy się czuje, że się jest (całkiem namakalnie). Myślałam, że nie zobaczę w tym roku zawilców. A tu niespodzianka! Trafiło mi się, całkiem przypadkowo, nastąpić na jedną z kępek zawilców, rosnących na polanie. Teraz wiosna jest pełna – przynajmniej dla mnie. Bardzo mi tu dobrze, choć jest tyle szumu, tyle ludzi. Zawsze jest tu miejsce, by się znaleźć. Dziękuję wielce“.

– „A ÓSMEGO DNIA PAN STWORZYŁ HORĘ“.

– „MŁADA HORO, TY nie jesteś miejscem – jesteś życiową mądrością Dziadka, dobrocią Babci, łagodnym i szczerym wejrzeniem Bacy, życzliwością Zenka, cichutkim tykaniem zegarka, skrzypiącą podłogą, gorącą kawą na gościnnym stole... Młada Horo, ty jesteś przyjacielem i jak za przyjacielem będę tęsknić, i jak do przyjaciela wrócę“.

– „Ten dom – bo mówię wszystkim, którzy chcą i nie chcą mnie słuchać – że to jest Dom a nie schronisko i po prostu ma swój klimat, któremu trudno się oprzeć“.

– „Dobrze, że jest Bóg. Dobrze, że są Góry. Dobrze, że są Ludzie, Tacy jak Ty“.

– „I aby Chyz był dla wszystkich tak jak dla mnie drugim domem“.

– „Myślałam, że będę pierwsza w tej kronice, ale Baca był lepszy. Mimo to cieszę się, że zaraz pod Jego wpisem mogę ja kilka słów skrobnąć. Życzę wszystkim, by w tej Księdze opisywane były tylko sympatyczne wydarzenia, pełne radości i humoru. Aby wszystkie piękne myśli jakie tu wpisiecie sprawdzały się w codzienności. Aby ta trzynastka była dla wszystkich szczęśliwa“.

Jak doszło do tego, że na mapie polskich gór zaistniał taki mały punkcik, który skupia tak wielu, tak czasami różnych ludzi związanych jednym – umiłowaniem gór, a wśród nich Młodej Hory? Chcąc poznać początki, proponuję odczytać wypracowanie szkolne z 5 września 1984 r. Agnieszki Lamek, uczennicy klasy 6a w Ostrzeszowie:

„W czasie tegorocznych wakacji byłam na trzydniowej wycieczce w górach (20 – 22.07.1984, przyp.aut.). Po drodze zatrzymaliśmy się koło zabytkowej chaty Kawuloka i uczestniczyliśmy w spotkaniu z córką tego górala. Opowiadała nam ona o przeszłości tego regionu i o wyposażeniu dawnej chaty góralskiej. Po pożegnaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Następnie zatrzymaliśmy się przy kościółku z roku 1790. Gdy zajechaliśmy do Młodej Hory, musieliśmy uporządkować swoją kwaterę – dziesięć lat temu opuszczoną szkołę. Po uporządkowaniu budynku i przygotowaniu materaców do spania, zasiedliśmy do kolacji. Siedzieliśmy na rozłożonych kocach i wyglądało to śmiesznie, gdyż stół zastępowała nam serweta. Wszystko to było rozłożone na podłodze. Większość czasu przeznaczaliśmy na wycieczki. Bardzo mi się tam podobało, gdyż Młoda Hora posiada piękne krajobrazy górskie“.

Podobnie, jak w programie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, góry stały się od lat źródłem, przyczyną, celem oraz terenem mego działania. Wędrując po nich, tak jak wielu, byłem i jestem nimi zauroczony, chcę w nich być jak najdłużej. Stąd nieustanne dążenie do poszukiwania dobrej bazy noclegowej. Były takie czasy, oj, były, kiedy nocowanie w górach wymagało wiele zachodu. Samotnego wędrowca z plecakiem, bądź w małej grupie, nie zawsze przyjmowano chętnie, szczególnie w terminach bardziej atrakcyjnych. Ratunkiem bywały namioty, kontakty towarzyskie, że wspomnę nieformalny tzw. „Pensjonat Basia“ w Wałbrzychu, czy wręcz biwakowanie pod chmurką lub smrekiem. Były to zapewne niezapomniane wrażenia, ale zawsze przypadkowe i nietrwałe. Potrzeba stabilizacji, stworzenia górskiej bazy, zmateriałowowała się za sprawą przypadku i łutu szczęścia w kształcie budynku byłej szkoły podstawowej w Młodej Horze w gminie Ujszoły, znajdującej się w Beskidzie Żywieckim. Ten opuszczony przez uczniów (reforma sieci szkół w 1974 r.), zdezastrowany barak o konstrukcji szkieletowej, kryty eternitowymi płytkami, stał się dla trojga wędrowców przypadkowym schronieniem przed deszczem.

Niech pamięć wesprze moja notatka z tamtego czasu:

„22.06.1984 r. PIĄTEK.

Wstajemy o 8.00. Po rannej toalecie i wypraniu skarpet i koszuli śniadanie. Około 10.00 na lekko, z chlebakiem, idziemy czerwonym szlakiem przez Rycerzową do Młodej Hory. Tam obok małego, drewnianego, bardzo ładnego i czystego kościółka budynek dawnej szkoły podstawowej. Opuszczony, z wybitymi szybami, wyłamany zamkami i paroma uszkodzonymi dachówkami eternitowymi. Nie cieknie i nie ma

wilgoci. Od 10 lat stoi niewykorzystany. Nadawałby się na rodzaj schroniska – chaty. Drewniany, w środku tynkowany. Na parterze 3 małe pokoje, na piętrze też 3. Budynek około 7 x 9 m. Po krótkim deszczu schodzimy doliną Danielki do Ujsoł.

Miesiąc później ponowna wizyta na Młodej Horze.

Po wcześniejszym opisie Agnieszki, tym razem zacytuję mój zapis sporządzony na kartach drugiego tomu Księgi, w drugą rocznicę istnienia schroniska:

„... najpierw „nysa“ wyładowana materacami, kocami, wiadrami, szmatami, szczotką, toporkami, młotkiem, szkłem, kitem, gwoździami itp. oraz między tym wszystkim upchani my – czyli kierowca z 12 letnią córką Agnieszką, Benia, Danusia, Stasia, Józek, Marek i Stasiu,

– następnie pertraktacje z marszu z panią inspektor oświaty i wychowania Urzędu Gminy Ujsoły, panią Anną Zoń, w sprawie uzyskania pozwolenia wejścia do budynku byłej Szkoły Podstawowej w Młodej Horze, dokonania sprzątnięcia i remontu zabezpieczającego obiektu z przeznaczeniem go na schronisko naszego Klubu Turystyki Górskiej TURNIA w Ostrzeszowie. Pertraktacje przebiegały pomyślnie, co zostało potwierdzone odpowiednim pisemnym zezwoleniem.

–... JAK TU FAJNIE!!! (okrzyk damskiej części wyprawy na widok zniszczeń, brudu i perspektywy pracy oraz pobytu w tych warunkach. Strach pomyśleć, co byłoby, gdyby stwierdziły: – to nie to...).

– wszyscy zakasujemy rękawy i do roboty: sprzątanie, szorowanie, szklenie, zakładanie kłódek, likwidacja wielkiej sterty śmieci, naprawa oszalowania werandy itp.

– efekt – uprzątnięty i zabezpieczony budynek naszego przyszłego schroniska. Kompletem mebli: łózkami, stołem, krzesłami, była nam podłoga w pokoju na piętrze.

– ważniejsze to, że zostaliśmy życzliwie przyjęci przez mieszkańców Młodej Hory – szkoła stała nieczynna i pusta 10 lat. Szczególną opieką otoczyła nas sąsiadka, Babcia Maria Wolna (kwaśne mleko, śmietana, woda!, kluski parowane z jagodami i placek z jagodami oraz wiele serca,

– po trudzie pracy, w niedzielę, wizyta w pięknej kaplicy i wycieczka na Rycerzową – jaka wspaniała pogoda! Zbieranie borówek (jagód) na Młodej Horze,

– robimy inwentaryzację stanu obiektu, wstępne plany zabezpieczająco – remontowe oraz piszemy sprawozdanie z naszego pobytu i działalności dla Pani Inspektor z Ujsoł.

18 sierpnia 1984 r., jako Klub Turystyki Górskiej PTTK „TURNIA“ w Ostrzeszowie, podpisujemy z naczelnikiem Gminy Ujsoły umowę wstępną na dzierżawę budynku na cele bazy turystycznej. Ówczesnie w tej tylko strukturze mogliśmy liczyć na pomoc, nie mając żadnych dotacji. Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, więc i nasza Tymczasowa Delegatura PTT powstała w Ostrzeszowie we wrześniu 1980 r. nie

zostało wtedy zarejestrowane (stan wojenny w 1981 r.).

Sprawdzianem trafności organizacji naszej bazy były trzy miesiące wakacji 1985r. 17 lipca 1985 r. pierwsza „urzędująca” gaździna, Marysia Kapelańczyk, ze swoją zastępczynią Beatą, wpisały do Księgi Schroniskowej tom 2:

„*Marysia (szef główny) i Beata (szef – zastępca) meldują:*

1. *Ruch w interesie jest coraz większy – kasa coraz bardziej ciężka...*

– *pokój dla turystów nie narzeka na „góorską ciszę”,*

– *od gotowania herbaty jest coraz cieplej,*

2. *Niedawno mieliśmy naszych ludzi – Jaśko, Przemko, Tomcio, Jolcia i Madzia:*

– *wyjątkowo głośno!!!*

– *jak tu spokojnie żyć, kiedy straszą... żabami,*

– *panowie wreszcie biorą się do pracy,*

– *od malowania bolą głowy,*

– *turyści i mieszkańcy Młodej Hory patrzą i widzą... kłęby kurzu wylatujące drzwiami i oknami,*

– *wszystkiemu towarzyszą wrzaski i okrzyki i czasami awantury.*

3. *Trochę wcześniej był u nas kochany Baca (6 – 7 lipca):*

– *jak przystało na kierownika, zarządzał wszystkim doskonale,*

– *i smakowały Bacy obiady...*

– *ale biedaczek się napracował,*

– *podobno niedługo tu wróci – zobaczymy i czekamy.*

4. *Zarząd gospodyń (stan 2) schroniska PTTK „TURNIA” radzi sobie wręcz doskonale:*

– *mamy stałą pomocnicę – mysz – było nawet polowanie – ale bez rezultatu,*

– *na oknach będą wisieć śliczne zasłonki,*

– *do prac wykonywanych kilka razy dziennie należą: parzenie herbaty, zmywanie naczyń,*

– *podłoga w pokoju chłopców pomalowana,*

– *wreszcie jest piękna pogoda,*

– *a niedzielnymi wieczorami Dziadek „Mleczko” opowiada bajki.*

Hasło: „Turyści to świetny naród”.

Beata, Marysia

Po serii wybuchających lamp naftowych, 18 września 1985 roku, po remoncie zniszczonej instalacji elektrycznej, schronisko otrzymuje prąd. Po dwóch latach gospodarowania, zapisałem w 2 tomie Księgi:

„– *Schronisko zabezpieczone i pozamykane, w oknach szyby oraz okiennice, odmalowana stolarka otworowa, naprawiony dach, uzupełniona część rynien, wykonana instalacja elektryczna, kanalizacyjna w kuchni i łazience, wykonany całkowity*

remont jednego pokoju „Bieguna Północnego“, wykonana łazienka ze zlewem i brodzikiem, obiekt wyposażony w sprzęt noclegowy i kuchenny (i to jaki!), część działki 1010 m² ogrodzona.

– podpisana umowa dzierżawy z Urzędem Gminy Ujsoły i Kuratorem Oświaty i Wychowania w Bielsku Białej,

– Sylwestry, wesele Krysi, masa imprez i wielu turystów i przyjaciół,

– oraz nasza impreza rocznicowa: 8 osób, wspaniała wycieczka i równie wspaniały deszcz – to pokrótce nasz malutki jubileusz. Do roboty! – a jest jej jeszcze dużo!

Baca Dana“

Wodę cały czas zdobywaliśmy nogami i w pocie wysiłku, nosząc ją w wiadrach. Brakowało jej zawsze, lub była w nadmiarze (w czasie deszczów). Rurami, ze źródła, w budynku popłynęła po raz pierwszy 18 lipca 1987 r., a miesiąc później została ogrzana w elektrycznym bojlerze. Dla amatorów natury, potok po dawnemu płynie 600 niżej. Ścieki od lat neutralizujemy poznańskim „BIOKLAR“ – em i wykorzystujemy rolniczo.

Upływały lata, zdobywaliśmy doświadczenie i dalszych przyjaciół. Towarzystwo Tatrzańskie, zarejestrowane 9 grudnia 1988 r., reaktywuje na terenie Ostrzeszowa swoje struktury i dnia 8 sierpnia 1989 r. tworzy Oddział, który przejmuje schronisko pod swoją merytoryczną opiekę. W dalszym ciągu prowadzone jest przy pomocy najróżniejszych osób i instytucji. Za tę pomoc składam WSZYSTKIM wielkie, bogate, górskie podziękowanie. Wkład wielu zaowocował i nadal kształtuje dzisiejszy charakter i klimat tego domu. Bez ich udziału byłby on bardzo ubogi w przeżycia i wygląd, prawdopodobnie w ogóle nie miałby racji bytu. Szczególne podziękowanie składam jednemu etatowemu pracownikowi – nieocenionemu Podręcznemu – Zeniowi Kałwińskiemu za Jego dwuletnią etatową pracę i poprzednie lata współpracy jako społecznika. Dziękuję!

W piątek 28 czerwca 1991 r. przejąłem prowadzenie schroniska, jako swoją stałą działalność gospodarczą. Jest to pierwsze schronisko Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Najważniejszą dla mnie sprawą jest wypracowanie i utrzymanie – w oparciu o poprzednią działalność – klimatu schroniska. W polskich górach można wtedy było, i to za darmo, przejąć różne ośrodki i domy czasowe od upadających zakładów pracy. Dlaczego zatem stary barak, dlaczego Młoda Hora?

Działalność Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego postrzegałem zawsze jako różnorodne przedsięwzięcia na rzecz GÓR w formie dawania, a nie tylko brania. W nadziei na odwdzięczenie się w postaci PIĘKNA i możliwości przebywania wśród nich. To trochę tak, jak z miłością, w którą trzeba inwestować i zabiegać o nią. Ma to być zatem wola radości dawania i tworzenia.

Chcę stworzyć DOM GÓRSKI dla tych, którzy przebywają w górach, a nie tylko

przebiegają przez nie, nie zważając na mijane piękno. Ma to być Dom, w którym bywają i będą bywać wspólni domownicy z różnymi oczekiwaniami, doświadczeniem i potrzebami, ale będą w nim mieszkać – w górach i dla gór. Stąd też myśl, aby obiekt prowadzony przeze mnie nie nazywał się schroniskiem, w którym na ogół gość jest anonimowy i wyobcowany – a zatem DOM, który w miejscowej gwarze, używanej do dziś, zwie się CHYZ.



Schronisko PTT na Mładej Horze

CHYZ ma być domem dla wszystkich, którzy do niego wstąpią i chcą w nim przebywać jako domownicy, których rolą jest też jego budowanie. Chcę, aby każdy czuł się w nim jak u siebie, to znaczy był oczekiwany i obsługiwany, ale również współuczestniczył w obsłudze siebie i innych, współtworząc styl i dobrą atmosferę. Ten klimat wzajemnej życzliwości tworzy szereg wieczornych, bądź zgoła nocnych rozmów, rozmyślań, grania i śpiewu, ognisk czy zabaw przy Wawrzyńcowej Hudzie. Niezapomnianych wrażeń dostarczają też wspólne górskie włóczęgi w okolice Rycerzowej, Przegibka, Raczy, Fatry...

Osobny rozdział to również, a może przede wszystkim, najróżniejsze kontakty z okolicznymi mieszkańcami Mładej Hory, Rycerek, Soblówki czy Ujsoł. W czasie

wspólnych rozmów, prac w polu, następuje wzajemne poznanie, w tym również kultury Górali Żywieckich. Na codzień spotykaliśmy się i nadal odczuwamy wielką życzliwość i pomoc Mładohorzan, a także okolicznych sąsiedztw dla nas i tego, co na Młodej Horze robimy. Dziękuję Wam...

Nawiązaliśmy też bliską współpracę z Zarządem Żywieckiego Parku Krajobrazowego, m.in. prowadząc Punkt Informacyjny Parku, proponując nowe odcinki szlaków turystycznych w okolicy Młodej Hory i Soblówki. Toczymy czasem gorące spory.

Jest to nasza realizacja programu PTT, z którego wywodzi się nasza obecna oficjalna nazwa: „CHYZ U BACY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO”. Zatem przyszłość Chyzy jest i będzie również związana z przyszłością i pomyślnym rozwojem Towarzystwa.

Mam nadzieję, że najlepszym uzupełnieniem tych przemysłów jest jeden z ostatnich wpisów w Księdze Chyzy (t. 16), a uzupełnieniem – artykuły i relacje naszych gości, zamieszczone w kolejnych tomach „Pamiętnika PTT”:

„Znów dzieje się ze mną coś dziwnego. Znów myślę, żeby rzucić palenie, a wczoraj w nocy siedziałem długo przed wypalonym ogniskiem i patrzyłem w niebo – było pełne gwiazd. Różne myśli przychodziły mi do głowy – coś ostatnio mało jestem „romantyczny” – ale jedna myśl nawiedzała mnie najczęściej i mówiąc krótko i parafrazując Staffa – gwiazdy nade mną, ..., gwiazdy we mnie, a góry dookoła. Ostatnio padłem ofiarą cywilizacji, wszedłem – jako trybik – w tę przeklętą maszynę jaką jest społeczeństwo i kręcę się, kręcę i trzeszczy, i trzeszczy, i trzeszczy... Ale przyjechałem tutaj, gdzie nikomu „nie zależy tak bardzo” i mogę pogadać z drzewami; nie boję się im powiedzieć największych moich tajemnic, a odpowiadają z takim samym spokojem, jak gdyby te moje tajemnice były problemami brudnego śliniaczka dla niemowlaka.

Może to wszystko trochę trywialne, kto inny powie – megalomańskie przemyślenia, ale są moje, a ja wiem, że są prawdziwe i wystarczą mi w zupełności, za kilka lat, kiedy znów będę szukał siebie”.

Kończąc, naszym gościom – domownikom dedykuję życzenia:

*„Tym, którzy tu bywają,
Czego i nam życzą,
Niechaj sami mają”.*

Młoda Hora, 9.11.1995

Baca

Józef Michlik

DZIAŁALNOŚĆ ZARZĄDU GŁÓWNEGO PTT

W okresie obejmującym dalszy ciąg kadencji 1992–1995 Zarząd Główny zebrał się cztery razy. Kolejne posiedzenia odbyły się 13–14 stycznia 1995 roku w Buczkowicach k/Szczyrku, 20 maja 1995 roku na Młodej Horze, 7 października 1995 roku w Krynicy i 1 grudnia 1995, w przeddzień Zjazdu na Polanie Choczołowskiej.

Ten ostatni rok kadencji ukierunkowany był na przygotowania do Zjazdu Delegatów Towarzystwa. Ustalono klucz wyboru delegatów, przyznano mandaty oddziałom, a w oddziałach odbywały się zebrania sprawozdawczo–wyborcze, na których wybierano delegatów. Łącznie przyznano 117 mandatów w 20 oddziałach i 1 kole PTT. 3 oddziały nie uzyskały mandatów z powodu nieuregulowanych składek na rzecz ZG (Białystok, Katowice, Pomorski z siedzibą w Bydgoszczy).

Komisje Zarządu Głównego

1) Największą aktywność wykazała Komisja GOT PTT. Rok 1995 był rokiem wdrażania Odznaki GOT PTT. Zatwierdzeni zostali przewodnicy GOT PTT. Opracowano i powielono wszystkie potrzebne do prowadzenia akcji GOT druki – regulaminy, arkusze potwierdzeń terenowych, legitymacje. Wyprodukowano małe odznaki GOT PTT wg. wzoru z 1935 roku i blachy przewodniczące. W 2 oddziałach powołano Komisje Oddziałowe GOT, inne Oddziały nie podały jeszcze propozycji składu swych komisji. **Do chwili oddania tomu do druku zostało zdobytych 300 odznak GOT PTT.**

2) Na posiedzeniu ZG w Buczkowicach powołano Komisję Schroniskową w składzie: Józef Michlik (Ostrzeszów), Tadeusz Mikulski i Tadeusz Wronowski (obaj Bielsko–Biała). Komisja w pierwszym rzędzie zajmowała się rozwiązywaniem problemów schroniska na Młodej Horze.

3) Na posiedzeniu ZG w Buczkowicach powołano także Komisję Wydawniczą w składzie Czesław Klimczyk, Michał Myśliwiec (obaj Oświęcim) i Maciej Zaremba (Nowy Sącz). Zadaniem Komisji było zajęcie się sprawami związanymi z wydawaniem Pamiątnika PTT.

4) Na posiedzeniu ZG na Młodej Horze odwołano za bezczynność Komisję d/s Odznaczeń, a jej zadania przekazano Komisji Statutowej.

5) Komisja Statutowa przygotowywała propozycje zmian w Statucie na zbliżający się Zjazd Delegatów PTT. Do Komisji wpłynęło 8 wniosków o nadanie członkostwa honorowego PTT na Zjeździe.

PTT a PTTK

10 stycznia 1995 roku wystosowane zostało do ZG PTT pismo ZG PTTK wzywające nas do zaprzestania używania nazwy „Polskie Towarzystwo Tatrzańskie”

pod groźbą wkroczenia na drogę sądową. Pismo to zostało przez Zarząd Główny PTT zignorowane.

19 października 1995 roku wystosowane zostało kolejne pismo ZG PTTK w podobnym tonie, wzywające tym razem do zaprzestania stosowania lub używania odznaki: Górską Odznaką Turystyczną PTT.

W związku z tym Sekretarz Towarzystwa Barbara Morawska-Nowak spotkała się z Prezesem ZG PTTK Adamem Chyżewskim. Uzgodniono wspólne spotkanie Prezydiów Zarządów Głównych obu Towarzystw na początku następnej kadencji, dla rozwiązania spornych spraw.

Udział w pielgrzymce Jana Pawła II do diecezji Bielsko-Żywieckiej

Grupa członków ZG PTT wzięła udział w papieskiej Mszy św. na Kaplicówce w Skoczowie w dniu 22 maja 1995 r. W czasie mszy zostaliśmy wymienieni jako ofiarodawcy wcześniej złożonego daru (Pamiętnika PTT t.III i innych wydawnictw Towarzystwa). Innej możliwości kontaktu z naszym członkiem honorowym nie było. Z Watykanu otrzymano podziękowanie za przekazany dar.

40-lecie Tatrzańskiego Parku Narodowego

Uroczystość w dniu 23 czerwca 1995 roku zakończyła obchody 40-lecia założenia Tatrzańskiego Parku Narodowego. W części oficjalnej Dyrektor Parku dr Wojciech Gąsienica-Byrcyn mówił o przeszłości Parku, jego dniu dzisiejszym i problemach do rozwiązania w przyszłości. Mówił także o turystyce w Parku; podkreślił, że dzięki wprowadzeniu opłat za wstęp do Parku można było wyremontować wiele szlaków turystycznych. Rozdano odznaczenia i pamiątkowe medale.

W uroczystościach z ramienia PTT udział wzięli prezes ZG PTT Maciej Mischke, redaktor Pamiętnika Adam Liberak i prezes Oddziału PTT w Poznaniu Juliusz Jerzy Preisler, który przekazał gratulacje.

Baza noclegowa PTT

10-lecie swego istnienia obchodziło schronisko „Chyż u Bacy“ na Mładej Horze, jak dotychczas jedyne schronisko PTT.

Oddziały Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego objęły patronat nad następującymi obiektami prywatnymi:

- * „Chata pod Skalanką“ w Zwardoniu – patronat Oddziału PTT w Gliwicach,
- * „Katarzyna“ w Zakopanem na Karpielówce,
- * „Willa pod Hyrcą“ w Szczyrku,
- * „Pod Kiczorą“ w Korbiewicach – wszystkie trzy obiekty pod patronatem Oddziału PTT w Bielsku-Białej.

Na wymienionych obiektach zawisły szyldy „Stacja turystyczna Polskiego

Towarzystwa Tatrzańskiego“. W obiektach tych członkowie PTT korzystają ze zniżek za noclegi.

Akcja na rzecz ratowania Puszczy Białowieskiej i inne akcje „ochroniarskie”

Z inicjatywy Oddziału PTT w Bielsku-Białej była prowadzona akcja zbierania podpisów pod apelem do Premiera RP w sprawie zaprzestania wyrębów starodrzewiu w Puszczy Białowieskiej i objęcie Parkiem całego obszaru puszczy. Zebrano łącznie 4561 podpisów członków i sympatyków PTT.

Oddział w Bielsku Białej zebrał 7120 podpisów pod petycją do wojewody bielskiego w sprawie ochrony wilka; okres polowań został ograniczony do 1 dnia! Petycję skierowano także do wojewody krośnieńskiego.

Z inicjatywy Oddziału w Bielsku-Białej Polskie Towarzystwo Tatrzańskie zgłosiło akces do Koalicji na rzecz Ochrony Kopuły Pilska.

Inne akcje, w których uczestniczy ten Oddział to „Czyste Góry” i „Czyste Wody Beskidów”.

B.M.N.

SENIORZY PTT

W I tomie Pamiętnika PTT opublikowana była lista 35 osób, które należały do PTT przed rokiem 1950. Osoby te otrzymały dyplomy pamiątkowe. Obecnie publikujemy dalszy ciąg tej listy - członków dawnego PTT, które zapisały się do obecnego Towarzystwa w czasie trwania drugiej kadencji.

Są to:

- | | |
|---------------------------------------|---------------------------------------|
| 36. Batowski Jan (Radom) | 47. Sawicki Jan (Wielka Brytania) |
| 37. Bułat Adam (Kraków) | 48. Stefański Marek (Kanada) |
| 38. Bułka Roman (Bielsko-Biała) | 49. Stryjeński Jan (Szwajcaria) |
| 39. Dziędzielewicz Zdzisław (Gliwice) | 50. Szupina Alojzy (Bielsko-Biała) |
| 40. Furtak Aleksandra (Nowy Sącz) | 51. Tomaszewski Jerzy (Toruń) |
| 41. Iskierko Mieczysław (Oświęcim) | 52. Udziela Witold (Sulejówek) |
| 42. Koszucka Bogumiła (Nowy Sącz) | 53. Weigel Jan (Bielsko-Biała) |
| 43. Mierzwa Wiesław (Bielsko-Biała) | 54. Włoch Jerzy (Nowy Sącz) |
| 44. Mikulski Tadeusz (Bielsko-Biała) | 55. Wronowski Tadeusz (Bielsko-Biała) |
| 45. Niewodniczański Jerzy (Kraków) | 56. Wesecki Kazimierz (Oświęcim) |
| 46. Niweliński Józef (Kraków) | 57. Żyromska Danuta (Kraków) |

SPÓŁECZNA RADA WSPÓŁPRACY Z TATRZAŃSKIM PARKIEM NARODOWYM

Paragraf 14 Statutu TPN z roku 1992 zawiera stwierdzenie, że Dyrekcja Parku może powołać społeczną radę współpracy w porozumieniu z lokalnymi władzami zainteresowanymi współpracą z Tatrzańskim Parkiem Narodowym. W połowie 1993 roku Dyrekcja TPN zaproponowała miejscowym organizacjom samorządowym i innym zainteresowanym korzystaniem z terenów Parku powołanie takiej rady.

Wszystkie gminy i sołectwa oraz organizacje związane z turystyką i taternictwem wysłały swoich delegatów. Na pierwszym zebraniu 17 delegatów przedstawiciel PTT i Związku Podhalań Adam Liberak otrzymał propozycję przewodzenia Radzie. Propozycję przyjął i do dnia dzisiejszego sprawuje tę funkcję.

Trzeba przyznać, że współpraca gmin sąsiadujących z TPN oraz organizacji turystycznych nie zawsze układała się dobrze. Szereg drobnych pozornie problemów wywoływało zadrażnienia i wojny słowne. W czasie swoich kwartalnych zebrań Społeczna Rada Współpracy starała się wyjaśnić niektóre problemy. Czasem okazywało się, że urzędnicy TPN nie mieli racji, to znów, że sąsiedzi TPN nie mieli racji. Już pierwsze spotkanie ujawniło, że często ludzie zamieszkali na terenie TPN nie rozumieją zasad działania ochrony przyrody. Wobec tego Dyrekcja TPN podjęła decyzję wydawania w miejscowym tygodniku kwartalnej wkładki poświęconej sprawom Parku.

W czasie kwartalnych zebrań Rada Współpracy podejmowała szereg tematów ważnych tak dla gmin jak dla turystów.

Ze swojej strony TPN przedstawiał, co robi dla usprawnienia ruchu turystycznego i ochrony przyrody oraz jak stara się godzić sprzeczne czasem interesy; z drugiej strony przedstawiciele obywateli mieszkających pod Tatrami przedstawiali swoje problemy. Na jednym z pierwszych zebrań padła propozycja, by wszystkim domom, które nie będą w przyszłości podłączone do ciepłej geotermalnej sieci grzewczej, a leżą zbyt daleko od rurociągu gazowego by móc do nich podłączyć gaz, stworzyć możliwość tańszego ogrzewania energią elektryczną. W ten sposób można by lepiej chronić środowisko, bo kilkanaście domów leżących we wsiach przylegających do TPN przestałoby zatruwać lasy najtańszym, czyli najgorszym gatunkiem paliwa. Rada wystąpiła w tej sprawie do odpowiednich władz, ale nie dostała odpowiedzi.

Miasto Zakopane chciało zlokalizować nowe wysypisko śmieci w pobliżu terenów TPN. W czasie dyskusji w Radzie okazało się, że nowe wysypisko zanieczyści wody podziemne Murzasichla i Małego Cichego. To przerwało dyskusję na temat nowego wysypiska śmieci, a ciąg dalszy dyskusji wskazał jednoznacznie, że całe Podhale powinno wybudować nowoczesnie urządzone wysypisko śmieci lub równie nowoczesną, nieszkodliwą dla środowiska spalarnię. Na razie sprawa nie ruszyła z miejsca.

Pół roku temu omawiano fatalny stan zalesienia gmin sąsiadujących z TPN. Według zestawień, takie wsie jak Witów czy Murzasichle mają tylko 10% terenów zalesionych, Bukowina Tatrzańska ok. 19%, a Małe Ciche, Kościelisko, Poronin i Dzianisz między 10 a

20%. Rada zaproponowała, by wsie wskazały tereny, które mogłyby być zalesione, tak by młodzież mogła wiosną zalesić je chociaż częściowo. TPN zobowiązał się dostarczyć nieodpłatnie odpowiednią ilość sadzonek.

Omawiano również sprawy koniecznej kontroli samochodów ciężarowych i autobusów wycieczkowych. Wiele z nich ma niesprawne silniki i zatrują środowisko. Apel o konieczności podjęcia takiej kontroli przez służby ruchu pozostał na papierze, a sprawa ma olbrzymie znaczenie, bo bardziej ruchliwe drogi jak kominy fabryczne zatrują lasy.

W czasie omawiania remontów ścieżek i szlaków górskich Rada zwróciła uwagę, że zbyt dokładne zabezpieczanie szlaków wcale nie zmniejszy liczby wypadków, bo jeśli np. zabezpieczymy szczyt Giewontu metalową balustradą, to wcale nie znaczy, że amator wrażeń nie spróbuje przez nią przejść. Większe ułatwienia na szlaku spowodują tylko napływ mniej sprawnych turystów. Dyrekcja TPN zgodziła się z tą uwagą i zrezygnowano z pewnych dodatkowych ułatwień na szlaku Orlej Perci, na ścieżce prowadzącej na Rysy i na Giewont.

Wielokrotnie w czasie dyskusji wypływała sprawa jednoznacznych wyjaśnień sprawy zwrotu lub odszkodowań za włączone do TPN prywatne własności. Dyrektor przedkładał tą sprawę do ostatecznego wyjaśnienia władzom i jak na razie bez odpowiedzi.

A.L.

STUDENCKI SPIS

Studenci Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu pod kierunkiem dr J.J.Preislera, prezesa Oddziału PTT w Poznaniu prowadzili w latach 1993–1995 inwentaryzację tatrzańskich szlaków turystycznych. W ciągu ostatnich kilku lat obserwuje się nieznaczny spadek liczby turystów przebywających w Tatrach (mniejsze wykorzystanie bazy noclegowej, krótsze pobyty osób przyjezdnych, mniej ludzi przyjeżdżających poza sezonem). Obecnie szacuje się, że w ciągu roku ilość turystów odwiedzających TPN wynosi ok. 2.5 mln osób (w tym ok. 70% ludzi przybywa w okresie letnim). Ciągłe aktualnym problemem jest turystyczna presja na środowisko przyrodnicze Tatr i jej skutki w przyrodzie Parku. Bardzo wyraźnie widać to na szlakach turystycznych. Nadmierna wielkość ruchu turystycznego na określonych fragmentach szlaków, a także niska kultura niektórych ludzi (często zupełnie nie przygotowanych do kontaktu z przyrodą) są decydującymi przyczynami degradacji ich powierzchni oraz otoczenia. Degradacji sprzyja również charakter samego szlaku – stan techniczny i elementy przyrodnicze jego otoczenia (na niektórych odcinkach zniszczenia są znaczne, a erozja poboczy sięga nawet do 20 m).

Prowadzone od kilku lat w TPN generalne remonty wielu szlaków doprowadziły do przywrócenia im dobrego stanu technicznego. Aby lepiej przygotować się do tego typu działań (remontów, napraw bieżących) oraz prowadzenia innych prac ochronnych na szlakach prowadzi się ich inwentaryzację. Pracownicy TPN przygotowali specjalne listy inwentaryzacyjne. W czerwcu 1993 zaczęto wykonywać po raz pierwszy szczegółową inwentaryzację szlaków w TPN. Prace te kontynuowano w latach 1994 i 1995. Spisów dokonywali studenci z Pracowni Organizacji Turystyki i Krajoznawstwa Uniwersytetu im. A.Mickiewicza

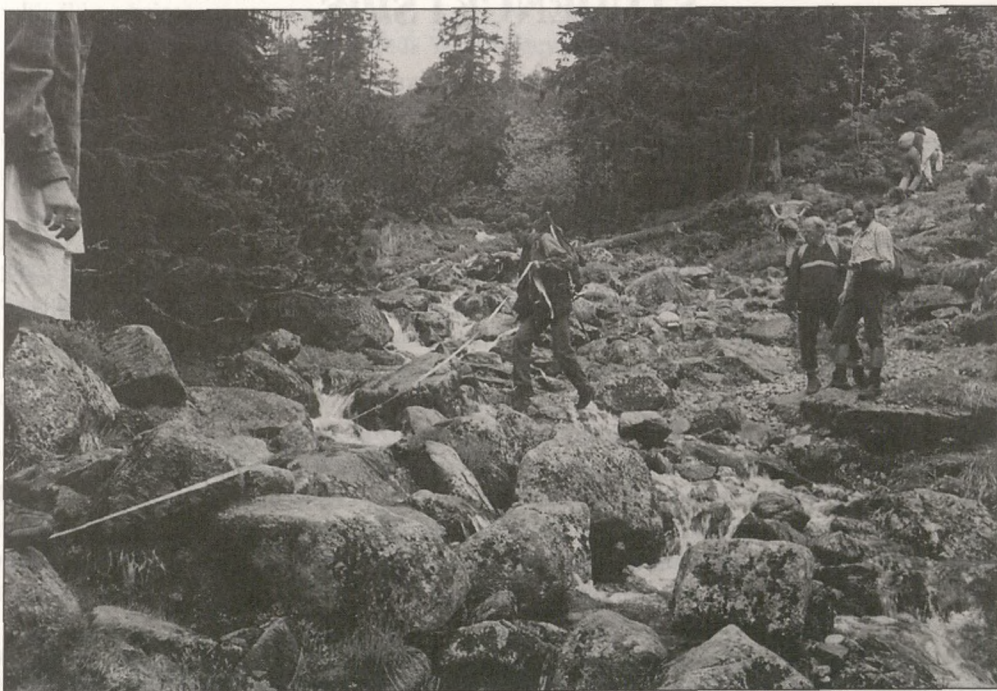
pod kierunkiem dr J.J.Preislera. Zapisywano dokładnie informacje o każdym 20-stometrowym odcinku szlaku uwzględniając rodzaj i stan nawierzchni, pobocze, mostki, przepusty wodne itp.

W 1993 r. spisem objęto 15 szlaków o łącznej długości blisko 59 km. Między innymi trasy: Kuźnice – Myślenickie Turnie – Kasprowy Wierch, Kuźnice – Hala Gąsienicowa – Kasprowy Wierch, Zahradziska – Twardy Uplaz – Czerwone Wierchy oraz szlak najkrótszy (470 m), a zarazem najbardziej zniszczony z Suchej Przełęczy na Beskid (pas rozdeptanej i zniszczonej grani przekracza miejscami szerokość 20 m).

W czerwcu 1994 inwentaryzowano nadal szlaki turystyczne w większym stopniu koncentrując się na ścieżkach reglowych, m.in. przebadano trasy: Dolina Białego – Ścieżka nad Reglami – Kalatówki, Dolina Kościeliska – Przysłop Kominiarski – Ścieżka nad Reglami – Dolina Chochołowska – Dolina Lejowa. Spisano 7 szlaków o łącznej długości 26 km.

W 1995r. kontynuowano prace z poprzednich lat. Zinwentaryzowano m.in. trasy: Wołowiec – Jarząbczy Wierch – Siwa Przełęcz, Dolina Starej Roboty – Siwa Przełęcz, Dolina Tomanowa – Chuda Przełęczka. Opisano 5 ścieżek o łącznej długości ok. 28 km.

Łącznie w latach 1993/1995 studenci UAM z Poznania zinwentaryzowali blisko 113 kilometrów szlaków turystycznych. Uzyskana w ten sposób dokumentacja pozwoli opracować plan remontów szlaków turystycznych i obliczyć koszty.



Polana pod Wołoszynem - zejście do Polski. Fot. Z. Chwalisz.



III ZJAZD DELEGATÓW POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

III Zjazd Delegatów PTT odbył się w Schronisku PTTK na Polanie Chochołowskiej w dniu 2 grudnia 1995 roku. Wybór miejsca nie był przypadkowy, przyjaźń wielu z nas z dzierżawcami schroniska Alicją i Wincentym Cieślewiczami trwa od dawna. Tu spotykały się byłe ośrodki PTT by rozważać szanse naszej rejestracji, bywaliśmy tu wiele razy, a niektórzy przyjeżdżali także wykonywać społecznie rozmaite prace remontowo-porządkowe.

Nie bez znaczenia była też oferta kierownictwa schroniska udzielenia wszystkim na czas Zjazdu 50% zniżki od cen noclegów. Warunkiem była organizacja Zjazdu w t.zw. martwym sezonie, w okresie najmniejszego ruchu turystycznego.

Chochołowska powitała nas w pięknej, białej szacie pierwszego dnia zimowego sezonu. Poprzedniego dnia odbyło się ostatnie posiedzenie starego Zarządu Głównego poświęcone podsumowaniu kadencji i przedyskutowaniu proponowanych poprawek do Statutu. Dzięki temu nazajutrz ten punkt programu poszedł nadzwyczaj sprawnie.

Zbieraliśmy się od czwartku; ostatni delegaci i goście przybyli w trakcie odbywającej się na zewnątrz schroniska małej uroczystości przed tablicą pamiątkową ratowników związanej ze 120-leciem przewodnictwa tatrzańskiego. Kol. Józef Michlik w kilku zdaniach wspomniął ratowników i przewodników tatrzańskich, którzy odeszli, w tym Tadeusza Staicha i Tomasza Nawalnickiego, poczem pamięć ich uczczono minutą ciszy. Nad tablicą pamiątkową został powieszony okolicznościowy wianuszek.

* * *

Zjazd rozpoczął się o godz. 11.00. Otworzył je ustępujący Prezes **Maciej Mischke** witając przybyłych gości:

- Dyrektorów Tatrzańskiego Parku Narodowego: Wojciecha–Gąsienicę–Byrcyna i Stanisława Czubernata,
- Prezesa Towarzystwa Przyjaciół Orawy i Wiceprezesa Rady Krajowej Regionalnych Towarzystw Kultury ks. Władysława Pilarczyka,
- Wiceprezesa Zarządu Głównego PTTK Edwarda Kudelskiego,
- Wiceprezesa Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych Zdzisława Turkota,
- Redaktora Hal i Dziedzin Ireneusza Kasprzysia,
- przedstawiciela Wojewody Poznańskiego Henryka Kulinowskiego,
- Jerzego Roszkowskiego z Muzeum Tatrzańskiego,
- członka honorowego PTT Ryszarda W.Schramma,
- Redaktora Pamiętnika PTT Adama Liberaka
- Prezesa Centrum Przewodnickiego przy TPN Jana Krupskiego, przedstawicieli prasy, a przede wszystkim delegatów przybyłych na Zjazd.

Poprosił członka honorowego Towarzystwa **prof. Ryszarda W. Schramma** o prowadzenie obrad. Z kolei Przewodniczący obrad zaproponował na swoich zastępców kolegów Krzysztofa Kabata z Nowego Targu i Wojciecha Lippę z Nowego Sącza. Na sekretarzy Zjazdu zaproponowane zostały koleżanki Ewa Michalak z Kalisza i Barbara Morawska–Nowak z Krakowa. Tak przy jednomyślnej akceptacji zebranych powołano Prezydium Zjazdu.

Po dalszych proceduralnych punktach jak przyjęcie porządku i regulaminu obrad, powołaniu komisji zjazdowych, przyjęciu protokołu z poprzedniego Zjazdu przystąpiono do ważnego punktu – **nadania godności członkostw honorowych Towarzystwa.**

Przewodniczący Zjazdu poinformował, że Zarząd Główny po przedyskutowaniu kandydatów na członków honorowych postanowił przedstawić listę ośmiu osób, które zostaną przedstawione w porządku alfabetycznym. Zebranim zaprezentowano **Zdzisława Dziędzielewicz, Władysława Krygowskiego, Macieja Mischke, Zofię i Witolda Paryskich, Jana Sawickiego, Stanisława Siedleckiego i Jana Staszla.** „Członkostwo honorowe jest zaszczytem nie tylko dla osoby honorowanej, ale także dla organizacji, która tę godność nadaje“ – stwierdził Przewodniczący. „Wszyscy kandydaci przekroczyli 80 lat życia (najmłodszy Dziędzielewicz tego wieku dochodzi). To co robili, robili bardzo długo“. Zebrani z aplauzem i oklaskami przyjmowali proponowane kandydatury. Wszystkie propozycje zostały przyjęte jednomyślnie w jawnym głosowaniu. Przewodniczący pogratulował wszystkim obecnym



Prezydium III Zjazdu. Fot. S. Misztal.



Przewodniczący Zjazdu R.W. Schramm wręcza dyplomy członkom honorowym
Maciejowi Mischke



Zdzisławowi Dziędzielewiczowi.

Fot. M. Kieres.



Delegaci Nowego Sącza z prezesem M. Mischke, kierownikiem schroniska W. Cieslewiczem, przewodniczącym Zjazdu R.W. Schrammem. Fot. archiwum O/„Beskid”.



Delegaci na sali. Fot. M. Kieres.

Przewodniczący pogratulował wszystkim obecnym

i nieobecnym na Zjeździe członkom honorowym. Podpisano pamiątkowe dyplomy i wręczono obecnym dwóm członkom honorowym – Zdzisławowi Dziędzielewiczowi i Maciejowi Mischke.

Komisja Mandatowa stwierdziła, że na 117 wybranych delegatów jest obecnych na Zjeździe 87-miu. Zjazd uznano za prawomocny.

Sprawozdanie merytoryczne Zarządu Głównego PTT za lata 1992–1995 przedstawiła sekretarz Towarzystwa Barbara Morawska-Nowak. Zostało ono wydane na Zjazd drukiem. (nie będzie ono omawiane w tym miejscu, gdyż w każdym tomie zamieszczane były co roku sprawozdania z działalności Zarządu Głównego). Sprawozdanie finansowe Zarządu Głównego PTT przedstawił skarbnik Ludwik Rogowski. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej odczytał jej przewodniczący Jacek Nabzdyk, a sprawozdanie Sądu Koleżeńskiego – z-ca przewodniczącego Małgorzata Kieres.

Wystąpienia gości Zjazdu zostały poprzedzone odczytaniem listów od zaproszonych a nieobecnych: prof. Marii Gumińskiej – wiceprezesa Polskiego Klubu Ekologicznego, Tadeusza Pudzisa – redaktora Tatrzańskiego Orla, Ewy Iwulskiej – prezesa Oddziału Związku Podhalan w Ludźmierzu oraz dyrektorów Parków Narodowych: Bieszczadzkiego – pana Wojomira Wojciechowskiego i Pienińskiego – pana Andrzeja Szczocarza.

Jako pierwszy gość zabrał głos **Dyrektor TPN dr Wojciech Gąsienica-Byrcyn**. W ostatnich latach wiele się zmieniło na korzyść w Tatrzańskim Parku, chociaż nie udało się zrealizować wszystkich zamierzeń. Nie udało się ograniczyć zanieczyszczeń powietrza niskiej emisji, bardzo szkodliwej dla lasów; ograniczyć bezpośredniej antropopresji na Park, który jest odwiedzany rocznie przez 4 miliony osób. Park ma za mało etatów dla realizacji zadań ochronnych. Wydaje się, że presja agresywnego biznesu trochę się zmniejszyła. Podkreślił następnie pozytywne. Dużo się sady, postępuje przebudowa drzewostanów. Poprawiono wiele szlaków turystycznych. Rozwijają się wydawnictwa finansowane przez Park. Dobrze układa się współpraca Parku z gminami, ze Związkiem Podhalan, z księżmi. Rada Społecznej Współpracy z Parkiem kierowana przez przedstawiciela PTT red. Adama Liberaka niweluje agresję w stosunku do TPN. Dyrektor stwierdził, że widzi także możliwość bliższej współpracy z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim. Kończąc wystąpienie Dyrektor TPN przekazał Towarzystwu medal 40-lecia TPN i dwa egzemplarze ostatniego wydawnictwa TPN: „Historia przewodnictwa tatrzańskiego” Zofii Steckiej.

Ks. Władysław Pilarczyk zabrał głos jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Orawy i w imieniu Prezesa Rady Krajowej Regionalnych Towarzystw Kultury pana Anatola Omelaniuka. Rada jest uczulona na sprawy turystyki, ochrony przyrody, ekologii; problemom tym poświęca uwagę i podejmuje działania nie tylko na rzecz gór, ale

i nizin. Przekazał życzenia sukcesów w dalszej działalności Towarzystwa.

Pan Zdzisław Furkot odczytał pozdrowienia Prezesa Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych mgr Henryka Gołębiewskiego, organizacji skupiającej ponad 300 tys. członków. Powinnością obu naszych Towarzystw jest upowszechnianie turystyki kwalifikowanej i krajoznawstwa i temu celowi służy baza schronisk młodzieżowych, programy, a także legitymacja PTSM umożliwiająca korzystanie z bazy ponad 5600 schronisk młodzieżowych w 68 krajach świata. Dodał, że wśród członków PTSM jest 200 tys. rzesza młodzieży szkolnej i studenckiej, wśród której PTSM prowadzi szeroką działalność programową propagującą turystykę i poszanowanie ojczystej przyrody. Zaproponował nawiązanie ścisłej współpracy i życzył Zjazdowi konstruktywnych i owocnych obrad.

W imieniu Rady Miejskiej Dębina zabrał głos **Krzysztof Karbowski**. Na wniosek Zarządu Oddziału Dębińskiego PTT, z okazji 120-lecia przewodnictwa polskiego i obchodów 15-tych Dni Turystyki Rada Miejska podjęła uchwałę o uhonorowaniu inicjatorów reaktywowania GOT PTT – wielu działaczy PTT i PTTK. W uznaniu zasług położonych dla rozwoju krajoznawstwa i turystyki nadała tytuł honorowego przewodnika turystycznego na miasto Dęblin m.in. następującym członkom Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego: Barbarze Morawskiej-Nowak, Maciejowi Mischke, Januszowi Smolce, Romualdowi Zarębie. Następnie kol. Karbowski wręczył dyplomy wyczytanym osobom.

Zabrał głos **wiceprezes ZG PTTK Edward Kudelski**. Serdecznie pogratulował nowym członkom honorowym Towarzystwa, znanym także w PTTK. W związku z kilkakrotnym wymieniem PTTK w naszym sprawozdaniu stwierdził, że w górach jest miejsce dla wszystkich bez wchodzenia sobie w drogę. Odnosi wrażenie, że aktywność społeczna gwałtownie się obniża, toteż trzeba zespolic wysiłki dla wspólnych działań. Omówił aktualną sytuację w PTTK. Po regresie Towarzystwa w latach 1992–1993, kiedy liczba członków gwałtownie zmalała do 105 tys. zaznacza się stopniowy wzrost liczby członków. Składka w PTTK rośnie wraz z inflacją. PTTK jest zarządzane w sposób społeczny, są wielkie trudności z dostosowaniem się do wymogów współczesnych norm rynkowych. Trudno pogodzić w gospodarce schroniskowej ekologię, potrzeby turystów i wymogi gospodarki. Wymienił najnowsze osiągnięcia PTTK w budowie schronisk: Prehyba zostanie oddana do użytku w 1996 roku, podobnie Jaworzyna Krynicka budowana praktycznie od nowa. Nowy obiekt realizuje się na Hali Miziowej. PTTK podpisało umowę w sprawie rezerwatu na Pilsku. Odnośnie dążenia Oddziałów PTT do uzyskania osobowości prawnej poinformował, że w PTTK jest podwójna osobowość prawna Zarządu Głównego i Oddziałów ale to może być niebezpieczne. Zagrożenia są ogromne w związku z odpowiedzialnością Zarządu Głównego za długie oddziałów. W tej sprawie zapisy statutu

muszą być bardzo precyzyjne. Jako osoba odpowiedzialna w PTTK za ochronę znaków, nazw i majątku Towarzystwa wyraził gotowość do rozmów z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim by udzielić nam porad w tych sprawach.

W imieniu przewodników tatrzańskich pozdrowił Zjazd **Jan Krupski**. W swej wypowiedzi nawiązał do rocznicy 120-lecia i omówił aktualną sytuację przewodnictwa. W 1992 roku Urząd Kultury Fizycznej i Turystyki zrezygnował z opieki nad przewodnictwem. Przy TPN powstało Centrum Przewodnictwa Tatrzańskiego. Zrzeszeni w kilku kołach (Zakopane, Kraków, Gliwice, Katowice) przewodnicy odbywają ogólne spotkania cztery razy w roku i uzgadniają wszystkie sprawy, także z TPN. Pochwalił inicjatywę PTT w sprawie otwarcia granic w Tatrach; nic nie powinno stać na przeszkodzie w przywróceniu przejść granicznych w Tatrach, o co będą zabiegać przewodnicy wraz z Parkiem. Na koniec powiedział: „Wasz Prezes jest wyjątkowy ze względu na swą 70-letnią aktywność górską. W związku z tym Centrum Przewodnictwa Tatrzańskiego przyznało Mu blachę przewodnicką z 1905 roku projektu Walerego Eljasza Radzikowskiego ze złotym sercem przewodnika tatrzańskiego“. Przy oklaskach sali nastąpił moment wręczenia blachy wzruszonemu Prezesowi.

Delegat Poznania **Henryk Kulinowski** wystąpił jako przedstawiciel Wojewody Poznańskiego dr Włodzimierza Łęckiego, znanego krajoznawcy i sympatyka Towarzystwa. Z okazji 120-lecia Towarzystwa Tatrzańskiego, przy wydatnej pomocy Parku Wojewoda Poznański doprowadził wraz z Wojewodą Nowosądeckim do odnowienia Tablicy Kantaka w dol. Kościeliskiej. Następnie odsłonięto dwa kamienie pomnikowe – dary TPN – ku czci Władysława Zamoyskiego i ku pamięci tych, którzy nie wrócili z gór. Na terenie Urzędu Wojewódzkiego powstało nowe Koło PTT. Delegaci Koła, w tym prezes, biorą udział w Zjeździe. W 1996 roku obchodzone będzie 75-lecie Oddziału PTT w Poznaniu. Ostatnim elementem współpracy jest przyznanie Oddziałowi PTT lokalu w Ośrodku Krajoznawstwa PTTK, wykupionym przez Wojewodę, który nie widzi przeszkód w korzystaniu ze wspólnej siedziby PTTK i PTT. Następnie życzył lepszej współpracy z Urzędem Kultury Fizycznej i Turystyki, który także reprezentuje. Uregulowania prawne w turystyce to rzecz bardzo ważna, w decyzjach nie powinno zabraknąć głosu PTT. Kończąc przekazał Zjazdowi pozdrowienia od Wojewody.

Dalsza dyskusja toczyła się nad sprawozdaniami i nad wypowiedziami gości.

Krzysztof Karbowski starał się usprawiedliwić złą działalność Komisji Odznaczeń.

Barbara Morawska-Nowak skoncentrowała się nad realizacją ochrony Tatr w Parkach Narodowych, a szczególnie zasygnalizowaną w liście do redakcji Tygodnika Podhalańskiego znanego tatrzańskiego przewodnika i strażnika ochrony przyrody

Władysława Cywińskiego sprawę wycinania lasów w rezerwach Tatr Słowackich. Zaproponowała podjęcie przez Towarzystwo uchwały w sprawie ratowania tatrzańskich lasów i skierowania jej do organizacji międzynarodowej, która dwa lata temu proklamowała utworzenie w Tatrach Międzynarodowego Rezerwatu Biosfery. Skrytykowała współpracę PTT z Parkiem, który o niczym nas nie informuje np. o opracowywaniu kolejnego planu ochrony Parku, do którego można wносить uwagi i postulaty. Nie udało się załatwić sprawy strażników w Tatrach. PTT chce uczestniczyć w naradzie w sprawie ograniczeń ruchu turystycznego w Tatrach. „*Uważamy, że taternicy, przewodnicy, instruktorzy, doświadczeni turyści i bywalcy gór, członkowie PTT czy PTTK powinni korzystać z prawa swobodnego poruszania się poza szlakami i proponujemy ustanowienie licencji turysty wysokogórskiego. Ważną sprawą jest otwarcie Tatr, co rozładowałoby ruch turystyczny po polskiej stronie.*” Następnie odniosła się do stosunków z PTTK. Nie powinniśmy przyjmować postawy konfrontacyjnej, natomiast dążyć do współpracy i wzajemnego uznawania się. Możemy zawierać układy na pewne tematy i wspólnie występować w sprawie praw dla turystów w parkach narodowych czy dla rzeczywistej ochrony Tatr. Na koniec odczytała pismo jakie otrzymał Prezes Zbigniew Grzegorzewski od Przewodniczącego Rady Ochrony Miejsc Pamięci Walk i Męczeństwa Stanisława Broniewskiego-Orszy z podziękowaniem w imieniu Rady za uratowanie przez uczestników wyprawy Oddziału Łódzkiego PTT cmentarza legionowego w dol. Płajskiej w Karpatach Wschodnich. (Z tyłu sali wyłożono do obejrzenia zdjęcia z tej akcji. Ponadto Oddziały w Chrzanowie, Krakowie i Nowym Sączu wyłożyły swoje kroniki; Kraków wywiesił plakat ze zdjęciami ze swych górskich wyjazdów.)

Na wypowiedź Barbary Morawskiej-Nowak zareagował bezpośrednio **Dyr. Gąsienica-Byrcyn**. Uznał wypowiedź za przemyślaną i wyjaśnił bliżej sytuację panującą po stronie słowackiej, gdzie tworząc TaNaP nie uporządkowano do końca spraw własnościowych. Dziś pewne tereny wracają do dawnych właścicieli. Rozdrobnienie własności nie sprzyja działaniom na rzecz ochrony przyrody. Był okres wzajemnej bardzo dobrej współpracy z TaNaP-em, ostatnio zaczyna się coś psuć. Sprawa jest trudna, bo Słowacy są samodzielni, a równocześnie są w złej kondycji finansowej. Mamy obecnie lepszą ochronę prawną, która ułatwia Parkowi realizację zadań ochrony przyrody. Poruszył hasło „Olimpiada“, pod pokrywką którego niektórzy chcą ubijać własne interesy sprzeczne z ochroną przyrody. Zakopanemu grozi brak wody. Kilka dni temu panował w Zakopanem tak wielki smog, że zbierano czarny osad. Która zagraniczna reprezentacja zechce startować w tak złych warunkach ekologicznych. Nagłaśnianie sytuacji w prasie uznał za pożyteczną dla Parku akcję. TPN jest otwarty na nasze uwagi do planu Parku. Trudną sprawą jest swobodne poruszanie się w Parku, nawet naukowcy są kontrolowani.

Prosił Towarzystwo o dalsze wsparcie działań Parku. Bez poparcia organizacji ekologicznych i turystycznych Park sam nie da rady.

Stanisław Krajna z Poznania poruszył problem kultury na ścieżkach tatrzańskich dawniej i teraz. Pamięta, jak dawniej rodzice wychodząc na spacer w Tatry dawali mu do ręki woreczek aby zbierał za sobą i wynosił śmieci z gór. Dziś biorąc udział w t.zw. akcjach „czyste góry” najczęściej zbiera niedopałki. Zaproponował uchwałę w sprawie zakazu palenia papierosów w górach. Apel specjalnie skierował do przewodników.

Jan Weigel, prezes Oddziału w Bielsku-Białej opowiedział o wielu działaniach na rzecz ochrony przyrody, w które angażuje się Oddział. *„Jesteśmy częścią składową ekosystemu i nie możemy się pogodzić z faktem wyeliminowania człowieka z przyrody i zamknięcia go w betonowych miastach. Może Pan Dyrektor taskawie spojrzeć na inicjatywę wprowadzenia; może wraz z PTTK, karty turysty wysokogórskiego na wzór karty taternika. Dla ludzi wysokokwalifikowanych, przeszkolonych, nawet zdających jakiś egzamin, może Dyrekcja zachciałaby udostępnić wybrane, nieznakowane szlaki górskie. Przykładowo możliwość przejścia drogą po głazach, bez przewodnika. Chodzenie z przewodnikami jest dla wielu niedostępne finansowo, poza tem jest to cofanie się do czasów Chałubińskiego. Prosimy aby Park poszedł z nami na kompromis, a Towarzystwo będzie popierać Park wszędzie, gdzie chodzić będzie o najazd businessu, najazd tłumu, bo my tego typu turystyki nie popieramy i nie będziemy popierać. Sądzę, że możemy na takie zrozumienie nas liczyć”* – mówił Jan Weigel.

Dyrektor Parku uznał tę propozycję jako postulat do planu udostępniania Tatr.

W dalszej wypowiedzi Jan Weigel zauważył, że widzi tu pole do współdziałania z Komisją Turystyki Górskiej PTTK. Druga sprawa to przewodnictwo. Nie możemy czekać na ustawę, bo będzie za późno. Mówił jeszcze o akcji ochrony kopuły Pilska, w którą zaangażował się Oddział w imieniu całego Towarzystwa. Zwrócił uwagę na rabunkową gospodarkę w lasach beskidzkich. Za chwilę Beskidy będą wyglądać jak Bieszczady. Walny Zjazd powinien zaapelować do wszystkich Oddziałów o zakładanie stacji turystycznych, które będą reklamować Towarzystwo. Na koniec poruszył problem dotarcia Towarzystwa do młodzieży poprzez tworzenie szkolnych kół PTT.

Tomasz Weber poruszył kwestię finansowania PTT. Nie mamy co liczyć na dotacje i darowizny, musimy sami o siebie zadbać. Przy utrzymaniu niskiej składki dla młodzieży i wprowadzeniu składki rodzinnej zaproponował wysoką składkę dla członków dorosłych, która pokrywałaby potrzeby Oddziału, Zarządu Głównego, wydawanie Pamiętnika i przyszłe inwestycje.

Ratownik Kazimierz Mateja w imieniu Naczelnika TOPR życzył Towarzystwu powrotu do dawnej potęgi PTT.

Janusz Smolka jako przewodniczący Komisji GOT PTT zdał sprawozdanie z wdrażania odznaki. Wręczył odznaki przewodnickie Stanisławowi Krajnie i Ryszardowi W. Schrammowi jako honorowym przewodnikom GOT PTT.

W imieniu **red. Ireneusza Kasprzysiaka** Barbara Morawska-Nowak rozdała zebrany egzemplarze najnowszego numeru „Hale i Dziedziny“ przekazując zachętę aby nie tylko pismo kupować, ale także do niego pisywać.

Maciej Zaremba, prezes Oddziału Beskid w Nowym Sączu mówił o organizacji pracy przyszłego Zarządu Głównego, nawiązując do wcześniejszych sugestii przedstawionych w artykule Krzysztofa Kabata, aby konkretne osoby miały imiennie przydzielone zadania i były odpowiedzialne za te swoje działki. Jest za przyciąganiem młodzieży do Towarzystwa, dlatego na wycieczki Oddziału Beskid młodzież jeździ

za „pół darmo“, dlatego też był za reaktywowaniem Górskiej Odznaki Turystycznej PTT. Dlatego także opowiada się za niskimi składkami w PTT. Za przykładem Oddziału w Bielsku-Białej należy tworzyć własną bazę noclegową. Zaaapelował o pomoc Oddziałów dla naszego schroniska na Młodej Horze. Zaaapelował do Oddziałów o większą aktywność w zdobywaniu funduszy na działalność. Towarzystwo nasze jest mało widoczne, należy je bardziej propagować, także przez odznaczenia. W imieniu Oddziału „Beskid“ w Nowym Sączu przekazał Prezesowi Maciejowi Mischke pamiątkową rzeźbę.

Pracy z młodzieżą poświęcił swe wystąpienie **Krzysztof Karbowski**. W Dęblinie jest już 200 młodych członków szkolnych kół PTT. Podziękował za wprowadzenie do statutu zapisu o szkolnych klubach PTT. Składka członkowska winna być mobilizująca, a więc niska dla młodzieży. Uważa, że należy wyjść do samorządów z naszą ofertą usług turystycznych. Widzi szansę dotarcia do młodzieży po przejściu szkół przez gminy.



*Gratulacje Nowego Sącza dla Macieja Mischke.
Fot. archiwum O/„Beskid”.*

Antoni Dawidowicz zauważył, że najpierw winniśmy do PTT wciągać nauczycieli i przez nich trafiać do młodzieży. Uznał Pamiętnik za największe osiągnięcie

Towarzystwa. Czy nie należałoby jednak pomyśleć o jakimś pośrednim piśmie, trafiającym do szerszego ogółu? Jego zdaniem PTTK musi przyjąć do wiadomości istnienie GOT PTT i to winno być podstawą do rozmów między nami.

Jacek Nabzdyk (Poznań) stwierdził, że przewodnicy GOT PTT winni przejść egzamin kwalifikacyjny. PTT winno organizować jedną otwartą imprezę turystyczną w roku dla swych członków. Przypominał oferowane już kiedyś „chatki” jako bazę turystyczną do zagospodarowania.

Juliusz Jerzy Preisler (Poznań) przedstawił tragiczną sytuację kolejki bieszczadzkiej; Towarzystwo powinno się tym zainteresować. Ustosunkował się do akcji ochrony kopuły Pilska. Sprawa jest złożona ze względu na problem zatrudnienia miejscowej ludności.

Jan Weigel wyjaśnił, że chodzi o objęcie ochroną kopuły Pilska, a nie całej góry. Zgodnie z literą prawa - „*nic o nas bez nas*” w górach. Należy zabiegać o zwiększenie liczby naszych członków. Władza patrzy na naszą liczebność, pyta „*A ilu Was jest?*” Zwrócił uwagę na rozbieżność w podawanej liczbie członków w stosunku do faktycznie opłacających składki i zaapelował o poprawę w ściągłości składek w oddziałach, bo bez pieniędzy nic nie zdziałamy.

Po zakończeniu dyskusji przegłosowano wniosek Komisji Rewizyjnej w sprawie absolutorium dla ustępującego Zarządu Głównego.

Następnie przyjęto przy 2 głosach wstrzymujących zaproponowaną przez Przewodniczącego Zjazdu prof. Ryszarda W. Schramma uchwałę:

„*Zjazd Delegatów PTT ustanawia stałą Komisję Członkostw Honorowych, w skład której wchodzi wybierany każdorazowo prezes Komisji, z urzędu Prezes Zarządu Głównego oraz wszyscy członkowie honorowi.*” Prezesem tej Komisji na nową kadencję został wybrany Juliusz Jerzy Preisler.

Antoni Dawidowicz przedstawił przyjęte przez Zarząd Główny propozycje zmian Statutu PTT. Zostały poddane przegłosowaniu następujące poprawki przy udziale 84 obecnych na sali delegatów::

1. Zmiana treści § 2. Nowe brzmienie: „*Reaktywowane w roku 1981 PTT jest sukcesorem i kontynuatorem Towarzystwa Tatrzańskiego powołanego w r. 1873 i przemianowanego w r. 1922 na Polskie Towarzystwo Tatrzańskie istniejące do r. 1950.*” Poprawka przyjęta przy 3 głosach wstrzymujących się.
2. Dopisać do § 4 zdanie: „*Oddziały mogą uzyskać osobowość prawną na podstawie uchwały Zarządu Głównego*”. Poprawka przyjęta przy 1 głosie przeciwnym i 1 wstrzymującym się.
3. Poprawka kosmetyczna: w § 8 pkt. 1 skreślić pierwsze słowo „*ich*”. Przyjęto jednogłośnie.
4. W § 8 pkt. 8 zastąpić słowo „*utrzymuje*” słowem „*prowadzi*” schroniska itd.

Poprawka przyjęta przy 1 głosie wstrzymującym się.

5. W § 8 dodać nowy punkt: „*propaguje akcję zdobywania Górskiej Odznaki Turystycznej PTT i szkoli przewodników GOT PTT*“. Poprawka przyjęta przy 1 głosie przeciwnym i 1 wstrzymującym się.
6. W § 31 do zakresu działania Zarządu Głównego dopisać punkt: „*ustalenie wysokości składek członkowskich*“. Poprawka przyjęta przy 9 głosach przeciwnych i 4 wstrzymujących się.
7. § 10. Po słowach „*prawnych*“ dodać „*lub małoletni w wieku 16–18 lat*“. Poprawka przeszła przy 2 głosach sprzeciwu.
8. Dodać jako § 18: „*1. Zjazd może nadać tytuł Prezesa Honorowego. 2. Walne Zgromadzenie Oddziału może nadać tytuł Honorowego Prezesa Oddziału.*“ Poprawka przeszła przy 3 głosach wstrzymujących się.
9. W § 36 pomiędzy punkty 5 i 6 wprowadzić punkt o treści: „*Zarządy Oddziałów mogą powoływać Szkolne Koła i Kluby PTT, których członkami są uczestnicy. Mają oni czynne i bierne prawo wyborcze do władz Koła lub Klubu. Przepisy § 19 oraz punktów 2-5 niniejszego paragrafu stosuje się odpowiednio.*“ Poprawka przyjęta przy 1 głosie wstrzymującym się.
10. § 32. pkt. 1 otrzymuje brzmienie: „*Zarząd Główny składa się z prezesa i 15–25 członków ...*“. Poprawka przeszła przy 2 głosach przeciwnych i 5 wstrzymujących się.
11. Do § 32. pkt. 1 dodać: „*Członkowie Zarządu Głównego z wyjątkiem Prezesa są wybierani spośród delegatów*“. Za poprawką głosowało tylko 19 osób. Poprawka upadła.
12. Do § 32 – zmiana pkt.3: „*Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się co najmniej 3 razy w roku*“. Poprawka przyjęta przy 1 głosie przeciwnym i 1 wstrzymującym się.
13. Dopisać do § 32: „*Uchwały Zarządu Głównego nakładające zobowiązania na oddziały podejmowane są po zasięgnięciu opinii obecnych na posiedzeniu prezesów oddziałów.*“ Poprawka przyjęta przy 3 głosach wstrzymujących.
14. § 36. pkt. 2. liczbę „12“ zastąpić przez „10“ (dotyczy liczebności Koła). Poprawkę przyjęto przy 1 głosie sprzeciwu i 5 wstrzymujących się.

Dodatkowo zgłoszono jako wniosek 14-stu Oddziałów (Kalisz, Poznań, Wrocław, Opole, Nowy Sącz, Nowy Targ, Kraków, oba Oddziały w Radomiu, Dęblin, Zielona Góra, Chrzanów, Brzeg, Gliwice) propozycję przeredagowania pkt. 10 w § 8. Za jednogłośnie aprobatę otrzymał on następujące brzmienie: „*wspiera wszelkie działania na rzecz ochrony środowiska naturalnego gór, górskiego krajobrazu przyrodniczego i kulturowego w jego nawarstwieniach historycznych oraz przeciwdziała szkodliwym wpływom zmasowanego ruchu wycieczkowego na stan zasobów przyrody górskiej*“.

Nie podjęto na Zjeździe żadnych uchwał dotyczących wysokości składek pozostawiając tę sprawę w myśl zgłoszonej do statutu poprawki gestii nowego Zarządu Głównego.

Najważniejszym punktem porządku dziennego Zjazdu były wybory nowych władz Towarzystwa.

Do stanowiska Prezesa pretendowali: Barbara Morawska–Nowak wysunięta przez ustępujący Zarząd Główny oraz dwaj kandydaci z sali: Krzysztof Kabat z Nowego Targu i Antoni Dawidowicz z Krakowa.

Prezesem PTT na nową kadencję został wybrany w tajnym głosowaniu Krzysztof Kabat.

Pośród 29 zgłoszonych **do Zarządu Głównego przeszli** w tajnym głosowaniu i objęli po ukonstytuowaniu się odpowiednie funkcje koledzy:

Wiceprezysi: Maciej Mischke (O/Kraków), Zbigniew Grzegorzewski (O/Łódź, zamieszkały Warszawa), Maciej Zaremba (O/Nowy Sącz),

Sekretarz: Barbara Morawska–Nowak (O/Kraków),

Skarbnik: Ludwik Rogowski (O/Kraków),

Członkowie Prezydium: Antoni Dawidowicz (O/Kraków), Michał Myśliwiec (O/Oświęcim, zamieszkały Kraków), Juliusz Jerzy Preisler (O/Poznań), Romuald Zaręba (O/Kalisz),

Pozostali członkowie Zarządu: Leszek Czarnyszewicz (O/Poznań), Konrad Garda (O/Łódź), Małgorzata Kieres (O/Nowy Sącz), Wojciech Lipa (O/Nowy Sącz), Ewa Michalak (O/Kalisz), Izabella Niewiadomska (O/Nowy Targ), Zbigniew Prusowski (O/Gliwice), Jan Siwiec (O/Gliwice) Janusz Smolka (Radom, O/T.Chałubińskiego), Stanisław Trębacz (O/Chrzanów), Jan Weigel (O/Bielsko–Biała).

Do Głównej Komisji Rewizyjnej i Głównego Sądu Koleżeńskiego zostali wybrani w tajnym głosowaniu na przedstawione listy:

Do Komisji Rewizyjnej:

1. Bronisława Alicja Nabzdyk (O/Opole) – przewodnicząca
2. Stanisław Misztal (O/Bielsko–Biała)
3. Jan Oczkowski (O/Chrzanów)
4. Leszek Raczyński (O/Opole)
5. Tomasz Weber (O/Opole)

Do Sądu Koleżeńskiego:

1. Bogusław Kamiński (O/Opole) – przewodniczący
2. Zbigniew Jaskiernia (O/Sosnowiec)
3. Józef Kwiatkowski (O/Radom T.Chałub.)
4. Czesław Kurkowski (O/ Akad. Radom)
5. Jolanta Mikusińska (O/Nowy Sącz)

6. Jan Poręba (O/Chrzanów)

7. Andrzej Skotnicki (O/Bielsko–Biała).

Ostatnim punktem Zjazdu było **podjęcie uchwał**. Projekty ich w imieniu Komisji Wnioskowej przedstawiła kolejno Małgorzata Kieres. Przyjęto następujące uchwały:

1. Skierować apel do Komitetu MAB UNESCO w sprawie wycinania lasów na terenie TANAP-u.
2. Wprowadzić zakaz palenia tytoniu na terenie Tatrzańskiego Parku Narodowego.
3. PTT popiera działania w sprawie ochrony kopuły Pilska.
4. Przeprowadzić rozmowy z Dyrekcją TPN na temat zasad wprowadzenia karty turysty wysokogórskiego uprawniającej do poruszania się poza szlakami.
5. Zarząd Główny będzie dążył do rozszerzenia współpracy z organizacjami rządowymi, pozarządowymi i międzynarodowymi.
6. Zobowiązuje się oddziały do poszukiwania sposobów finansowania działalności.
7. Zarząd Główny zajmie się szkoleniem przewodników górskich z porozumieniem z PTTK.
8. Zobowiązać Oddziały do terminowego odprowadzania składek do Zarządu Głównego.
9. Powołać Komisję do spraw Odznaczeń.
10. Zarząd Główny powoła Sekcję Ochrony Przyrody, której działalność zastąpi praktycznie nieistniejące Towarzystwo Ochrony Tatr.
11. Składki członkowskie ustala Zarząd Główny.

Ponadto przyjęto jako dezyderaty do rozpracowania przez Zarząd Główny:

1. Wystąpienie do wojewody bielsko-bialskiego w sprawie wstrzymania wyrębu prywatnych lasów w Beskidach, zwłaszcza w Beskidzie Żywieckim.
2. Zorganizować akcję „Lato“ dla członków PTT i innych osób.

Przewodniczącą Zjazdu prof. Ryszard W. Schramm zamknął trwające blisko 12 godzin pracowite obrady. Mimo mocno spóźnionej pory zebrali się nowowybrane władze celem ukonstytuowania się. Postanowiono, że następne posiedzenie nowego Zarządu Głównego PTT odbędzie się 20 stycznia 1996 roku w Krakowie.

Ostatnim wspólnym akcentem III Zjazdu PTT (choć niektórzy już skoro świt opuścili schronisko) była Msza św. odprawiona na wczorajszej sali obrad przez najwytrwalszego gościa Zjazdu, uczestniczącego cały czas w obradach ks. Władysława Pilarczyka. Mottem homilii uczynił wiersze Adama Asnyka, jednego z inicjatorów założenia Towarzystwa Tatrzańskiego:

*„Trzeba z uporem naprzód iść,
po życie sięgać nowe,
a nie w uwiedłych laurów liść
z uporem stroić głowę...”*

[Daremne Żale]

*„Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
szukajcie nowych nieodkrytych dróg,
za każdym krokiem w tajniki stworzenia,
coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
i większym staje się Bóg.
Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
choć sami macie doskonalsze wznieść,
na nich się jeszcze święty ogień żarzy
i miłość ludzka stoi tam na straży
i im winniście swą cześć“.*

[Do młodych]

Iść do przodu i dbać zarazem o tradycję!

Te słowa po ponad stu latach nie przestały być aktualne. Z rozwijanych myśli Asnyka czuliśmy, że mówi do nas nie tylko ksiądz ale i działacz społeczny, bądź co bądź prezes Towarzystwa Przyjaciół Orawy, stykający się z podobnymi jak w naszym Towarzystwie problemami.

Dodatkowo przekazał nam ks. Pilarczyk jeszcze jedną myśl:

„Kto kocha przyrodę, nie potrzebuje żadnych nakazów i zakazów, aby ją szanować.“
Serdecznie dziękowaliśmy Księdzu z nadzieją na dalsze nasze spotkania i kontakty.

B.M.N.



Fot. M. Zaremba.

Przedstawiamy nowego Prezesa

Krzysztof Kabat z urodzenia Wielkopolek, a z wyboru Podhalań. Pewnie dlatego przez solidarność plemienną kandydaturę jego zgłosił delegat z Poznania. Żeby nie było wątpliwości co do jego wieku (niektórzy dziennikarze podali, że jest trzykrotnie młodszy od poprzedniego Prezesa, który nie ma jeszcze 120 lat) podajemy dokładną datę jego urodzenia. Urodził się 15 stycznia 1954 roku w Chodzieży.

Krzysztof Kabat ukończył studia teologiczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w zakresie teologii ikonografii bizantyjskiej. Pracuje twórczo w zakresie malarstwa ikonowego, sztalugowego i monumentalnego wraz z projektowaniem wystroju wnętrz kościelnych, tkaniny artystycznej, płaskorzeźby i snycerki, witrażnictwem. W bogatym dorobku twórczym miał 29 wystaw indywidualnych, udział w 22 wystawach zbiorowych, realizację 5 wnętrz kościelnych, kilka nagród, w tym stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Od kilku lat mieszka w Nowym Targu. Ze sztuki samej trudno jednak wyżyć, zwłaszcza z rodziną. Stanowią ją żona Anna i 3 córki: Magdalena - uczennica V kl., Kinga - uczennica III kl. i dwuletnia Agnieszka. Podejmował więc rozmaite zajęcia, ostatnio jest nauczycielem plastyki w Szkole Podstawowej nr 11 w Nowym Targu.

Formowanie się pasji tatrzańskich Krzysztofa Kabata rozpoczęło się w latach 70-tych. Przyjaźnie zawiązane wśród „ludzi gór” i Podhalań pomogły w podjęciu decyzji zamieszkania na stałe pod Tatrami. Szczególną rolę odegrali w tym państwo Zofia i Tadeusz Staichowie, Olga i Stanisław Krupowie z Ludźmierza i znany poeta Jan Fudala z Rabki. Pod ich wpływem następowało u Krzysztofa przewartościowanie z postawy „pazernego” na sukcesy górskie turysty na głębsze rozmiłowanie w Tatrach, przyrodzie i kulturze Podhala. Humanistyczna postawa i głęboki duchowy stosunek do drugiego człowieka stoi jak się wydaje u podstaw wszelkich jego działań, także w PTT. Chce, aby był to szczególnie akcent jego założeń programowych jako Prezesa Towarzystwa. Dlatego pisał: „Bądźmy Towarzystwem... Przyjaźń między nami przede wszystkim...”.



NOWI CZŁONKOWIE HONOROWI

Zdzisław Dziędzielewicz – Kirkin

Jeszcze dziś często się go spotyka na ścieżkach tatrzańskich i w schroniskach. Tatry uмиłował bowiem ponad wszystko i w nich czuje się najlepiej.

Zdzisław Dziędzielewicz – Kirkin urodził się 25 września 1916 roku we Lwowie. Lata szkolne spędził na Podhalu, chodząc na wycieczki tatrzańskie od 1929 roku. Harcerz, od 1933 r. prowadził harcerskie obozy wędrownie. W latach 1934–1939 studiował na Politechnice Lwowskiej, studia ukończył po wojnie w Gliwicach. Szereg lat, aż do przejścia na emeryturę w 1979 roku, pracował jako projektant w przemyśle hutniczym. W 1936 r. Zdzisław Dziędzielewicz zaczął uprawiać taternictwo, w 1937 roku założył wraz z kolegami harcerski klub taternicki „Makolągwy”. W roku 1939 dokonał kilku pierwszych wejść: lewą częścią zachodniej

ściany Kościelca i środkową częścią północnej ściany Wielickiego Szczytu (obie drogi ze Zbigniewem Kubińskim), lewą częścią wschodniej ściany Zawratowej Turni (ze Stanisławem Wrześniakiem). Po wojnie przez wiele lat z ogromnym zaangażowaniem uprawiał taternictwo letnie i zimowe, przechodząc wiele nowych dróg. Jest np. współautorem pierwszego zimowego przejścia żlebu Drege’a na Granatach. Poza Tatrami wspinał się w Alpach Wschodnich, Dolomitach i na Kaukazie.

Od 1945 roku był członkiem Klubu Wysokogórskiego PTT. Był jednym z założycieli Kół Klubu Wysokogórskiego w Katowicach i w Gliwicach. Był bardzo aktywnym działaczem w zarządach i komisjach tych kół, także w Zarządzie Głównym KW. Szczególnie zamiłowany w szkoleniu młodych adeptów, był wykładowcą, instruktorem taternictwa i narciarstwa, kierownikiem kursów i różnych imprez taternickich w Tatrach w lecie i zimie. Równocześnie był znanym przewodnikiem tatrzańskim. Od 1945 roku był członkiem ochotnikiem TOPR, uczestnicząc w wielu wyprawach ratunkowych. Nadal pisuje artykuły na tematy turystyczne, taternickie, alpinistyczne, ratownicze i związane z ochroną przyrody.



1957. Fot. J. Słupski.

Zdzisław Dziędzielewicz – Kirkin z radością przyjął wiadomość o powstaniu PTT, wstąpił do Oddziału PTT w Krakowie, a następnie po zorganizowaniu się Oddziału w Gliwicach, przeniósł się tam, służąc młodszym kolegom radą i doświadczeniem. Sam niezwykle skromny, otwarty i przyjazny ludziom, jest osobą znaną także i w naszym środowisku. Dlatego postanowiliśmy nadać Mu członkostwo honorowe Towarzystwa Tatrzańskiego.

Barbara Morawska – Nowak

Fot. J. Konieczniak. 1984.



Władysław Krygowski

Urodził się 23 stycznia 1906 r. jako syn Stanisława Krygowskiego, wybitnego taternika i wieloletniego działacza Zarządu Głównego PTT. W r. 1928 ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Już jako młody chłopiec był członkiem PTT. Od 1933 r. działał w ZG PTT: w latach 1933–1936 jako sekretarz generalny, a w latach 1936–1939 jako wiceprezes. Należał do grona pierwszych przewodników (przodowników) Górskiej Odznaki Turystycznej PTT, powołanych przez ZG PTT w 1935 r.

Wzięty do niewoli jako oficer rezerwy podczas kampanii wrześniowej 1939 roku, lata wojny spędził w obozie jenieckim w Niemczech. Powróciwszy do kraju w 1947 r. został etatowym pracownikiem ZG PTT, pełniąc różne funkcje. Bardzo aktywnie działał

przede wszystkim w Komisji Turystyki Górskiej, której był wieloletnim przewodniczącym, najpierw w PTT, a następnie w PTTK. W latach 1950 – 1975 był redaktorem „Wierchów”.

Władysław Krygowski, jak nikt inny, reprezentuje na przestrzeni kilkudziesięciu lat ciągłość naszego ruchu i starań, pomimo wielu zawirowań, nacisków i bardzo złych okresów, o utrzymanie jego linii. Przed kilku tygodniami w rozmowie ze mną powiedział na temat wymuszonego zjednoczenia PTT i PTK oraz pozostania przy pracy i turystyce górskiej w ramach PTTK: – „*Pan sobie nawet nie wyobraża, jak to była bolesna i ciężka dla mnie decyzja. Były dwa powody, dla których ją podjąłem. Po pierwsze – chciałem za wszelką cenę próbować ratowania, co się da, z ideologii ruchu górskiego, dawnej ideologii PTT. Po drugie – to był mój chleb. Byłem etatowym pracownikiem organizacji. To był mój jedyny zawód. Jako przedwojenny adwokat, po*

kilkunastu latach przerwy i w warunkach, które właśnie wymusiły to zjednoczenie, nie miałem żadnych szans na powrót do mego wyuczonego zawodu. Starłem się w tych warunkach robić jak najlepiej to, co umiałem, w co wierzyłem i w czym ulokowałem moje serce". Dowód tego dawał w swojej bogatej działalności publicystycznej, często bezimiennej, lub pod pseudonimem. Najpiękniejszym wyrazem miłości do gór są jego książki, które napisał już w późnym wieku, na emeryturze, wracając w nich do czasów dawnego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Myślę, że Władysław Krygowski w pełni zasłużył na honorowe członkostwo PTT. Czuję się zażenowany, że Towarzystwo obdarzyło mnie tą godnością przed nim.

Ryszard W. Schramm

Maciej Mischke

Jeżeli ktoś ma zasługi dla obecnego PTT, to bez wątpienia największe i niepodważalne ma nasz były prezes – Maciej, a właściwie – Antoni Maciej Mischke.

Urodził się 11 marca 1909 r. w Czerniowcach na Bukowinie jako drugi syn dr Tadeusza Mischke, znanego dentysty, eugenika i filozofa. W roku 1913 rodzina Mischków zamieszkała w Zakopanem, gdzie Maciej ukończył gimnazjum w Lillianie w roku 1927. Dzieciństwo i młodość spędzona u podnóża Tatr dały mu okazję poznania ich od wczesnych lat. Przewodnikiem był mu starszy o 10 lat brat Kazimierz (patrz „Pamiętnik PTT” t. 3: Mój brat, mój mistrz). Wcześniej też i wszechstronnie opanował jazdę na nartach rozmaitymi stylami.

Maciej Mischke ukończył w 1934 roku Wydział Inżynierii Lądowej i Wodnej Politechniki Lwowskiej, a następnie odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy przy 48 ppsk w Stanisławowie. W roku 1935 rozpoczął pracę zawodową przy regulacji rzek i potoków Rzeszowszczyzny. Wkrótce jednak przeniósł się do Krakowa, tu ożenił się w roku 1937 z koleżanką ze studiów Danutą Krużlewską i miastu temu – poza okresem II wojny światowej – pozostał już wierny.

W 1939 roku, jako pracownik Okręgowego Urzędu Budownictwa Wojskowego, ewakuował się wraz z Urzędem do Rumunii, skąd przedostał się do Francji, aby odbyć kampanię 1940 roku jako podchorąży w I Dywizji Grenadierów. Po kapitulacji



Fot. J. Koniecznik

Francji dostał się do niewoli, z której uciekł do Szwajcarii i tam został internowany w obozie wojskowym Rohrbach (kanton Bern). W Rohrbach spotkał kilku taterników: dr Tadeusza Piechowicza, Jerzego Hajdukiewicza i Jana Sawickiego, ówczesnego asa taternictwa polskiego. W listopadzie 1940 r. został wraz z dr Piechowiczem przeniesiony do Obozu Uniwersyteckiego Winterthur.

W czasie pobytu w Szwajcarii, Maciej Mischke pracował zawodowo i społecznie, pełnił funkcję asystenta i wykładowcy na obozowym Wydziale Inżynierii. Nas jednak najbardziej zainteresuje jego górska działalność alpejska. W czasie wycieczki na Piz Sol odbytej 15 marca 1942 r., Maciej Mischke wraz z Jerzym Hajdukiewiczem, Marianem Jankowskim i Romanem Golczewskim powołali Klub Wysokogórski Winterthur. Maciej Mischke był prezesem tego Klubu aż do swego powrotu do kraju w 1946 roku. Całokształt działalności Klubu zamknął się liczbą 162 wypraw letnich i zimowych z 237 wejściami, z czego 26 na szczyty czterotysięczne. Klub wydał w latach 1944 – 1945 pięć zeszytów „Taternika”. Niektóre wyprawy Maciej Mischke opisał w II tomie „Pamiętnika PTT”, a całokształt działalności Klubu w „Wołaniu”. *„Los był dla mnie taskawy, pozwalając mi uganiać się po szczytach za mi-
rażem szczęścia, w czasie wojny”* – wspomina.

Po powrocie do kraju prowadził do 1956 roku zajęcia dydaktyczne na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej oraz Budownictwa Ogólnego Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej. Równocześnie trudnił się projektowaniem. W latach 1951–1963 pracował w Biurze Projektów Przemysłu Cementowego i Wapienniczego, od 1965 aż do emerytury w r. 1974 prowadził Dział Techniczny w Krakowskim Biurze Projektowo-Badawczym Budownictwa Ogólnego. Wykonywał i do dziś wykonuje liczne ekspertyzy, opublikował dwa podręczniki i 63 inne prace. Jest też biegłym sądowym w dziedzinie budownictwa. Działal społecznie w organizacjach branżowych. Za pracę zawodową i społeczną został zaszczycony wieloma odznaczeniami.

Działalność górską, letnią i zimową, prowadził nieprzerwanie przez 68 lat. Po wojnie miał duże osiągnięcia w taternictwie zimowym w Tatrach Zachodnich, gdzie dokonał szeregu pierwszych i drugich wejść, partnerem była mu często żona Danuta. Łącznie w latach 1946 – 1988 dokonał 979 wejść letnich i zimowych. Ma także duże osiągnięcia w narciarstwie wysokogórskim. Wprowadził krótkie narty, zwane od jego nazwiska „miskami”. Na nartach tych podejmował bardzo ryzykowne zjazdy, m.in. z Kościelca, Rysów, Miedzianego, Żółtej Turni, Kominów Tylkowych przez dolinę Smytnią. W roku 1969 – pięćdziesiątym pierwszym roku uprawiania narciarstwa – uzyskał jubileuszową odznakę zjazdową 50 – lecia Polskiego Związku Narciarskiego.

W roku 1946 został członkiem zwyczajnym Klubu Wysokogórskiego PTT. W czasie kadencji dr Jana Dorawskiego był sekretarzem Zarządu Głównego Klubu. Następnie był wiceprezesem, a przejściowo prezesem Koła Krakowskiego KW. Pełnił też

funkcję członka, a następnie (do 1977 roku) przewodniczącego Komisji Dyscyplinarnej KW Kraków. W 1949 r. został instruktorem taternictwa, szkoleniem zajmował się do 1971 roku. W 1977 r. uzyskał godność członka honorowego Klubu Wysokogórskiego Kraków, zaś w 1992 – Polskiego Związku Alpinizmu.

W roku 1958 został członkiem zwyczajnym Grupy Tatrzańskiej GOPR (obecnie TOPR).

W roku 1981 przystąpił do Obywatelskiego Komitetu Reaktywowania PTT, brał udział w Sejmiku proklamującym odrodzenie PTT i został członkiem Tymczasowego Zarządu Głównego. Na zebraniu założycielskim Oddziału Krakowskiego PTT, odbytym 23 lutego 1983 r., został prezesem Oddziału. Po nakazie rozwiązania PTT w 1984 r., Oddział działał nadal przy Dzielnicowym Domu Kultury Podgórze, a prezes Mischke brał udział w ogólnopolskich spotkaniach byłych ośrodków PTT, a następnie przejął wiodącą rolę w doprowadzeniu do rejestracji Towarzystwa.

Maciej Mischke jest naszym niekwestionowanym autorytetem. W 1989 r. po legalizacji, został wiceprezesem Tymczasowego Zarządu Głównego PTT. Przy braku zaangażowania ówczesnego prezesa, przejął inicjatywę i doprowadził do zwołania I Zjazdu Delegatów Towarzystwa Tatrzańskiego, na którym uchwalono powrót do dawnej nazwy – Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. Na Zjeździe tym został wybrany prezesem ZG PTT i funkcję tę pełnił, mimo podeszłego wieku, przez dwie kadencje. Z żalem przyjęliśmy decyzję o jego rezygnacji z funkcji prezesa i ucieszyliśmy się, że pozostał wiceprezesem, poczuwając się do odpowiedzialności za dalsze losy Towarzystwa, które ukształtował.

Wnoszę o nadanie Antoniemu Maciejowi Mischke godności nie tylko Członka Honorowego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, ale także godności honorowego prezesa PTT.

Barbara Morawska – Nowak

Zofia Radwańska-Paryska

Witold Henryk Paryski

Są osobami najbardziej znanymi wszystkim, którzy interesują się Tatrami. Od siedemdziesięciu lat są związani z Zakopanem jako znani taternicy, znawcy Tatr i wielcy orędownicy ich ochrony.

Zofia Radwańska – Paryska

Urodziła się 3 maja 1901 roku w Warszawie. Studia ukończyła na Uniwersytecie Warszawskim, uzyskując doktorat z botaniki i geografii w 1933 r. Od 1921 r. corocznie bywała w Tatrach, uprawiając intensywnie turystykę, od tego też czasu należała do PTT. Od 1923 roku uprawiała taternictwo i narciarstwo wysokogórskie. W latach 30

– tych była jedną z czołowych taterniczek i alpinistek polskich. Jako pierwsza kobieta prowadziła w Tatrach na drogach nadzwyczaj trudnych, dokonała wielu pierwszych przejść. Jako pierwsza kobieta została później przewodnikiem tatrzańskim. Jako pierwsza i jedyna przed wojną kobieta była oficjalnym członkiem wyprawy Klubu Wysokogórskiego w Alpy (1937) i wtedy jako pierwsza Polka weszła na Monte Rosa, Materhorn, Grandes Jorasses. W roku 1938 wraz z Maciejem Zajączkowskim dokonała pierwszego przejścia trudnej grani Freiwanddeck – Fascherkarkopf, a w 1939 r. była kierowniczką wyprawy narciarskiej w Dolomity. Działała w zarządzie Oddziału Warszawskiego KW PTT, potem w zarządzie Koła Zakopiańskiego Klubu. W ramach jego działalności zorganizowała pierwszą Szkołę Taternictwa na Hali Gąsienicowej w latach 1938 – 1939 (instruktorem była już w 1934 r.). W 1939 r. sędziowała na zawodach FIS.

W 1938 r. osiadła na stałe w Zakopanem, w tym też czasie związała swe życie z Witoldem H. Paryskim.

Witold Henryk Paryski

Urodził się 10 września 1909 r. w Pittsburgu (USA). W Zakopanem zamieszkał w 1922 roku, tam zdał maturę (1928), następnie ukończył medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim (1933). Turystykę uprawiał od 1922 r., narciarstwo turystyczne od 1923, a taternictwo od 1925 roku. Uczestniczył w licznych pierwszych wejściach, wspinał się też w zimie. W latach 1936 – 1937 był uczestnikiem drugiej polskiej wyprawy w Andy, a w 1938/1939 w wyprawie do Nikaragui. Działał w zarządach Sekcji Taternickiej AZS, Sekcji Turystycznej PTT, Klubu Wysokogórskiego i PTT. Starszy instruktor taternictwa, przewodnik tatrzański i ratownik, członek TOPR od 1928 roku.

Lata wojny spędzili państwo Paryscy w Zakopanem. Jako obywatel USA, Witold Paryski był więziony przez gestapo najpierw w zakopiańskim „Palace“, w krakowskim więzieniu na ul. Montelupich, potem internowany w niemieckich obozach w Bawarii.



Fot. K. Gorazdowska.

Pani Zofia aktywnie działała w zakopiańskiej Opiece Społecznej i w tajnym nauczaniu, pomagała uciekinierom przez Tatry na Węgry. W latach 1944 – 1945 pracowała w nadleśnictwie „Zakopane 2” jako referent do spraw ochrony przyrody, zajmując się m.in. rekultywacją roślinności doliny Jaworzynki. Po wojnie (1945 – 1951) była kustoszem działu przyrodniczego w Muzeum Tatrzańskim, a w latach 1951 – 1971, aż do przejścia na emeryturę – kierownikiem Tatrzańskiej Stacji Naukowej Zakładu Ochrony Przyrody PAN na Antałówce w Zakopanem, przy której urządziła ogród naukowy roślin tatrzańskich, prowadząc równocześnie badania florystyczne w Tatrach i na Podtatrzu. Opublikowała szereg prac naukowych i popularno-naukowych z dziedziny botaniki i ochrony przyrody, z których najbardziej znany jest album „Zielony świat Tatr”, za który otrzymała w roku 1957 nagrodę literacką Zakopanego.

O sprawach ochrony przyrody pisał także pan Witold. Inne jego liczne publikacje dotyczyły historii poznania Tatr, dziejów turystyki i taternictwa, biografii ludzi gór, pasterstwa, nazewnictwa. Wspólnie z żoną wydał podręcznik „Zasady turystyki górskiej” (Warszawa 1953) i popularne przewodniki po Tatrach. Witold H. Paryski wydał także przewodnik taternicki „Tatry Wysokie” w 24 tomach. Przez szereg lat był redaktorem naczelnym „Taternika”.

Jednak największym osiągnięciem życiowym państwa Paryskich stało się monumentalne dzieło „Wielka encyklopedia tatrzańska”, owoc ich wieloletniej, mrówczej, wprost benedyktyńskiej pracy. Poprzedziło je wydanie w 1973 r. „Encyklopedii tatrzańskiej”, o wiele jednak mniejszej objętościowo.

Mimo sędziwego już wieku (pani Zofia ukończyła 94 lata, a pan Witold 86), nadal niestrudzenie pracują. Witold Paryski zajął się opracowaniem słownika gwary podhalańskiej, świadomy, że nie tylko przyroda, ale także kultura ludowa jest zagrożona w swoim istnieniu. Państwo Paryscy byli już wielokrotnie honorowani przez różne gremia i instytucje. Ostatnio, jako pierwsi, otrzymali medal „Dobroczyńcy TPN”, ustanowiony w 40 – lecie Parku. Niechże i nam wolno będzie prosić te niezwykle zasłużone dla Tatr i turystyki górskiej osoby o przyjęcie członkostwa honorowego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Barbara Morawska – Nowak

Jan Sawicki

Był przed wojną i obecnie jest członkiem PTT, jest również członkiem honorowym Klubu Wysokogórskiego.

Urodził się 16 grudnia 1909 r. w Bereźnicy Królewskiej koło Żydaczowa. Od r. 1911 mieszkał w Zakopanem, gdzie ukończył gimnazjum. Uczył go tam m.in. Mieczysław Świerż. Studiował historię na Uniwersytecie Jagiellońskim i weterynarię we

Lwowie. Od szesnastego roku życia aktywnie uprawiał taternictwo. Od 1929 r. zaliczał się do ścisłej czołówki dzięki przejściu Filara Leporowskiego na Kozim Wierchu i północnego żlebu Koziej Przełęczy Wyżniej. Wspinał się głównie ze Stanisławem Motyką oraz Stefanem Zamkovskim, Janem Gnojkiem i Jerzym Hajdukiewiczem. Jego drogi rozwiązywały piękne problemy wspinaczkowe i można je znaleźć w każdym tomie przewodnika wspinaczkowego Witolda Paryskiego.

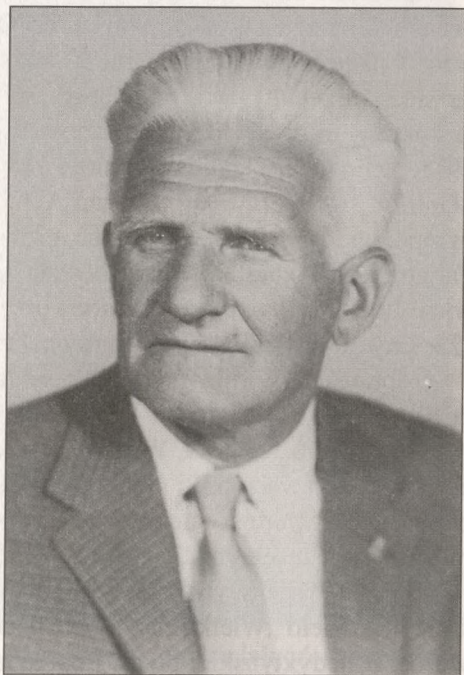
Wojna przerwała Janowi Sawickiemu studia i działalność wspinaczkową. Zmuszony do ucieczki po zadenuncjonowaniu dopiero co zorganizowanej siatki dywersyjnej której był członkiem, udał się przez Tatry na Węgry i dalej do Francji, gdzie walczył w armii polskiej. Internowany w Szwajcarii, uciekł przez Francję i Hiszpanię do Anglii.

W latach 1943 – 1945 pływał jako marynarz w polskiej flocie handlowej w konwojach przez Atlantyk, uczestniczył też w inwazji Normandii.

Po wojnie pozostał w Anglii. Podejmował pracę w różnych zawodach, został w końcu malarzem pokojowym. Wspinał się w górach Walii z Zygmuntem Klemensiewiczem i Stanisławem Krystynem Zarembą. Usiłował zorganizować Polski Klub Wysokogórski w Anglii (próby te opisał w emigracyjnym piśmie „Polska Walcząca” 9.08.1947).

Od roku 1974 regularnie odwiedzał Polskę, przebywając przez szereg tygodni w Zakopanem i Tatrach, gdzie mimo zaawansowanego wieku wspinał się do ostatnich lat. Obecnie na skutek niemal zupełnej utraty wzroku przebywa w domu opieki w Walii.

Tomasz Weber

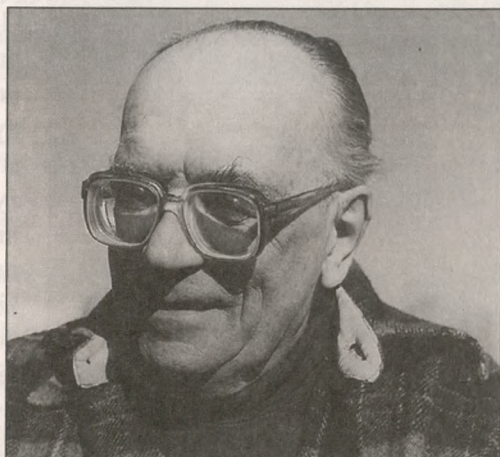


Fot. Archiwum.

Stanisław Siedlecki

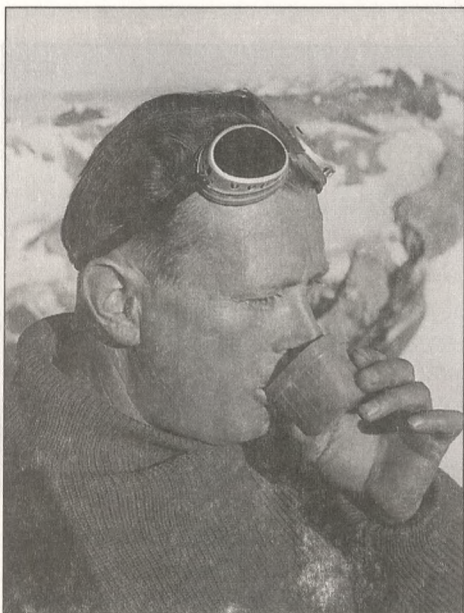
Urodził się 17 września 1912 r. jako syn Michała Siedleckiego, wybitnego zoologa, podróżnika, działacza ochrony przyrody i taternika. Już jako kilkunastoletni chłopak został członkiem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i zaczął uprawiać tu-

rystykę tatrzańską, a wkrótce taternictwo. Wnet też zapisał na swoje konto szereg pięknych pierwszych przejść tatrzańskich w towarzystwie tak wybitnych wspinaczy i działaczy jak m.in. Stanisław Motyka, Jan Sawicki czy Stefan Bernadzikiewicz. Jako dwudziestoletni student, po spędzeniu roku na Wyspie Niedź-wiedziej, rzucił myśl zorganizowania wyprawy alpinistycznej na Spitsbergen, która już w początkowych stadiach planowania przerodziła się w wyprawę naukowo-alpinistyczną, opartą w całości o



Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, które też w znacznej mierze ją sfinansowało. W okresie wojny należał do nielicznych taterników intensywnie wspinających się, pomimo wielkich trudności, a nawet niebezpieczeństwa grożącego ze strony okupanta. W ostatnim roku wojny zorganizował ochotniczą grupę młodych taterników, wraz z którą, z bazy w schronisku pod Wagą, zabezpieczał, z mandatu Prezesa Zarządu Głównego PTT prof. Walerego Goetla, przed zniszczeniem schroniska PTT przy Morskim Oku i w Roztoce. Po wojnie został pierwszym prezesem Klubu Wysokogórskiego PTT, ponownie piastował tę godność w latach 1950-51. Zaprojektował wyprawę Klubu Wysokogórskiego PTT w Alpy i kierował nią w r. 1947. W połowie lat pięćdziesiątych, powołany przez Polską Akademię Nauk, zorganizował stałą polską stację badawczą na Spitsbergenie i kierował przez kilka lat jej pracami. Przy budowie stacji w całości oparł się na kolegach z Klubu Wysokogórskiego, w którą to samodzielną organizację przekształcił się, zachowując nazwę, dawny Klub Wysokogórski PTT po niefortunnych próbach zmieszczenia się w nowych strukturach PTTK. W roku 1960 został członkiem honorowym Klubu Wysokogórskiego. Zmuszony w połowie lat sześćdziesiątych do pozostania za granicą, przez długi szereg lat pracując na obczyźnie, zawsze z naciskiem podkreślał, że jest Polakiem i reprezentuje naukę polską. Zaczął odwiedzać Polskę corocznie od 1978 r., a w roku 1991 wrócił na stałe.

Ryszard W. Schramm



Jan Staszek

Urodził się 16 stycznia 1915 r. w Zakopanem. Górnik, taternik, alpinista, polarnik, przewodnik i ratownik tatrzański, od młodych lat był członkiem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Od czternastego roku życia uprawiał turystykę w Tatrach i taternictwo. W okresie przedwojennym swoimi rekordowymi na owe czasy przejściami zimowymi wraz ze Zbigniewem Korosadowiczem doprowadził polskie taternictwo zimowe do poziomu, który wkrótce zaowocował przejściami w Alpach, zbliżającymi nasz alpinizm do czołówki światowej. W roku 1934 w wieku 19 lat wraz z Pawłem Voglem przeszedł 3/4 grani Tatr Wysokich - była to najbardziej zaawansowana próba aż do rozwiązania tego prob-

lemu w roku 1946 przez Adama Górkę i Kazimierza Paszuchę. Był inicjatorem, uczestnikiem i kierownikiem pierwszego przejścia całej grani Tatr od Przełęczy Zdziarskiej do Huciańskiej (5 osób, 11 dni). Za przejście to cała grupa otrzymała pierwszy w historii taternictwa medal „Za wybitne osiągnięcia sportowe”. Przed wojną pracował jako dziennikarz, publikując reportaże i artykuły na tematy tatrzańskie. Po wojnie pracował szereg lat w Wytwórni Papierów Wartościowych; był autorem wielu polskich banknotów. Działał w Klubie Wysokogórskim i w redakcji „Taternika”. Brał udział w czterech grupowych wyjazdach alpejskich i trzech polarnych (Spitsbergen). W roku 1963 został członkiem honorowym Klubu Wysokogórskiego.

Ryszard W. Schramm

NASZE ODZIAŁY

Obecnie PTT posiada 22 Oddziały terenowe (według składek opłaconych za rok 1994). Podstawowe informacje o nich są zestawione poniżej (stan na 31.10.1995)

Oddział PTT	Prezes	Adres kontaktowy
Bielsko-Biała	Jan Weigel	ul.Karłowicza 4/32 43-300 Bielsko-Biała
Brzeg	Stanisław Gerega	ul.Majora Hubala 17a/407 45-275 Opole
Chrzanów	Stanisław Trębacz	ul.Trzebińska 1/14 32-500 Chrzanów
Dęblin	Krzysztof Karbowski	ul.Warszawska 60b 08-530 Dęblin
Gliwice	Zbigniew Prusowski	ul.Sudecka 11 44-200 Rybnik
Kalisz	Romuald Zaręba	ul.Toruńska 18/1 62-800 Kalisz
Kraków	Antoni Leon Dawidowicz	ul.Czarnowiejska 101/38 30-049 Kraków
Łódź	Zbigniew Grzegorzewski	ul.Waliców 19/7 00-865 Warszawa
Nowy Sącz, Oddz. Beskid	Maciej Zaremba	ul.Królowej Jadwigi 43/7 33-303 Nowy Sącz
Nowy Targ, Oddz. Podhalański	Wiktor Wąsowicz	Biuro Przewozów Międzynarod. Jordan, Dworzec PKS al. Tysiąclecia, 34-400 Nowy Targ
Opole	Leszek Raczyński	ul.Piotrkowska 9/30 45-384 Opole
Ostrzeszów	Józef Michlik	Młoda Hora 291 34-371 Ujsoły
Oświęcim	Michał Mysliwiec	ul.Jerzmanowskiego 10/35 30-836 Kraków
Poznań	Juliusz Jerzy Preisler	ul.Działowa 8/18 61-747 Poznań
Radom, Oddz. Akademicki	Tomasz Mazur	ul.Wyścigowa 10/7 26-600 Radom
Radom, Oddz. T.Chałubińskiego	Janusz Smolka	ul.Słowackiego 45/8 26-600 Radom
Słupsk (Koło)	Jacek Kaczmarzyk	Instytut Geografii WSP, ul.Partyzantów 27, 76-200 Słupsk
Sosnowiec	Zbigniew Jaskiernia	ul.1 Maja 21 41-200 Sosnowiec
Warszawa	Jerzy Lefeld	ul.Cieszkowskiego 1/3 m 103 01-636 Warszawa
Wrocław	Artur Desławski	ul.Wisłańska 18/5 54-152 Wrocław
Zielona Góra	Józef Czechowski	ul.Zawiszy Czarnego 11 65-587 Zielona Góra

Sprawozdania Oddziałów dotyczą działalności w roku 1994. W kilku przypadkach podano aktualne składy zarządów po wyborach w 1995 roku. Zamieszczono również informację o powstaniu nowego Oddziału w Sosnowcu ze składem zarządu i listą członków.

Oddział PTT w Bielsku-Białej

Od początku kadencji Zarządu liczba członków oddziału potroiła się. Powołane zostało Koło w Żywcu liczące szesnaście osób. We czwartki odbywały się spotkania członków w lokalu Oddziału, natomiast zebrania z programem organizowane były co kwartał. W czasie zebrania wygłaszane były prelekcje, m.in. „60 lat polskich wypraw polarnych“, „Czarnohora i Gorgany“, „Aconcagua“, „120 – lecie przewodnictwa tatrzańskiego“, „60 – lecie Oddziału PTT w Bielsku“.

Oddział posiada gablotkę, w której zamieszczane są informacje o działalności Towarzystwa i Zarządu Oddziału. Wydawany jest biuletyn informacyjny Oddziału (4 numery rocznie).

Powołano Koło Przewodników Oddziału PTT w Bielsku-Białej zrzeszające ponad 20 przewodników beskidzkich i tatrzańskich.

Zorganizowano wiele wycieczek dla członków i sympatyków Towarzystwa, jak również dla młodzieży bielsko-bialskich szkół, głównie w Beskid Śląski, Mały i Wysoki, a także w Tatry, Gorce, Bieszczady i Sudety oraz w góry Słowacji. W roku 1994 grupa członków Oddziału przebywała w Wysokich Taurach, dokonując wejść w grupie Grossvenedieger.

Ważnym elementem pracy Oddziału były działania na rzecz ochrony przyrody. Współpracowano z Pracownią na Rzecz Wszystkich Istot w sprawach ratowania Puszczy Białowieskiej, ochrony kopuły Pilska oraz gatunkowej ochrony wilka na obszarze województwa krośnieńskiego.

Na wniosek Oddziału w Bielsku-Białej, Zarząd Główny zaapelował do wszystkich członków Towarzystwa o zbieranie podpisów pod apelem do premiera RP o wstrzymanie cięć wszystkich starych puszczańskich drzewostanów i pojedynczych pomnikowych drzew oraz utworzenie Parku Narodowego na całym obszarze Puszczy. Akcję koordynował Oddział. Pod apelem złożyło podpisy 4590 osób, a najwięcej – 1346 podpisów zebrali sami członkowie Oddziału.

Apel o objęcie wilka całoroczną ochroną gatunkową i wstrzymanie odstrzału na terenie województwa krośnieńskiego, skierowany do wojewody krośnieńskiego, podpisało niemal 300 osób. 150 podpisami poparto projekt ustawy konstytucyjnej „Ekologiczna konstytucja RP“.

W okresie wiosennym członkowie i sympatycy Oddziału brali udział w sprzątaniu potoków górskich w ramach akcji „Czyste wody Beskidów“, jesienią sprzątano szlaki turystyczne i nartostrady w Beskidzie Śląskim i Małym w ramach „Dni Czystych Gór“, organizowanych pod auspicjami UIAA. W akcjach tych każdorazowo brało udział od stu kilkudziesięciu do ponad dwustu osób.

Uruchomiono dwie nowe stacje turystyczne PTT i Oddział posiada obecnie stacje w Zakopanem, Szczyrku i Jelesni. W trakcie organizacji jest stacja turystyczna w Wiśle.

Powołano Komisję Schroniskową, której zadaniem jest udzielanie pomocy schronisku

PTT „Chyz u Bacy” na Młodej Horze.

Podjęto akcję „Giną beskidzkie szalaszy” mającą na celu inwentaryzację szalasów na terenie Beskidu Śląskiego, Małego i Wysokiego. Staraniem Zarządu wydano promocyjny kalendarzyk Oddziału na rok 1995.

Aktualny skład Zarządu Oddziału:

1. Prezes	Weigel Jan	inż. chemik	Bielsko-Biała
2. Wiceprezes	Mikulski Tadeusz	przewodnik górski	Bielsko-Biała
3. Wiceprezes	Sarecki Zenon	inż. mechanik	Bielsko-Biała
4. Sekretarz	Skotnicki Andrzej	inż. włókiennik	Bielsko-Biała
5. Skarbnik	Stawiarski Mieczysław	techn. mechanik	Bielsko-Biała
6. Członek Zarządu	Pawełek Ewa	techn. ekonomista	Bielsko-Biała
7. Członek Zarządu	Holerek Grzegorz	inż. włókiennik	Bielsko-Biała
8. Członek Zarządu	Kłaput Łukasz	prac. umysł.	Bielsko-Biała

Członkowie Oddziału:

9. Augustynowicz Adam	ogrodnik	Żywiec	50. Nowak Zygmunt	mechanik	Cieszyn
10. Badura Janusz	prac. umysł.	Skoczów	51. Nycz Czesław	inż. mechanik	Bielsko-Biała
11. Banasiak Alicja	techn. chemik	Bielsko-Biała	52. Opyrchal Aleksandra	prac. umysłowy	Bielsko-Biała
12. Betlejowski Waldemar	ekonomista	Warszawa	53. Opyrchal Kazimierz	inż. rolnik	Bielsko-Biała
13. Bińkowski Mirosław	inż. mechanik	Żywiec	54. Pacyga Krzysztof	księdz	Lesna k/Żywca
14. Borzemski Jan	inż. budowl.	Bielsko-Biała	55. Paszkiewicz-Pączkiewicz Irma	farmaceutka	Bielsko-Biała
15. Botwina Krystyna	laborant med.	Czechowice-Dziedzice	56. Paszkiewicz-Pączkiewicz Małgorzata	nauczycielka	Bielsko-Biała
16. Botwina Stanisław	inż. architekt	Czechowice-Dziedzice	57. Paszkiewicz-Pączkiewicz Bogdan	nauczyciel	Bielsko-Biała
17. Bułka Roman	inż. mechanik	Bielsko-Biała	58. Pawełek Anna	uczennica	Bielsko-Biała
18. Drag Adam	inż. mechanik	Bielsko-Biała	59. Pawełek Marzena	uczennica	Bielsko-Biała
19. Duraj Alicja	nauczycielka	Bielsko-Biała	60. Pawełek Jerzy	rzemieślnik	Bielsko-Biała
20. Durczak Bronisław	mgr administr.	Bielsko-Biała	61. Podolski Leszek	inż. budowl.	Bielsko-Biała
21. Duźniak Marek	mechan. maszyn	Kozy	62. Polak Grzegorz	uczeń	Międzybrodzie
22. Faber Rafał	cukiernik	Żywiec	63. Pukowski Jerzy	techn. mechanik	Bielsko-Biała
23. Fiedor Antoni	mechan. kierowca	Szczyrk	64. Siarkiewicz-Solicka Anna	nauczycielka	Pewel Mała
24. Gawłowski Piotr	mgr ekonomii	Jaworz Górze	65. Sieńczak Jan	techn. mechanik	Czechowice-Dziedzice
25. Grzyb Krystyna	nauczycielka	Milówka	66. Sieńczak Paweł	uczeń	Czechowice-Dziedzice
26. Grzyb Włodzisław	adwokat	Milówka	67. Skotnicka Anna	romanista	Bielsko-Biała
27. Hula Stanisław	emeryt	Szczyrk	68. Sokalska Zofia	laborant med.	Bielsko-Biała
28. Jakubiec Roman	techn. mechanik	Lipowa	69. Sokalski Wojciech	techn. budowl.	Bielsko-Biała
29. Kaps Stanisław	techn. mechanik	Bielsko-Biała	70. Stawiarska Bogna	uczennica	Bielsko-Biała
30. Kaszkur Marian	nauczyciel	Żywiec	71. Stroński Marek	mechanik	Bielsko-Biała
31. Kaszkur Regina	bibliotekarka	Żywiec	72. Szczurek Bolesław	elektryk	Kęty
32. Kittner Józef	techn. włókiennik	Cięcina	73. Szupina Alojzy	prac. umysł.	Cieszyn
33. Korbel Andrzej Janusz	inż. architekt	Bielsko-Biała	74. Śpiewak Witold	inż. chemik	Bieruń Nowy
34. Komosińska Barbara	farmaceutka	Szczyrk	75. Tarnawa Jan	inż. mechanik	Bielsko-Biała
35. Komosiński Mieczysław	prawnik	Szczyrk	76. Tłalka Wiesław	nauczyciel	Radziechowy k/Żywca
36. Kozłowski Józef	emeryt	Bielsko-Biała	77. Urbaczka Rafał	uczeń	Cieszyn
37. Kułik Witold	nauczyciel	Bielsko-Biała	78. Weigel Ewa	fizyk	Bielsko-Biała
38. Kwiatkowski Janusz	techn. elektryk	Bielsko-Biała	79. Weigel Jacek	student	Bielsko-Biała
39. Lampe Anna	artysta plastyk	Katowice	80. Winiarska Anna	filolog	Żywiec
40. Lampe Paweł	prof. dr med.	Katowice	81. Winiarska-Faber Katarzyna	studentka	Żywiec
41. Maj Karol	księgowy	Bielsko-Biała	82. Wojtoń Tadeusz	kontroler jakości	Bielsko-Biała
42. Malinowski Szymon Piotr	inż. geodeta	Bielsko-Biała	83. Wójcicki Roman	techn. mechanik	Kęty
43. Maniecki Waldemar	techn. mechanik	Bielsko-Biała	84. Wronowska Irena	prac. umysł.	Bielsko-Biała
44. Martyniak Lucyna	pielęgniarka	Międzybrodzie	85. Wronowski Tadeusz	inż. architekt	Bielsko-Biała
45. Mierzwa Wiesław	konstruktor	Żywiec	86. Zieliński Andrzej	nauczyciel	Żywiec
46. Misztal Irena Dorota	filolog	Sosnowiec	87. Zydek Zygmunt	tech. poligrafik	Bielsko-Biała
47. Misztal Stanisław	inż. mechanik	Bielsko-Biała			
48. Misztal Stanisław jr	uczeń	Bielsko-Biała			
49. Niemczyk Józef	techn. mechanik	Bestwina			

Oddział PTT w Brzegu

Z inicjatywy Prezesa Oddziału i przy znaczącym wkładzie organizacyjnym członków odbyło się we wrześniu 1994 r. w Karpaczu XI Ogólnopolskie Spotkanie Oddziałów PTT poświęcone restytucji Górskiej Odznaki Turystycznej PTT.

Aktualny skład Zarządu Oddziału:

1. Prezes	Gerega Stanisław	techn. łączności	Opole
2. Wiceprezes	Hudziak Jerzy	inż. elektryk	Brzeg
3. Sekretarz	Dudzik Ryszard	inż. budowl.	Brzeg
4. Skarbnik	Wojewódka Zbigniew	kupiec	Brzeg
5. Członek zarządu	Grajewski Krzysztof	inż. budowl.	Brzeg
6. Członek zarządu	Kamińska Barbara	techn. budowl.	Brzeg
7. Członek zarządu	Kaniański Andrzej	inż. budowl.	Brzeg
8. Członek zarządu	Maciejewski Marek	mgr inż. elektryk	Brzeg

Członkowie Oddziału:

9. Cierpisz Ireneusz	inż. fizyk	Brzeg	23. Nowak Krzysztof	tech. mechanik	Brzeg
10. Ciesielski Henryk	em. inż. elektryk	Brzeg	24. Ochman Bartosz	student	Brzeg
11. Dankowski Waldemar	em. działacz harcerski	Brzeg	25. Ochman Małgorzata	inż. zoolog	Brzeg
12. Dąbrowski Jerzy	em. mgr inż. architekt	Brzeg	26. Osiaćczak Leszek	mgr inż. elektryk	Brzeg
13. Gądek Lucjan	em. techn. elektryk	Brzeg	27. Palus Jacek	student	Brzeg
14. Gigiel Jan	kierowca	Namysłów	28. Socha Dariusz	teletechnik	Brzeg
15. Hudziak Teresa	techn. ekonomista	Brzeg	29. Stefaniszyn Genowefa	nauczycielka	Brzeg
16. Hudziak Sebastian	uczeń	Brzeg	30. Sztymar Marian	inż. elektryk	Brzeg
17. Hudziak Artur	uczeń	Brzeg	31. Wielicka-Pabian Renata	techn. budowl.	Lewin Brzeski
18. Jaskólska Violetta	nauczycielka	Brzeg	32. Wodzyńska Anna	techn. elektrotechnologii	Brzeg
19. Kafel Jan	inż. mechanik	Brzeg	33. Wojciechowska Barbara	inż. budowl.	Brzeg
20. Mieruszyński Zenon	inż. urządzeń sanit.	Brzeg	34. Wojciechowski Wojciech	inż. budowl.	Brzeg
21. Niedźwiedz Krystyna	nauczycielka	Brzeg	35. Wojtasiewicz Jerzy	techn. elektryk	Brzeg
22. Niedźwiedz Mieczysław	mgr inż. górnik	Brzeg	36. Wójcik Janusz	mgr inż. geodeta	Brzeg

Oddział PTT w Chrzanowie

W roku 1994 Oddział zorganizował 18 jednodniowych lub kilkudniowych wycieczek, a mianowicie:

- * „Niedziela Palmowa w Tokarni” – otwarcie sezonu (27.03 – 29 osób),
- * „Poznajemy Orawę” (10.04 – 45 osób),
- * Beskid Sądecki i Pieniny (30.04–3.05 – 40 osób),
- * Góry Opawskie i Jeseníki (26–28.05 – 21 osób),
- * Turbacz (12.06 – 50 osób),
- * Bieszczady (22–26.06 – 35 osób),
- * Beskid Żywiecki: Młoda Hora (8–10.07 – 11 osób),
- * Tatry Słowackie i Polskie (22–24.07 – 34 osoby): dzień „słowacki” – Jaworzyna – przł. pod Kopą – Jagnięcy Szczyt – Zielony Staw Kieżmarski – Smokowiec; dzień „polski” – Czerwone Wierchy,
- * Tatry Polskie i Słowackie (5–7.08 – 31 osób): dzień „słowacki” – Wyżnie Hagi –

Batyżowiecki Staw – Kończysta – Tępa – Osterwa – Popradzki Staw – Szczyrbski Staw; dzień „polski” – Gęsia Szyja – Kopieniec,

* Tatry Polskie i Słowackie (26–28.08 – 24 osoby): dzień „słowacki” – dol. Białej Wody – Polski Grzebień – Mała Wysoka – dol. Wielicka; dzień „polski” – Giewont,

* Tatry Słowackie (9–11.09 – 16 osób): 1 dzień – dol. Białej Wody – dol. Cieżka – przeł. Waga – Wysoka – Popradzki Staw; 2 dzień – Jaworzyna – przeł. pod Kopą – Przednie Koperszady – Tatrzańska Kotlina. Część grupy zwiedziła Jaskinie Bielskie,

* Tatry Polskie: rejon Morskiego Oka (22–25.09 – 36 osób),

* Tatry Polskie: Krzyżne (7–9.10 – 10 osób),

* Babia Góra (16.10 – 37 osób),

* Góry Strażowskie (Słowacja) i grupa Wielkiej Raczy (10–13.11 – 14 osób),

* Beskid Wyspowy: Ćwilin – Śnieżnica (27.11 – 16 osób),

* Babia Góra w warunkach zimowych (11.12 – 12 osób).

Oddział był organizatorem posiedzenia Zarządu Głównego w Czorsztynie, w ramach programu turystycznego odbyły się wycieczki na Trzy Korony i na Pawlikowski Wierch na Spiszu.

Wszystkie wycieczki prowadził prezes Oddziału kol. Stanisław Trębacz, na kilku wycieczkach przewodnikiem była także kol. Małgorzata Opitek. Niektóre wycieczki organizowane były specjalnie dla społeczeństwa Chrzanowa i były sponsorowane przez władze samorządowe (Turbacz, Babia Góra).

W obozie wędrownym po Gorganach, Czarnohorze, Górach Czywczyńskich i Połoninie Hryniawskiej zorganizowanym przez Oddział PTT Beskid w Nowym Sączu w dniach 1–15.07 uczestniczyły 3 osoby z Oddziału w Chrzanowie.

Zorganizowano także szereg interesujących prelekcji, wiele z nich było ilustrowanych przeźroczami z różnych gór świata. W 1994 roku gośćmi Oddziału byli:

* dr Jarosław Balon (UJ): „Jeziora w środowisku Tatr” – 36 osób,

* inż. Andrzej Matuszczyk: „Jak powstają przewodniki” – 28 osób,

* mgr Jerzy Mikulec: „Góry Portugalii” – 27 osób;

* mgr inż. Artur Mida: „Piryn” – 37 osób,

* mgr Edward Moskała: „Refleksje na temat schronisk górskich” – 25 osób,

* mgr Barbara Twaróg: „Dolinami przez przełęcze ku szczytom” – 33 osoby,

* ks Władysław Pilarczyk: „Orawa dnia dzisiejszego” – 31 osób,

* inż. Krzysztof Wielicki: „Góra Gór – K2 8611m” – 135 osób!

* mgr inż. Jacek Dobrowolski: „Hindukusz” – 30 osób,

* mgr inż. Jan Siwiec: „Karpaty Marmaroskie” – 31 osób,

* mgr Barbara Twaróg: „Wzdłuż Renu przez Szwajcarię” – 26 osób.

W okresie Bożego Narodzenia zorganizowano Oplątek Oddziału.

Aktualny skład Zarządu (po zebraniu sprawozdawczo-wyborczym we wrześniu 1995 r):

1. Prezes	Trębacz Stanisław	inżynier	Chrzanów
2. Wiceprezes	Poręba Jan	inżynier	Chrzanów
3. Sekretarz	Skubis Artur	elektryk	Chrzanów

4. Skarbnik	Sadzikowski Janusz	inż. geodeta	Chrzanów
5. Członek Zarządu	Dereszowski Tadeusz	inżynier	Chrzanów
6. Członek Zarządu	Gawron Henryk	mechanik samoch.	Pogorzyce
7. Członek Zarządu	Zielińska Jadwiga	inżynier	Chrzanów

Członkowie Oddziału:

8. Biel Adam	kosztorysant	Chrzanów	34. Machowska Anna	nauczycielka	Chrzanów
9. Blitek Anna	farmaceutka	Chrzanów	35. Majcherczyk Marian	inżynier	Trzebinia
10. Błahuta Maria	ekonomista	Chrzanów	36. Majcherczyk Piotr	inżynier	Trzebinia
11. Boratyński Dariusz	uczeń	Libiąż	37. Marciniak Andrzej	programista	Chrzanów
12. Boratyński Jerzy	inżynier	Libiąż	38. Marcinkowski Leopold	inżynier	Jaworzno
13. Bulek Józef	technik	Chrzanów	39. Mzyk Marcelli	inżynier	Chrzanów
14. Bromboszcz Joanna	techn. ogrodnik	Chrzanów	40. Oczkowski Jan	górnik	Chrzanów
15. Chmiel Michał	chemik	Chrzanów	41. Opitek Małgorzata	technik	Chrzanów
16. Chmielewski Zygmunt	lekarz stomat.	Libiąż	42. Ostrowski Henryk	szlifierz	Chrzanów
17. Dereszowska Teresa	technik	Chrzanów	43. Paul Marek	inżynier	Chrzanów
18. Dębiec Tadeusz	inżynier	Chrzanów	44. Piądlowski Andrzej	technik	Chrzanów
19. Drobniak Piotr	inżynier	Chrzanów	45. Rapacz Józef	inżynier	Chrzanów
20. Górecki Andrzej	inżynier	Chrzanów	46. Saługa Janusz	mgr inż. mechanik	Chrzanów
21. Górecki Marek	mechanik	Chrzanów	47. Smółka Maciej	technik	Filipowice
22. Janic Stefan	monter	Chrzanów	48. Soból Wacław	mechanik	Trzebinia
23. Janik Mirosław	ekonomista	Chrzanów	49. Strzelichowski Andrzej	technik	Młoszowa
24. Jaśko Katarzyna	uczenica	Chrzanów	50. Tomaszekiewicz Tadeusz	lekarz	Chrzanów
25. Jeleń Zygmunt	nauczyciel	Chrzanów	51. Węgrzynowska Anna	fotograf	Chrzanów
26. Kaczmarska Agnieszka	uczenica	Chrzanów	52. Węgrzynowski Arkadiusz	inżynier	Chrzanów
27. Kępiński Kazimierz	technik	Trzebinia	53. Wołos Zdzisław	ekonomista	Chrzanów
28. Klamczyńska Stanisława	techn. odzież.	Trzebinia	54. Woźniak Franciszek	ekonomista	Chrzanów
29. Klimczak Stanisława	chemik	Chrzanów	55. Woźniak Józef	księgowy	Sosnowiec
30. Knapczyk Piotr	uczeń	Chrzanów	56. Woźniak Władysława	nauczycielka	Sosnowiec
31. Kucia Jacek	technik	Jaworzno	57. Zielińska Agnieszka	studentka	Kraków
32. Likus Antonina	ekonomista	Chrzanów	58. Zieliński Zdzisław	technik	Chrzanów
33. Łatka Michał	księgarz	Chrzanów	59. Zygadlo Jerzy	rencista	Chrzanów

Oddział PTT w Dęblinie

(Sprawozdania za rok 1994 i aktualnego wykazu członków nie nadesłano).

Oddział PTT w Gliwicach

Oddział zainaugurował działalność tradycyjnym spotkaniem noworocznym w styczniu, na którym ustalano plan pracy na 1994 rok. Wzorem lat ubiegłych utrzymano harmonogram stałych, otwartych zebrań Zarządu w każdy ostatni wtorek miesiąca w Klubie Pracowników Politechniki Śląskiej. Każdemu spotkaniu towarzyszyły prelekcje z udziałem ciekawych ludzi poświęcone górskim wyprawom.

Pierwsza wycieczka Oddziału miała miejsce w lutym; było to zimowe przejście trasy pomiędzy schroniskami Chata pod Skalanką (schronisko pod patronatem Oddziału Gliwice) a Chyżem u Bacy na Młodej Horze. Następną imprezą to wycieczka w Pieniny (bazą wypadową było schronisko Orlica) na początku maja. Organizatorem obu wycieczek był kol. Edward Puchlerski, wiceprezes d/s organizacyjnych.

W maju odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze Oddziału, na którym wybrano nowe władze. W maju także grupa członków Oddziału zwiedziła Centralny Ośrodek Turystyki

Górskiej PTTK dzięki uprzejmości dyrektora ośrodka mgr Edwarda Moskały. Latem członkowie Oddziału brali udział w wielu atrakcyjnych górskich wycieczkach zagranicznych. Podczas jednej z nich w sierpniu w rejonie Elbrusa zginął kol. Edward Puchlerski. W związku z tym nie doszło do skutku planowane przez niego wejście członków Oddziału na Miękuszo-
wiecki Szczyt.

Oddział był organizatorem posiedzenia ZG w Chacie pod Skalanką. Członkowie nasi bywali często na Młodej Horze, co wiąże się z bliską współpracą z zaprzyjaźnionym Oddziałem w Ostrzeszowie.

Wydawano nadal biuletyn informacyjny Oddziału „Hyr“.

Aktualny skład Zarządu Oddziału:

1. Prezes	Prusowski Zbigniew	dr inż. chemik	Rybnik
2. Wiceprezes	Siwiec Jan	dr inż. górnik	Gliwice
3. Sekretarz	Sztajgli Marek	student	Mikołów
4. Skarbnik	Choina Mariusz	techn. chemik	Gliwice
5. Członek Zarządu	Brol Witold	inż. elektryk	Gliwice
6. Członek Zarządu	Puchlerski Edward	inż. elektryk	Gliwice

Członkowie Oddziału:

7. Barszczewska Katarzyna	nauczyciel akad.	Gliwice	42. Lepiarczyk Barbara	nauczyciel	Rydułtowy
8. Bieg Tadeusz	dr inż. chemik	Gliwice	43. Maleta Edward	nauczyciel	Gliwice
9. Bilski Jacek	stomatolog	Tychy	44. Milek Zbigniew	inż. chemik	Sosnowiec
10. Brachmański	Jacek inż. mechanik	Gliwice	45. Mokrzycka Grażyna	inż. chemik	Gliwice
11. Choina Grażyna	chemik	Gliwice	46. Moszyński Adam	uczeń	Gliwice
12. Cichowska Zofia	nauczyciel akad.	Gliwice	47. Nowacka Maria	nauczycielka	Gliwice
13. Cichowski Edward	nauczyciel akad.	Gliwice	48. Nowicki Sławomir	student	Gliwice
14. Czupryna Tadeusz	techn. mechanik	Rybnik	49. Olszak Grażyna	mgr inż. chemik	Sosnowiec
15. Daroszeńska Danuta	lekarz Bystrzyca	Kłodzka	50. Palczyszyn Andrzej	filolog	Gliwice
16. Dobrogowska Agnieszka	uczennica	Zabrze	51. Pelka Piotr	inż. elektryk	Siemianowice
17. Dolla-Rolak Ewa	sekretarka	Rydułtowy	52. Preidl Wojciech	inż. chemik	Gliwice
18. Dziędzielewicz-Kirkin Zdzisław	inż. chemik	Gliwice	53. Prusowska Hiacenta	elektronik med.	Rybnik
19. Gałant Andrzej	mgr inż. chemik	Gliwice	54. Przybysz Bogdan	inż. chemik	Gliwice
20. Gans Krzysztof	inż. elektronik	Rybnik	55. Putowski Janusz	mechanik	Gliwice
21. Gawkowska Teresa	techn. chemik	Gliwice	56. Remiszewski Ryszard	mgr administr.	Gliwice
22. Gąciarz Paulina	studentka	Tychy	57. Romanowski Romuald	inż. budowl.	Gliwice
23. Gierczycki Andrzej	dr inż. chemik	Gliwice	58. Rykiert Zygmunt	inż. budowl.	Gliwice
24. Gorzawska Anna	prac. socjalny	Rybnik	59. Sadowska Helena	lekarz	Gliwice
25. Gorzawski Andrzej	techn. budowl.	Rybnik	60. Salamon Wiktor	inż. budowl.	Rybnik
26. Hus Stella	nauczyciel	Ruda Śląska	61. Schab Tadeusz	prac. umysł.	Gliwice
27. Hyla Stanisław	inż. mechanik	Gliwice	62. Siomkajło Alicja	inż. elektryk	Gliwice
28. Jędrusiak Adam	mechanik	Gliwice	63. Siwiec Danuta	socjolog	Gliwice
29. Kapes Roman	techn. budowl.	Rybnik	64. Smolec Bożena	mgr inż.	Zabrze
30. Koneczny Stefan	emeryt	Gliwice	65. Smolec Włodzimierz	dr	Zabrze
31. Korecki Marek	inż. elektryk	Gliwice	66. Spyra Wiesław	inż. chemik	Stryżawa
32. Kosuth Andrzej	chemik	Gliwice	67. Stys Zygmunt	inż. mechanik	Gliwice
33. Kotowicz Bolesław	mechanik	Gliwice	68. Urbańczyk Krzysztof	energetyk	Gliwice
34. Kranz Leszek	nauczyciel	Gliwice	69. Waczyński Krzysztof	nauczyciel akad.	Gliwice
35. Krzesiński Andrzej	inż. elektryk	Gliwice	70. Wałaszek Leszek	inż. transportu sant.	Gliwice
36. Kubik Tomasz	nauczyciel akad.	Gliwice	71. Wojaś Danuta	inż. elektryk	Gliwice
37. Kunicki Marian	techn. mechanik	Żory	72. Wojaś Piotr	inż. elektryk	Gliwice
38. Kwaśnicki Reneusz	inż. elektryk	Gliwice	73. Wroński Karol	techn. mechanik	Gliwice
39. Lasota Adam	inż. górnik	Rybnik	74. Zarzycki Stanisław	inż. budowl.	Gliwice
40. Lasota Janusz	inż. chemik	Wodzisław Śl.	75. Zielewicz-Madej Ewa	dr inż. ochrony środow.	Katowice
41. Lasota Mariola	tech. kosmetyk	Rybnik	76. Ziolo Krzysztof	nauczyciel akad.	Gliwice

Oddział PTT w Kaliszu

22 stycznia 1994 roku odbyło się spotkanie opłatkowe Oddziału w zamku – muzeum w Gołuchowie. Na program spotkania złożyło się zwiedzanie Muzeum Leśnictwa, recytacje, życzenia i wspólne śpiewanie kolęd. W Opłatku wzięło udział 36 osób.

Zorganizowano dwa dłuższe wyjazdy w góry:

10–14 czerwca 1994 r. w rejon Babiej Góry (Pasma Babiogórskie i Pasma Jałowieckie) z udziałem 12 osób;

16–22 września 1994 r. wyjazd w Tatry w 2 grupach: 10 osób odbywało wycieczki w Tatrach Polskich; 20 osób – w Tatrach Wysokich Słowackich.

Podkreślić należy zawsze liczny udział Oddziału w ogólnych imprezach PTT: 8 osób z Kalisza było w Czorsztynie, a 5 – w Zwardoniu. W okresie wakacji wyjeżdżano indywidualnie w góry.

Spotkania Oddziału odbywały się w każdy trzeci wtorek miesiąca (z wyjątkiem wakacji) w Centrum Kultury w Kaliszu, przy ul. Łaziennej, a od października w Klubie Pracy w Kaliszu przy ul. Piekarskiej 2.

Tematami spotkań były:

* projekcja filmy „Wspinaczka” – 20 osób,

* Grażyna Struzik: „Karpaty Wschodnie – Pasma Świdowca, Czarnohora i Gorgany” – 16 osób,

* Ewa Michalak: „Beskid Żywiecki, Pasma Babiogórskie” – 22 osoby,

* Romuald Zaręba: „Alpy” – 18 osób,

* Jarosław Michalak, Ewa Michalak: „Tatry Słowackie, Rejon Morskiego Oka” – 25 osób,

* Romuald Zaręba: „Relacje z posiedzenia ZG w Zwardoniu”,

* Zuzanna Turkowska: „Piosenka turystyczna” – 16 osób,

* Wieczór poetycko-muzyczny – 23 osoby.

Kronikę Oddziału prowadziła systematycznie kol. Zuzanna Turkowska.

W przygotowaniu biuletynu Oddziału „Odgłosy Gór”.

19 kwietnia odbyło się zgromadzenie sprawozdawczo-wyborcze Oddziału, na którym wybrano nowy Zarząd.

Aktualny skład Zarządu Oddziału:

1. Prezes	Zaręba Romuald	inż. budowl.	Kalisz
2. Wiceprezes i sekretarz	Michalak Ewa	chemik	Ostrów Wlkp.
3. Skarbnik	Żuprańska Halina	ekonomista	Kalisz
4. Członek Zarządu	Grabowska Irena	instruktor kult.	Gołuchów
5. Członek Zarządu	Kraszewski Stanisław	techn. budowl.	Kalisz
6. Członek Zarządu	Michalak Jarosław	tech. rolnik	Pleszew
7. Członek Zarządu	Starzecka Ewa	prac. umysł.	Kalisz
8. Członek Zarządu	Turkowska Zuzanna	techn. budowl.	Kalisz

Członkowie Oddziału:

9. Brodzińska-Kraszewska Barbara	insp. finans.	Kalisz	23. Pierucka Maria	biolog	Kalisz
10. Braniewicz Hanna	studentka	Ostrów Wlkp.	24. Przysłupska Maria	biolog	Kalisz
11. Brus Maria	prac. umysł.	Kalisz	25. Pyrek Halina	tech. budowl.	Kalisz
12. Dutkiewicz Małgorzata	prawnik	Kalisz	26. Sadło Anna	ekonomista	Kalisz
13. Grabowski Andrzej	dr inż. leśnik	Gołuchów	27. Sadło Andrzej	techn. mechanik	Kalisz
14. Hazubski Maciej	chemik	Ostrów Wlkp.	28. Smuś Daniela	prac. umysł.	Kalisz
15. Hertz Urszula	prac. umysł.	Kalisz	29. Stendera Aleksandra	inspektor hig.	Ostrów Wlkp.
16. Kaja Mirosław	lekarz	Ostrów Wlkp.	30. Strózik Grażyna	prac. umysł.	Wschowa
17. Kaniewski Jerzy	ksiądz	Ostrów Wlkp.	31. Strózik Lidia	studentka	Wschowa
18. Klibiger-Galant Mirosława	ekonomista	Opatówek	32. Suwała Hanna	techn. ekonom.	Kalisz
19. Kurzawa Barbara	technik	Kalisz	33. Szydło Barbara	ekonomista	Kalisz
20. Kurzawa Elżbieta	ekonomista	Kalisz	34. Wyczółkowska Barbara	ekonomista	Dębe
21. Naglik Henryka	pedagog	Pleszew	35. Wyczółkowska Małgorzata	biolog	Dębe
22. Nowak Andrzej	inż. melioracji wodn.	Kalisz	36. Zaręba Halina	ekonomista	Kalisz
			37. Żuprański Jan	techn. mechanik	Kalisz

Zmarł: Kulczyński Julian

Oddział Akademicki PTT w Katowicach

Zarząd Oddziału skoncentrował się głównie na organizacji ogólnopolskiej konferencji naukowej „Polska turystyka górską – historia, współczesność, perspektywy”, która odbyła się w dniach 12–15 maja 1994 roku w Ustroniu-Jaszowcu z udziałem ponad 50 osób z różnych ośrodków naukowych z całej Polski.

Część wystąpień została już opublikowana w wydawnictwie „De Montibus”.

Inne informacje o działalności Oddziału nie dotarły do Zarządu Głównego. Nie otrzymano aktualnego składu Zarządu i wykazu członków.

Oddział PTT w Krakowie

10 stycznia 1994 roku zorganizowano Oplątek w lokalu Klubu Wysokogórskiego w Krakowie z udziałem 20 osób. Od kwietnia 1994 zmieniono lokal, spotkania Oddziału i dyżury Zarządu odbywały się odtąd w Domu Kultury Podgórze. Tematami prelekcji w 1994 r. zazwyczaj ilustrowanych przeżroczami były:

- * Leon Rydel: „Piotr Borowy – Apostoł Orawy”,
- * Andrzej Słota: „Wiosna w Tatrach” (przegląd przeżroczy),
- * Andrzej Słota: „Mała Fatra”,
- * Antoni Woyciechowski: „Wykapki '93” (przegląd przeżroczy),
- * Projekcja filmu „Alpinista”,
- * Marian Bała: „Refleksje z różnych gór, w których byłem” (przegląd przeżroczy),
- * Stanisław Biel: „Katmandu i Dardżiling – stolice himalaizmu”,
- * Aleksander Lwow: „Gashenbrun II”,
- * Kazimierz Wnętrzycki: „Mariusz Zaruski: taternik – narciarz – żeglarz – harcerz”,
- * Michał Ronikier: „W górach Rumunii”,
- * Elżbieta Spiradek-Malak: „Kuba i Meksyk”,
- * Waldemar Gońka: „Na Piku Lenina”,
- * Maciej Mischke: „Impresje mazurskie” (przegląd przeżroczy),
- * Wojciech Komusiński: „Korsyka”,

* Marian Bała: „Wędrowki po Indiach i Pakistanie“,

* Violetta Sokorska: „Podróże po USA: South Dakota, Colorado, Woyoming, Utah, Arizona, Nevada“ (pokaz przysłanego filmu video).

W kwietniu w domku PZA na Włosienicy dyżurował kol. A. Woyciechowski, a członkowie Oddziału skorzystali z tej bazy noclegowej. We wrześniu zorganizowano ognisko na działce. Odbyły się dwa górskie spotkania Oddziału: na Kudłaczach i na Hali Łabowskiej.

Wydano dwa kolejne zeszyty „Wołania“.

W kwietniu 1995 roku wybrano nowy Zarząd w składzie:

1. Prezes	Antoni Leon Dawidowicz	matematyk doc.	Kraków
2. Wiceprezes	Morawska-Nowak Barbara	biolog	Kraków
3. Sekretarz	Adam Hołuj	elektryk	Kraków
4. Skarbnik	Malak Krzysztof	przedsiębiorca	Kraków
5. Członek zarządu	Nowak Janusz	botanik-lichenolog, doc.	Kraków
6. Członek zarządu	Słota Andrzej	techn. mechanik	Kraków

Członkowie Oddziału:

7. Adamczak Andrzej	student	Kraków	47. Liberak Adam	dziennikarz	Zakopane
8. Bała Marian	chemik	Kraków	48. Madejski Mariusz	student	Kraków
9. Baryła Janusz	biolog	Kraków	49. Majchrzak Stanisław	ekonomista	Kraków
10. Będkowski Stanisław	muzykolog	Kraków	50. Malak Elżbieta	ogrodnik	Kraków
11. Biernacki Zbigniew	antykwarisz	Częstochowa	51. Maryewska Róża	lekarz	Kraków
12. Boczkowska Ewa	nauczyciel	Żyrardów	52. Maśior Agata	rolnik	Bobrek
13. Brzózka Krzysztof	automatyk	Kraków	53. Maśior Maria	urzędnik	Bobrek
14. Bujak-Lenczowska Magdalena	inż. insp. nadzoru	Dobczyce	54. Maśior Zbigniew	kierowca	Bobrek
15. Bulat Adam	inżynier	Kraków	55. Miszke Maciej	inż. budowl.	Kraków
16. Bylica Andrzej	zaopatrzeniowiec	Kraków	56. Miszke Danuta	inż. metalurg	Kraków
17. Chojko Krzysztof	technik	Kraków	57. Miszke Jan	inż. mechanik	Kraków
18. Cieśliewicz-Godziec Ewa	teatrológ	Kraków	58. Negrey Maciej	kompozytor	Kraków
19. Czerwńska Maria	lekarz	Kraków	59. Nędra Maria	inż. metalurg	Kraków
20. Dajda Krystyna	kosztorysant	Kraków	60. Niemiec Barbara	ekonomista	Kraków
21. Dańda Antoni	inżynier	Kraków	61. Niewodniczański Jerzy	fizyk, prof.	Kraków
22. Dawidowicz Antoni	matematyk, doc.	Kraków	62. Niweliński Józef	biolog, prof.	Kraków
23. Eliasińska Małgorzata	farmaceuta	Kraków	63. Nosek Anna	kierowca	Kraków
24. Gacek Szczepan	księdz	Gliczarów	64. Oleksyn Barbara	chemik	Kraków
25. Godziec Wiesław	filolog	Kraków	65. Oleksyn Krystyna	geochemik	Kraków
26. Gońka Waldemar	historyk	Kraków	66. Onderka Bogusław	fizyk	Kraków
27. Góralczyk Maria	dziennikarz	Warszawa	67. Onderka Zbigniew	inż. górnik, prof.	Kraków
28. Grabowski Jerzy	nauczyciel	Kingston (Kanada)	68. Onderka Zdzisław	informatyk	Kraków
29. Heller Krystyna	nauczyciel	Kraków	69. Pieprzyk Maria	ekonomista	Kraków
30. Hołuj Marek	geodeta	Kraków	70. Piórko Barbara	ekonomista	Kraków
31. Jagoda Jan	technik	Kraków	71. Plezia Marian	filolog, prof.	Kraków
32. Janiewicz Leszek	lekarz	Lublin	72. Podosek Jerzy	inż. metalurg	Kraków
33. Jasińska Celina	ekonomista	Kraków	73. Presak Władysław	inż. metalurg	Kraków
34. Jasińska Monika	uczenica	Kraków	74. Przybylska Maria	aktorka	Kraków
35. Kalkowska-Szkup Joanna	studentka	Kraków	75. Pudło Andrzej	technik	Kraków
36. Kalkowski Zbysław	inż. konstruktor	Kraków	76. Pudło Józef	techn. elektroniki	Kraków
37. Karmowska-Kuźniarska Joanna	ekonomista	Kraków	77. Rogowska Danuta	ekonomista	Kraków
38. Kowalski Jerzy	naucz. akad.	Kraków	78. Rogowski Ludwik	elektroenergetyk	Kraków
39. Kowalski Maciej	uczeń	Kraków	79. Ronikier Michał	student	Kraków
40. Koziej Marek	geolog	Kraków	80. Rozwadowski Józef	biskup	Łódź
41. Kozłowski Stefan	geolog, prof.	Warszawa	81. Rudziński Ryszard	lekarz	Kraków
42. Kuczyński Jerzy	nauczyciel akad.	Lublin	82. Rusin Piotr	prawnik	Kraków
43. Kusał Leszek	student	Kraków	83. Satora Małgorzata	studentka	Kraków
44. Kuźniarski Arnold	urzędnik	Kraków	84. Sawicki Jan	emeryt	Londyn
45. Lechwar Marian	inż. mechanik	Kraków	85. Sebesta Antonina	naucz. akad.	Myślenice
46. Lenczowski Adam	geodeta	Dobczyce	86. Siermontowski Aleksander	inż. konstruktor	Kraków
			87. Siermontowski Konrad	dziennikarz	Kraków
			88. Skrzyński Andrzej	ekonomista	Kraków

89. Słota Sebastian	student	Kraków	105. Wawrzyniak Mieczysław	techn. górnik	Tymbark
90. Socjusz-Podosek Maria	dr inż. metalurg	Kraków	106. Wąsowska Maria	nauczyciel	Kraków
91. Sokorska Violetta	tech. analityk med.	USA	107. Winiarska Bożena	kosmetyczka	Kraków
92. Staszal Jan	em. poligraf	Warszawa	108. Winiarska Maria	urzędnik	Kraków
93. Stefański Marek	inż. górnik, doc.	Ottawa	109. Witkowska Zofia	wychowawca	Kraków
94. Stryjeński Jan	inż. architekt	Genewa	110. Wnętrzycki Kazimierz	emeryt	Kraków
95. Szkup Paweł	student	Kraków	111. Woyciechowski Antoni	inż. miern.	Kraków
96. Szulc Agata	operator	Wieliczka	112. Wójcik Dorota Elżbieta	technik	Kraków
97. Szulc Barbara	przy mężu	Wieliczka	113. Wójcik Wiesław	redaktor	Kraków
98. Świder Paweł	student	Kraków	114. Wypartowicz Jan	dr inż. metalurg	Kraków
99. Tarnowska Monika	plastyk	Kraków	115. Zachariasiewicz Tadeusz	poligraf	Kraków
100. Tarnowski Maksymilian	inż. mechanik	Kraków	116. Zacharska Helena	nauczyciel	Kraków
101. Tomaszewski Jerzy	chemik	Toruń	117. Zacharzewski Michał	student	Kraków
102. Udziela Witold	inż. mechanik	Sulejówkę	118. Zbroja Lech	inż. mechanik	Kraków
103. Unrug Juliusz	student	Kraków	119. Zwolińska Zofia	emeryt	Zakopane
104. Urbański Stanisław	emeryt	Kraków	120. Żak Robert	uczeń	Bobrek

Oddział PTT w Łodzi

Siedzibą Oddziału był nadal Łódzki Dom Kultury. Organizowano wystawy fotograficzne, pokazy filmów i przeżrocz, odbywały się spotkania z ciekawymi ludźmi. Imprezy cieszyły się coraz szerszym zainteresowaniem. Systematycznie ukazywał się biuletyn informacyjny Oddziału „Zakos”.

Lato 1994 to przede wszystkim dwie poważne wyprawy – w Pireneje i w Karpaty Wschodnie. W Pireneje pojechały 42 osoby, zdobyto najwyższy szczyt Pico Aneto (3404 m) leżący po stronie hiszpańskiej. Na Ukrainę pojechało 25 osób. Głównym celem tego wyjazdu było odnowienie cmentarza II Brygady legionistów polskich. W przedsięwzięcie to włożono dużo pracy i serca, powstała ciekawa dokumentacja fotograficzna.

Nie zapomniano też o Tatrach. Na uwagę zasługuje zdobycie Gerlacha przez 6 osób z Oddziału, z wejścia nakręcono świetny film.

W listopadzie w galerii ŁDK otwarto dużą, dwuczęściową wystawę fotograficzną. Zaprezentowany został reportaż z letniej wyprawy w Karpaty Wschodnie i z prac przy odnawianiu cmentarza. Część drugą stanowił dorobek fotograficzny z różnych wyjazdów pod wspólnym tytułem „Cztery pory roku w górach Europy”. Były Tatry, Alpy, Pireneje, Karpaty Wschodnie. Wystawę odwiedziło wielu łodzian.

W grudniu 1994 roku Walne Zgromadzenie członków Oddziału wybrało nowe władze na kolejne trzy lata.

Tradycyjnie zakończono rok spotkaniem przedwigilijnym. Kapituła wielkiego Buciora przyznała honorowe „Bucior” za rok 1994 Stanisławie i Tadeuszowi Wdowiakom, Zbigniewowi Łuczakowi i Januszowi Jedlińskiemu.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes	Grzegorzewski Zbigniew	dziennikarz	Warszawa
2. Wiceprezes	Pietruszewski Krzysztof	techn. włókiennik	Łódź
3. Wiceprezes	Janusik Włodzimierz	lekarz	Zgierz
4. Sekretarz	Rogulska Magdalena	inż. budowl.	Łódź
5. Skarbnik	Kuziemska Ewa	farmaceutka	Łódź
6. Członek Zarządu	Lesz Aleksandra	statystyk inform.	Łódź

7. Członek Zarządu	Cichor Krystyna	techn. arch.	Łódź
8. Członek Zarządu	Jedlińska Monika	studentka	Łódź
9. Członek Zarządu	Jedliński Janusz	chemik	Łódź
10. Członek Zarządu	Kielbasiński Tadeusz	inż. elektryk	Łódź
11. Członek Zarządu	Tałady Stanisław	mechanik	Łódź

Członkowie Oddziału:

12. Amdt Adam	inż. mechanik	Łódź	56. Miedziak Jan	socjolog	Łódź
13. Bartyś Barbara	lekarz med.	Łódź	57. Mikołajczyk Lucyna	ekonomistka	Łódź
14. Baszczyński Kazimierz	elektryk	Zgierz	58. Mikołajczyk Janina		Łódź
15. Bieńkowska Magdalena	pedagog szk.	Radom	59. Niemczyk Andrzej	mechanik	Łódź
16. Bień Zbigniew	inż. geolog	Tamów	60. Nurczyński Piotr	mechanik	Łódź
17. Brylikowska Barbara	nauczyciel	Łódź	61. Osmulka Beata	lekarz med.	Łódź
18. Brylikowski Leszek	nauczyciel	Łódź	62. Ozimiński Andrzej		Łódź
19. Chojnacka Małgorzata	nauczyciel	Łódź	63. Pietruszewska Małgorzata	techn. włókiennik	Łódź
20. Dyl Jadwiga	ekonomista	Łódź	64. Pił Janusz	energetyk	Łódź
21. Garda Konrad	prawnik	Łódź	65. Podgórska Agata	studentka	Zgierz
22. Golec Janusz	student	Łódź	66. Potocka Anna		Łódź
23. Golota Izabela	farmaceutka	Łódź	67. Potocki Tomasz	inż. budowl.	Łódź
24. Górak Tadeusz	ekonomista	Łódź	68. Przemirska Lucyna		
25. Hemka Krystyna	księgowa	Łódź	69. Raczynska Małgorzata	inż. chemik	Łódź
26. Howańska Henryka	techn. arch.	Łódź	70. Rembowski Zbigniew	inż. konstruktor	Łódź
27. Howański Jerzy	techn. budowl.	Łódź	71. Rożek Zdzisław	ekonomista	Łódź
28. Janusik Jadwiga	lekarz	Zgierz	72. Siedlecki Marek	nauczyciel	Zgierz
29. Jasińska Maria			73. Starożytnik Dariusz	architekt	Łódź
30. Juńczyk Jadwiga		Łódź	74. Swarabowicz Henryk	plastyk	Łódź
31. Juńczyk Krzysztof		Łódź	75. Szadkowski Czesław	techn. budowl.	Łódź
32. Juszczyński Krzysztof	mechanik	Łódź	76. Sztekmler Anna	artysta muzyk	Łódź
33. Kaniewska-Szafran Joanna	nauczyciel	Łódź	77. Sztekmler Krzysztof	artysta muzyk	Łódź
34. Kanwiszer Joanna			78. Tałady Ilona	pedagog	Łódź
35. Karczewski Jacek	inż. automatyk	Łódź	79. Telega Stanisława	nauczyciel	Łódź
36. Kisiel Adam	emeryt	Łódź	80. Tomaszewska Katarzyna		Łódź
37. Kondratowicz Maria	techn. med.	Zgierz	81. Wachowski Adam	ekonomista	Łódź
38. Kowalczyk Tadeusz	informatyk	Łódź	82. Wagner Irena	nauczyciel akad.	Łódź
39. Kowalska Wanda	lekarz med.	Łódź	83. Wdowiak Stanisława	ekonomista	Łódź
40. Kowalski Stefan	inżynier	Łódź	84. Wdowiak Tadeusz	inż. włókiennik	Łódź
41. Kośka Jadwiga	bibliotekarka	Łódź	85. Winkler Anna		Łódź
42. Kośka Wiesław	techn. elektryk	Łódź	86. Wiśnik Bogusława	akwizytor	Łódź
43. Kotela Jacek	rzemieślnik	Łódź	87. Wodzińska Iwona	inż. budowl.	Łódź
44. Krzyżanowska Ewa	ekonomistka	Łódź	88. Wodziński Andrzej	inż. budowl.	Łódź
45. Kuczyńska Teresa Halina	lekarz med.	Łódź	89. Wojech Stanisław	kierowca	Łódź
46. Kunach Małgorzata	nauczyciel	Łódź	90. Wolff Elżbieta	inż. budowl.	Łódź
47. Lewicki Bogdan	ogrodnik	Łódź	91. Wyszogrodzki Andrzej	inż. mechanik	Łódź
48. Lipiński Krzysztof	prawnik	Łódź	92. Wyszogrodzka Małgorzata	informatyk	Łódź
49. Lorenc Agnieszka	studentka	Łódź	93. Wyszogrodzki Piotr	student	Łódź
50. Lorenc-Borowska Anna		Łódź	94. Zaloba Miłosz	prac. muzeum	Łódź
51. Luczak Urszula	prawnik	Łódź	95. Zawadzki Marek	inż. elektr.	Łódź
52. Luczak Zbigniew	rzemieślnik	Łódź	96. Ziółkowska Anna	nauczyciel	Piotrków Tryb.
53. Macjon Aleksandra	studentka	Łódź	97. Ziółkowski Józef	lekarz med.	Łódź
54. Macjon Józef	nauczyciel	Łódź	98. Ziółkowski Piotr	lekarz med.	Piotrków Tryb.
55. Marciniak Ewa	informatyk	Łódź	99. Zydek Cezary	lekarz med.	Łódź
			100. Zydek-Miękoś Beata	lekarz med.	Łódź

Oddział PTT Beskid w Nowym Sączu

Podstawową działalnością Oddziału jest organizowanie wycieczek. W 1994 roku odbyło się 35 wycieczek, w których wzięło łącznie udział 1.179 osób. W Tatry i Beskid Sudecki odbyło się po 6 wycieczek, w Beskid Niski, Wyspowy i Żywiecki – po 2, w Beskid Śląski, Bieszczady i Gorce – po 1. Zorganizowano również 10 wyjazdów na Słowację; w tym 6 w Tatry, a 4 w inne słowackie góry. Wydarzeniami roku były dwie wyprawy: 15-dniowa w

Karpaty Wschodnie oraz 29-dniowa do Tanzanii połączona ze zdobyciem 3 szczytów, w tym Kilimandżaro. Dojazd do gór 24 razy odbywał się autokarem turystycznym, a 11 razy publicznymi środkami lokomocji.

Koszty uczestnictwa w wycieczkach kalkulowane były na możliwie najniższym poziomie, tak aby były one dostępne finansowo dla wszystkich, a przede wszystkim dla młodzieży i kilkusobowych rodzin. Było to możliwe dzięki dotacjom otrzymywanym od władz samorządowych i administracyjnych, co pozwoliło pokryć deficyt.

Wycieczki prowadzone były społecznie przez 13 przewodników górskich – członków Oddziału.

Tradycyjnie, już po raz piąty, w ostatnią niedzielę czerwca odbyło się przejście historycznej trasy pierwszej wycieczki Oddziału Beskid TT (1906) z Piwnicznej przez Radziejową do Rytra.

Wycieczka z 10 kwietnia 1994 roku była setną, zorganizowaną od reaktywowania Oddziału w 1990 roku.

Wycieczki ogłaszane były na afiszach i w prasie lokalnej.

W 1994 roku ukazały się 3 numery kwartalnika „Beskid”. Dzięki pomocy finansowej władz administracyjnych w jego wydawaniu mógł być rozdawany bezpłatnie członkom PTT i wszystkim zainteresowanym.

Górska Biblioteka Oddziału pozyskała dalsze 176 nowych pozycji i liczy obecnie 562 tomy.

Anna Totoń prowadziła bardzo starannie kronikę Oddziału, do której sprawozdania z wycieczek opracowywali najczęściej Małgorzata Kieres i Władysław Kowalczyk. Kronika zawiera bogatą dokumentację fotograficzną.

W styczniu zorganizowano dla członków Oddziału opłatek połączony z projekcją przeźroczy z imprez organizowanych przez Oddział.

Przez cały rok działają 3 punkty informacyjne prowadzące sprzedaż wydawnictw, załatwiające sprawy członkowskie, a jeden nich przyjmował zapisy na wycieczki.

Współpracowano z Oddziałem w Chrzanowie w organizacji posiedzenia ZG w Czoraszynie, m.in. załatwiono bezpłatny autokar na wycieczkę po Spiszu. Na potrzeby wszystkich Oddziałów wykonywano legitymacje (z twardą lub miękką okładką) oraz odznaki organizacyjne.

O działalności Oddziału informowane były szeroko prasa i radio, w 1994 roku ukazało się łącznie 40 artykułów i notatek. Ukazały się z inicjatywy Oddziału okolicznościowe artykuły. Działalność Oddziału była wysoko oceniana przez władze administracyjne, wyrazem tego były wyróżnienia członków Oddziału z okazji Światowego Dnia Turystyki (Małgorzata Kieres, Władysław Kowalczyk, Robert Mikusiński i Wojciech Świąt) odznakami Zasłużonego Działacza Turystyki.

Miłym akcentem na koniec roku było otrzymanie dotacji na działalność Oddziału z Funduszu PHARE – Program Dialog Społeczny w wysokości 126 mln. zł (starych).

W 1994 roku wstąpiło do Oddziału 34 nowych członków.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes	Zaremba Maciej	właściciel prywat. biura turyst.	Nowy Sącz
2. Wiceprezes	Totoń Anna	bibliotekarka	Nowy Sącz
3. Sekretarz	Kieres Małgorzata	lekarz	Nowy Sącz
4. Skarbnik	Mikusiński Robert	inżynier	Nowy Sącz
5. Członek Zarządu	Małota Leszek	nauczyciel	Nowy Sącz
6. Członek Zarządu	Mikusińska Jolanta	laborant	Nowy Sącz
7. Członek Zarządu	Pogwizd Tadeusz	prac. umysł.	Nowy Sącz
8. Członek Zarządu	Świgut Wojciech	elektromonter	Jamnica

Członkowie Oddziału:

9. Baran Jadwiga	uczenica	Nowy Sącz	61. Kowalczyk Władysław	inżynier	Nowy Sącz
10. Baran Marian	nauczyciel	Nowy Sącz	62. Kowalewski Wacław	prac. umysł.	Piwniczna
11. Baran Teresa	uczenica	Nowy Sącz	63. Kowalska-Turchan Bogumiła	księgarz	Męcina
12. Baranowski Jerzy	nauczyciel	Nowy Sącz	64. Kowalski Marek	bezrobotny	Męcina
13. Bednarek Eugeniusz	bankowiec	Nowy Sącz	65. Krajewska Zofia	techn. odzież.	Nowy Sącz
14. Bednarek Jadwiga	handlowiec	Nowy Sącz	66. Krajewski Jan	geograf	Nowy Sącz
15. Berowski Aleksander	monter	Świnarsko	67. Krawczyk Stanisław	prac. umysł.	Tęgoborze
16. Blicharz Alicja	nauczyciel	Grybów	68. Kręćhwest Antoni	lekarz	Piwniczna
17. Blicharz Grażyna	nauczyciel	Grybów	69. Krokowska Jadwiga	ekonomistka	Grybów
18. Blicharz Marta	dziewiarz	Grybów	70. Krokowski Karol	właściciel sklepu	Grybów
19. Bochenek Ryszard	elektryk	Nowy Sącz	71. Krzyżanowski Zdzisław	lekarz	Nowy Sącz
20. Bodziony Jacek	uczeń	Jazowsko	72. Kuczyńska Eugenia	emerytka	Nowy Sącz
21. Brzezińska Zofia	urzędnik	Nowy Sącz	73. Kukla Antoni	prac. umysł.	Nowy Sącz
22. Brzeziński Wojciech	rencista	Nowy Sącz	74. Kuropeska Kazimierz	prac. umysł.	Nowy Sącz
23. Ciesielski Marek	laborant	Nowy Sącz	75. Kuzawa Robert	murarz	Nowy Sącz
24. Cybulski Ryszard	ekonomista	Nowy Sącz	76. Langer Leszek	uczeń	Nowy Sącz
25. Czachowska Ewa	właściciel prywat. biura turyst.	Nowy Sącz	77. Legutko Dorota	uczenica	Nowy Sącz
26. Czaja Adam	handlowiec	Nowy Sącz	78. Legutko Henryka	ekonomista	Nowy Sącz
27. Dąbrowski Antoni	fotograf	Nowy Sącz	79. Legutko Tadeusz	ślusarz	Nowy Sącz
28. Dąbrowski Rafał	elektryk	Nowy Sącz	80. Leśnik Monika	ekonomistka	Nowy Sącz
29. Draczyńska Beata	nauczyciel	Nowy Sącz	81. Leśnik Stanisław	prawnik	Nowy Sącz
30. Duda Tadeusz	historyk	Stary Sącz	82. Lipka Wojciech	prac. umysł.	Nowy Sącz
31. Durlak Jacek	prac. umysł.	Piwniczna	83. Ładoś Janusz	adwokat	Nowy Sącz
32. Dziękiewicz Adam	adwokat	Nowy Sącz	84. Malczewski Mieczysław		
33. Filipowicz-Solarz Maria	nauczyciel	Grybów	Andrzej	żołnierz zaw.	Nowy Sącz
34. Firek Ryszard	drukarz	Nowy Sącz	85. Marchacz Halina	nauczycielka	Podole
35. Frey Bogumił	rehabilitant	Nowy Sącz	86. Marchacz Jan	rzemieślnik	Podole
36. Furtak Aleksandra	emeryt	Nowy Sącz	87. Marchacz Witold	student	Podole
37. Galar Joanna	techn. hotelarz	Nowy Sącz	88. Matuszewski Jacek	geodeta	Nowy Sącz
38. Galar Krzysztof	techn. budowl.	Nowy Sącz	89. Michalik Maciej	handlowiec	Nowy Sącz
39. Galda Jerzy	techn. chemik	Nowy Sącz	90. Mikusińska Renata	analityk med.	Nowy Sącz
40. Gawlik Rudolf	nauczyciel	Nowy Sącz	91. Mikusiński Witold	inżynier	Nowy Sącz
41. Głuc Władysław	nauczycielka	Nowy Sącz	92. Mólka Lucyna	ekonomistka	Nowy Sącz
42. Goldyn Krystyna	emeryt	Nowy Sącz	93. Mrówka Eugeniusz	nauczyciel	Nowy Sącz
43. Goldyn Zenon	lekarz	Nowy Sącz	94. Nalepa Teresa	nauczyciel	Grybów
44. Gomułka Ignacy	nauczyciel	Nowy Sącz	95. Nieć Stanisław	inż. rolnik	Nowy Sącz
45. Gorczyca-Luchowska Elżbieta	lekarz	Nowy Sącz	96. Nowak Leszek	rehabilitant	Nowy Sącz
46. Haracz Stanisław	informatyk	Nowy Sącz	97. Ogiński Michał	uczeń	Nowy Sącz
47. Haraf Halina	ekonomistka	Piwniczna	98. Ogórek Tadeusz	nauczyciel	Piwniczna
48. Hudimac Wiktor	nauczyciel	Nowy Sącz	99. Oleksiak Beata	studentka	Nowy Sącz
49. Jawor Janusz	mechanik	Krasne Potockie	100. Orlita Józef	kolejarz	Nowy Sącz
50. Joniec Jarosław	drukarz	Nowy Sącz	101. Orlita Wojciech	uczeń	Nowy Sącz
51. Kaleta Bożena	krawcowa	Nowy Sącz	102. Pacut Irena	rencistka	Nowy Sącz
52. Kaleta Krzysztof	techn. mechanik	Nowy Sącz	103. Paprocka Ryszarda	lekarz	Nowy Sącz
53. Kęska Joanna	uczenica	Przyszoła	104. Paprocki Aleksander	inżynier	Nowy Sącz
54. Kęski Paweł	uczeń	Przyszoła	105. Pawlikowski Bogdan	pakowacz	Nowy Sącz
55. Knap Romuald	uczeń	Nowy Sącz	106. Pietras Mieczysław	inżynier	Nowy Sącz
56. Kochanik Tadeusz	techn. mechanik	Nowy Sącz	107. Piotrowski Antoni	nauczyciel	Nowy Sącz
57. Kolat Hanna Grażyna	inż. geodeta		108. Piprek Wiesław	inżynier	Nowy Sącz
58. Kossowski Wiesław	prac. umysł.	Piwniczna	109. Planeta Piotr	inżynier	Nowy Sącz
59. Kowalczyk Robert	uczeń	Nowy Sącz	110. Podwika Jadwiga	pielęgniarka	Stróża
60. Kowalczyk Teresa	dietetyczka	Nowy Sącz	111. Podwika Wanda	uczenica	Stróża

112. Pogwizd Tomasz	uczeń	Nowy Sącz	138. Traciłowska Iwona	studentka	Nowy Sącz
113. Polańska Marta	prawnik	Grybów	139. Traciłowska Lidia	nauczycielka	Nowy Sącz
114. Polański Jerzy	elektronik	Grybów	140. Traciłowska Maria	ekonomistka	Nowy Sącz
115. Przybyszowski Stanisław	student	Nowy Sącz	141. Traciłowski Lech	inżynier	Nowy Sącz
116. Raczkowski Wacław	prawnik	Nowy Sącz	142. Traciłowski Tomasz	uczeń	Nowy Sącz
117. Rams Anna	techn. chemik	Nowy Sącz	143. Treit Witold	uczeń	Nowy Sącz
118. Rams Paweł	techn. samoch.	Piwniczna	144. Truchan Józef	techn. budowl.	Nowy Sącz
119. Repelewicz Bogusław	nauczyciel	Nowy Sącz	145. Truchan Maria	inżynier	Nowy Sącz
120. Repelewicz Paweł	uczeń	Nowy Sącz	146. Truchan Paweł	uczeń	Nowy Sącz
121. Rogóż Andrzej	lekarz	Nowy Sącz	147. Truchan Piotr	uczeń	Nowy Sącz
122. Rosiek Romuald	elektromechanik	Librantowa	148. Waligóra Antoni	prac. umysł.	Stary Sącz
123. Rossmanith Jerzy	dentysta	Nowy Sącz	149. Witek Wiesław	techn. mechan.	Nowy Sącz
124. Rossmanith Rafał	uczeń	Nowy Sącz	150. Wojnarowski Kazimierz	złotnik	Nowy Sącz
125. Rzepka Barbara	ekonomistka	Nowy Sącz	151. Wołak Bernadeta	prac. umysł.	Nowy Sącz
126. Serek Jerzy	techn. elektryk	Nowy Sącz	152. Wójs Józef	prac. umysł.	Nowy Sącz
127. Siwek Jerzy	inżynier	Nowy Sącz	153. Wzorek Jadwiga	pielęgniarka	Kraków
128. Smaga Stanisław	nauczyciel	Nowy Sącz	154. Zaremba Jacek	redaktor	Nowy Sącz
129. Sobańska Iwona	uczeń	Nowy Sącz	155. Zaremba Małgorzata	studentka	Nowy Sącz
130. Solarz Kazimierz	nauczyciel	Grybów	156. Zaremba Marek	uczeń	Nowy Sącz
131. Solarz Zofia	uczenica	Grybów	157. Zaremba Wanda	plastyk	Nowy Sącz
132. Starowy Stanisław	lekarz	Nowy Sącz	158. Zawratka Krzysztof	mechanik	Nowy Sącz
133. Sulikowska-Mazur Jadwiga	lekarz	Nowy Sącz	159. Zieliński Zbigniew	inżynier	Nowy Sącz
134. Talar Maria	inżynier	Nowy Sącz	160. Zimny Anna	studentka	Nowy Sącz
135. Talar Andrzej	mechanik	Piwniczna	161. Ziółkowska Jolanta	nauczycielka	Podole
136. Tobiasz Mariusz	nauczyciel	Nowy Sącz	162. Ziółkowski Edward	tecn. budowl.	Bartkowa
137. Tokarski Witold	nauczyciel	Nowy Sącz	163. Ziółciński Szczepan	rehabilitant	Nowy Sącz

Oddział Podhalański PTT w Nowym Targu

10 listopada 1994 roku zwołano nadzwyczajne zebranie, na którym dokonano reorganizacji Zarządu i postanowiono podjąć kroki dla ożywienia działalności Oddziału. Nastawiono się na organizowanie wycieczek górskich dla młodzieży szkolnej.

Siedzibą Oddziału jest Biuro Podróży Jordan, Dworzec PKS, Nowy Targ.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes	Wąsowicz Wiktor	organizator turyst.	Łopuszna
2. Wiceprezes	Kabat Krzysztof	artysta plastyk	Nowy Targ
3. Sekretarz i skarbnik	Wnęk Adam	inż. budowl.	Nowy Targ
4. Członek Zarządu	Poździk Danuta	kasjerka	Maniowy
5. Członek Zarządu	Sikorski Bogdan	kolejarz	Nowy Targ
6. Członek Zarządu	Staszek Leszek	fotograf	Nowy Targ
4. Członek Zarządu	Wojdyła Danuta	instruktor KO	Nowy Targ

Członkowie Oddziału:

7. Chrobak Zbigniew	krawiec	Nowy Targ	19. Gromala Paweł	stolarz	Nowy Targ
8. Cieśliewicz Alicja	prac. schron.	Dol. Chochołowska	20. Jankowska Danuta	prac. schron.	Dol. Chochołowska
9. Cieśliewicz Wincenty	kierownik schron.	Dol. Chochołowska	21. Kabala Bartłomiej	uczeń	Nowy Targ
10. Cygoń Barbara	studentka	Nowy Targ	22. Koterba Tadeusz	mechanik	Nowy Targ
11. Czajka Ireneusz	uczeń	Nowy Targ	23. Krauzowicz Józef	ratownik GOPR	Nowy Targ
12. Czubernat Andrzej	stolarz	Nowy Targ	24. Łabczyńska Beata	uczenica	Maniowy
13. Długopolski Zbigniew	fotograf	Ludźmier	25. Moskała Paweł	dróżnik	Rabka
14. Doległo Mieczysław	prac. schron.	Dol. Chochołowska	26. Niewiadomska-Marko Izabela	lekarz	Czarny Dunajec
15. Dul Adam	uczeń	Nowy Targ	27. Wąsowicz Urszula	nauczycielka	Łopuszna
16. Galdyś Barbara	nauczycielka	Nowy Targ	28. Wielkiewicz Janusz	uczeń	Nowy Targ
17. Gądek Grzegorz	student	Nowy Targ	29. Wielkiewicz Henryk	uczeń	Nowy Targ
18. Gil Jan	uczeń	Groń			

Oddział PTT w Opolu

Spotkania Oddziału odbywały się raz w miesiącu. Organizowano wycieczki górskie w niewielkich grupach koleżeńskich.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes	Raczyński Leszek	lekarz med.	Opole
2. Sekretarz	Majcher Irena	prawnik	Opole
3. Skarbnik	Kurowska Ewa	laborant przem.	Opole
4. Członek Zarządu	Świrski Bogusław	em. oficer WP	Opole

Członkowie Oddziału:

5. Beker Wojciech	lekarz med.	Opole	19. Machnik – Chojnacka Ewa	nauczycielka	Opole
6. Bigda – Pisarek Elżbieta	adwokat	Chrzastowice	20. Majcher Jarosław	dziennikarz	Opole
7. Bujak Kazimiera	technik	Opole	21. Michalik Marek	prac. umysł.	Opole
8. Chojnacki Ryszard	prawnik	Opole	22. Misiak Juliusz	tech. mech.	Opole
9. Cieszyński Zygmunt	inżynier	Opole	23. Nabzdyk Alicja	prawnik	Opole
10. Fikus Kazimierz	techn. elektr.	Opole	24. Pankiewicz Jolanta	prawnik	Opole
11. Horaczuk – Marzec Ewa	lekarz stom.	Opole	25. Pisarek Wiktor	ekonomista	Opole
12. Kamiński Bogusław	prawnik	Opole	26. Sachnik Jan	ekonomista	Opole
13. Kamysz Franciszek	emeryt	Opole	27. Stanek Jadwiga	inżynier	Opole
14. Kubik Jadwiga	prac. WSP	Opole	28. Stanek Janusz	technik	Opole
15. Kubik Jan	pr. nauk. WSP	Opole	29. Szumiec Grażyna	prac. umysł.	Strzelce Opolskie
16. Leszczyńska Irena	prawnik	Opole	30. Szumiec Zbigniew	technik	Strzelce Opolskie
17. Liba Halina	prac. umysł.	Opole	31. Weber Tomasz	pr. nauk. WSP	Wrocław
18. Łukawski Ireneusz	technik	Opole			

Oddział PTT w Ostrzeszowie

Rok 1994 upłynął w Oddziale jako zwyczajny, bez spektakularnych wydarzeń. Uporządkowanie działalności zaowocowało zmniejszeniem liczby członków. Pozostali aktywni, którzy kochają góry i chcą tworzyć wspólnotę miłośników gór.

Nadal praca Oddziału opierała się głównie na schronisku „Chyz u Bacy“ na Młodej Horze. Tu odbyła się większość spotkań i oddziałowych imprez: Sylwester i Nowy Rok, Wielkanoc, 3 Maja, 11 listopada, Wawrzyńcowe Hudy, Andrzejki. Oddział był organizatorem Mszy i procesji Bożego Ciała na Młodej Horze. Oprócz tego odbywały się comiesięczne spotkania Oddziału w Ostrzeszowie, na których wymieniano doświadczenia i plany, zwłaszcza wyjazdowe, omawiano organizację wycieczek klasowych uczniów szkół Ostrzeszowa i okolic.

Oprócz wyjazdów w małych grupach w polskie góry, wyjeżdżano też na Słowację (Mała Fatra, Słowacki Raj). Tradycyjnie przepracowano kilka dni na rzecz schroniska na Polanie Chochołowskiej.

Kontakty z Żywieckim Parkiem Krajobrazowym zaowocowały wymalowaniem we wrześniu 1994 roku przez znakarzy Oddziału Babiogórskiego PTTK w Żywcu proponowanego przez Oddział niebieskiego szlaku łącznikowego z Rycerek przez Mładą Horę do Sobłówki w Beskidzie Żywieckim. Współpracowano też z Wielkopolskim Klubem Przodowników Turystyki Górskiej PTTK w Poznaniu.

Schronisko „Chyz u Bacy“ obchodziło 10 – lecie swego istnienia i działalności. Chyz prowadzą dwie osoby, ale jego funkcjonowanie nie byłoby możliwe bez różnej formy i

sposobu pomocy ze strony dużej ilości osób, a także innych Oddziałów PTT. Ta pomoc, za którą należą się wielkie podziękowania, sprzyja nawiązywaniu kontaktów towarzyskich między Oddziałami.

Z ważniejszych prac wykonywanych w Chyży, skończono remont pokoju „Bocianisko“, wymieniono dwa okna, wybudowano szopę na drewno. Jak co roku, pomagano okolicznym mieszkańcom w pracach polowych. Współpracowano ze Służbą Graniczną z Sobólki.

Zorganizowano obsługę mety „Rajdu na Raty“ KTG PTTK w Żywcu pod hasłem „Pięć beskidzkich szczytów“. Stale sprzątane są niektóre ścieżki górskie. Grupa członków Oddziału pojechała do Warszawy, by wziąć udział w obchodach 50 rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego.

Podstawowym celem Oddziału jest towarzyskie przeżywanie gór.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes	Michlik Józef	fizyk, kier. schroniska Młoda Hora
2. Wiceprezes	Majchrzak Andrzej	inżynier Ostrzeszów
3. Sekretarz	Golus Jan	mechanik Ostrzeszów
4. Skarbnik	Kałwiński Zenon	mechanik Ostrzeszów
5. Członek Zarządu	Borowski Tomasz	inżynier Poznań
6. Członek Zarządu	Kaczmarek Andrzej	mechanik Ostrzeszów
7. Członek Zarządu	Miadowicz Aleksandra	prac. umysł. Odolanów

Członkowie Oddziału:

8. Apathy Jan	stolarz	Młoda Hora	44. Majchrzak Grażyna	technik	Ostrzeszów
9. Bacik Irena	inżynier	Ostrzeszów	45. Matuszczak Andrzej	meliorant	Ostrów Wlkp.
10. Bacik Mariusz	mechanik	Ostrzeszów	46. Miadowicz Bogusława	uczenica	Odolanów
11. Banasiak Aleksandra	nauczycielka	Ostrzeszów	47. Miadowicz Kamila	prac. umysł.	Odolanów
12. Banasiak Marek	ekonomista	Ostrzeszów	48. Michlik Anna	nauczycielka	Ostrzeszów
13. Bargenda Leonard	inżynier	Ostrzeszów	49. Michlik Małgorzata	studentka	Szamotuły
14. Bednarek Gabriela	nauczyciel	Ostrzeszów	50. Michlik Roman	inżynier	Ostrów Wlkp.
15. Cudniewicz Tadeusz	gastrom	Ostrzeszów	51. Morek Przemysław	nauczyciel	Ostrzeszów
16. Czubek Ewa	technik	Odolanów	52. Nowak Mariusz	żołnierz	Brzeg Doln.
17. Gałaś Monika	ekonomistka	Kraków	53. Nowak Piotr	elektryk	Ostrzeszów
18. Giel Czesław	ogrodnik	Odolanów	54. Olejniczak Wojciech	mechanik	Ostrzeszów
19. Golus Grażyna	ekonomistka	Ostrzeszów	55. Owoc Ireneusz	mechanik	Ostrzeszów
20. Grabowska Beata	studentka	Poznań	56. Pająk Dariusz	elektromonter	Katowice
21. Grobelny Bolesław	nauczyciel	Ostrzeszów	57. Paech Izabela	studentka	Poznań
22. Grochowski Adam	technik	Odolanów	58. Piotrowski Stanisław	nauczyciel	Poznań
23. Idczak Tomasz	student	Grabów n. Prosną	59. Pisula Jacek	nauczyciel	Ostrzeszów
24. Janicki Krzysztof	technik	Ostrów	60. Plonka Marta	studentka	Dąbrowa Górnicza
25. Janicki Marian	ekonomista	Odolanów	61. Plotkowiak Katarzyna	pielęgniarka	Poznań
26. Jendrzeczak Krzysztof	nauczyciel	Ostrzeszów	62. Rzepecka Mirosława	mgr turystyki	Ostrzeszów
27. Jendrzeczak Mariusz	elektromonter	Katowice	63. Sajdak Beata	nauczycielka	Tychy
28. Kaczmarek Janina	laborantka	Ostrzeszów	64. Sauer Rafał	technik	Ostrzeszów
29. Kaczmarek Lech	ekolog	Poznań	65. Spychalski Dariusz	ekonomista	Antonin
30. Kapelańczyk Maria	nauczycielka	Ostrzeszów	66. Spychalska Jolanta	sprzedawca	Antonin
31. Kasprzyk Wojciech	elektromonter	Piekary Śl.	67. Stankiewicz Wojciech	inżynier	Poznań
32. Kempa Andrzej	mechanik	Rojów	68. Suliga Aleksandra	studentka	Mikołów
33. Kosmala Tomasz	student	Ostrzeszów	69. Szulc Barbara	laborantka	Wałbrzych
34. Kowalczykiewicz Leon	ekonomista	Pleszew	70. Śmigiel Wanda	technik	Ostrów Wlkp.
35. Kucharski Wojciech	inżynier	Poznań	71. Świdowicz Mirosława	ekonomistka	Pleszew
36. Kuźaj Stanisław	technik	Ostrzeszów	72. Tomczak Jan	strażnik	Jarocin
37. Lampasiak Grzegorz	leśnik	Bystrzyca Kł.	73. Tomczak Piotr	stolarz	Niedzwiedź
38. Legieć Sławomir	student	Świebodzin	74. Tomczak Urszula	krawcowa	Jarocin
39. Lewek Zenon	inżynier	Ostrzeszów	75. Wiertelak Krystyna	rolnik	Odolanów
40. Libudziec Adam	mechanik	Ostrzeszów	76. Włodarczyk Marta	technik	Ostrzeszów
41. Litwinowicz Mirosław	ksiądz	Parzyń	77. Wrzalska Anna	technik	Ostrzeszów
42. Łagodzińska Małgorzata	elektryk	Poznań	78. Wrzalski Dariusz	mechanik	Ostrzeszów
43. Maciejewska Elżbieta	nauczycielka	Odolanów			

Oddział PTT w Oświęcimiu

Rok 1994 rozpoczął się tradycyjnie w górach – tym razem w schronisku na Hali Ornak. W sezonie zimowym organizowano cotygodniowe wyjazdy narciarskie w Beskidy. W przerwie międzysemestralnej zorganizowano wyjazd na Mładą Horę. Czesław Klimczyk reprezentował Oddział na XXXIX Karkonoskim Rajdzie Narciarskim. W kwietniu otwarto sezon letni wycieczką na Babią Górę, w czasie której odnaleziono krzyż hr. Starzeńskiego zastrzelonego pod Diablakiem w 1953 roku. Organizowano częste wypady w pobliski Beskid Mały, m.in. wycieczkę przyrodniczą „Las wiosną” w dol. Isepnicy. W czasie wycieczki na Żar usiłowano odnaleźć stary szlak na Żar, którego przebieg zmienił się zupełnie po wybudowaniu zapory. W maju była wycieczka w Beskid Śląski z biwakiem i ogniskiem na szczycie Baraniej Góry. Grupa członków Oddziału wzięła udział w VI Zlocie Pokutników w dol. Będkowskiej w czerwcu, a następnie w Spotkaniu Taterników–Seniorów w Morskim Oku w październiku 1994, w czasie tego spotkania zorganizowano wejście na Szpiglasową. W lipcu odbyto ciekawą wyprawę etnograficzno–krajoznawczą na Spisz; zwiedzono Dębno, Frydman, Niedzicę, Kacwin, Łapsze Wyżne, przebyto pasmo Braniska, Malorówki i Pawlikowski Wierch. W sierpniu miał miejsce obóz w Pieninach z bazą namiotową w Krościenku. We wrześniu przedstawiciele Oddziału wzięli udział w Ogólnopolskim Spotkaniu Oddziałów PTT w Karpaczu, w drodze powrotnej zwiedzono zamek w Bolkowie i Górę św. Anny. Do Zwardonia na posiedzenie ZG przybyto ciekawą trasą z pasma baraniogórskiego. Na Kudłaczach w Beskidzie Średnim zorganizowano Andrzejki; 17 grudnia w siedzibie Oddziału w Oświęcimiu odbył się uroczysty Oplątek, a Nowy Rok 1995 powitano na Stożku w Beskidzie Śląskim.

W październiku ukazał się pierwszy numer pisma Oddziału pt. „Koliba” pod redakcją Michała Myśliwca.

Ostatnio skład Zarządu Oddziału zmienił się i przedstawia się następująco:

1. Prezes	Myśliwiec Michał	informatyk	Kraków
2. Wiceprezes	Klimczyk Czesław	plastyk	Oświęcim
3. Sekretarz	Wilczak Tatiana	prac. umysłowy	Oświęcim
4. Skarbnik	Strama Anna	ekonomista	Oświęcim

Członkowie Oddziału:

5. Adamek Paweł	uczeń	Oświęcim	23. Michalek Mariusz	elektromonter	Oświęcim
6. Bartyzel Bartosz	uczeń	Oświęcim	24. Mycek Zofia	chemik	Oświęcim
7. Bartyzel Wiesław	inż. mech.	Oświęcim	25. Pawłowski Małtek	rencista	Kalwaria Zebrzydowska
8. Borowska-Górka Danuta	bibliotekarz	Oświęcim	26. Piekut Maria	nauczycielka	Oświęcim
9. Chowaniec Andrzej	techn. mech.	Oświęcim	27. Porębska Anna	bibliotekarz	Oświęcim
10. Dindroff Jack	inż. mech.	Oświęcim	28. Rzepa Anna	prac. umysł.	Oświęcim
11. Gawron Renata	studentka	Oświęcim	29. Rzepa Kazimierz	mgr inż.	Oświęcim
12. Górka Grzegorz	lekarz	Oświęcim	30. Rzepa Małgorzata	studentka	Oświęcim
13. Graff Jan	chemik	Oświęcim	31. Skowron Jarosław	ekonomista	Oświęcim
14. Klimczyk Iwona	studentka	Oświęcim	32. Smoleń Wojciech	student	Oświęcim
15. Klimkowicz Renata	fizjoterapeuta	Oświęcim	33. Sordyl Jarosław	student	Oświęcim
16. Kramarczyk Ewa	uczenica	Oświęcim	34. Strumińska Agnieszka	uczenica	Oświęcim
17. Kramarczyk Magdalena	uczenica	Oświęcim	35. Trzop Brygida	nauczycielka	Oświęcim
18. Kramarczyk Maria	nauczycielka	Oświęcim	36. Wilczak Ewa	nauczycielka	Oświęcim
19. Kramarczyk Piotr	uczeń	Oświęcim	37. Wilczak Przemysław	uczeń	Oświęcim
20. Kojder Dagmara	studentka	Kęty	38. Wilczak Ryszard	elektromonter	Oświęcim
21. Kolodziejczyk Renata	nauczycielka	Oświęcim	39. Wojtas Andrzej Marek	informatyk	Oświęcim
22. Kupiec Katarzyna	uczenica	Oświęcim	40. Wyrobek Agnieszka	studentka	Myślenice

Oddział PTT w Poznaniu

W roku 1994 wstąpiło do Oddziału 40-stu nowych członków. Skupiają się oni w mniejszych grupach związanych ze sobą towarzysko. Wywodzą się z takich środowisk jak „weterani“ PTT będący w Oddziale od początku, pracownicy i studenci Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, członkowie Akademickiego Klubu Górskiego „Ornak“, uczestnicy kursów Pracowni Organizacji Turystyki i Krajoznawstwa Studium Wychowania i Sportu UAM, a ostatnio Klub Górski „Hymn“ przy Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu i Szkolny Klub Górski „Dziabadło“ przy VI Liceum Ogólnokształcącym im. J.I.Paderewskiego.

Grupy te współpracują ze sobą przy organizacji imprez własnych, ogólnooddziałowych jak i o szerszym zasięgu.

Do tych ostatnich w roku 1994 należały:

- * odsłonięcie w Mosinie-Pożegowie głazu-pomnika poświęconego Władysławowi Zamoyskiemu przy dużej pomocy finansowej i organizacyjnej Parków Narodowych Tatrzańskiego i Wielkopolskiego. Z inicjatywy PTT nadano także jednej z poznańskich ulic imię Władysława Zamoyskiego;
- * odsłonięcie na poznańskim Cmentarzu Zasłużonych tatrzańskiego głazu upamiętniającego Wielkopolan – taterników, alpinistów, himalaistów, którzy zginęli w górach;
- * udział w akcji zbierania pieniędzy na zakup nowego śmigłowca dla TOPR-u;
- * zbieranie pieniędzy na remont schroniska na Ornaku;
- * akcja protestacyjna w sprawie zamknięcia bieszczadzkiej ciuchci;
- * udział w obchodach 40-lecia TPN, prezes J.Preisler otrzymał medal pamiątkowy.

Członkowie Oddziału prowadzili działalność górską indywidualnie, w kilkuosobowych grupach i na zorganizowanych obozach klubowych w Tatrach, Beskidach i Bieszczadach, a także w Czarnohorze i na Kaukazie. Kontynuowana była inwentaryzacja stanu szlaków turystycznych w Tatrach pod kierunkiem J.Preislera. W ciągu roku organizowano wycieczki niedzielne do Wielkopolskiego Parku Narodowego lub Puszczy Zielonki.

W ramach pracy programowej organizowano konkursy wiedzy o Tatrach, przeglądy filmów górskich, prelekcje na tematy górskie o zróżnicowanej tematyce, występ kapeli góralskiej. Dla młodzieży szkolnej organizowano prelekcje o charakterze edukacyjnym, mające zachęcić do uprawiania turystyki.

Bardzo dobrze układała się współpraca z Wojewodą Poznańskim dr Włodzimierzem Łęckim, Wydziałem Kultury Fizycznej i Turystyki, Tatrzańskim i Wielkopolskim Parkiem Narodowym, Oddziałem Związku Podhalan i Klubem Wysokogórskim w Poznaniu.

Oddział był organizatorem posiedzenia Zarządu Głównego w Obrzycku w styczniu 1994 roku.

Ukazały się kolejne numery pisma Oddziałowego „Świstak“. Informacje o działalności Oddziału pojawiały się w lokalnej prasie, radiu i telewizji.

Aktualny skład Zarządu:

1. Prezes	Preisler Juliusz Jerzy	nauczyciel akad.	Poznań
2. Wiceprezes	Kostrzewski Andrzej	geograf	Poznań
3. Sekretarz	Rachlewicz Grzegorz	geograf	Poznań

4. Skarbnik	Filarowska Halina	ekonomista	Poznań
5. Członek Zarządu	Snuszką Halina	ekonomista	Poznań
6. Członek Zarządu	Cudera Leszek	inż. elektryk	Poznań
7. Członek Zarządu	Lesiczka Leszek	geograf	Poznań

Członkowie Oddziału:

8. Bartoszewski Witold	inż. mechanik	Poznań	66. Kurek Krzysztof	frezer	Buk
9. Biela Dominika	uczeń	Poznań	67. Laurentowski Witold	technik	Poznań
10. Bielska Cecylia			68. Leksz-Matyja Stanisława	filolog	Poznań
11. Borkowska Małgorzata	inż. technolog	Poznań	69. Magdziarek Marcin	uczeń	Poznań
12. Borkowski Marek	inż. technolog	Poznań	70. Małczewska Małgorzata	uczeń	Poznań
13. Brzeziński Jerzy	psycholog	Poznań	71. Marcinkowski Bogdan	inżynier	Poznań
14. Chudy Jarosław	techn. elektronik	Poznań	72. Masternak Anna	student	Swarzędz
15. Chudy Joanna	uczenica	Buk	73. Matyja Aleksander	księgarz	Poznań
16. Czajka Paweł	uczeń	Poznań	74. Mazurczak Witold	historyk	Poznań
17. Czarnecka Leopolda	śpiewaczka	Poznań	75. Miłkowska Iwona	chemik	Poznań
18. Czarnyszewicz Leszek	urzędnik państw.	Poznań	76. Molajczak Jarogniew	muzyk	Poznań
19. Czubernat Stanisław	inż. leśnik	Zakopane	77. Mniszak Zenon	informatyk	Poznań
20. Dębska Elżbieta	lekarz	Poznań	78. Nabzyk Agnieszka	uczenica	Poznań
21. Dmochowski Bartosz	uczeń	Poznań	79. Nabzyk Jacek	inż. budowl.	Poznań
22. Dolata Wanda	techn. budowl.	Poznań	80. Nabzyk Piotr	uczeń	Poznań
23. Domino Ewa	techn. ekonom.	Poznań	81. Nastrej Jerzy	inż. budowl.	Śrem
24. Fechner Barbara	inż. chemik	Poznań	82. Nastrej Piotr	uczeń	Śrem
25. Fechner Ireneusz	inż. mechanik	Poznań	83. Nowak Witold	chórysta	Poznań
26. Fieske Włodzimierz	techn. mechanik	Poznań	84. Nowicki Jerzy	inż. elektryk	Jarocin
27. Gniot Magdalena	uczenica	Poznań	85. Ogrodowczyk Jan	informatyk	Poznań
28. Godyński Julian	inż. elektryk	Mosina	86. Olejnik Zdzisław	hydrogeolog	Poznań
29. Grabiak Romuald	inż. ochr. środow.	Poznań	87. Osiecka Mirosława	ogrodnik	Luboń
30. Grenda Elżbieta	nauczyciel	Poznań	88. Pawlak Zdzisław	inż. elektr.	Poznań
31. Grzybowska Grażyna	urzędnik państw.	Poznań	89. Pisarska Barbara	prawnik	Poznań
32. Heydel Andrzej		Poznań	90. Pisarski Wojciech	mechanik	Poznań
33. Horowski Szymon	uczeń	Poznań	91. Piwczak Piotr	historyk	Swarzędz
34. Jałowska Anna	uczenica	Poznań	92. Plewczyńska Ewa	pedagog	Poznań
35. Jankowska Małgorzata	ekonomista	Luboń	93. Praczyk Jan Mateusz	uczeń	Wiry
36. Jankowski Andrzej	student	Buk	94. Preisler Michał	geograf	Poznań
37. Jankowski Ryszard	mgr WF	Poznań	95. Przymszała Tadeusz	łączność	Poznań
38. Jankowski Zbigniew	nauczyciel	Luboń	96. Rachlewicz Janusz	lekarz	Poznań
39. Jaroszewski Michał	uczeń	Poznań	97. Rachlewicz Katarzyna	rehabilitant	Poznań
40. Jelińska-Kowalska Janina	ekonomista	Luboń	98. Radomski Marcin	uczeń	Środa Wlkp.
41. Jeż Jan	nauczyciel akad.	Poznań	99. Ratajczak Stefan	ekonomista	Środa Wlkp.
42. Jóźwiak-Bartoszewski Jolanta	etnograf	Poznań	100. Rugała Lech	teletechnik	Poznań
43. Juras Bożena	nauczyciel	Poznań	101. Rydzewski Marcin	uczeń	Poznań
44. Jurczykowski Tomasz	elektr. automat.	Poznań	102. Rynarzewski Witold	hydrogeolog	Poznań
45. Kaczmarek Janina	ogrodnik	Luboń	103. Schramm Ryszard Wiktor	biochemik prof.	Poznań
46. Kiciński Piotr	inż. leśnik	Rogoziniec	104. Skierska Paula	uczenica	Poznań
47. Kilarski Stanisław Piotr	kelner	Poznań	105. Skoczko Kazimierz	inż. zootechnik	Poznań
48. Kistowska Renata	uczenica	Poznań	106. Ślaba Eugenia	ekonomista	Poznań
49. Knopczyk Ewa	urzędnik państw.	Poznań	107. Sperzyńska Agnieszka	uczenica	Poznań
50. Kolenda Izabela	polonistka	Poznań	108. Szmidt Zbigniew	nauczyciel	Poznań
51. Koralewski Bogdan	techn. drogowy	Poznań	109. Szwaiba Lidia	menedżer klutury	Poznań
52. Kortus Agnieszka	techn. ekonom.	Wielka Wiesz	110. Tonder Katarzyna	uczenica	Buk
53. Kostrzewski Włodzimierz	nauczyciel akad.	Poznań	111. Trębacz Katarzyna	uczenica	Poznań
54. Kowalik Stanisław	psycholog	Poznań	112. Turek Teodora	nauczycielka	Poznań
55. Kowalski Eugeniusz	inż. budowl.	Luboń 56. Kozik	113. Turek Władysław	inż. rolnik	Poznań
56. Kozłowska Elżbieta	chemik	Poznań	114. Unolt Jerzy	ekonomista	Poznań
57. Kozłowski Jerzy	urzędnik państw.	Poznań	115. Wałęsa Radosław	student	Poznań
58. Kozłowski Jerzy	historyk	Poznań	116. Wałkowska-Drewek Renata	ekonomista	Poznań
59. Krajna Stanisław	techn. mech.	Poznań	117. Wichlacz Andrzej	chemik	Poznań
60. Króliewicz Sławomir	geograf	Poznań	118. Wojtkowiak Małgorzata	ekonomista	Poznań
61. Królikowski Feliks	nauczyciel	Śrem	119. Wojtkowiak Przemysław	inż. elektryk	Poznań
62. Krutel Krzysztof	student	Pila	120. Wypijewski Tomasz	ekonomista	Poznań
63. Krzyśko Marcin	uczeń	Poznań	121. Zielińska Danuta	urzędnik państw.	Poznań
64. Kubisz Wacław		Poznań	122. Zwołński Zbigniew	geograf	Poznań
65. Kulinowski Henryk	mgr WF	Poznań			

Oddział Akademicki PTT przy WSI im. Kazimierza Pułaskiego w Radomiu

W roku 1994 Oddział zorganizował 44 imprezy turystyczne z udziałem 364 osób, w tym dwa obozy narciarskie na Słowacji i na Młodej Horze, obóz letni w Chacie pod Skalanką, 11 wycieczek w Beskidzie Wysokim i na Słowacji, 10 wycieczek górskich w Tatrach i Gorcach, 9 wycieczek po Górach Świętokrzyskich, 9 po Kozienickim Parku Krajobrazowym, wycieczkę po Jurze Krakowsko-Częstochowskiej i do Kalwarii Zebrzydowskiej.

W roku 1994 odbyło się sześć spotkań klubowych, cztery posiedzenia Zarządu Oddziału i Walne Zgromadzenie. Z inicjatywy Oddziału powstało stowarzyszenie „Szlakami Ks.Prof. W.Sedlaka“, które odbyło 4 spotkania z udziałem 80 członków.

Opracowano i uzyskano zatwierdzenie KTP ZG PTTK nowego 20 km szlaku turystyki pieszej w Kozienickim Parku Krajobrazowym.

Wydano trzy biuletyny informacyjne OA PTT i trzeci tom Kroniki Oddziału Radomsko-Dęblińskiego PTT za rok 1993. Opracowano projekt regulaminu GOT PTT oraz wzory karty potwierdzeń terenowych i legitymacji GOT PTT. Wykonano okładki do nowej serii legitymacji członkowskich PTT.

Trzech członków Oddziału uczestniczyło w pracach Komisji Ekologicznej miasta Radomia, oprowadzano delegację amerykańskich ekologów. Członkowie Oddziału z uprawnieniami przewodnickimi prowadzili wycieczki krajoznawcze dla młodzieży szkół radomskich.

Aktualny skład Zarządu Oddziału:

1. Prezes	Mazur Tomasz	nauczyciel akad.	Radom
2. Wiceprezes	Kosma Zbigniew	nauczyciel akad.	Radom
3. Sekretarz	Kaczor Tadeusz	nauczyciel akad.	Radom
4. Skarbnik	Krok Stanisław	emeryt WP	Radom
5. Członek Zarządu	Lisica Adam	nauczyciel akad.	Radom
6. Członek Zarządu	Lisica Marcin	student	Radom
7. Członek Zarządu	Kurkowski Czesław	emeryt	Radom
8. Członek Zarządu	Erd Andrzej	nauczyciel akad.	Radom

Członkowie Oddziału:

9. Blajer Wojciech	nauczyciel akad.	Radom	23. Kosma Jakub	uczeń	Radom
10. Borowik Robert	student	Radom	24. Krawczyk Artur	student	Radom
11. Czarnecka Renata	nauczycielka	Dęblin	25. Krawczyk Karolina	uczenica	Radom
12. Deja Józef	nauczyciel akad.	Radom	26. Krok Anna	nauczyciel akad.	Radom
13. Domańska Renata	uczenica	Radom	27. Krok Tomasz	nauczyciel	Radom
14. Domańska Sylwia	uczenica	Radom	28. Krzeptowska Krystyna	nauczyciel akad.	Radom
15. Gawroński Michał	nauczyciel akad.	Radom	29. Kucharski Jerzy	fotografik	Dęblin
16. Górka Bogumił	nauczyciel akad.	Radom	30. Lach Artur	ksiądz	Radom
17. Grzeżulowski Adam	student	Radom	31. Łukasiewicz Mariusz	student	Radom
18. Hemik Aneta	uczenica	Radom	32. Mazur Elżbieta	nauczycielka	Radom
19. Jarosik Justyna	student	Radom	33. Michoński Ryszard	instruktor DK	Dęblin
20. Karwicka Danuta	nauczycielka	Radom	34. Mikos Maciej	student	Radom
21. Kmiotek Justyna	uczenica	Radom	35. Osika Agata	plastyk	Dęblin
22. Kopania Mirosław	student	Radom	36. Osieński Kazimierz	student	Radom

37. Orzechowski Piotr	uczeń	Radom	42. Szymański Kazimierz	inżynier	Radom
38. Parczewski Jan	nauczyciel akad.	Radom	43. Tarasiewicz Anna	uczennica	Radom
39. Rybiński Robert	uczeń	Radom	44. Tomczyk Agnieszka	uczennica	Radom
40. Skalbani Grzegorz	uczeń	Radom	45. Tomczyk Beata	uczeń	Radom
41. Świątlik Ryszard	nauczyciel akad.	Radom	46. Turecka Wiesława	nauczycielka	Radom

Oddział PTT im dr Tytusa Chałubińskiego w Radomiu

Zarząd Główny PTT na posiedzeniu w dniu 8 stycznia 1994 roku przychylił się do prośby założycieli i wyraził zgodę na utworzenie drugiego Oddziału PTT w Radomiu.

W październiku 1994 roku Oddział rozpoczął cykl imprez dostępnych dla miłośników górskich wędrówek z całego kraju pod nazwami: „Jesień w górach z PTT“ i „Wiosna z górach z PTT“. Uczestnicy, którzy wezmą udział we wszystkich dziesięciu spotkaniach poznają w trakcie cztero i pięciodniowych wędrówek wszystkie krainy górskie w Polsce. Każda impreza ma być upamiętniona okolicznościową plakietką.

Pierwsza impreza z tego cyklu (13–16.10.1994) odbyła się w Beskidzie Żywieckim, bazą był ośrodek wypoczynkowy w Rycerze Górnej. Wzięli w niej udział turyści z Bydgoszczy, Warszawy, Białej Podlaskiej, Łodzi, Sandomierza, Kielc, Gliwic, Rybnika, Knurowa i Radomia.

Prezes Oddziału kieruje Komisją ZG do spraw GOT PTT. Starano się, aby informacja o warunkach zdobywania odznaki rozeszła się w jak najszerszych kręgach turystów. Szczególnie chciano zainteresować młodzież w przekonaniu, że GOT PTT może stać się najskuteczniejszą formą propagowania Towarzystwa. W sezonie wiosenno–letnim było już ok. stu zdobywców pierwszego stopnia odznaki, w większości była to młodzież. Kontrowersje wokół odznaki i jej zawieszenie po spotkaniu w Karpaczu podważyło wiarygodność PTT w oczach tych wszystkich, którzy zainteresowali się PTT dzięki odznace.

Aktualny skład Zarządu Oddziału:

1. Prezes	Janusz Smolka	nauczyciel	Radom
2. Wiceprezes	Kwiatkowski Zygmunt	nauczyciel	Radom
3. Sekretarz	Golus Janina	technik	Radom
4. Skarbnik	Pokrowski Henryk	fotograf	Radom
5. Członek Zarządu	Dąbrowski Jarosław	nauczyciel	Radom
6. Członek Zarządu	Gniadek Tomasz	technik	Radom
7. Członek Zarządu	Suchodolski Krzysztof	energetyk	Radom
8. Członek Zarządu	Zajac Dariusz	student	Radom
9. Członek Zarządu	Zwierzyńska Bożena	pielęgniarka	Radom

Członkowie Oddziału:

10. Bałenkowski Jan	technik	Radom	17. Dobrzański Rafał	technik	Ząbki
11. Batkowski Jan	historyk sztuki	Radom	18. Dykowski Piotr	strażak	Trzebiatów
12. Biełkowski Lech	techn. budowl.	Radom	19. Fidos Karol	uczeń	Radom
13. Bujak Krzysztof	student	Radom	20. Fryc–Gąsienica Elżbieta	nauczycielka	Zakopane
14. Burchart Kazimierz	inżynier	Radom	21. Galas Zdzisław	żołnierz zaw.	Radom
15. Czeski Cezary	uczeń	Radom	22. Golus Marian	technik	Radom
16. Dąbrowska Magdalena	nauczycielka	Radom	23. Jakubiak Robert	uczeń	Radom

24. Jałowski Daniel	technik	Radom	55. Nowakowski Arkadiusz	uczeń	Kostrzyń
25. Józwik Zbigniew	inżynier	Radom	56. Pawełczyk Aneta	studentka	Radom
26. Kantor Daniel	ekonomista	Żywiec	57. Pawełczyk Włodzimierz	nauczyciel	Radom
27. Karpiński Jarosław	uczeń	Bukówno	58. Popkiewicz Marzena	uczenica	Długowola
28. Kierczak Dominika	uczenica	Białobrzegi	59. Sasin Robert	inż. mechan.	Radom
29. Kierczak Kornelia	uczenica	Białobrzegi	60. Sielezin Dorota	uczenica	Białobrzegi
30. Kilijańczyk Michał	uczeń	Białobrzegi	61. Skalska Katarzyna	ekonomistka	Radom
31. Klich Robert	uczeń	Białobrzegi	62. Skoczyła Marek	nauczyciel	Radom
32. Kluczny Czesław	technik	Gliwice	63. Skórnicki Waldemar	inżynier	Radom
33. Korczak Tomasz	nauczyciel	Radom	64. Smolka Beata	nauczycielka	Radom
34. Kowal Małgorzata	nauczycielka	Radom	65. Szczepański Marek	student	Radom
35. Kowalik Marek	historyk	Radom	66. Szewczyk Dagmara	uczenica	Radom
36. Kozłowska Joanna	nauczycielka	Radom	67. Sznyrowski Marcin	student	Radom
37. Kulińska Jadwiga	emeryt	Radom	68. Szymański Kazimierz	inżynier	Radom
38. Kurowski Janusz	nechani	Knurów	69. Świadek Leszek	górnik	Knurów
39. Kwiatkowska Iwona	uczenica	Bronisławów	70. Świerczkowska Ewa	ekonomistka	Radom
40. Kwiatkowski Józef	ekonomista	Radom	71. Świętojański Czesław	inż. elektryk	Radom
41. Kwiatkowski Tomasz	dziennikarz	Warszawa	72. Świętojański Przemysław	uczeń	Radom
42. Kwil Marcin	uczeń	Białobrzegi	73. Talma Leopold	poligraf	Radom
43. Kwil Stefan	lekarz wet.	Białobrzegi	74. Taraś Zygmunt	elektroenergetyk	Radom
44. Kwil Urszula	nauczycielka	Białobrzegi	75. Trzaskacz Magdalena	uczenica	Promna
45. Łukasiewicz Jadwiga	techn. analyt.	Radom	76. Tumidajowicz Stanisław	górnik	Gliwice
46. Łukomski Grzegorz	elektromechanik	Radom	77. Utkowska Ewa	ekonomista	Radom
47. Mastalerz Jacek	monter	Radom	78. Wiczorek Piotr	student	Radom
48. Marek Krzysztof	mechanik	Leszczyny	79. Wikalińska Agnieszka	studentka	Radom
49. Mazur Iwona	nauczycielka	Radom	80. Wójcik Piotr	uczeń	Radom
50. Mączyńska Alina	chemik	Radom	81. Wrzesień Mieczysław	nauczyciel	Przysucha
51. Mirkowska Katarzyna	uczenica	Falęccie	82. Zając Leszek	techn. mechan.	Rybnik
52. Naklicki Sławomir	funkc. państw.	Radom	83. Zarzycki Henryk	inżynier	Radom
53. Nakoneczny Jan	inż. elektr.	Radom	84. Żurawski Andrzej	inżynier	Warszawa
54. Neska Henryk	technik	Radom	85. Żyła Michał	uczeń	Radom

Oddział PTT w Sosnowcu

23 marca 1995 roku odbyło się zebranie założycielskie Oddziału. Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego na posiedzeniu w dniu 20 maja 1995 roku powołał Oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Sosnowcu z siedzibą w Sosnowcu.

Skład Zarządu Oddziału:

1. Prezes	Jaskiernia Zbigniew	inż. metalurg	Sosnowiec
2. Wiceprezes	Karbowniczek Leszek	biolog	Sosnowiec
3. Sekretarz	Wyszyńska Justyna	tech. obsługi ruchu turyst.	Sosnowiec
4. Skarbnik	Topolska Dorota	prac. umysł.	Sosnowiec
5. Członek Zarządu	Dąbrowski Sylwester	technik	Sosnowiec
6. Członek Zarządu	Kaczmarek Artur	uczeń	Sosnowiec
7. Członek Zarządu	Kapkowski Tomasz	technik	Sosnowiec
8. Członek Zarządu	Tuszycki Bartosz		Sosnowiec

Członkowie Oddziału:

9. Barwaniec Marek	techn. mechanik	Sosnowiec
10. Brzeszcz Ireneusz	technik	Sosnowiec
11. Cudała Grażyna	prac. umysł.	Sosnowiec
12. Czajer Przemysław	uczeń	Sosnowiec
13. Czesak Krzysztof	mgr inż. leśnik	Sosnowiec
14. Drajda Barbara	ekonomista	Sosnowiec
15. Duda Dorota	nauczyciel	Sosnowiec
16. Dzierżbicki Krzysztof	tech. budowl.	Sosnowiec
17. Gawron Ewa	prac. umysł.	Sosnowiec
18. Halemba Krzysztof	uczeń	Sosnowiec
19. Kempny Zdzisław	techn. mechanik	Sosnowiec
20. Kwiatkowski Michał	uczeń	Sosnowiec

21. Marzęcki Janusz	techn. komunikacji	Sosnowiec	27. Skulski Andrzej	tech. mechanik	Sosnowiec
22. Mużykowska Urszula	nauczyciel	Sosnowiec	28. Spas Paweł	uczeń	Sosnowiec
23. Nowak Joanna	uczeń	Sosnowiec	29. Strzeszkowski Grzegorz	prac. umysł.	Sosnowiec
24. Piętko Rafał	uczeń	Sosnowiec	30. Szwanke Piotr	techn. mechanik	Sosnowiec
25. Sierżputowski Piotr	uczeń	Sosnowiec	31. Tomaszewska Olga	ekonomista	Sosnowiec
26. Skorupka Maciej	uczeń	Sosnowiec	32. Żołędzka Anna	prac. umysł.	Sosnowiec

Oddział PTT w Warszawie

Spotkania członków odbywały się regularnie w każdy pierwszy i trzeci czwartek miesiąca (z przerwą wakacyjną) w sali klubowej Warszawskiego Ośrodka Kultury przy ul. Elektoralnej 12. W trakcie spotkań obok bieżących spraw organizacyjnych wygłaszane były prelekcje o tematyce górskiej.

Do najciekawszych prelekcji prezentowanych w roku 1994 można zaliczyć:

* O eksploracji jaskiń tatrzańskich (Z. Wójcik), Panorama z Lodowego Szczytu i jego okolic (J. Lefeld), O skarbach tatrzańskich (J. Lefeld), O projekcie Euroregionu Tatr – perspektywy dla turystyki (dyskusja), Zwierzęta chronione w Tatrach, O nieznanach Liptowskich Tatrach, Ekorozwój Podhala i użytkowanie wód geotermalnych (sprawozdanie z konferencji), Współczesne tendencje w odżywianiu w sporcie wyczynowym (K. Jung).

W styczniu 1994 odbyto wspólną wycieczkę do Puszczy Kampinowskiej z udziałem prawie wszystkich członków Oddziału. Oddział spotkał się także 26 maja 1994 r. przy kominku u Prezesa w Siedliskach k/Piaseczna. W sierpniu 1994 roku odbył się kilkudniowy wyjazd w Tatry Wysokie.

17 listopada 1994 roku odbyło się walne zgromadzenie sprawozdawczo-wyborcze Oddziału.

Przed świętami Bożego Narodzenia zorganizowano tradycyjny Oplatek świąteczny.

Aktualny skład Zarządu Oddziału:

1. Prezes	Lefeld Jerzy	geolog, prof.	Warszawa
2. Wiceprezes	Borzemska Wanda	lekarz wet.	Warszawa
3. Sekretarz	Mazurkiewicz Barbara	inżynier	Warszawa
4. Skarbnik	Kamiński Robert	zaopatrzeniowiec	Warszawa
5. Członek Zarządu	Charazińska Hanna	prac. umysł.	Warszawa
6. Członek Zarządu	Furmaniuk Wiesław	technik	Warszawa
7. Członek Zarządu	Gutry Tomasz	elektronik	Warszawa

Członkowie Oddziału:

8. Ambroziewicz Paweł	inżynier	Warszawa	19. Janyszek Aleksander	inżynier	Warszawa
9. Bojanowski Jerzy	inżynier	Warszawa	20. Janyszek Barbara	inżynier	Warszawa
10. Charazińska Sylwia	uczenica	Warszawa	21. Jastrzębowski Andrzej	architekt	Warszawa
11. Chlewicka Inga	lekarz	Warszawa	22. Kłosieński Stanisław	student	Warszawa
12. Chmielewska Anna	zootechnik	Warszawa	23. Konopka Jan	adwokat	Warszawa
13. Dobrzyńska Katarzyna	biolog	Warszawa	24. Konczykcka Małgorzata	elektromechanik	Warszawa
14. Dobrzyński Waldemar	informatyk	Warszawa	25. Konczykcki Janusz	elektromechanik	Warszawa
15. Dziel Danuta	inżynier	Warszawa	26. Kowalski Marian Maciej	inżynier	Warszawa
16. Garlińska Romana	inżynier	Warszawa	27. Krasucka Agnieszka	studentka	Warszawa
17. Garliński Marek	inżynier	Warszawa	28. Krzyśków Robert	student	Warszawa
18. Gliwińska Alicja		Warszawa	29. Łojek Wiesław	filolog	Warszawa

30. Monkiewicz Sławomir	inżynier	Warszawa	41. Smulikowska Ewa	historyk sztuki	Warszawa
31. Nawalany Piotr	technik	Warszawa	42. Sokołowski Andrzej	geolog	Warszawa
32. Nehring-Lefeld Maria	paleontolog	Warszawa	43. Tawczyński Jerzy	techn. elektroniki	Warszawa
33. Okieńczyk Andrzej	lekarz	Warszawa	44. Toruń Jędrzej	fizyk	Warszawa
34. Okieńczyk Anna	germanistka	Warszawa	45. Tryburek Maciej	uczeń	Warszawa
35. Olkusik Marek		Warszawa	46. Warda Barbara		Warszawa
36. Rydzyski Piotr	inżynier	Warszawa	47. Woźniak Hanna	etnograf	Warszawa
37. Rzepakowski Witold	technik	Warszawa	48. Woźniak Roman	inżynier	Warszawa
38. Sapierski Mirosław	ekonomista	Warszawa	49. Zaborski Andrzej	prawnik	Warszawa
39. Sikorska Elżbieta	filmoznawca	Warszawa	50. Załęski Aleksander	fotograf	Warszawa
40. Sikorski Adam	geotechnik	Warszawa	51. Żołądek Teresa	ekonomistka	Warszawa

Oddział Sudecki PTT we Wrocławiu

Pierwsze półrocze 1994 roku zapowiadało stabilizacją Oddziału. Odbyło się 6 spotkań terenowych, zorganizowano Oplatek, a następnie Śledzika. Odbyły się spotkania z Księdzem Kardynałem Henrykiem Gulbinowiczem i z Oddziałem Wrocławskim Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Regularnie ukazywał się Biuletyn Informacyjny Oddziału „Zbyrcok”. Przed wszystkim obchodzono na Wieżycy w masywie Ślęży 5-lecie Oddziału.

Oddział zaangażował się w sprawę przywrócenia GOT PTT. Dezaprobatą Zarządu Głównego wobec stanowiska Prezesa Oddziału w sprawie odznaki wywołała kolejny kryzys w Oddziale. Oddział był współorganizatorem XI Ogólnopolskiego Spotkania Oddziałów PTT w Karpaczu, na którym opowiedziano się za przywróceniem GOT w tradycyjnej postaci.

Aktualny skład Zarządu Oddziału:

1. Prezes	Desłowski S. Artur	architekt	Wrocław
2. Wiceprezes	Dziuba Stanisław	geograf	Wrocław
3. Sekretarz	Szlachta Beatrycze	filolog	Wrocław
4. Skarbnik	Skowroński Mieczysław	architekt	Wrocław
5. Członek Zarządu	Gruntkowski Jan	pedagog	Głogów

Członkowie Oddziału:

6. Bednarek Zdzisław	lekarz	Wrocław	18. Michalska Małgorzata	lekarz	Wrocław
7. Bylińska Ewa	biolog	Wrocław	19. Mirowska Nella	fizyk	Wrocław
8. Chmura-Petech Teresa	architekt	Wrocław	20. Ojrzyski Zdzisław	redaktor	Wrocław
9. Dziuba Ewelina	inż. rolnik	Wrocław	21. Paszke Bronisław	plastyk	Długoleś
10. Gisges-Rajewska Elżbieta	lekarz	Wrocław	22. Piaszczyński Zdzisław	architekt	Wrocław
11. Grzegorzcyk Andrzej	inż. mechanik	Wrocław	23. Pysznik Marek	architekt	Wrocław
12. Kowalski Tadeusz	urzędnik	Wrocław	24. Rogalska Teresa	psycholog	Wrocław
13. Kwiatkowska-Korczak Janina	lekarz	Wrocław	25. Stefaniak Jacek	meblarz	Oleśnica
14. Ługowska Jolanta	filolog	Wrocław	26. Strojcka Krystyna	chemik	Wrocław
15. Łyszczarczyk Leszek	geograf	Wrocław	27. Strzelczyk Gabriela	nauczycielka	Wrocław
16. Maj-Hruby Wanda	ekonomista	Wrocław	28. Szeliga Wojciech	biochemik	Wrocław
17. Mazurkiewicz Krzysztof	elektronik	Żurawina	29. Wojtatowicz Maria	inż. rolnik	Wrocław
			30. Zienkiewicz Anna	lekarz	Wrocław

Oddział PTT w Zielonej Górze

W 1994 roku zorganizowano 20 wyjazdów sobotnio-niedzielnym w Sudety, głównie w rejon Kotliny Kłodzkiej. Do ciekawszych terenów, w których byli członkowie Oddziału w

sezonie letnim należały: Kaukaz (2 osoby), Dolomity (1 osoba), Gorgany (1 osoba), Góry Krymskie (1 osoba) i Zatoka Botnicka – objazd rowerowy wokół zatoki (2 osoby).

W pierwsze czwartki miesiąca (wyjawszy okres wakacyjny) odbywały się spotkania członków Oddziału w Ośrodku Folkloru w Zielonej Górze połączone z prelekcjami na tematy górskie.

Aktualny skład Zarządu Oddziału:

1. Prezes	Czechowski Józef	inż. mechanik	Zielona Góra
2. Wiceprezes	Szrefel Zdzisław	techn.inst.sanitarnych	Zielona Góra
3. Sekretarz	Filipowska Danuta	ekonomista	Zielona Góra
4. Skarbnik	Łęczycycki Józef	emeryt	Zielona Góra

Członkowie Oddziału:

5. Danielak Stanisław	nauczyciel	Zielona Góra	19. Pietruszka Teresa	technik	Czerwieńsk
6. Dąbrowska Małgorzata	ekonomista	Zielona Góra	20. Płocka Krystyna	nauczyciel muzyki	Zielona Góra
7. Ferenc Kamila	ekonomista	Krosno Odrz.	21. Płocki Dariusz	elektromonter	Zielona Góra
8. Galewski Wiesław	tech. mech.	Gubin	22. Sierciechowski Andrzej	inż. elektryk	Nowa Sól
9. Gradzik Teresa	ekonomista	Zielona Góra	23. Sierżga Tomasz	tech. metrolog	Zielona Góra
10. Hałas Zbigniew	technik	Zielona Góra	24. Skorupa Mariusz	tokarz	Zielona Góra
11. Jankowiak Maria	ekonomista	Zielona Góra	25. Stasiński Piotr	techn. mech. roln.	Czerwieńsk
12. Kadzińska Małgorzata	tech. hotel.	Gubin	26. Sznajder Elżbieta	ekonomista	Zielona Góra
13. Kiraga Antoni	techn. budowl.	Nowa Sól	27. Światłowski Dariusz	inż. mechanik	Zielona Góra
14. Kiraga Dariusz	student	Nowa Sól	28. Tamawa Maria	zootechnik	Zielona Góra
15. Kowalewska Kazimiera	ekonomista	Nowa Sól	29. Tamawa Ryszard	tech. mech.	Zielona Góra
16. Machniak Janina	ekonomista	Zielona Góra	30. Zalewski Zbigniew	technik	Świebodzin
17. Machniak Krzysztof	inż. mechanik	Zielona Góra			
18. Morzyc Andrzej	mechanik	Zielona Góra			
		Zagań			



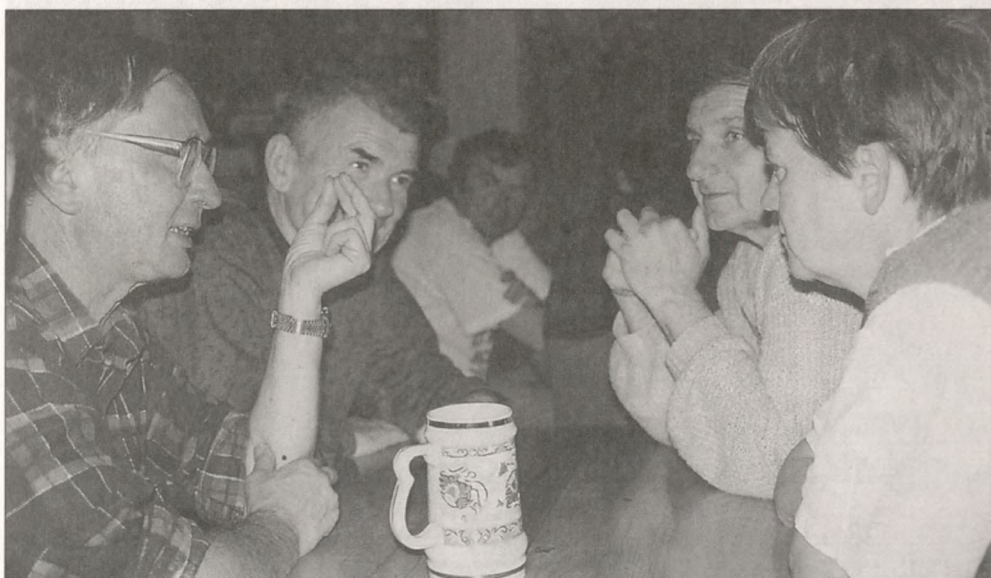
Nowy Sącz pod Kilimandżaro. Elżbieta Luchowska-Gorczyca, Maciej Zaremba, Małgorzata Kieres. 18.09.1994. Fot. archiwum O/„Beskid”.



Oddział PTT Beskid w Nowym Sączu na Lubogoszczy. 23.10.1994. Fot. archiwum O/„Beskid”.



Wycieczka na Słowację: Lietavský Hrad. 30.09.1994



Wieczorne pogawarki w Chacie pod Skalanką, 1.10.1994; od lewej: R.Zaręba, C.Klimczyk, J.Michlik, A.Destawski, B.Morawska-Nowak



Oddział PTT w Kaliszu w drodze na Rysy. 21.09.1994. Fot. E. Michalak.



Kaliszanie w drodze na Białą Skalę i Siwy Wierch. Fot. B. Morawska-Nowak.



Oddział PTT w Bielsku-Białej otwiera kolejną stację turystyczną PTT: Willa pod Hyrcą w Szczyrku.



Uczestnicy posiedzenia ZG PTT przed kościołem w Krynicy. 8.10.1995. Fot. B. Morawska-Nowak.

BESKID



Nr 3 (22)

Lipiec - Wrzesień 1995

Pismo POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO Oddział BESKID w Nowym Sączu

NASZE CZASOPISMA

Redakcja „Pamiętnika PTT” doliczyła się w minionym roku siedmiu tytułów wydawnictw periodycznych Oddziałów PTT. Jest to mniej, niż w roku 1994. Czyżby niektóre Oddziały zawiesiły wydawanie swoich informatorów? W każdym razie poniżej omawiamy tylko siedem, bo więcej nie dostaliśmy.

„**WOŁANIE**” biuletyn Oddziału Krakowskiego jest najstarszym pismem wydawanym przez nasze Oddziały. Redaguje go od początku Maciej Mischke. Wychodzi niezbyt regularnie; co jednak ważne, zawiera często pozycje godne szerszej popularyzacji. Takim artykułem jest świetny szkic naszego kolegi z Barcelony – Mariana Maurizio – o zapachach przyrody górskiej i ich znaczeniu (nr 12 z listopada). Gdyby ktoś wzbogacił ten szkic o komentarz jedynej chyba w Polsce „pani profesor od zapachów” z UJ, to pozycję tę trzeba by na pewno spopularyzować w całym naszym środowisku. Druga godna uwagi pozycja, to artykuł Mariana Korneckiego o polskich drewnianych kościołach, których ostatnio gwałtownie ubywa. Pisaliśmy już na ten temat, ale to problem **BARDZO WAŻNY** i wciąż aktualny, a tym samym godny szerszego poruszenia.

„**WOŁANIE**” ma jedną wadę i jedno zagrożenie. Wada – to mała ilość wiadomości o życiu Oddziału, a zagrożenie – to po prostu brak pieniędzy.

„**ŚWISTAK**”. Od początku Poznaniacy robią swój informator bardzo systematycznie i dokładnie. Przed paru laty w każdym numerze dawali informację o jakimś ciekawym zwierzęciu pozostającym pod ochroną; potem przyszedł czas na chronione rośliny. Te dwa tematy wyczerpały się i poznański miesięcznik zmienił się poważnie. Jak dalej poświęca sporo uwagi miejscowym sprawom, ale znacznie więcej zawiera teraz przedruków. Opublikowano też kilka ciekawych artykułów godnych chyba szerszej popularyzacji, jak np. opis wędrówki jedwabnym szlakiem. Pewną słabością „**ŚWISTAKA**” są zdjęcia, które w tej technice drukarskiej prawie zawsze kiepsko wychodzą. Niestety, drukuje się ich dużo i niejednokrotnie są nieczytelne.

Wydawany przez Oddział Łódzki PTT „**ZAKOS**” to miesięcznik, który w tytule zachował nazwę biuletyn. Słusznie, bo jest to bardzo bogaty informator, który zawiera bardzo dużo wiadomości o życiu Oddziału i o tym, co robi Zarząd Główny. Są również opracowania większe, bardzo ciekawe, jak np. życiorys Tytusa Chałubińskiego, w którym jest sporo mało znanych faktów z życia sławnego lekarza – odkrywcy Zakopanego. Są naturalnie opisy wycieczek w Himalaje, Alpy i Tatry. Słabą stroną „**ZAKOSU**” jest łamanie. Czasem trudno się połapać, gdzie jest dalszy ciąg jakiejś pozycji. Mam wrażenie, że są to skutki współpracy przy składzie suczki Trolki... Trudno, samo życie. Co cztery łapy, to nie dwie ręce.

Oddział w Nowym Sączu wydaje od lat kwartalnik „**BESKID**”. Ten periodyk jest redagowany spokojnie, przy zachowaniu stałego układu działów. Na 16 stronach formatu A-4 tematy ogólnopolskie to połowa, jedna trzecia to informacje z życia Oddziału, a dalej krótkie notatki ważne dla turystów i przedruki z innych gazet na tematy turystyczne. Brak tu tylko (i to nie tylko w tej gazecie) informacji z życia innych Oddziałów.

„**HYR**” gliwickiego PTT to mała, ale zadziorna gazetka. Sprawie dewastacji Pilska poświęcono kilka pozycji podkreślając, że gdy chodzi o pieniądze, miejscowe władze nie oglądają się na przepisy. Awantura o zagospodarowanie szczytu Pilska po to, by uatrakcyjnić pobyt w Korbielowie, zaczęła się jeszcze w latach osiemdziesiątych. Potem, mimo że nadeszły lata dziewięćdziesiąte, górę niszczone dalej. Autorzy słusznie pytają, czy szczyt Pilska da się uratować przed zniszczeniem, chociaż sprawa powinna być prosta, bo to teren Parku Krajobrazowego. W numerze październikowym kol. Siwiec, znany z ciętego pióra, porusza sprawę powrotu starych „popeerelowskich zwyczajów” w Straży Granicznej która wymaga, by turyści idący ścieżką graniczną z Krawców Wierchu na Rycerzową (szlakiem niebieskim), mieli przepustkę od tejże Straży... Myślę, że ta sprawa powinna być poruszona znacznie szerzej. Może to nawet temat do interwencji dla Zarządu Głównego? Chyba czas zlikwidować zwyczaje wracające jak czkawka PRL.

„**ODGŁOSY GÓR**” to nowy tytuł wśród naszych periodyków. Ten kwartalnik służy kolegom z Kalisza. Przeczytałem trzy numery, ciekawe. Opis słynnego niemieckiego zimowiska w Alpach Bawarskich „Ga-Pa” interesujący, chociaż niestety obejmujący tylko jazdy kolejkami. Ale nie wszyscy lubią chodzić. Dużo wiadomości miejscowych, to ważne. Ciekawie pokazane nasze góry i górki. Dobrze, że jeszcze jeden biuletyn ruszył. To ułatwia kontakty i współpracę. W „**ODGŁOSACH GÓR**”, jak zawsze na początku, zawodzi czasem korekta.

Biuletyn Oddziału Akademickiego PTT w Radomiu w ubiegłym roku otrzymaliśmy tylko jeden. Jest to numer poświęcony całkowicie Puszczy Kozienskiej. Opracowanie jest dokładne, ciekawe, opatrzone niezłym szkicem. Tego rodzaju prace zbior-

cze mają tę zaletę, że popularyzują mało znane turystom okolice w Polsce. Przyznam szczerze, że sam o Puszczy Kozienickiej nic nie wiedziałem. Niestety, jest to jedyny numer biuletynu PTT z Radomia jaki do nas dotarł, a szkoda, bo człowiek chciałby trochę wiedzieć o tym Oddziale i jego członkach.

Czas na podsumowanie wrażeń z lektury naszych wydawnictw regionalnych.

Uwaga nr 1. Dalej nie ma wymiany informacji między Oddziałami. Np. koledzy z Bielska nie wiedzą, co się dzieje w Zielonej Górze (i odwrotnie), a koledzy z Poznania nie mają wiadomości z Nowego Sącza. Wskutek tego, często z inicjatywy wycieczkowych poszczególnych grup nie korzystają inni, a przecież plan wycieczek zrobiony w Nowym Sączu może zainteresować kolegów w Bydgoszczy.

Uwaga nr 2. Szereg pozycji opublikowanych w ubiegłym roku powinno się udostępnić wszystkim członkom PTT. Dlatego wnioskuję, by co roku wybierać najciekawsze artykuły i wydawać je w większym nakładzie dla wszystkich członków PTT w numerze specjalnym biuletynu ZG PTT „CO SŁYCHAĆ”.

Na zakończenie parę słów o powyższej gazecie. Barbara, nasz nieoceniony sekretarz, przygotowuje już 60 numer. Robi to od pięciu lat. Ten informator łączy nas, ułatwia współpracę, ale byłby znacznie bogatszy w nowiny turystyczne z całej Polski, gdyby Oddziały przysyłały wieści o tym co się u nich dzieje. Niestety, tylko niektórzy to robią i wskutek tego obraz naszego życia jest nieco wykrzywiony. Basia dostaje wiadomości z pięciu Oddziałów, zamiast z dwudziestu...

Mimo to, „CO SŁYCHAĆ”, to dobry periodyk.

A.L.



KWARTALNIK
POLSKIEGO
TOWARZYSTWA
TATRZAŃSKIEGO

ODDZIAŁ PTT
KALISZ

Adres Redakcji:
Turkowska Zuzanna
62-800 Kalisz
ul. Ciasna 19/19

Odgłosy Gór

POLECAMY DO CZYTANIA

Witold Piksa: Spojrzenie na Tatry poprzez wieki. Od pierwszych wzmianek do Oświecenia. Kraków–Wrocław 1995 Polskie Towarzystwo Ludoznawcze ss. 116.

Polskie Towarzystwo Ludoznawcze wydało po 28 latach od napisania, przekazaną przez żonę autora pracę przedwcześnie zmarłego Witolda Piksy (1934–1974). Miało to być większe opracowanie, ale przerwała je nagła śmierć autora. Dlatego kończy się na omówieniu Oświecenia. Autor zebrał i opisał najstarsze, a więc najmniej znane fakty: pierwsze wzmianki o Tatrach zwanych wówczas Krępakiem u starożytnych i u średniowiecznych kronikarzy, legendy i podania historyczne związane z Tatrami, początki i rozwój osadnictwa na Podhalu, poszukiwania skarbów i górnictwo w Tatrach, Tatry w opisach pisarzy renesansu i baroku, zbójnictwo, pierwszych zwiedzaczy i badaczy Tatr, początki Zakopanego. Na pewno warto było zapoznać szerszy ogół z tą starannie opracowaną pracą lekarza i polonisty, a przede wszystkim miłośnika Tatr.

Jacek Kolbuszewski: Tatry. Literacka tradycja motywu gór. Kraków 1995 Oficyna Podhalańska ss. 193

Tatry, jak mało które góry, stały się w różnych czasach przedmiotem zainteresowania ze strony twórców, artystów i pisarzy. Autor przedstawił dzieje literackiej fascynacji Tatrmi począwszy od literatury staropolskiej, gdy Tatry były bajkowo przedstawiane poprzez ich stopniowe poznawanie aż po czasy obecne. Rozkwitła ona od połowy XIX wieku w twórczości romantyków, pozytywistów, by osiągnąć apogeum w okresie Młodej Polski. Oprócz znanych ogólnie pisarzy i poetów Wincentego Pola, Adama Asnyka, Jana Kasprowicza czy Kazimierza Przerwy-Tetmajera autor zwraca uwagę na nieznane ogółowi poezje Felicjana Faleńskiego czy

Franciszka H. Nowickiego. W ostatnim rozdziale zatytułowanym „Koniec dawności” wyznacza granicę twórczości inspirowanej Tatrami na początek lat osiemdziesiątych. Piszący w tym czasie Krygowski, Wilczkowski czy inni czerpią tworzywo ze swoich wspomnień. Wskrzeszają dawne góry, dawne czasy i ludzi co się już minęli. Jest to smutna dla mnie refleksja. Myślę, że „masówka” w Tatrach nie sprzyja ich indywidualnemu, subiektywnemu przeżywaniu. Czy jednak mimo wszystko nie znajdą się współcześni młodzi ludzie, którzy dadzą wyraz w swej twórczości zafascynowaniu Tatrami? Czekają również na nich łamy naszego Pamiętnika. Przekonajmy prof. Kolbuszewskiego, że się myli.

Pola Kuleczka: Tatry w literaturze polskiej dla dzieci i młodzieży do roku 1939. Zielona Góra 1994 WSP ss. 240

Podobną problematykę podjęła Pola Kuleczka koncentrując się na tematyce tatrzańskiej i góralskiej w literaturze dziecięcej i młodzieżowej. Analizie poddała wiersze i opowiadania ukazujące się w pismach przeznaczonych dla młodego czytelnika takich jak Przyjaciel Dzieci, Moje Pisemko czy Płomyczek jak i większe utwory – powieści lub zbiory wierszy. Wszyscy z dzieciństwa pamiętamy piękną opowieść Marii Konopnickiej: „O krasnoludkach i sierotce Marysi” kiedy to Marysia wędruje do Królowej Tatr. Nie mamy nawet pojęcia o bogactwie tej tematyki w utworach wielu zapomnianych już pisarzy, którzy przybliżali dzieciom i młodzieży góry rozbudzając zainteresowanie nimi i miłość do nich. Autorka zadała sobie spory trud, by wszystko to zebrać, przypomnieć i poddać literackiej analizie. Chwała jej za to. Pracę tę, jak pisze, podjęła w hołdzie Tadeuszowi Staichowi, który był dla niej wzorcem osobowym i przewodnikiem po górach, góralszczyźnie i literaturze.

Ryszard W. Schramm: Życiorys tatrzański. Poronin 1995 Wydawnictwo Górskie. ss. 247

W przeciwieństwie do wyżej omówionych pozycji, o które zapyta się niejeden – gdzie je znaleźć i nabyć, tę mieli okazję zakupić z pierwszej ręki, wprost od autora delegaci na III Zjazd Towarzystwa.

Nasz pierwszy honorowy postanowił opublikować pisane na bieżąco teksty z pierwszych 20 lat swej górskiej działalności, gdy nie znał innych gór wyższych jak Tatry. Cezurą jest rok 1957 gdy po raz pierwszy wyjechał w Alpy. Pisał teksty jako młody taternik, większość z nich publikował w redagowanym przez siebie poznańskim „Oscypku” i „Taterniku”. Opisywał swe przeżywane na gorąco taternictwo. Liczne zdjęcia z tych czasów pozwalają zobaczyć jak wyglądał młody jeszcze autor i jego górscy partnerzy, jego Halinka. Iluż z nich już nie żyje... Tym większą wartość ma ten pamiętnik tatrzański, tym bardziej jest autentyczny. Ci co książkę nabyli,

pewnie ją już przyczytali; innych zachęcamy do bliższego poznania za jej pośrednictwem autora.

Jan Długosz: Wywiad z Yeti. Tom III Utworów Zebranych. Wydanie I z komentarzem Ewy Dereń. Kraków 1995 Wydawnictwo PiT. ss 375

Z postacią Jana Długosza spotkali się już nasi czytelnicy w poprzednich tomach (S.Urbański: O zachodzie, S.Worwa: Lawina); także w tym tomie przewija się ona we wspomnieniach jego przyjaciół Marka Stefańskiego i Zbigniewa Jaworowskiego. Pamiętamy, że zginął tragicznie i przedwcześnie, natomiast nie wszyscy wiedzą, że pozostawił po sobie spory dorobek literacki. Pośmiertnie ukazał się drukiem zbiór jego opowiadań „Komin Pokutników”. Reszta rękopisów i maszynopisów przeleżała się przez 30 lat w starej skrzyni na strychu, obecnie opublikowaniem całości zajęła się młoda śląska dziennikarka Ewa Dereń. Po ponownym wydaniu „Komina Pokutników” i zbiorze opowiadań „Flirt z Czarną Damą” ukazał się opasły tom pozostałych pism Jana Długosza, któremu nadano tytuł „Wywiad z Yeti”. Zbiór obejmuje opowiadania, wspomnienia, reportaże i artykuły prasowe, także polemiczne oraz przeróżne wiersze: satyryczne, kabaretowe, liryczne, górskie czyli wszystko co nadawało się do opublikowania w odkrytej skrzyni. Komentarz historyczny z uwagami osób trzecich do opisywanych wydarzeń, rozwiązania pseudonimów taternickich oraz zamieszczona bibliografia czynią z tomu ważny dokument z tych czasów tymbardziej, że nie zachowały się dawne archiwa Klubu Wysokogórskiego. Ewa Dereń zapowiada wydanie tomu IV, zawierającego wspomnienia innych o Długoszu. Chwała Ewie za to, że dzięki jej inicjatywie Jan Długosz – symbol taternictwa lat pięćdziesiątych – żyje nadal w ludzkiej pamięci.

Spisz i Orawa. W 75. rocznicę powrotu do Polski północnych części obu ziem. Zbiór artykułów pod redakcją Tadeusza M.Trajdosa. Kraków 1995 Wydawnictwo „Secesja”. ss. 287

Z inicjatywy i przy współpracy ks. Władysława Pilarczyka, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Orawy ukazało się zbiorowe opracowanie, które czci 75. rocznicę powrotu północnych części Spisza i Orawy do Polski. Artykuły problemowe i szkice biograficzne opracowali działacze Towarzystwa Przyjaciół Orawy i Związku Polskiego Spisza. Wiemy, że mimo wyśpiewywania „Nie damy Popradowej fali, Spisza z Orawą...”, plebiscyt przeprowadzony w 1920 roku wypadł dla Polski niekorzystnie i większość tych ziem mimo niepodważalnych związków z polskością znalazła się w granicach Czechosłowacji. (Niestety mieliśmy wtedy „na karku” wojnę z bolszewikami i nie miał kto zająć się zwykłą propagandą przed referendum.) Dziś dzięki utworzeniu Euroregionu Tatry znikną może bariery graniczne dzielące te ziemie i

długoletnia izolacja. Już drugi rok funkcję przewodniczącego Euroregionu pełni Wendelin Haber z Łapsz Niżnych, imiennik swego ojca, zasłużonego dla polskości Spisza, którego sylwetkę w niniejszym opracowaniu przybliża.

Publikację tę polecamy wszystkim zainteresowanym historią i współczesnością Orawy i Spisza.

BMN

Prócz wymienionych polecamy do przeczytania:

napisaną przez Janusza Andrusikiewicza książeczkę **„Poruseństwo Chocholowski”**. Wyszła ona w 150 rocznicę Powstania i jest chyba najciekawszym opracowaniem tematu, który musi zainteresować każdego, komu bliska jest przeszłość Podtatrza.

Druga książka kiepsko rozprowadzana, niestety nie sprzedawana, to **„Tatrzańska Wspólnota Leśna w Witowie”** napisana przez Mieczysława Adamczyka z Wrocławia, świetnego znawcę przeszłości Podtatrza. To źródłowe opracowanie, które zawiera szereg bardzo ważnych informacji z przeszłości rozwoju społeczeństwa tych terenów, wyjaśnia w sposób bardzo ciekawy powstanie słynnej Wspólnoty. Wszystkim, kogo interesuje historia tych terenów i rozwój społeczności chłopskiej na Podtatrzu polecamy tę książkę.

Już w momencie przekazywania do druku naszego Rocznika ukazała się książka – **przewodnik Macieja Pinkwarta „Północna Słowacja, przewodnik dla zmotoryzowanych”**. Jest to pierwsze tego typu wydawnictwo. Tylko rzuciliśmy okiem na spis rozdziałów. Warto się jednak w to zaopatrzyć, bo to pierwsze tego rodzaju wydawnictwo i to bardzo potrzebne. Szereg ważnych informacji o przeszłości miast i wsi słowackich – i co ważne – podstawowe informacje na temat poruszania się po Słowacji. Polecamy!

Spis treści

<i>Górecki Andrzej, Wasilewski Jacek Zwierzyna Karpat Polskich</i>	5
<i>Lefeld Jerzy Liliowce w Tatrach</i>	19
I. Pireneje	25
<i>Roniker Michał Pirenejskie lato</i>	29
<i>Rogulska Magdalena i zespół Łódzka wyprawa w Pireneje</i>	39
II. Człowiek i góry	57
<i>Plezia Marian Tragedia na Małym Jaworowym</i>	59
<i>Stefański Marek Droga Wyklętych</i>	72
<i>Jaworowski Zbigniew Wschodnia Mnicha</i>	87
<i>Worwa Stanisław Niebezpieczna grań</i>	97
<i>Kaszyn Alina Kieżmarski Szczyt w dniu Wszystkich Świętych</i>	109
<i>Remiszewski Ryszard Refleksyjnie z Choczołskiej</i>	118
<i>Burghardt Andrzej Bieszczadnicy</i>	123
<i>Grzegorzewski Zbigniew Rumuńską poloniną</i>	137
<i>Szmidt Krzysztof Jagody na półce</i>	148
<i>Szmidt Krzysztof Komu i czemu winny służyć góry</i>	152
III. Ocalić od zapomnienia	159
<i>Gumińska Maria Wspomnienie o nielegendarnej postaci Zakopanego.</i> <i>Stanisław Zdyb (1884–1954)</i>	161
<i>Wasilewski Stanisław Leopold Świerż – niestrudzony sekretarz</i>	177
<i>Durden Józef Dawna pocztówka tatrzańska</i>	181
<i>Kobiela Stanisław Narodziny Orlej Perci</i>	193
<i>Tomaszewski Jerzy Organizował turystykę górską w Toruniu</i> <i>(wspomnienie o Leszku Michalskim)</i>	203
<i>Morawska-Nowak Barbara 120 lat zorganizowanego przewodnictwa</i> <i>tatrzańskiego</i>	205
<i>Stecka Zofia Jak się przewodnicy dawniej nosili</i>	209
<i>Bielecki Marian Tadeusz Erich Friedli–Baum (1910–1995)</i>	217
IV. Kronika PTT	221
<i>Michlik Józef 10 lat gazdowania na Młodej Horze</i>	223
<i>Działalność Zarządu Głównego PTT</i>	231
<i>Spółeczna Rada współpracy z Tatrzańskim Parkiem Narodowym</i>	234
<i>Studencki spis</i>	235
<i>III Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego</i>	237
<i>Nasze Oddziały</i>	263
<i>Nasze czasopisma</i>	293
<i>Polecamy do czytania</i>	296

Willa „**Pod Hyrcą**”

ul. Salmopolska 36

tel. (0-30) 178-498

43-370 SZCZYRK



Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział W Bielsku-Białej

STACJA TURYSTYCZNA

Pensjonat „**Katarzyna**”

Janusz Lubowiecki

KARPIELÓWKA 141, tel. (0-165) 70-651

34-500 ZAKOPANE



Polskie Towarzystwo Tatrzańskie
Oddział W Bielsku-Białej

STACJA TURYSTYCZNA



Stanisław Zdyb, nazwany przez Marię Gumińską nielegendarną postacią Zakopanego, należy do postaci trwale związanych z dziejami poznawania i popularyzacji Tatr. Obdarzony talentem plastycznym, zaczął rzeźbić już jako dziecko. Dzięki pomocy Władysława Zamoyskiego, rozpoczął naukę w zakopiańskiej Szkole Snycerskiej. Wkrótce zaczął chodzić w góry ze swoim nieodłącznym towarzyszem – aparatem fotograficznym.

Na zdjęciach Zdyba jawi nam się tatrzański krajobraz, jakże zmieniony od tamtych czasów. Powracają na nich postaci ówczesnych zdobywców Tatr, ratowników TOPR, sportowców, legionistów. Jego fotografie cechuje artystyczny smak i umiejętność dostrzegania tego co najważniejsze, a pomijania rzeczy nieistotnych. Zdyb udawał się w góry nie tylko dla przyjemności. Był aktywnym narciarzem i oddanym ratownikiem TOPR, stąd jego fotograficzne dokonania mają także charakter dokumentalny.

Fotografował do końca swoich dni. Pozostała po nim kolekcja unikatowych zdjęć przedstawiających Tatry w całej ich grozie i pięknie, a także ludzi, którzy je ukochali. Tylko niewielką ich część, nigdzie dotąd nie publikowaną, reproduujemy w niniejszym tomie „Pamiętnika“, wyrażając serdeczne podziękowanie właścicielom za ich bezinteresowne udostępnienie.

